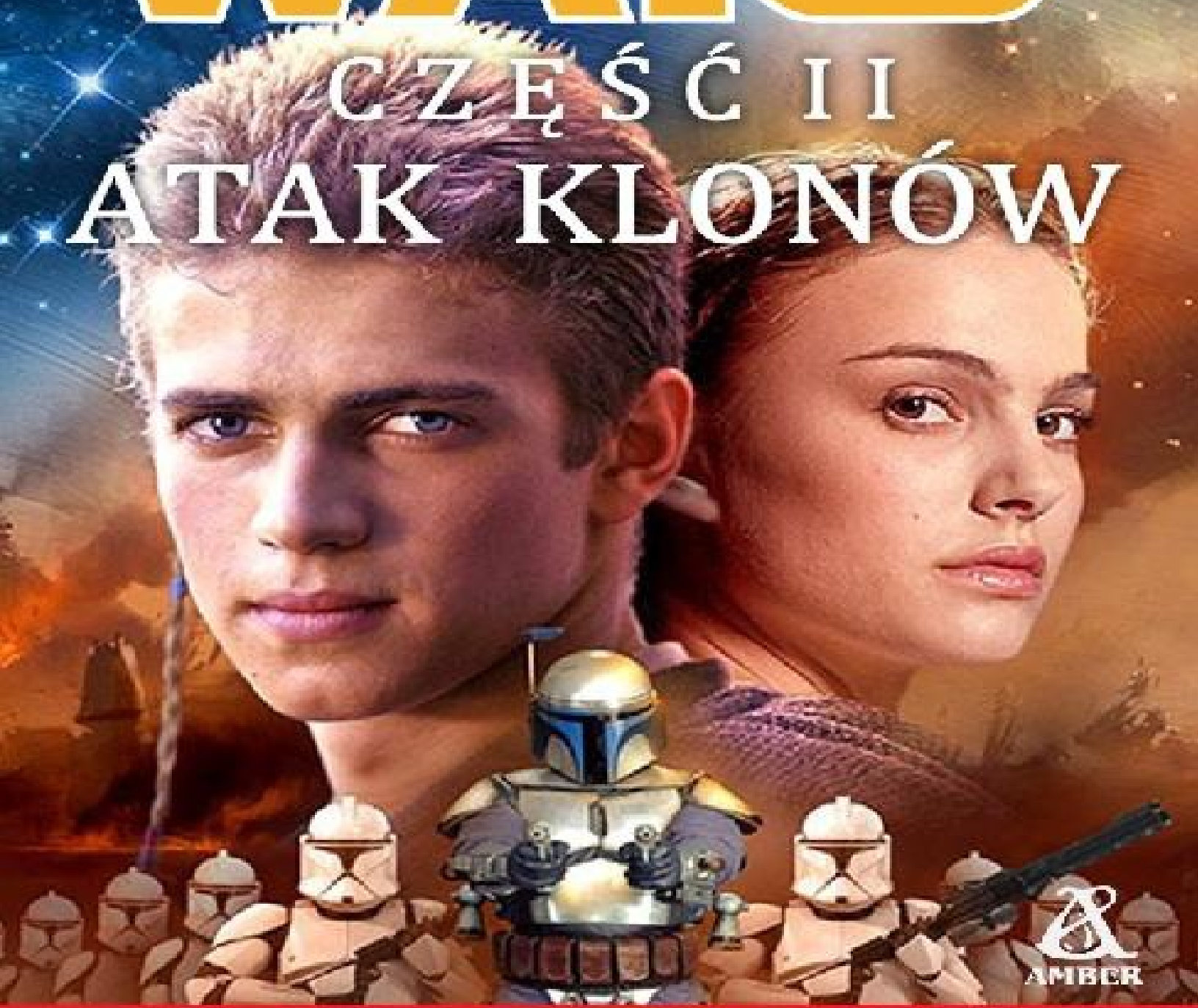


# STAR WARS

## CZEŚĆ II ATAK KLONÓW



R. A. SALVATORE

Na podstawie opowiadania George'a Lucasa oraz scenariusza George'a Lucasa i Jonathana Halesa

# **STAR WARS**

## **CZĘŚĆ II ATAK KLONÓW**

**R. A. SALVATORE**

Na podstawie opowiadania George'a Lucasa  
oraz scenariusza George'a Lucasa i Jonathana Halesa



Tytuł oryginału  
*Attack of the Clones*

Copyright © 2002 by Lucasfilm, Ltd. & ™.  
All Rights Reserved. Used Under Authorization.  
For the Polish translation  
Copyright © 2002 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Przekład  
Maciej Szymański

Redaktor serii  
Zbigniew Foniok

Redakcja stylistyczna  
Beata Słama

Redakcja techniczna  
Andrzej Witkowski

Korekta  
Małgorzata Kąkiel  
Monika Szwabowicz

Ilustracja na okładce  
Steven D. Anderson

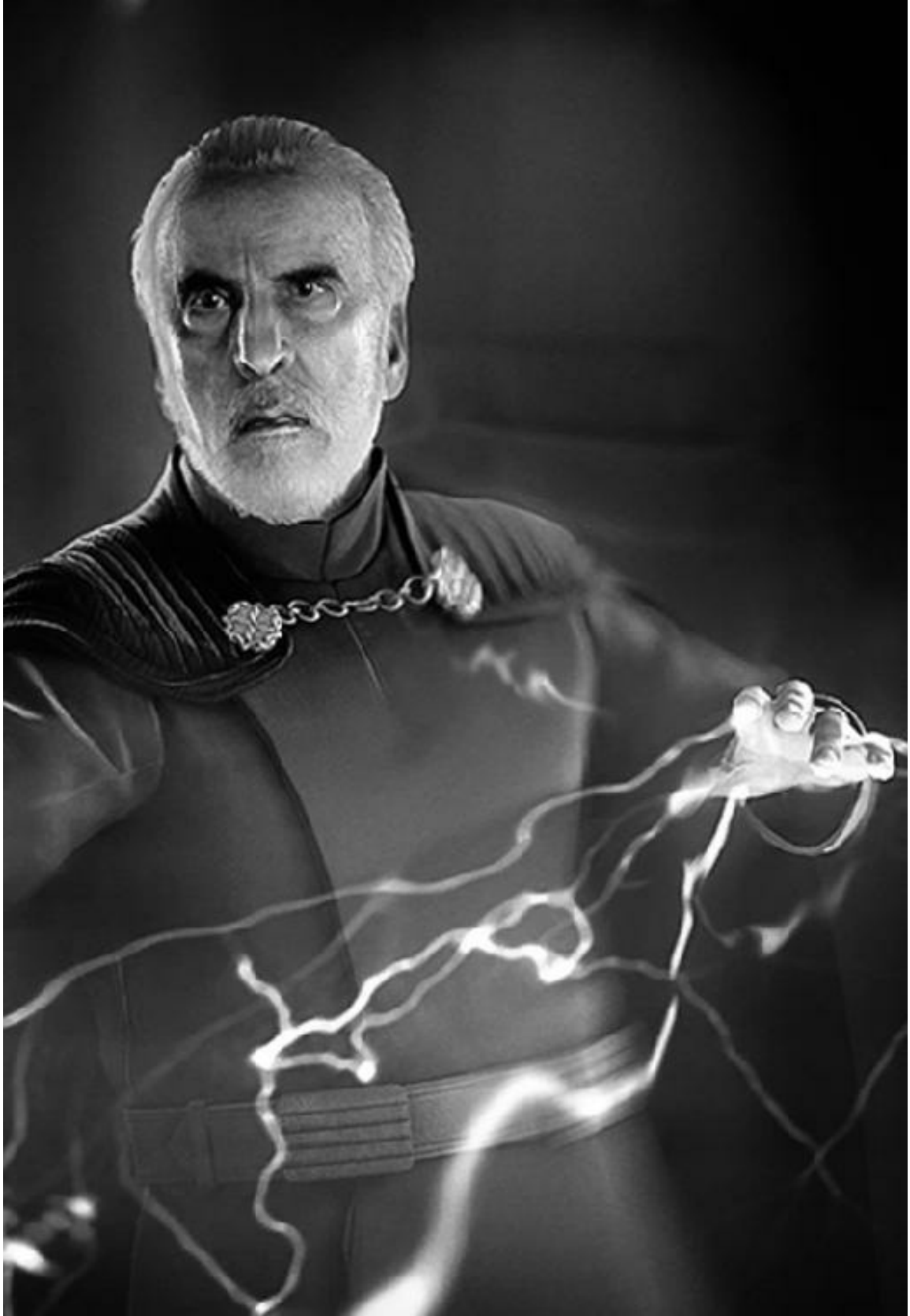
Opracowanie graficzne okładki  
Wydawnictwo Amber

Skład  
Wydawnictwo Amber

ISBN 83-7245-947-9

Warszawa 2002. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63  
tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62  
[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)



*Dawno, dawno temu w odległej galaktyce...*

# PRELUDIUM

Jego umysł chłonał rozgrywającą się scenę – tak cichą, tak spokojną, tak... normalną.

Takiego życia zawsze pragnął: w otoczeniu rodziny i przyjaciół, choć spośród wszystkich postaci pojawiających się w wizji rozpoznawał tylko ukochaną matkę.

Tak miało być: ciepło i miłość, śmiech i spokój. O tym marzył i o to się modlił. Przyjazne spojrzenia. Uprzejma rozmowa – choć nie słyszał słów. Serdeczne gesty.

Ale przede wszystkim uśmiech matki, szczęśliwej i nareszcie wolnej. Kiedy na nią patrzył, wiedział wszystko – także to, jak bardzo była z niego dumna i jak pełne radości stało się jej nowe życie.

Stała przed nim, promieniejąc, i wyciągnęła dłoń, by pogładzić jego policzek. Z każdą chwilą uśmiechała się coraz pełniej, coraz radośniej...

Zbyt radośnie.

Przez moment wydawało mu się, że ten przesadny grymas to przejaw nieskończonej matczynej miłości, ale uśmiech nie przestawał „rosnąć”. Twarz kobiety rozciągnęła się i wykrzywiła karykaturalnie.

Poruszała się teraz jak w zwolnionym tempie. Ci, którzy jej towarzyszyli, również zachowywali się tak, jakby ich kończyny stały się nagle niezwykle ciężkie.

Nie, nie ciężkie, pomyślał, czując, że otaczające go rodzinne ciepło zmienia się nagle w nieznośny żar. Matka i jej przyjaciele stawali się coraz sztywniejsi, nieruchomi, jakby z każdą chwilą uciekało z nich życie. Spoglądał na karykaturę uśmiechu, na wykrzywioną twarz, i widział kryjący się pod nią ból, niekończące się cierpienie.

Chciał krzyczeć, pytać, co ma robić, jak może pomóc.

Twarz matki wykrzywiła się jeszcze bardziej, a z oczu popłynęła krew. Skóra stała się niemal przezroczysta, jak szkło.

Szkło! Była ze szkła! Światło połyskiwało na gładkich

powierzchniach, a krew płynęła po nich wartkimi strumieniami. Oczy matki spoglądały teraz z rezygnacją i poczuciem winy, jakby wiedziała, że zawiodła syna. Ten widok ranił jego serce.

Próbował jej dotknąć, jakoś ją ratować.

Na szkle pojawiły się rysy. Pęknięcia stawały się coraz dłuższe; słyszał złowieszcze trzaski.

Krzyczał raz po raz, desperacko wyciągając rękę. Pomyślał o Mocy i nadał swojej woli całą jej potęgę, całą energię, jaką zdołał z niej zaczerpnąć.

Lecz szkło rozprysło się na kawałki.

Padawan pragnął powrócić na stołeczną planetę tak szybko, jak było to możliwe. Potrzebował wsparcia, ale nie takiego, jakie mógł mu zaoferować Obi-Wan.

Musiał raz jeszcze porozmawiać z Kanclerzem Palpatine'em, raz jeszcze usłyszeć z jego ust słowa pociechy. Przez ostatnich dziesięć lat Palpatine żywo interesował się losem Padawana, dbając o to, by chłopiec zawsze mógł się z nim spotkać, gdy tylko powracał z Obi-Wanem na Coruscant.

Teraz, kiedy wciąż miał w pamięci ponurą wizję ze snu, Padawan czerpał z tej życzliwości wielką pociechę. Kanclerz, mądry przywódca Republiki, obiecał mu, że jego siła będzie wkrótce tak wielka, iż stanie się najpotężniejszym z Jedi.

Być może w tych właśnie słowach kryła się odpowiedź. Może najpotężniejszy z Jedi, najpotężniejszy z potężnych, potrafiłby wzmocnić kruche szkło.

– Ansion – zawołał znowu głos z kabiny. – Anakinie, Chodźże wreszcie!

Padawan Jedi poderwał się gwałtownie i usiadł na koi, szeroko otwierając oczy. Oddychał płytko i z trudem, na jego czole perliły się krople potu.

Sen. To tylko sen – powtarzał w myślach, próbując znowu zasnąć. To tylko sen.

A jeśli nie?



Przecież miał dar przewidywana przyszłości.

– Anson! – odezwał się z przedniej części statku znajomy głos mistrza.

Chłopak wiedział, że pora otrząsnąć się ze snu i skupić na teraźniejszości, na najnowszym zadaniu, które miał wypełnić u boku mistrza. Ale łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić.

A to, dlatego, że znowu zobaczył matkę. Jej ciało sztywniało, krystalizowało się, a potem eksplodowało, rozpadając się na milion kawałków.

Spojrzał przed siebie, oczami wyobraźni widząc mistrza za sterami statku. Zastanawiał się, czy powinien powiedzieć mu o wszystkim, czy Jedi w ogóle byłby w stanie mu pomóc. Odrzucił tę myśl równie szybko, jak przywołał. Jego mistrz, Obi-Wan Kenobi, nie mógł mu pomóc. Był zbyt mocno zaangażowany w inne sprawy – w szkolenie ucznia i drugorzędne zadania, jak choćby rozwiązanie sporu granicznego, wymagające tak dalekiej podróży z Coruscant.

# ROZDZIAŁ

# 1

Shmi Skywalker Lars stała na krawędzi wału z piasku wyznaczającego granicę farmy wilgoci. Ugiętą nogę oparła o jego szczyt, a rękę położyła na kolanie. Była kobietą w średnim wieku, o ciemnych, lekko siwiejących włosach i zniszczonej, zmęczonej twarzy. Wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo nad Tatooine. W mroku chłodnej nocy linii widnokregu nie znaczyły żadne ostre kształty. Widać było jedynie zarysy gładkich wydm, zaokrąglonych podmuchami wiatru, tak charakterystycznych dla planety niekończących się, piaszczystych połączeń. Gdzieś w oddali rozległo się jęśliwe zawodzenie jakiegoś zwierzęcia, które dziwnie współgrało z tym, co działo się w sercu Shmi.

To była szczególna noc.

Anakin, jej najdroższy mały Annie, skończył tej nocy dwadzieścia lat. Shmi obchodziła jego urodziny, co roku, choć nie widziała syna od dziesięciu lat. Jak bardzo musiał się zmienić! Na pewno jest wysoki, silny i mądry nauką Jedi! Shmi, która całe życie spędziła na niewielkim skrawku piaszczystej burej Tatooine, nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, jakie cuda jej chłopiec mógł znaleźć gdzieś tam, pośród gwiazd i planet tak bardzo odmiennych od tej, tam, gdzie barwy natury były żywe, a obfitość wód wypełniała całe doliny.

Tęskny uśmiech rozjaśnił jej ciągle jeszcze piękną twarz, kiedy wspominała dawno minione dni, gdy oboje byli niewolnikami tego łajdaka, Watta. Annie, zawsze psotny i rozmarzony, niezależny i odważny, często doprowadzał toydariańskiego handlarza złomu do

pasji. Życie niewolników bywało ciężkie, lecz Shmi pamiętała i dobre chwile. Jadali skromnie i nie mieli prawie nic, a jedynymi rzeczami, których Watto im nie skąpił, były wieczne utyskiwania i niekończące się rozkazy – lecz przynajmniej był przy niej Annie.

– Powinnaś już wracać – odezwał się za jej plecami cichy głos.

Shmi uśmiechnęła się jeszcze szerzej, odwracając się strone pasierba, Owena Larsa, który zbliżał się do niej wolnym krokiem. Rówieśnik Anakina był krępy i dobrze zbudowany; miał ciemne szczeciniaste włosy i szeroką twarz, na której malowały się wyłącznie te uczucia, które wypełniały jego serce.

Kiedy stanął przy niej, Shmi zmierzwiła jego krótkie włosy, on zaś objął ją i pocałował w policzek.

– Znowu ani jednego statku, mamu? – spytał pogodnie. Dobrze wiedział, dlaczego tu przyszła; dlaczego tak często wychodziła nocą na cichą pustynię.

Nie przestając się uśmiechać, Shmi pogładziła chłopaka po policzku. Kochała go jak syna, a on był dla niej dobry i rozumiał, jak wielką pustkę w jej sercu pozostawiło rozstanie z Anakinem. Bez zazdrości czy uprzedzeń Owen akceptował ból Shmi i starał się być dla niej oparciem.

– Ani jednego – odpowiedziała, spoglądając znowu na usiane gwiazdami niebo. – Anakin musi być zajęty. Pewnie zbawia galaktykę, ściga przemytników albo innych bandytów. Ma obowiązki.

– W takim razie od dziś będę spał jeszcze spokojniej – odrzekł Owen, szczerząc zęby w uśmiechu.

Shmi żartowała, ale wiedziała, że w tym, co mówi o Anakinie, jest ziarno prawdy. Jej syn był wyjątkowo utalentowanym dzieckiem – niezwykłym nawet jak na Jedi. Zawsze wyróżniał się spośród innych chłopców w jego wieku. Nie w sensie fizycznym – Shmi zapamiętała go jako uśmiechniętego malca o ciekawych oczach i jasnych włosach. Rzecz w tym, że Annie umiał robić wiele rzeczy, i to robić bardzo dobrze. Choć był jeszcze dzieckiem, brał udział w zawodach ścigaczy i pokonywał najlepszych pilotów z całej Tatooine. Jako pierwszy człowiek w historii wygrał poważny wyścig, a przecież miał wtedy zaledwie dziewięć lat! Leciał ścigaczem, który zbudował

własnoręcznie z części „pożyczonych” ze złomowiska Watta, wspominała z rozrzewnieniem Shmi.

Ale taki właśnie był Anakin: niepodobny do innych dzieci, niepodobny nawet do większości dorosłych. Umiał instynktownie przewidywać przyszłość, jakby dostroił się do otaczającego go świata tak doskonale, że każdy rozwój wydarzeń wydawał mu się logiczną konsekwencją teraźniejszości. Potrafił też przeczuwać kłopoty – na przykład z własnym ścigaczem – na długo przedtem, nim dochodziło do katastrof. Powiedział kiedyś matce, że wyczuwał obecność przeszkód na trasie wyścigu, zanim je zobaczył. To był niezwykły dar. Dlatego właśnie Jedi, który zjawił się na Tatooine, odkrył nadzwyczajną naturę chłopca i wyzwolił go z rąk Watta, by wziąć pod opiekę i poddać szkoleniu.

– Musiałam pozwolić mu odejść – powiedziała cicho Shmi. – Nie mogłam go zatrzymać, bo to oznaczałoby dla niego życie w niewoli.

– Wiem – rzekł krótko Owen.

– Nie mogłabym tego zrobić nawet, gdybyśmy nie byli niewolnikami – dodała po chwili kobieta, spoglądając niepewnie na Owena, jakby zdumiały ją własne słowa. – Annie miał zbyt wiele do zaoferowania galaktyce, bym mogła uwięzić go na Tatooine. Jego miejsce jest tam, wśród gwiazd. Niech ratuje choćby i całe planety. Urodził się, żeby zostać Jedi, żeby dawać z siebie jak najwięcej.

– I dlatego już śpiam tak spokojnie – powtórzył Owen. Shmi spojrzała na niego z ukosa i zobaczyła, że chłopak uśmiecha się jeszcze szerzej niż zwykle.

– Naśmiewasz się ze mnie! – zawołała, klepiąc go po plecach. Owen tylko wzruszył ramionami.

Shmi spoważniała.

– Annie chciał z nimi lecieć – dorzuciła po chwili, podejmując wątek, który często pojawiał się w jej rozmowach z pasierbem i do którego powracała w myślach każdej nocy przez ostatnich dziesięć lat. – marzył o podróży do gwiazd; chciał odwiedzić wszystkie planety galaktyki i dokonać wielkich rzeczy... Urodził się jako niewolnik, ale nie po to, by być niewolnikiem. Nie, nie mój Annie. Nie on.

Owen ścisnął lekko jej ramię.

– Słusznie postąpiłaś. Na jego miejscu byłbym ci wdzięczny. Rozumiałbym, że zrobiłaś to, co było dla mnie najlepsze. Nie ma większej miłości, mamó.

Shmi musnęła dłonią jego policzek, uśmiechając się smutno.

– Chodźmy już – powiedział Owen, biorąc ją za rękę. – Tu nie jest bezpiecznie.

Kobieta skinęła głową i nie opierała się, gdy chłopak zaczął prowadzić ją w stronę domu. Nagle jednak zatrzymała się i spojrzała ze strachem w oczy Owena.

– Tam jest jeszcze mniej bezpiecznie – powiedziała załamującym się głosem, spoglądając na bezkresne nocne niebo. – A jeśli coś mu się stanie? Jeśli już nie żyje?

– Lepiej zginąć, goniąc za marzeniami, niż żyć bez nadziei – odparł chłopak bez przekonania.

Shmi spojrzała na niego i uśmiechnęła się lekko. Owen, podobnie jak jego ojciec, był pragmatyczny aż do bólu. Rozumiała więc, że to, co usłyszała, powiedział wyłącznie przez wzgląd na jej rozterki. Doceniała ten gest.

Nie opierała się więcej, gdy chłopak prowadził ją do skromnego domu swojego ojca, a jej męża, Cliegga Larsa.

Z każdym ostrożnie stawianym krokiem przekonywała samą siebie, że przed laty postąpiła słusznie. Byli niewolnikami; nie mieli żadnej szansy na odzyskanie swobody prócz tej, która pojawiła się wraz z ofertą Jedi. Jak mogła zatrzymać Anakina na Tatooine, kiedy rycerze Je di proponowali mu spełnienie marzeń?

Wtedy, rzecz jasna, Shmi nie miała pojęcia o tym, że pewnego pięknego dnia w mieście Mos Espa pojawi się Cliegg Lars, farmer wilgoci, który zakocha się w niej, wykupi od Watta, zwróci wolność i poprosi, by została jego żoną. Czy pozwoliłaby Anakinowi odejść, gdyby wiedziała, że tak szybko nastąpi w jej życiu wielka zmiana na lepsze?

Czy byłaby szczęśliwsza, gdyby syn pozostał u jej boku?

Shmi uśmiechnęła się do własnych myśli. Nie, nie byłoby lepiej. I tak chciałaby, żeby Annie odszedł; nawet gdyby potrafiła przewidzieć zmiany. Miejsce Anakina było tam, daleko. Wiedziała o tym.

Shmi pokręciła głową, przytłoczona ciężarem rozważań o krętych ścieżkach własnego życia i losie Anakina. Nawet teraz, po latach, nie była pewna, czy to, co się wydarzyło, nie było najlepszym wyjściem dla nich obojga.

Mimo wszystko, głęboka rana w sercu jakoś nie chciała się zabiżnić.

# ROZDZIAŁ

## 2

– Pomogę ci – zaproponowała uprzejmie Bem, stając obok Shmi, która właśnie szykowała ciepłą kolację. Cliegg i Owen wyszli, by zabezpieczyć farmę przed nadchodzącą nocą i równie nieuchronną burzą piaskową.

Shmi podała jej nóż, uśmiechając się ciepło namyśl o tym, że młoda kobieta już wkrótce stanie się członkiem rodziny. Owen nie wspomniał dotąd ani słowem o ślubie z Beru, ale Shmi umiała wyczytać wiele ze spojrzeń, które wymieniali zakochani. Małżeństwo było tylko kwestią czasu, i to niezbyt długiego, o ile znała pasierba. Owen nie należał do miłośników przygód; był raczej solidny i stały jak ziemia, po której twardo stąpał, lecz jednocześnie dobrze wiedział, czego chce i potrafił dążyć do raz wyznaczonego celu ze zdumiewającym uporem.

Beru była do niego podobna. Kochała Owena równie mocno, jak on ją. Ta dziewczyna będzie dobrą żoną dla farmera wilgoci, pomyślała Shmi, obserwując jej zręczną krzątanicę. Wybranka Owena nigdy nie uchylała się od pracy, a przy tym była zdolna i cierpliwa.

Nie oczekuje cudów i niewiele trzeba, by ją uszczęśliwić, myślała Shmi. I to właśnie jest najważniejsze. Życie na pustyni było prostotą i monotonne. Niespodzianek zdarzało się niewiele, a jeśli już, to nie należały one do przyjemnych; w okolicy pojawiali się Jeźdźcy Tusken albo zbliżała się wyjątkowo silna burza piaskowa, lub inny, równie niebezpieczny fenomen meteorologiczny.

Jedyną rozrywką rodziny Larsów było spędzanie czasu we

własnym gronie. Cliegg nie znał innego życia, bo tak właśnie wyglądała egzystencja kilku pokoleń Larsów. Owen nie różnił się od ojca, Beru zaś, choć wychowana w Mos Eisley, pasowała do nich jak ulał.

Shmi wiedziała, że Owen w końcu poślubi tę dziewczynę i cieszyła się na myśl o tym szczęśliwym dniu.

Mężczyźni wrócili do domu, a wraz z nimi C-3PO, android protokolarny, którego Anakin zbudował w czasach, gdy mógł do woli buszować po złomowisku na tyłach sklepu Watta.

– Proszę, jeszcze dwa korzenie *tanga*, pani Shmi – odezwał się wysoki android, podając kobiecie świeżo zebrane, pomarańczowo-zielone warzywa. – Przyniosłbym więcej, ale powiedziano mi w mało uprzejmych słowach, że mam się pospieszyć.

Shmi spojrzała znacząco na Cliegga, który uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

– Mogłem go tam zostawić; przeczyściłby się piachem – powiedział. – Choć, oczywiście, co większe bryły niesione wiatrem zapewne przetrąciłyby mu parę obwodów.

– Za pozwoleniem, panie Cliegg – zaprotestował C-3PO – chciałem tylko zauważyć, że...

– Wiemy, co chciałeś zauważyć, Threepio – weszła mu w słowo Shmi, kładąc dłoń na metalowym ramieniu w geście pocieszenia. Szybko jednak cofnęła rękę, nagle zdając sobie sprawę z niedorzeczności takich gestów wobec chodzącej płataniny kabli. Choć przecież C-3PO był dla niej czymś znacznie ważniejszym niż żelastwo i kable, z których się składał. Zbudował go Anakin... No, prawie zbudował. Kiedy chłopiec odchodził z rycerzami Jedi, android był w pełni sprawny, lecz pozbawiony powłoki. Shmi pozostawiła go w tym stanie na długo, wyobrażając sobie, że jej syn wróci kiedyś, by dokończyć dzieła. Dopiero kiedy związała się z Clieggiem, osobiście „ubrała” C-3PO w niezbyt eleganckie blachy. Był to dla niej wzruszający moment – kończąc budowę androida, przyznała sama przed sobą, że, podobnie jak Anakin, znalazła wreszcie swoje miejsce w życiu. Android protokolarny bywał niekiedy irytujący, lecz dla Shmi Skywalker Lars był przede wszystkim pamiętką po synu.



– Choć, oczywiście, gdyby Ludzie Piasku pojawili się w okolicy, na pewno zaopiekowaliby się nim z ochotą – ciągnął Cliegg, najwyraźniej znajdując upodobanie w drażnieniu nieszczęsnego automatu. – powiedz no, Threepio, chyba nie boisz się Tuskenów, co?

– W moim oprogramowaniu nie ma procedur generujących ten rodzaj strachu – odparł android. Jego słowa zabrzmiałyby znacznie bardziej wiarygodnie, gdyby wypowiadając je, nie trząsał się tak bardzo i mówił mniej piskliwym tonem.

– Dosyć tego – ucięła Shmi, spoglądając na Cliegga. – Biedny Threepio – dodała łagodniej, raz jeszcze klepiąc androida po ramieniu. – idź już. Mam dziś wystarczającą pomoc w kuchni – zapewniła, machając mu ręką na pożegnanie.

– Jesteś dla niego okropny – zauważyła, stając przy mężu i dobrodusznie uderzając pięścią w jego szerokie barki.

– Skoro nie pozwalasz mi kpić z niego, będę musiał wziąć na celownik kogoś innego – odparł Cliegg z udawaną złością, po czym mrużąc oczy, rozejrzał się po kuchni, by wreszcie zatrzymać wzrok na Beru.

– Cliegg... – rzuciła ostrzegawczo Shmi.

– No co? – obruszył się mężczyzna. – Jeżeli dziewczyna zamierza tu kiedyś zamieszkać, musi umieć się bronić!

– Tato! – zawołał Owen.

– Och, dajcie spokój staremu Clieggowi – wtrąciła Beru, celowo akcentując słowo „staremu”. – jaką byłabym żoną farmera, gdybym nie potrafiła dołożyć mu w bitwie na słowa?

– Oho! Wyzwanie! – zahuczał Cliegg.

– Dla mnie niezbyt wielkie – odrzekła drwiąco Beru i już po chwili pojedynek dobrotliwych inwektyw – w którym od czasu do czasu także i Owen zabierał głos – rozpoczął się na dobre.

Shmi nie słuchała zbyt uważnie, koncentrując się na obserwowaniu Beru. Tak, młoda kobieta zdecydowanie pasowała do twardego życia na farmie wilgoci. Miała odpowiedni temperament. Była stateczna, ale i skora do zabawy, gdy pozwalały na to okoliczności. Burkliwy Cliegg potrafił przegadać najlepszych, lecz Beru należała do elity pyskaczy. Shmi wróciła do kuchennych zajęć,

uśmiechając się szeroko za każdym razem, gdy dziewczyna atakowała Larsa szczególnie złośliwą ripostą.

Zajęta pracą, nie zauważyła nadlatującego pocisku. Krzyknęła, gdy nieco przejrzałe warzywo uderzyło ją prosto w policzek.

A to, rzecz jasna, wzbudziło w pozostałej trójce chęć do jeszcze dzikszego śmiechu.

Shmi odwróciła się wolno, by poszukać winowajcy. Wyraz zakłopotania na twarzy Beru, a także fakt, że siedziała nieco dalej, w jednej linii z Clieggiem, wskazywały jednoznacznie na to, że to ona rzuciła warzywo – mierzyła zapewne w mężczyznę, ale minimalnie chybiła.

– Ta dziewczyna zawsze wie, kiedy należy przestać – rzekł Cliegg Lars i zanim przebrzmiała ostatnia nuta tej sarkastycznej wypowiedzi, ryknął tubalnym śmiechem.

Umilkł jednak, gdy Shmi trafiła go w pierś kawałkiem soczystego owocu, który rozprysnął się efektownie.

Wojna owocowo-warzywna rozgorzała na nowo, choć, oczywiście, więcej miotano gróźb niż miękkich, choć brudzących pocisków.

Kiedy zabawa dobiegła końca, Shmi zabrała się do sprzątania, z symboliczną pomocą pozostałych domowników.

– Lepiej idźcie już i zajmijcie się czymś, z daleka od ojca, który wiecznie szuka guza – zwróciła się do Owena i Beru. – Cliegg zaczął, więc Cliegg posprząta. No, idźcie już. Zawołam was na kolację.

Cliegg zaśmiał się cicho.

– A jeśli rzucisz we mnie jeszcze raz, będziesz głodny – dodała groźnie, wymachując łyżką w stronę męża. – samotny!

– O nie! Tylko nie to! – zawołał Cliegg, unosząc ręce w geście kapitulacji.

Shmi pogoniła Owena i Beru ostatnim machnięciem łyżki, zauważając przy okazji, że odchodzą uradowani.

– Będzie z niej dobra żona – powiedziała cicho.

Cliegg stanął obok żony, objął ją w pasie i mocno przytulił.

– My, Larsowie, zawsze zakochujemy się w najlepszych kobietach. Shmi spojrzała na niego i odwzajemniła ciepły, szczery uśmiech.

Tak właśnie miało być: dobra, uczciwa praca, poczucie

prawdziwego spełnienia i odrobina wolnego czasu na zabawę. O takim życiu Shmi zawsze marzyła. Było idealnie. Prawie. W oczach kobiety pojawiła się tęsknota.

– Znowu myślisz o swoim chłopaku – bardziej stwierdził niż spytał Cliegg Lars.

W spojrzeniu Shmi była teraz mieszanka radości i smutku; jakby na błękitnym niebie w słoneczny dzień pojawiła się jedna ciemna chmura.

– Tak, ale nie przejmuj się. Tym razem wiem, że jest bezpieczny i że dokonuje wielkich rzeczy.

– Ale żałujesz, że nie ma go z nami, kiedy tak dobrze się bawimy. Shmi znowu odpowiedziała uśmiechem.

– Żałuję, i to nie tylko dziś, ale i za każdym razem. Szkoda, że nie ma go z nami od początku, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

– To już pięć lat – zauważył Cliegg.

– Kochałby cię tak jak ja, a z Owenem... – urwała w pół zdania.

– Sądzisz, że Anakin zaprzyjaźniłby się z Owenem? Ba! Jasne, że tak!

– Przecież nawet nie znasz mojego Annie'ego – upomniała go łagodnie Shmi.

– Byliby najlepszymi przyjaciółmi – stwierdził z przekonaniem Cliegg, przytulając ją jeszcze mocniej. – Jak mogłoby być inaczej, skoro mieliby taką matkę?

Shmi z wdzięcznością przyjęła komplement i odwróciwszy się, gorąco ucałowała męża. Myślami była już jednak przy Owenie i jego kwitnącym romansie ze śliczną Beru. Jakże kochała ich oboje!

Jednak wspomnienie o pasierbie wywołało w Shmi lekki niepokój. Często zastanawiała się, czy obecność Owena nie była jednym z powodów, dla których tak ochoczo przystała na propozycję małżeństwa z Clieggiem. Znowu spojrzała na męża, czule gładząc jego mocne ramiona. Kochała go głęboko, była szczęśliwa, że nie jest już niewolnicą. Ale czy to przypadkiem nie obecność Owena wpłynęła na jej decyzję? To pytanie zadawała sobie przez wszystkie lata po ślubie. Czy Owen był odpowiedzią na potrzebę, która paliła jej serce? Na potrzebę zapełnienia otchłani, którą wytworzyło w jej matczynym

sercu odejście Anakina?

Chłopcy zdecydowanie różnili się temperamentem; Owen był rzetelny i rozważny, gotów w odpowiednim czasie przejąć farmę z rąk Cliegga – dokładnie tak, jak przejmowały ją kolejne pokolenia rodziny Larsów. Był bardzo przejęty na samą myśl o tym, że zostanie prawowitym spadkobiercą tego skrawka ziemi. Godził się bez wahania na życie w trudnych warunkach w zamian za dumę i poczucie dobrze spełnionego obowiązku wynikające z prostego faktu właściwego prowadzenia farmy.

Tymczasem Annie...

Shmi omal nie roześmiała się na głos, próbując wyobrazić sobie swego żywiołowego syna, z głową pełną marzeń o dalekich wyprawach, na miejscu statecznego Owena. Nie miała wątpliwości, że Anakin dałby Clieggowi w kość równie skutecznie, jak robił to, pracując dla Watta. Wiedziała też, że niespokojny duch chłopca nie dałby się okiełznać poczuciem odpowiedzialności za tradycję wielu pokoleń. Głód przygody, pragnienie zwyciężania w wyścigach czy marzenia o podróży do gwiazd nie ustąpiłyby pod żadną presją, za to z pewnością doprowadzałyby Cliegga do szału.

Tym razem Shmi nie wytrzymała i zachichotała cicho, wyobrażając sobie Cliegga z purpurową twarzą, oburzonego kolejnym wybrykiem Anakina.

Lars przytulił ją jeszcze mocniej, a Shmi utonęła w jego ramionach, mając pewność, że tu jest jej miejsce i pocieszając się nadzieją, że i Anakin jest tam, gdzie być powinien.

Nie miała na sobie jednej z ozdobnych szat, które nosiła przez ostatnie dziesięć lat. Jej włosów nie ułożono tym razem w wymyślne sploty, przetykane niezliczonymi błyskotkami. I może właśnie dzięki prostocie stroju i fryzury uroda Padmé Amidali jaśniała jeszcze silniejszym blaskiem.

Kobieta, która siedziała obok niej na ławce-huśtawce, musiała należeć do rodziny. Była starsza, po matczynemu stateczna, ubrana z prostotą, choć nie tak piękna niż Amidala. Jej twarz rozświetlał

wewnętrzny blask.

– Skończyłaś już te swoje spotkania z królową Jamillią? – spytała Sola. Ton głosu jednoznacznie wskazywał na to, iż nie przywiązywała zbyt dużej wagi do rozmów z władczynią.

Padmé spojrziała na nią z ukosa, po czym przeniosła wzrok na mały szałas, wokół którego biegały Ryoo i Pooja, córki Soli, z pasją oddające się zabawie w berka.

– Byłam tylko na jednym spotkaniu – wyjaśniła Padmé. – Królowa chciała mi przekazać pewne informacje.

– Na temat ustawy o militaryzacji – stwierdziła Sola.

Padmé nie musiała potwierdzać tego, co było oczywiste. Rozpatrywana w Senacie ustawa o militaryzacji była najważniejszym aktem prawnym spośród tych, które omawiano w ostatnich latach. Jej przyjęcie mogło oznaczać dla Republiki wstrząs znacznie potężniejszy niż ponure wydarzenia sprzed dekady, kiedy Padmé była królową, a Federacja Handlowa usiłowała opanować Naboo.

– Republika trzęsie się w posadach, ale nie ma powodu do obaw; senator Amidala zrobi z tym porządek – dodała po chwili Sola.

Padmé popatrzyła na nią ze zdziwieniem, zaskoczona dźwięczącym w jej głosie sarkazmem.

– Przecież tym się właśnie zajmujesz, prawda? – spytała niewinnie siostra.

– Próbuję to robić.

– Tylko to próbujesz robić.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Padmé, spoglądając na Solę ze zdumieniem. – Jestem senatorem, prawda?

– Senatorem i byłą królową, z szansami na wiele innych stanowisk – uzupełniła siostra. Po chwili spojrziała na dziewczynki i poprosiła, by nie biegały tak szybko.

– Mówisz tak, jakby było w tym coś złego – zauważyła Padmé.

Sola spojrziała jej w oczy.

– To wspaniała rzecz – powiedziała szczerze. – O ile robisz to wszystko z właściwych pobudek.

– O co ci właściwie chodzi?

Sola wzruszyła ramionami, jakby sama nie była do końca pewna.

– Moim zdaniem wmówiłaś sobie, że jesteś niezbędna Republice. Że bez ciebie wszystko się zawali.

– Siostro!

– To prawda – nie ustępowała Sola. – Ciągłe tylko dajesz, dajesz, dajesz i dajesz. Czy nigdy nie masz ochoty uszczknąć trochę dla siebie?

Uśmiech na ustach Padmé upewnił Solę, że trafiła w czuły punkt.

– Trochę czego?

Kobieta spojrzała na Ryoo i Pooję.

– Spójrz na nie. Kiedy patrzysz na moje dzieci, widzę iskry w twoich oczach. Wiem, jak bardzo je kochasz.

– Jasne, że kocham!

– A nie chciałabyś mieć własnych? – spytała Sola. – Własnej rodziny?

Padmé Zesztywniała, wpatrując się w siostrę szeroko otwartymi oczami.

– Ja... – urwała. – Pracuję teraz nad czymś, w co głęboko wierzę. Nad czymś bardzo ważnym – dodała pośpiesznie.

– A kiedy już będzie po wszystkim, kiedy ustawa o militaryzacji odejdzie w przeszłość, znajdziesz sobie coś, w co będziesz wierzyć równie głęboko, coś równie ważnego. Coś, co dotyczy Republiki znacznie bardziej niż ciebie.

– Jak możesz tak mówić?

– Mogę, bo to prawda i dobrze o tym wiesz. Kiedy zaczniesz wreszcie robić coś dla siebie?

– Przecież robię.

– Wiesz, co mam na myśli.

Padmé zaśmiała się cicho i potrząsnęła głową, odwracając się w stronę Ryoo i Pooji.

– Czy o wartości człowieka decyduje to, czy ma potomstwo? – spytała.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Sola. – Nie o to mi chodzi. Mówię o czymś poważniejszym, siostrzyczko. Poświęcasz cały swój czas problemom innych – rozwiązywaniu konfliktów międzyplanetarnych czy pilnowaniu, by jedna z gildii handlowych

traktowała uczciwie system, z którym robi interesy. Twoja energia służy wyłącznie innym ludziom, tylko ich życie staje się lepsze.

– I co w tym złego?

– A co z twoim życiem? – spytała Sola z powagą. – Co z Padmé Amidala? Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, co zrobisz ze swoim życiem? Wiem, że służba publiczna daje ci wiele satysfakcji, ale co z twoimi uczuciami? Co z miłością, siostrzyczko? I wreszcie – co z dziećmi? Czy naprawdę nigdy nie zastanawiasz się, jak by to było, gdybyś usatkwowała się nieco i zajęła czymś, co sprawi, że twoje życie będzie pełniejsze?

W pierwszym odruchu Padmé chciała odpowiedzieć, że jej życie jest wystarczająco pełne, ale te słowa jakoś nie przeszły jej przez gardło. Wydawały jej się puste, gdy obserwowała siostrzenice harujące w ogrodzie – tym razem wokół jej wiernego robota astromechanicznego, R2-D2.

Po raz pierwszy od wielu dni myśli Padmé krążyły swobodnie, z dala od obowiązków, a przede wszystkim z dala od arcyważnego głosowania w senacie, które miało się odbyć już za niecały miesiąc. Słowa „ustawa o militaryzacji” jakoś nie potrafiły przebić się przez tekst zaimprovizowanej piosenki o R2-D2, którą śpiewały właśnie rozbawione dziewczynki.

– Za blisko – stwierdził posepnie Cliegg, nie patrząc na Owena. Wybrali się na obchód granic farmy, by sprawdzić systemy bezpieczeństwa. Ich rozmowę przerwał nagle ryk banthy – jednego z wielkich kudłatych bydła często dosiadanym przez Tuskenów.

Larsowie wiedzieli, że dzikie zwierzę nie zapuściło się samo na to pustkowie – wokół samotnej farmy wilgoci trudno było znaleźć choćby skrawek pastwiska. Głos banthy oznaczał, że wrogowie są blisko.

– Ciekawe, co ich tak pcha w stronę farm – mruknął Owen.

– Dawno nie daliśmy im nauczki – odrzekł ponuro Cliegg. – Pozwalamy tym bestiom żyć na wolności, więc zapominają, co im wolno, a czego nie – dodał, spoglądając hardo na syna, który

sceptycznie kręcił głową. – Od czasu do czasu trzeba skrzyknąć ludzi i nauczyć Tuskenów dobrych manier. Kiedy urządzi się polowanie i zabije paru z nich, reszta dobrze zapamięta, gdzie są granice, których nie wolno im przekraczać. Są jak dzikie zwierzęta – potrzebują bata!

Owen milczał.

– Za długo to trwało – dorzucił po chwili Cliegg. – Widzisz? Nie pamiętasz nawet, kiedy po raz ostatni daliśmy Tuskenom wycisk. I w tym właśnie cały problem.

Bantha zaryczała ponownie.

Cliegg mruknął coś gniewnie w stronę, z której dobiegł dźwięk, po czym machnął ręką i ruszył w kierunku domu.

– Przez jakiś czas miej oko na Beru – polecił. – oboje trzymajcie się w perymetrze, najlepiej z blasterem przy boku.

Owen skinął głową i posłusznie podążył za ojcem. Nim dotarli do drzwi, bantha odezwała się raz jeszcze. Tym razem jakby bliżej.

– Co się dzieje? – spytała Shmi, gdy tylko Cliegg przekroczył próg kuchni.

Mężczyzna zatrzymał się i uśmiechnął się uspokajająco.

– To tylko piasek – odparł. – Zasypało czujniki; dość już mam tego ciągłego odkopywania! – dodał, uśmiechając się coraz szerzej, a potem ruszył w stronę łazienki.

– Cliegg... – zawołała podejrzliwie Shmi, zatrzymując go w pół drogi. Beru zajrzała do izby w chwili, gdy w drzwiach stanął Owen.

– Co się dzieje? – spytała, nieświadomie powtarzając słowa Shmi.

– Nic, zupełnie nic – odpowiedział, lecz kiedy próbował wymknąć się z kuchni, Beru stanęła przed nim i położyła mu ręce na ramionach, zmuszając, by spojrzał jej prosto w oczy. Miała zbyt poważną minę, by mógł ją zlekceważyć.

– Zanosi się na burzę piaskową – skłamał Cliegg. – Gdzieś daleko; do nas pewnie nie dotrze.

– Ale wiatr zdążył już zasypać czujniki wokół farmy? – spytała z niedowierzaniem Shmi.

Owen popatrzył na nią z uznaniem i usłyszał, że Cliegg chrząka, jakby nagle zaschło mu w gardle. Zauważył kątem oka nieznaczne skinienie głowy ojca i szybko odwrócił się w stronę Shmi.



– To tylko pierwsze podmuchy. Moim zdaniem burza nie będzie zbyt gwałtowna.

– I co, zamierzacie tak stać i łąć? – spytała ostro Beru.

– Co tam widziałeś, Cliegg? – zawtórowała jej Shmi.

– Nic – odparł z przekonaniem.

– A co słyszałeś? – indagowała matka Anakina, która w lot przejrzała gierki męża.

– Ryk banthy, nic więcej – przyznał przyparty do muru Cliegg.

– I uznałeś, że to Tuskenowie – odpowiedziała Shmi. – Jak daleko?

– Kto to może wiedzieć, w środku nocy, przy zmiennym wietrze? Możliwe, że wiele kilometrów stąd.

– Albo?

Cliegg kilkoma krokami przemierzył kuchnię i stanął przed żoną.

– Czego ty ode mnie chcesz, kobieto? – spytał, biorąc ją w ramiona. – Słyszałem banthę. Nie wiem, czy siedział na niej Tusken.

– Są i inne ślady Jeźdźców – wyznał Owen. – Dorrowie znaleźli *poodoo* banthy na jednym z czujników.

– Możliwe, że wygłodniałe bydłeta kręca się po okolicy w poszukiwaniu pożywienia – powiedział Cliegg.

– Albo, że Tuskenowie zebrali się na odwagę i stoją już u granic form, a nawet zaczynają sprawdzać nasze zabezpieczenia – odparowała Shmi. W tym momencie, jakby na potwierdzenie jej słów, zawyła syrena, sygnalizując ruch w zasięgu zewnętrznych czujników.

Owen i Cliegg chwycili karabiny blasterowe i wybiegli z domu. Shmi i Beru popędziły za nimi.

– Zostańcie tutaj! – rozkazał kobietom Cliegg. – Ale najpierw idźcie po broń! – Mężczyzna rozejrzał się i gestem wskazał synowi kryjówkę, z której Owen miał go osłaniać.

A potem, pochylony, z karabinem w dłoni wybiegł na podwórze i klucząc, zaczął badać najbliższe otoczenie domu. Postanowił, że jeśli tylko zobaczy w mroku coś, co przypominać będzie kształtem Tuskena lub banthę, najpierw strzeli, a potem sprawdzi, co to jest.

Jednak do strzelaniny nie doszło. Cliegg i Owen wyszli na powierzchnię i zbadali cały system zabezpieczeń, po raz drugi kontrolując wszystkie alarmy, lecz nie znaleźli ani śladu wroga.

Mimo to przez resztę nocy cała czwórka czuwała na zmianę, trzymając broń w zasięgu ręki.

Rankiem przy wschodniej granicy Owen znalazł przyczynę nocnego alarmu: ślad odcisnięty na skrawku nieco twardszego gruntu. Nie było to zaokrąglone wgłębienie po masywnej łapie banthy, ale płytszy i smuklejszy trop, który mogła pozostawić stopa owinięta miękkim materiałem – stopa Tuskena.

– Trzeba pogadać z Dorrami i resztą rodzin – rzekł Cliegg, gdy chłopak pokazał mu ślad. – Zbierzemy się i przepędzimy bydło na otwartą pustynię.

– Banthy?

– Banthy też – warknął złowieszczo Cliegg i splunął zamasyżście na suchą ziemię. Owen dawno nie widział w jego oczach takiej wściekłości i determinacji.

Senator Padmé Amidala czuła się nieswojo we własnym biurze mieszczącym się w gmachu należącym do kompleksu budynków otaczających pałac królowej Jamillii. Jej biurko jak zwykle ginęło pod stertą holodysków i innych potrzebnych do pracy drobiazgów. Ponad nimi zaś widać było obraz z holoprojektora, w symboliczny sposób wyrażający liczbę przewidywanych głosów w zbliżającej się nieuchronnie debacie na Coruscant; na jednej szalce wagi stał żołnierz, na drugiej spoczywała flaga oznaczająca rozejm. Wydawało się, że strony pozostają w idealnej równowadze.

Padmé wiedziała, że głosowanie nad stworzeniem regularnych sił zbrojnych Republiki nie będzie łatwe, senat bowiem podzielił się na dwa silnie stronnictwa. Z odrazą myślała o kolegach, którzy decyzję w tak istotnej sprawie uzależniali od osobistych korzyści – od potencjalnych kontraktów na dostawy dla armii w ojczystych systemach po bezpośrednie korzyści przyjmowane od separatystów – a nie od tego, co wydawało im się najlepsze dla Republiki.

W głębi serca Padmé była przekonana, że powinna ze wszystkich sił przeciwstawić się pomysłowi stworzenia armii. Tolerancja była filarem Republiki, gigantycznej sieci dziesiątek tysięcy systemów

gwiazdnych zamieszkanym przez jeszcze większą liczbę inteligentnych ras i gatunków, z których każdy patrzył na kwestię militarystyki z własnej perspektywy. Jedynym wspólnym dla nich elementem była właśnie wzajemna tolerancja. Powołanie sił zbrojnych mogło rozbudzić niepokój, a może i strach w mieszkańcach systemów leżących z dala od wielkiej planety – miasta, Coruscant.

Uwagę Padmé przyciągnął nagły ruch za oknem. Spojrzała na rozległy dziedziniec i zobaczyła grupę buntowników, ku którym biegli już funkcjonariusze sił bezpieczeństwa Naboo.

Po chwili rozległo się natarczywe stukanie do drzwi. Padmé odwróciła się w samą porę, by ujrzeć rozsuwające się skrzydła i stojącego za nimi kapitana Panakę, który sprężystym krokiem wszedł do biura.

– Sprawdzam, czy wszystko w porządku, pani senator – odezwał się mężczyzna, który był szefem jej osobistej ochrony w czasach, gdy była królową. Wysoki i ciemnoskóry, o stalowym spojrzeniu i atletycznej sylwetce podkreślonej krojem brązowego skórzanego kaftana, błękitnej koszuli i obcisłych spodni, Panaka jak zawsze wydał się Padmé ostoją bezpieczeństwa. Choć był już po czterdziestce, wciąż wyglądał tak, jakby potrafił pokonać w walce każdego mężczyznę na Naboo.

– Czy nie powinien pan pilnować raczej królowej Jamillii? – spytała Padmé.

Panaka skinął głową.

– Zapewniam, że jest doskonale chroniona.

– Przed... – odpowiedziała Padmé, ruchem podbródka wskazując na okno i toczącą się za nim bijatykę.

– Kopaczami przyprawy – dokończył Panaka. – Bez obawy, senatorze, chodzi im o kontrakty. I tak miałem z panią porozmawiać w sprawie zabezpieczenia podróży na Coruscant.

– Mamy na to jeszcze kilka tygodni. Panaka wyjrzał przez okno.

– Dzięki czemu pozostaje nam więcej czasu na przygotowania.

Padmé dobrze wiedziała, że nie należy wdawać się w spory z upartym oficerem. Ponieważ miała podróżować statkiem należącym do floty Naboo, obowiązkiem Panaki było interesowanie się

względami bezpieczeństwa. Padmé cieszyła się, że Panaka tak się o nią troszczy, choć nigdy otwarcie by się do tego nie przyznała.

Skrzywiła się, słysząc dobiegające z dziedzińca krzyki i odgłosy walki. Kolejny problem. Zawsze pojawiał się kolejny problem. Padmé myślała nieraz, że stwarzanie problemów, kiedy sprawy są już na najlepszej drodze, leży głęboko w ludzkiej naturze. Teraz do tych niewesołych myśli dołączyło jeszcze wspomnienie słów Soli i niewinnych twarzyczek Ryoo i Pooji. Tak bardzo kochała te beztroskie istoty...

– Pani senator? – odezwał się Panaka, przerywając rozważania Padmé.

– Tak?

– Musimy porozmawiać o zabezpieczeniu podróży. Otrząsnęła się z zamyślenia i skinęła głową; skoro kapitan Panaka twierdzi, że trzeba podyskutować o bezpieczeństwie, Padmé Amidala nie zamierzała się sprzeciwiać.

Był to kolejny wieczór, którego spokój zakłócały basowe porykiwania banth. Nikt z czworga domowników nie miał już wątpliwości, że Tuskenowie są blisko, na terenie farmy, i być może nawet obserwują światła zabudowań.

– Ludzie Piasku to dzikie bestie, a my już dawno powinniśmy zmusić władze w MOS Eisley, żeby wytepiły ich jak szkodniki, którymi są. I tych śmierdzących Jawów też!

Shmi westchnęła z rezygnacją i położyła dłoń na ramieniu męża.

– Jawowie nieraz nam pomagali – przypomniała łagodnie.

– W takim razie Jawów nie! – zagrzmiał Cliegg. Widząc strach w oczach Shmi, która aż podskoczyła na dźwięk jego głosu, natychmiast się uspokoił. – Przepraszam. Jawów nie. Ale Tuskenów tak. Zabijają i kradną, gdy tylko mają sposobność. Nie ma w nich nic dobrego!

– Jeśli tylko zbliżą się do domu, wrócą na pustynię zdziętkowani – zapowiedział Owen. Cliegg poparł go stanowczym skinieniem głowy.

Próbowali w spokoju dokończyć kolację, ale za każdym razem,

gdy odzywał się nie tak daleki głos banthy, odruchowo rzucali sztuce i sięgali po broń.

– Słuchajcie – odezwała się nagle Shmi. Cisza zapanowała nie tylko w domu Larsów, ale i na zewnątrz; banthy umilkły.

– Może tylko tędy przejeżdżali? – zasugerowała Shmi, kiedy przestali nasłuchiwać odgłosów z farmy. – Może wrócili do siebie, na pustynię?

– Rano polecimy do Dorrów – powiedział Cliegg, odwracając się w stronę Owena. – Skrzyknijmy wszystkich farmerów, a może nawet wyślemy kogoś do MOS Eisley. Tak na wszelki wypadek – dodał, spoglądając na żonę.

– Rano – zgodził się Owen.

Następnego dnia o świcie Owen i Cliegg wyruszyli z domu, nie jedząc nawet śniadania. Shmi wyszła jeszcze wcześniej, by jak zwykle pozbierać grzyby rosnące wokół skraplaczy.

Zamierzali minąć się z nią w drodze do farmy Dorrów, lecz znaleźli tylko jej ślady otoczone odciskami wielu stóp owiniętych w szmaty. Tuskenowie!

Cliegg Lars, najtwardszy człowiek w okolicy, padł na kolana i zapłakał.

– Odbijemy ją, tato – odezwał się Owen silnym i zdecydowanym głosem.

Cliegg uniósł głowę i spojrzał na syna, który w tej chwili nie był już chłopakiem lecz mężczyzną, ponurym i pełnym determinacji.

– Ona żyje, a my nie możemy tak jej zostawić – dodał Owen z dziwnym, niemal nadnaturalnym spokojem.

Cliegg otarł łzy, spoglądał przez chwilę na syna, a potem z powagą skinął głową.

– Przekaż wiadomość sąsiednim farmom.

# ROZDZIAŁ

## 3

– Tam są! – krzyknął Sholh Dorr, wskazując daleki punkt i ani na moment nie zwalniając biegu rozpędzonego śmigacza.

Pozostałych dwudziestu dziewięciu farmerów natychmiast dostrzegło cel: chmurę pyłu wznieconą przez kolumnę banth. Z piersi rozjuszonych osadników wyrwał się bojowy okrzyk. Chcieli się zemścić za zuchwały atak i wierzyli, że uda im się uwolnić Shmi Skywalker z rak Jeźdźców Tusken. O ile jeszcze żyła.

Przy akompaniamencie ryku silników i bitewnych zawołań szybko zbliżali się do grupy jucznych zwierząt, z niecierpliwością oczekując bitwy.

Clieg poruszał miarowo głową, pomrukując cicho, jakby chciał zachęcić maszynę do jeszcze większego wysiłku. Z lecącym tuż za nim Owenem zbliżał się do kolumny z lewej strony tak, by trafić w jej środek. Stary Lars najwyraźniej miał ochotę znaleźć się w centrum wydarzeń i jak najszybciej zacisnąć silne dłonie na gardle pierwszego Tuskena.

Banthy były już doskonale widoczne, podobnie jak ich okutani w szmaty jeźdźcy.

Gdzieś z boku rozległ się kolejny bojowy okrzyk.

I szybko zmienił się w ryk trwogi.

Farmerzy tworzący szpicę miniaturowej armii ochotników stracili głowy. Dosłownie bowiem w poprzek pustynnej równiny, dokładnie na wysokości szyi pilota śmigacza, rozciągnięto bardzo cienki i mocny drut.

Cliegg także krzyknął z przerażenia na widok śmierci kilku wiernych przyjaciół i panicznych skoków na ziemię z rozpedzonych maszyn w wykonaniu tych, którzy pozostali w tyle. Lars podskoczył i ustawił nogę na siodelku pojazdu, a potem odbił się po raz drugi i wzbił wysoko w powietrze.

Poczuł ukłucie bólu i ułamek sekundy później już wirował bezwładnie w powietrzu. Z niewielkim poślizgiem wylądował twardo na kamienistej ziemi.

Odgłosy zażartej bitwy, która rozgorzała wokół niego, były stłumione, a obrazy mgliste. Widział buty walczących farmerów i słyszał wołanie Owena, ale miał wrażenie, że wszystko to dzieje się gdzieś daleko.

Ujrzał zawiniętą w szmaty i skóry stopę Tuskena, i jego wystrzępioną szatę koloru piasku. Z wściekłością, która na moment wyrwała go z oszołomienia, złapał za nogi biegnącego wroga.

Zadarł głowę i uniósł ramię, by zablokować cios ostro zakończonyj pałki Tuskena. Furia pomogła mu zapanować nad bólem. Jeszcze mocniej oplótł ręce wokół ud stworzenia i z całą mocą pociągnął je ku ziemi. Wpełznawszy na wijące się ciało, zacisnął dłonie na gardle dzikusa.

Zewsząd dobiegały okrzyki bólu – farmerów i Ludzi Piasku – ale Cliegg prawie ich nie słyszał. Coraz mocniej ścisnął krtań barbarzyńcy, a potem uniósł jego głowę i z ogromną siłą uderzył nią o ziemię, a potem jeszcze raz i znowu. Szarpał ciałem jeszcze długo po tym, jak dzikus przestał stawiać opór.

– Tato!

Krzyk syna wyrwał go bojowego szału. Porzucił zwłoki Tuskena i rozejrzał się. Owen gołymi rękami walczył z roslym Jeźdźcem.

Cliegg odwrócił się i zaczął wstawać. Upadł jednak, w niewytłumaczalny sposób tracąc równowagę. Zaskoczony, spojrział w dół, spodziewając się, że to któryś z nieprzyjaciół próbuje go osaczyć. I wtedy dopiero przekonał się, że zawiodło go własne ciało; gdy skakał ze śmigacza, stracił nogę.

Krew rozlewała się szeroko po suchym gruncie, tryskając coraz wolniej z makabrycznego kikuta. Cliegg przez moment spoglądał na

to wszystko szeroko otwartymi oczami, po czym instynktownie zacisnął dłonie na tym, co pozostało z jego kończyny.

A potem krzyczał, rozpaczliwie wzywając Owena i Shmi.

Minął go rozpędzony śmigacz, ale farmer uciekający z miejsca masakry nawet nie zwolnił.

Cliegg chciał krzyknąć jeszcze raz, ale ze ściśniętego gardła nie wydostał się żaden dźwięk. Mężczyzna zdał sobie sprawę, że przegrał i że wszystko jest stracone.

I wtedy tuż obok niego wyhamował ostro inny śmigacz. Cliegg chwycił się go odruchowo, a maszyna – nim jeszcze zdołał podciągnąć się wyżej – uszyła gwałtownie, ciągnąc go za sobą.

– Trzymaj się, tato! – krzyknął Owen, przyspieszając.

Trzymał się. Z tym samym uporem, który kazał mu trwać mimo trudów życia na farmie wilgoci, z ponurą determinacją kolonizatora niegościnnych ziem Tatoonie, Cliegg Lars trzymał się pędzącej maszyny. Trzymał się, by uciec przed goniącymi go Tuskenami.

A także po to, aby podtrzymać choćby cień nadziei na ocalenie Shmi.

Po długiej chwili Owen zatrzymał pojazd za piaszczystym pagórkem i zeskoczył na ziemię, by zająć się raną ojca. Obwiązał kikut najlepiej jak potrafił i przerzucił tracącego przytomność Cliegga przez tylną ramę śmigacza, po czym skoczył na siodełko i pomknął w dal, najszybciej jak pozwalała na to konstrukcja maszyny. Wiedział, że musi jak najprędzej dowieźć ojca do domu. Rana wymagała sterylizacji i fachowego opatrunku.

Teraz dopiero młody Lars uświadomił sobie, że odlatując z miejsca bitwy, widział przed sobą tylko dwie umykające maszyny, natomiast za sobą ani przez chwilę nie słyszał charakterystycznego buczenia silników.

Nie poddał się rozpacz. Odsunął od siebie myśli o straconych przyjaciółach, o niedoli ojca i porwanej Shmi. Z tą samą determinacją, która trzymała przy życiu Cliegga, gnał na złamanie karku w stronę domu.



– To nie jest dobra wiadomość – stwierdził kapitan Panaka, podsumowując raport, który położył właśnie przed senator Padmé Amidala.

– Od początku spodziewaliśmy się, że hrabia Dooku i jego separatyści będą się zalecać do Federacji Handlowej i gildii – odparła Padmé, starając się nadrabiać miną. Panaka odwiedził ją w towarzystwie kapitana Typho, swojego bratanka, właśnie po to, by donieść o sojuszu Neimoidian i ich Federacji Handlowej z ruchem separatystycznym, którego ostatnie posunięcia zagrażały jedności Republiki.

– Wicekról Gunray jest oportunistą – ciągnęła. – Zrobi wszystko, na czym mogą zyskać jego finanse. Jest lojalny wyłącznie wobec własnych pieniędzy. A hrabia Dooku musiał mu zaproponować atrakcyjny układ handlowy – może pozwolenie na produkcję dóbr bez żadnych ograniczeń dotyczących warunków pracy czy wymogów ochrony środowiska. Wicekról Gunray zdołał zmienić już niejedną planetę w martwą bryłę zawieszoną w kosmicznej pustce. Niewykluczone też, że hrabia Dooku oferuje Federacji Handlowej absolutną kontrolę nad którymś z lukratywnych rynków, bez udziału konkurencji.

– Bardziej martwi mnie wpływ tych wydarzeń na panią, pani senator – zauważył Panaka. Padmé odpowiedziała mu zdziwionym spojrzeniem.

– Separatyści dowiedli już, że nie stronią od przemocy – wyjaśnił mężczyzna. – W całej Republice mnożą się próby zabójstw na tle politycznym.

– Ale czy tym razem hrabia Dooku i jego stronnicy nie uznają senator Amidali za swego stronnika? – wtrącił kapitan Typho. Panaka i Padmé spojrzeli na milczącego dotąd oficera z niemym zdumieniem.

– Nie jestem przyjacielem nikogo, kto usiłuje zniszczyć Republikę, kapitanie – powiedziała stanowczo Padmé, tonem niepozostawiającym nawet nadziei na dyskusję, choć i tak nikt nie ośmieliłby się z nią spierać. W ciągu tych kilku lat pracy senatorskiej Amidala niejednokrotnie dowiodła, że należy do najbardziej lojalnych i najzagorzalszych zwolenników Republiki, a także, że jest

legislatorem z determinacją reformującym system władzy, lecz czyniącym to w ramach obowiązującej konstytucji. Wierzyła niezachwianie, że prawdziwe piękno istniejącego układu rządów kryje się w jego dążeniu do samodoskonalenia.

– Zgoda, pani senator – przyznał Typho, kłaniając się lekko. Był nieco niższy od wuja, ale potężnie zbudowany. Mięśnie ramion przeżyły się pod błękitnymi rękawami munduru, a umięśniona klatka piersiowa pod połami brązowej skórzanej tuniki. Lewe oko kapitana zakrywała przepaska z czarnej skóry – smutna pamiątka z wojny rozpętanej dziesięć lat temu przez tę samą Federację Handlową. Typho był wówczas nastolatkiem, ale wyróżniał się w walce, napełniając dumą serce Panaki. – Oczywiście, nie zamierzałem pani obrazić, ale w sporze na temat powołania sił zbrojnych Republiki opowiada się pani twardo po stronie negocjacji, a nie używania siły. Czyż separatysty nie popierają takiej właśnie postawy?

Padmé zapanowała już nad gniewem i po krótkim zastanowieniu w duchu przyznała kapitanowi rację.

– Z naszych informacji wynika, że hrabia Dooku dogadał się z Nuéééte'em Gunrayem – powtórzył dobitnie Panaka. – Dlatego trzeba wzmocnić ochronę pani senator Amidali.

– Proszę nie mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było – odezwała się Padmé, lecz oficer nawet nie mrugnął, słysząc tę łagodną naganę.

– Z punktu widzenia ochrony osobistej pani tu nie ma, pani senator – odparł beznamietnie. – A przynajmniej nie ma pani głosu. Mój bratanek odpowiada przede mną, a jego zadań i obowiązków nie wolno lekceważyć. Proszę go słuchać i uważać na siebie.

To powiedziawszy, Panaka ukłonił się i odmaszerował, zaś Padmé postanowiła odpuścić sobie ciętą ripostę. Mężczyzna miał rację i dobrze się stało, że jej o tym przypomniał. Spojrzała na kapitana Typho.

– Będziemy czujni, pani senator – zapewnił kapitan.

– Obowiązki wzywają mnie na Coruscant – przypomniała Padmé.

– Wiem i będę tam panią chronił – odparł Typho, nim dokładnie tak samo jak Panaka skłonił głowę i odszedł.

Padmé Amidala obserwowała przez chwilę jego szerokie plecy, a

potem westchnęła głęboko, wspominając słowa Soli. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek znajdzie czas na to, by pójść za jej radą, tak kuszącą w tym niełatwym momencie. I nagle zdała sobie sprawę, że nie widziała ani siostry, ani jej dzieci, ani swoich rodziców od prawie dwóch tygodni; od owego popołudnia spędzonego w ogrodzie z Ryoo i Pooją.

Czas zdawał się przemykać chyłkiem obok niej.

Owen wziął głęboki wdech, ale wytrzymał oskarżycielskie spojrzenie ojca.

– Tato, musimy być realistami. Minęły dwa tygodnie, odkąd ją zabrali... – odparł posepnie, nie kończąc zdania.

Cliegg Lars, od lat mający do czynienia z Tuskenami, świetnie wiedział, jaki los ją spotkał. Jego szerokie ramiona zapadły się nagle, a dziki wzrok złagodniał i skierował się ku ziemi.

– Nie ma jej – szepnął. – Naprawdę nie ma. Stojąca za nim Beru Whitesun zaczęła płakać.

Owen ze wszystkich sił starał się powstrzymać łzy. Wiedział, że teraz musi być skałą, oparciem dla załamane go Cliegga i zrozpaczonej Beru.

– To nie jest wystarczająco szybkie, by dogonić Tuskenów! – zawołał Cliegg Lars, gdy syn i przyszła synowa pomagali mu usiąść na fotelu repulsorowym przygotowanym przez Owena.

– Tuskenowie już dawno odeszli, tato – odpowiedział cicho Owen Lars, uspokajającym gestem kładąc dłoń na masywnym barku Cliegga.  
– Skoro nie chcesz mechanicznej protezy, będzie ci musiał wystarczyć ten fotel.

– Bądź pewny, że nie pozwolę ci zrobić ze mnie półrobota – odparował Cliegg. – Nie potrzebuję niczego poza tym gratem. Zbierzemy więcej ludzi – ciągnął desperacko Cliegg, mimowolnie masując kikut prawej nogi uciętej w połowie uda. – Poleć do MOS Easley i zobacz, na jakie wsparcie możemy liczyć. Wyślij Beru do innych gospodarstw.

– Już nie mogą nam pomóc – wyznał uczciwie Owen. Zbliżył się

do fotela i pochylił, spoglądając w oczy ojca. Miną lata, zanim okoliczne farmy zaleczą rany po tej bitwie. Atak zniszczył wiele rodzin, a wyprawa ratunkowa jeszcze więcej.

– Jak możesz tak mówić, kiedy twoja matka jest w ich rękach?! – ryknął Cliegg Lars, choć w głębi serca wiedział, że syn ma rację.

# ROZDZIAŁ

# 4

Cztery statki kosmiczne mijają wielkie gmachy Coruscant, zawiłym kursem klucząc pomiędzy sztucznymi bursztynowymi stalagmitami gigantycznych konstrukcji rozrastających się z roku na rok skuteczniej niż na jakiegokolwiek innej planecie galaktyki – tak skutecznie, że ostatnie naturalne formacje terenu już dawno znikły pod nimi bez śladu. Światło słoneczne odbijało się w taflach okien i lśniących chromem kadłubach statków, z których największy przypominał kształtem bumerang. W jednej trzeciej długości jego łagodnie zakrzywionych skrzydeł znajdowały się potężne silniki. Równoległym kursem mknęły myśliwce gwiazdne z Naboo, o smukłych jednostkach napędowych umocowanych na końcach skrzydeł i kadłubach z charakterystycznie wydłużonymi ogonami.

Na czele formacji leciał myśliwiec, zwinnie omijając strzeliste iglice budynków i wytyczając trasę drugiej jednostce, statkowi królewskiemu z Naboo. Za luksusowym jachtem trzymały się zaś pozostałe dwie maszyny, nieustannie strzegące jego bezpieczeństwa, zdolne przechwycić każdy potencjalnie groźny obiekt.

Prowadzący grupę myśliwiec wyraźnie unikał najbardziej zatłoczonych szlaków komunikacyjnych planety – miasta, gdzie wróg mógł ukryć się pośród tysięcy zwyczajnych pojazdów. Wiele osób wiedziało bowiem, że senator Padmé Amidala z Naboo powraca do senatu, by zagłosować przeciwko utworzeniu armii, która miała wspomóc obarczonych zbyt licznymi zadaniami rycerzy Jedi w rozprawie z coraz bardziej agresywnym ruchem separatystów. Istniało

wiele frakcji, którym zależało na odmiennym wyniku głosowania. Amidala jeszcze jako władczyni Naboo zyskała wrogów dysponujących potężnymi środkami i pałających do niej tak wielką nienawiścią, że nie można było wykluczyć, iż będą usiłowali ją zabić.

Pilotujący pierwszy myśliwiec kapral Dolphe, jeden z bohaterów wojny z Federacją Handlową, odetchnął z ulgą na widok pustej i cichej platformy bezpiecznego lądowiska. Dolphe, twardy żołnierz darzący młodą senator wielkim szacunkiem, minął konstrukcję z lewej strony i wykonał nawrót przez prawe skrzydło, okrążając połączony z platformą gmach apartamentów senackich. Zatrzymał myśliwiec w powietrzu, podczas gdy dwa pozostałe przysiadły na jednym krańcu lądowiska, a chwilę potem wielki jacht miękko spoczął na drugim.

Dolphe jeszcze raz okrążył gmach, po czym – nie widząc w pobliżu żadnego obcego statku – zawiesił maszynę po przeciwnej stronie królewskiej jednostki. Nie wylądował jednak; chciał być gotów do natychmiastowego zwrotu i ruszenia do walki, gdyby tylko na horyzoncie pojawił się wróg.

Tymczasem na drugim krańcu platformy piloci myśliwców odsunęli owiewki i sprawnie wyskoczyli z kabin. Jeden z nich, kapitan Typho – niedawno mianowany przez swego wuja szefem ochrony senator Amidali – zdjął hełm i potrząsnął głową, jedną ręką przeczesując krótkie kędzierzawe włosy, a drugą poprawiając czarną przepaskę na lewym oku.

– Udało się – rzekł Typho do pilota, który właśnie zeskoczył ze skrzydła maszyny i stanął obok niego. – Chyba nie miałem racji. Przelot okazał się bezpieczny.

– Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, kapitanie – odpowiedział kobiecy głos. – Czasem tylko mamy szczęście i udaje nam się go uniknąć.

Oficer chciał coś dodać, ale zamknął usta, spoglądając w stronę metalicznie połyskującego statku, z którego właśnie opuszczała się rampa. Plan przewidywał jak najszybsze przeprowadzenie podróży z odkrytej platformy lądowiska do nieco bezpieczniejszego transportera. W górnej części rampy pojawili się

dwaj strażnicy z Naboo, z karabinami blasterowymi. Typho z powagą skinął głową, zadowolony, że jego ludzie niczego nie pozostawiają przypadkowi, że rozumieją powagę sytuacji i odpowiedzialność za losy pani senator.

Zaraz potem z wnętrza statku wyłoniła się Amidala. Krążyła z godnością ubrana w czerwono-białą szatę senatorską, z zaplecionymi kunsztownie włosami przykrytymi czarnym nakryciem głowy. Amidala zachwycała Typho niezależnie od tego, czy ubrana była w prostą domową suknię, czy w ceremonialne szaty. Z podziwem patrzył na łagodne rysy jej twarzy i duże brązowe oczy, w których odbijała się inteligencja i dobroć, niewinność i odrobina kokieterii, konsekwencja i odwaga.

Kapitan odszukał wzrokiem Dolphe'a. Z satysfakcją skinął głową, doceniając dobrą robotę podwładnego, który szedł właśnie w jego stronę.

I wtedy kapitan poczuł nagle, że leży twarzą na twardej nawierzchni lądowiska, rzucony podmuchem potwornej eksplozji, oślepiiony na moment jaskrawym błyskiem. Kiedy z wysiłkiem uniósł głowę, zobaczył rozciągniętego na ziemi kaprała Dolphe'a.

W tej strasznej chwili wydawało mu się, że wydarzenia rozgrywają się w zwolnionym tempie. Krzyknął „Nieeee!”, po czym podniósł się na kolana i spojrzał w stronę statku.

Kawałki płonącego metalu wystrzeliły w niebo nad Coruscant niczym fajerwerki. To, co pozostało z jachtu, paliło się jaskrawym płomieniem, a koło miejsca, w którym znajdowała się rampa, leżało na płycie lądowiska siedem nieruchomych postaci – jedna odziana w czarno-białą szatę, którą Typho tak dobrze znał.

Oszołomiony eksplozją kapitan zachwiał się, próbując wstać. Był weteranem, widział niejedną bitwę i niejedną nagłą śmierć. To dlatego, patrząc na rozrzucone na lądowisku ciała, na piękne szaty Amidali i sposób, w jaki układały się na nieruchomym ciele, wiedział.

Jej rany były śmiertelne. Nawet jeśli jeszcze żyła, koniec był bliski.

– Zmieniłeś współrzędne! – zawołał Obi-Wan Kenobi do padawana. Jego jasne włosy sięgały teraz do ramion, a wciąż jeszcze młodą twarz okalała zaniedbana broda. Jasnobeżowy strój podróżny Jedi, luźny i wygodny, leżał na nim doskonale. Obi-Wan był już dojrzałym rycerzem, nie zostało w nim wiele z młodzieńczej impulsywności, która cechowała go, gdy był padawanem szkolącym się pod okiem Qui-Gon Jinn.

Towarzyszający mu młodzieniec był jego przeciwieństwem. Anakina Skywalkera rozpieierała energia. Szczupły i wysoki, ubrany był podobnie jak Obi-Wan, lecz strój wyglądał na troszkę za ciasny; jak gdyby ukryte pod nim mięśnie bez przerwy były napięte, gotowe do działania. Miał krótko przycięte jasne włosy, a z tyłu cienki warkoczyk, symbol statusu padawana Jedi. W jego niebieskich oczach raz po raz pojawiały się błyski, jakby uchodził nimi nadmiar życiowej energii.

– Chciałem tylko wydłużyć trochę lot w nadprzestrzeni – wyjaśnił padawan – wyskoczmy bliżej planety.

Obi-Wan westchnął z rezygnacją, usiadł za konsolą, spoglądając na wprowadzone przez ucznia koordynaty. Teraz nawet Jedi nie mógł ich zmienić, ponieważ od chwili, gdy statek skoczył w nadprzestrzeń, nawet najmniejsza poprawka współrzędnych nie była możliwa.

– Nie możemy wejść do realnej przestrzeni za blisko Coruscant. Tamtejsze szlaki są zbyt zatłoczone, żeby ryzykować taki manewr. Przecież już ci to tłumaczyłem.

– Ale...

– Anakinie – przerwał mu ostro, jakby karciał niesfornego kota pe-rootu, i zacisnąwszy zęby, spojrzał surowo na padawana.

– Tak, mistrzu – odrzekł Anakin, potulnie spuszczać wzrok. Obi-Wan przyglądał mu się przez moment.

– Wiem, że się niecierpliwisz – powiedział wyrozumiale. – Stanowczo zbyt wiele czasu spędziliśmy z dala od domu.

Anakin nie podniósł głowy, lecz Obi-Wan dostrzegł, że kąciki jego ust unoszą się w lekkim uśmiechu.

– Nie rób tego więcej – dodał Jedi, po czym odwrócił się i opuścił mostek wahadłowca.



Anakin opadł na fotel pilota i podparł dłonią podbródek, przyglądając się uważnie instrumentom pokładowym. Polecenie mistrza było zupełnie jasne i precyzyjne, postanowił więc, że będzie posłuszny. Mimo to, biorąc pod uwagę cel podróży i to, kogo mieli tam spotkać, uznał, że warto było wysłuchać reprimendy – nawet, jeśli zmiana współrzędnych skróciła drogę do Coruscant tylko o kilka godzin. Istotnie, zależało mu na pośpiechu, choć nie z tej przyczyny, o której wspomniał Obi-Wan. To nie Świątynia Jedi była magnesem przyciągającym młodego padawana, ale plotka, którą wyłowił z chaosu międzygwiazdnej komunikacji: podobno pani senator, znana kiedyś jako królowa Naboo, miała wkrótce wystąpić w senacie.

Padmé Amidala.

Te imiona wciąż rozbrzmiewały w sercu Anakina Skywalkera. Nie widział jej od dziesięciu lat, od czasów, kiedy wraz z Obi-Wanem i Qui-Gonem pomagał jej przeciwstawić się inwazji Federacji Handlowej na Naboo. Miał wtedy tylko dziesięć lat, lecz od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Padmé, był pewien, że kiedyś właśnie ją poślubi.

Nieważne, że była o kilka lat starsza. Nieważne, że kiedy się poznali, był małym chłopcem. Nieważne, że Jedi nie mieli prawa zakładać rodzin.

Anakin po prostu wiedział. Obraz pięknej Padmé Amidali pozostał w nim na zawsze, towarzyszył mu w każdym sennym marzeniu od chwili, gdy przed dziesięcioma laty wraz z Obi-Wanem opuścił Naboo. Wciąż czuł zapach jej włosów, pamiętał spojrzenie jej cudownych, orzechowych oczu i słyszał jej melodyjny głos.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, położył dłonie na klawiaturze komputera nawigacyjnego. Czy nie dałoby się znaleźć mniej uczęszczanej trasy na Coruscant, by uniknąć tłoku i szybciej wrócić do domu?

Syreny pojazdów i systemów alarmowych wyły nieprzerwanie, zagłuszając krzyki zaszokowanych gapiów i jęki rannych.

Pierwsza w stronę rannych i zabitych pobiegła kobieta pilot, z

przeciwnej strony pędził już oszołomiony Dolphe.

Kobieta przyklekła obok postaci w biało-czamej szacie. Kiedy zdjęła hełm, brązowe loki rozsypały się na jej ramiona.

– Pani senator! – krzyknął Typho, bo tak naprawdę to Padmé Amidala klęczała przy bezwładnym ciele jej dublerki. – Chodźmy, niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło!

Lecz Padmé zbyła jego nawoływania gniewnym machnięciem ręki, pochylając się nad ranną przyjaciółką.

– Cordé – szepnęła łamiącym się głosem. Cordé była jedną z jej ulubionych dworek; służyła jej i Naboo od wielu lat. Padmé delikatnie objęła kobietę i uniosła ją lekko.

Cordé otworzyła oczy, tak podobne do oczu byłej królowej.

– Wybacz, pani... – jęknęła cicho, z trudem łapiąc oddech. – Nie jestem... pewna... czy... – urwała i spojrzała z bólem na Padmé. – Zawiodłam cię.

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie Padmé. Nie, to nie tak! Cordé wpatrywała się w nią niewidzącymi oczami. Może już mnie nie widzi? – pomyślała Padmé. Może patrzy już na dalekie miejsce, którego nie znamy, a które jest jej przeznaczeniem?

Nagle ciało umierającej kobiety rozluźniło się, jakby uleciała z niego dusza.

– Cordé – krzyknęła Amidala, tuląc zwłoki przyjaciółki i kołysząc się miarowo.

– Pani, nie jesteś jeszcze bezpieczna! – powtórzył Typho, próbując mówić głosem pełnym współczucia, i jednocześnie dać do zrozumienia, że czas nagli.

Padmé uniosła głowę i odetchnęła głęboko. Spoglądając na twarz wiernej Cordé, przypominała sobie spędzone wspólnie chwile.

– Nie powinnam była tu wracać – powiedziała, stając obok rozglądającego się czujnie kapitana. Po jej policzkach spływały łzy.

Kapitan popatrzył w jej smutne oczy.

– To głosowanie jest niezwykle ważne – przypomniał stanowczo. Był człowiekiem, który ponad wszystko stawia obowiązek. Pod tym względem nie różnił się od swojego wuja. – Spełniła pani swój obowiązek, pani senator, a Cordé swój. Teraz chodźmy.

Chwycił ramię Padmé, by pociągnąć ją za sobą, lecz ona wyśliznęła się z uścisku i stanęła nieruchomo, wpatrując się w ciało nieżyjącej przyjaciółki.

– Pani senator Amidalo! Proszę! Padmé spojrziała na niego przez ramię.

– Chce pani umniejszyć znaczenie śmierci Cordé, stojąc tu i narażając się na niebezpieczeństwo? – spytał bez ogródek Typho. – Czym będzie jej ofiara, jeżeli...

– Dość, kapitanie – przerwała kobieta.

Typho gestem nakazał Dolphemu, by osłaniał tyły, a sam wziął za rękę wstrząśniętą Padmé.

Robot astromechaniczny R2-D2, stojący przy myśliwcu, zapiszczał nerwowo i ruszył za nimi.

# ROZDZIAŁ

# 5

Gmach senatu nie należał do najwyższych budynków w mieście. Kopulasty i dość niski, nie sięgał chmur i nie tonął w bursztynowym blasku popołudniowego słońca jak inne, bardziej strzeliste konstrukcje. A jednak otaczające go drapacze chmur, w tym także kompleks mieszczący senatorskie apartamenty, nie umniejszały jego dostojności. Błękitnawa kopuła senatu była miłą niespodzianką i wytchnieniem dla oczu – dziełem sztuki wśród budowli prostych i użytecznych.

Wnętrze gmachu było równie imponujące, jak jego bryła. Gigantyczną rotundę wypełniały niekończące się rzędy latających łóż senatorów Republiki, reprezentujących większość zamieszkałych światów galaktyki. Wiele ruchomych platform świeciło pustkami, ponieważ w ciągu ostatnich kilku lat kilka tysięcy systemów zadeklarowało secesję i przyłączyło się do separatystycznego ruchu hrabiego Dooku. Zdaniem ich władz Republika rozrosła się do takich rozmiarów, że zatraciła zdolność do efektywnego działania – był to zarzut, któremu nawet najwierniejsi stronnicy dotychczasowego systemu rządów nie mogli odmówić racji.

A jednak tego dnia, kiedy miały się rozstrzygnąć losy najważniejszej ustawy, sala rozbrzmiewała tysiącami podnieconych głosów wyrażających najróżniejsze emocje delegatów od gniewu, przez żal, po determinację.

Pośrodku audytorium, na jedynej nieruchomej platformie w całym budynku, stał Wielki Kanclerz Palpatine i przysłuchiwał się zgietkowi

z wyrazem głębokiej troski na twarzy. Był mężczyzną w średnim wieku, o siwiejących włosach i twarzy pokrytej gęstą siecią zmarszczek. Jego kadencja dobiegła końca kilka lat wcześniej, lecz seria poważnych kryzysów wstrząsających Republiką sprawiła, że utrzymał się na stanowisku wbrew przepisom obowiązującego prawa. Z daleka sylwetka przywódcy sprawiała wrażenie wiotkiej, z bliska jednak nikt nie mógł wątpić, że ma przed sobą człowieka o silnej osobowości.

– Boją się, Wielki Kanclerzu – zauważył Uv Gizen, asystent Palpatine’a – Wielu słyszało o demonstracjach i przemocy w pobliżu gmachu senatu. Separatyści...

Palpatine uniósł dłoń, by uciszyć nerwowego współpracownika.

– Są trudnym partnerem do rozmów – dokończył. – Wygląda na to, że hrabia Dooku obudził w nich mordercze instynkty. Albo też – dodał po chwili zastanowienia – ich frustracja rośnie mimo wysiłków tego szacownego byłego Jedi. Tak czy inaczej, nie możemy ich lekceważyć.

Uv Gizen chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz Palpatine przyłożył palec do zaciśniętych ust, by go uciszyć, po czym skinął głową w stronę głównej mównicy, z której jego majordomus, Mas Amedda, próbował dyscyplinować senatorów.

– Cisza! Proszę o ciszę! – wołał Mas Amedda. Podniecenie nadało jego niebieskawej skórze bardziej jaskrawy odcień. Grube macki, które wyrastały z tylnej części głowy i zawinięte pod kołnierzem otaczały okrągłą twarz niczym kaptur, drgnęły niespokojnie. Brązowe rogi na ich końcach zadyndały bezwładnie na wysokości piersi Ameddy. Kiedy wodził wzrokiem po sali, drugi, większy komplet rogów sterczących na prawie pół metra nad jego głową, obracał się niczym anteny zbierające informacje o tłumie. Mas Amedda był ważną postacią w senacie, lecz nie był w stanie uciszyć rozgorączkowanych senatorów.

– Szanowni senatorowie, proszę! – krzyknął jeszcze raz. – Mamy do omówienia wiele spraw, ale przede wszystkim musimy rozstrzygnąć kwestię powołania sił zbrojnych dla ochrony Republiki! Dlatego dziś będziemy się zajmowali tylko tą jedną sprawą! Inne

muszą poczekać.

Z kilku łóż rozległy się okrzyki oburzenia, a rozmowy prowadzone w paru innych stały się gwałtowniejsze. Lecz kiedy na podwyższenie wstąpił Wielki Kanclerz Palpatine i spojrzał groźnie na zgromadzonych, w olbrzymiej sali zapadła cisza.

Palpatine oparł dłonie o krawędź mównicy, pochylił się i spuścił głowę. Ta nietypowa dla niego postawa jeszcze bardziej podniosła temperaturę na sali. Zrobiło się jeszcze ciszej, o ile w ogóle było to możliwe.

– Szanowni zebrani – rozpoczął wolno i z namysłem Palpatine. Jego głos drżał, jakby za chwilę miał umilknąć na wieki. Delegaci zaczęli szeptać między sobą, nieczęsto bowiem zdarzało im się widywać Wielkiego Kanclerza Palpatine’a w takim stanie.

– Wybaczcie – poprosił cicho Palpatine i umilkł, lecz po chwili wyprostował się, odetchnął głęboko i przemówił mocniejszym głosem: – senatorowie! Właśnie otrzymałem tragiczną i zatrważającą wiadomość. Pani senator Amidala z systemu Naboo... została zamordowana! Jest to cios dla nas wszystkich, ale dla mnie ta tragedia ma wymiar osobisty. Zanim zostałem Kanclerzem, służyłem Amidali – wówczas jeszcze królowej Naboo – jako senator. Była wspaniałą przywódczynią; walczyła o sprawiedliwość nie tylko na forum tego szacownego zgromadzenia, ale także na ojczystej planecie. Lud kochał ją tak bardzo, że dano jej możliwość pozostania królową do końca życia! – Palpatine westchnął ciężko i uśmiechnął się gorzko. Ale senator Amidala pragnęła poświęcić się służbie publicznej, całym sercem bowiem wierzyła w demokrację. Jej śmierć jest dla nas wielką stratą. Będziemy opłakiwać senator Amidalę jako niestrudzonego obrońcę wolności. – wielki Kanclerz pochylił głowę, przymknął oczy i jeszcze raz westchnął. – A także jako wspaniałego przyjaciela.

Zebrani zastygli w pełnym szacunku milczeniu. Wielu senatorów w zadumie kiwało głowami, w pełni zgadzając się ze słowami Palpatine’a.

Lecz w tak krytycznym momencie w historii Republiki, w tak ważnym dniu, złe wieści nie mogły przesłonić innych spraw. Kanclerz obserwował więc bez większego zdziwienia, jak Ask Aak, senator

oportunistą z Malastare, manewruje lożą, by dotrzeć na środek audytorium. Głowa delegata obracała się z wolna, a każde z trojga oczu sterczących na mięsistych, podobnych do palców szypułek, pracowało niezależnie, podobnie jak poziome uszy.

– Ilu jeszcze senatorów musi zginąć, nim skończy się ta fala przemocy? – zagrzemiał Malastarianin – Musimy stawić czoło tym rebeliantom już teraz, a do tego potrzebna nam armia!

To śmiałe wystąpienie wywołało burzę okrzyków aprobaty i niezadowolenia. Kilka platform ruszyło jednocześnie ku środkowi sali. Jedna z nich, na której stała niebieskowłosa istota o twarzy, wyhamowała gwałtownie tuż obok loży Ask Aaka.

– Dlaczego Jedi nie potrafili zapobiec tej zbrodni? – krzyknął Darsana, ambasador z Glee Anselm. – Jak widać, nie jesteśmy już bezpieczni pod ochroną rycerzy Jedi!

Obok loży Darsany zatrzymała się kolejna.

– Republika potrzebuje protektora! – zgodził się senator Twi'lek, Orn Free Taa. Jego tłuste podgardle i długie błękitne głowoogony lekko trzęsły się jak galareta. – to natychmiast! Zanim dojdzie do wojny!

– Czy muszę przypominać senatorowi z Malastare, że trwają negocjacje z separatystami? – wtrącił Wielki Kanclerz Palpatine. – Naszym celem jest pokój, nie wojna.

– I mówi pan to teraz, gdy pańska przyjaciółka została zamordowana na zlecenie tych samych ludzi, z którymi tak bardzo pragnie pan negocjować? – spytał Ask Aak z niedowierzaniem. Senatorowie kłócili się coraz głośniejsze i atmosfera była tak gorąca, że wielu z nich zaczęło wymachiwać pięściami lub bardziej egzotycznymi kończynami.

Palpatine, wykazując nadzwyczajne opanowanie, bez słowa wpatrywał się w troje oczu Ask Aaka.

– Czyż nie usłyszeliśmy przed chwilą, że zaliczał pan Amidalę do swoich przyjaciół? – wrzasnął Malastarianin.

Palpatine nie odpowiedział. Spoglądał na oponenta z niezmaconym spokojem.

Wreszcie na mównicę wszedł Mas Amedda, rozumiejąc, że jego

zwierzchnik nie może uczestniczyć w tej kłótni, jeżeli jego głos ma być w tej debacie głosem chłodnego rozsądku.

– Cisza! – zawołał kilkakrotnie Mas Amedda. – Senatorowie, proszę!

Ale wymachiwanie pięściami i dzikie wrzaski nie ustały.

I wtedy w sali Senatu pojawiła się niepostrzeżenie jeszcze jedna łoża, z czterema osobami na pokładzie. Była wśród nich senator Padmé Amidala, która z niesmakiem kręciła głową, ubolewając nad upadkiem parlamentarnych obyczajów.

– Oto dlaczego hrabia Dooku zdołał przekonać do secesji tak wiele systemów – zwróciła się do Dorme, towarzyszącej jej dworki. Stały blisko siebie, za plecami Jar Jar Binksa i kapitana Typha, który pilotował platformę.

– Nie brakuje takich, którzy wierzą, że Republika jest zbyt wielka – przytaknęła Dorme.

Platforma przyhamowała nieco i zaczęła wolno sunąć ku centralnej części rotundy, jednak senatorowie z najbliższych rzędów oraz ci, którzy zgromadzili się wokół łoża kanclerskiej, byli zbyt zajęci kłótnią, by zauważyć jej niespodziewane pojawienie się.

Tylko Palpatine, wciąż stojący na mównicy, dostrzegł Amidalę. Przez moment na jego twarzy malował się wyraz bezbrzeżnego zdumienia, lecz Kanclerz szybko otrząsnął się z szoku i powitał przybyłą szerokim uśmiechem.

– Szanowni senatorowie – odezwała się głośno Amidala. Brzmienie znajomego głosu uciszyło wielu delegatów i przykuło ich uwagę. – zgadzam się z Wielkim Kanclerzem. Za wszelką cenę należy unikać wojny!

Gwar głosów zaczął cichnąć, a kiedy umilkł zupełnie, zerwała się burza oklasków i okrzyków radości.

– Z ogromnym zaskoczeniem i równie wielką radością witamy Padmé Amidalę, pani senator z Naboo – oświadczył Palpatine.

Amidala odczekała, aż brawa i wiwaty ucichły, po czym zaczęła mówić wolno i z naciskiem:

– Niespełna godzinę temu dokonano zamachu na moje życie. Członkini mojej ochrony osobistej i sześcioro innych ludzi zginęło



okrutną i bezsensowną śmiercią. To ja byłam celem ataku i jestem przekonana, że kryje się za nim coś znacznie poważniejszego: próba wpłynięcia na wynik głosowania w sprawie, którą mamy dziś rozstrzygnąć. Przewodziłam tym, którzy sprzeciwiali się stworzeniu armii, ale jest ktoś, kto nie cofnie się przed niczym, byle tylko doprowadzić do jej powołania.

Kiedy zaskakujące słowa Padmé dotarły do rzędów, z których jeszcze przed chwilą pozdrawiano ją głośnym aplauzem, niektórzy z senatorów zaczęli kręcić głowami, inni zaś okazywać niezadowolenie nieprzychylnymi okrzykami. Czyżby Amidala oskarżała o próbę zabójstwa któregoś z członków senatu?

Padmé wiedziała doskonale, że jej słowa przez wielu delegatów musiały zostać odebrane jako zniewaga, choć nie zamierzała nikogo obrażać. Wszystko wskazywało na to, że na zgładzeniu niepokornego senatora najbardziej zyskałoby grono zwolenników stworzenia republikańskiej armii. Jednak niezrozumiałe, uporczywe, podświadome przeczucie kazało Amidali szukać winowajców wśród tych, którym przynajmniej na pozór nie zależało na jej uciszeniu. Przypomniała sobie między innymi meldunek Panaki o przymierzu zawartym przez Federację Handlową z separatystami.

Głęboko odetchnęła, szykując się na agresywną reakcję słuchaczy, i spokojnie podjęła przerwany wątek.

– Ostrzegam was: jeżeli przeforsujecie plan powołania armii, dojdzie do konfliktu zbrojnego. Doświadczyłam potworności wojny na własnej skórze i nie chciałabym doświadczać ich ponownie.

Okrzyki poparcia zaczęły przeważać nad wyciem niezadowolonych.

– A ja twierdzę, że to szaleństwo! – zawołał Orn Free Taa. – Składam wniosek o odroczenie głosowania! – Sugestia Twi'leka wywołała jeszcze większą wrzawę.

Amidala spojrzała na niego, rozumiejąc doskonale, dlaczego pragnie odłożyć głosowanie na później. Tego dnia o wyniku mogło przesądzić samo pojawienie się na sali cudem ocalonej pani senator z Naboo.

– Ocknijcie się, senatorowie! Musicie się ocknąć! – zawołała,

przekrzykując Twi'leka. – Jeżeli rozprawimy się z separatystami przemocą, możemy być pewni, że odpowiedzą nam tym samym! Wiele istot straci życie, a wszystkie utracą wolność. To posunięcie może zniszczyć fundamenty naszej wielkiej Republiki! Błagam was, nie poddawajcie się strachowi, który popycha was ku tak katastrofalnej w skutkach decyzji. Odrzućcie projekt, który nie gwarantuje bezpieczeństwa, ale oznacza jedynie wypowiedzenie wojny! Czy ktokolwiek na tej sali pragnie rozlewu krwi? Nie wierzę, że tak jest!

Ask Aak, Orn Free Taa i Darsana, stojący na platformach unoszących się wokół mównicy, wymienili nerwowe spojrzenia. Okrzyki aprobaty i sprzeciwu niosły się gromkim echem po całej sali. Fakt, iż Amidala, która tego dnia cudem uniknęła śmierci, opowiadała się przeciwko stworzeniu armii, a więc i przeciwko zbrojnemu ukaraniu sprawców zamachu, dodawał siły jej argumentom. Młoda kobieta z Naboo zyskała teraz w oczach wielu senatorów, choć przecież już jako królowa walcząca z Federacją Handlową zaskarbiła sobie wielki i powszechny szacunek.

Ask Aak skinął głową w stronę Twi'leka. O głos poprosił Orn Free Taa.

– Zgodnie z regulaminem, senat najpierw musi rozpatrzyć mój wniosek o odroczenie głosowania – oznajmił. – Tak stanowi prawo!

Amidala patrzyła na Twi'leka, nie kryjąc frustracji i złości. Spojrzała też błagalnie na Palpatine'a, lecz Wielki Kanclerz, mimo współczucia, które emanowało z jego zatroskanej twarzy, mógł jedynie wzruszyć ramionami. Wszedł na mównicę i uniósł ręce, prosząc o ciszę.

– W związku z późną porą i niezwykłą wagą sprawy, którą rozważamy, odraczam posiedzenie senatu do jutra.

Sznury pojazdów sunęły wolno po spowitym mgiełką smogu niebie nad Coruscant. Słońce stało już nad horyzontem, zalewając miasto ciepłym bursztynowym blaskiem, lecz mimo to w wielu oknach wieżowców paliły się światła. Potężne wieże budynku Władz

Wykonawczych wznosiły się wyżej niż pozostałe, jakby chciały sięgnąć gwiazd. Było w tym coś symbolicznego, w przestronnych wnętrzach gmachu nawet o tak wczesnej porze rozgrywały się bowiem wydarzenia z udziałem postaci, które bilionom zwykłych obywateli Republiki musiały wydawać się podobne bogom.

Wielki Kanclerz Palpatine siedział za biurkiem w przestronnym i gustownie urządzonej gabinecie, spoglądając na siedzących naprzeciw czterech Mistrzów Jedi. Przy drzwiach stali dwaj gwardziści w hełmach z wizjerami i obszernych czerwonych pelerynach.

– Obawiam się tego głosowania – przyznał Palpatine.

– Jest nieuniknione – odparł Mace Windu, wysoki i muskularny mężczyzna o łysej głowie i przenikliwych oczach, siedzący obok jeszcze roślejszego Mistrza Ki-Adi-Mundi.

– Niewykluczone, że rozbije pozostałą część Republiki – dodał Palpatine. – Jeszcze nigdy nie było tak głębokich podziałów między senatorami.

– Niewiele spraw dorównuje wagą kwestii stworzenia armii dla Republiki – zauważył Mistrz Jedi Plo Koon. Wysoki Kel-Dorianin o pomarszczonej i pofałdowanej skórze głowy przypominającej po bokach zwinięte warkoczyki małej dziewczynki – miał ciemne oczy i nosił czarną maskę zakrywającą dolną część twarzy. – Senatorowie są niespokojni. Uważają, że to najważniejsze głosowanie w ich życiu.

– Tak czy inaczej, do naprawienia jest wiele – podsumował Yoda, najbardziej niepozorny ze wszystkich Mistrzów, a jednocześnie najpotężniejszy w galaktyce. Powieki wolno zakryły jego wielkie oczy i uniosły się ponownie, uszy zaś obróciły się nieznacznie, wskazując tym, którzy znali Mistrza, że pogrążony jest w głębokiej zadumie i poświęca omawianym kwestiom całą uwagę. – Wiele spraw przed nami ukrytych jest – dodał.

– Nie wiem, jak długo jeszcze mogę odkładać to głosowanie, przyjaciele – powiedział Palpatine. – Obawiam się, że dalsza zwłoka grozi rozpadem Republiki. Do separatystów przyłącza się coraz więcej systemów.

Mace Windu skinął głową, rozumiejąc dylemat Kanclerza.

– A z drugiej strony, jeśli dojdzie do rozstrzygnięcia i przegrani postanowią się odłączyć...

– Nie pozwolę, żeby istniejąca od tysięcy lat Republika rozpadła się na dwoje! – oznajmił z mocą Palpatine, uderzając pięścią w blat wielkiego biurka. – Moje negocjacje nie mogą skończyć się fiaskiem!

– Jeśli jednak tak się stanie, nie wystarczy Jedi do ochrony Republiki. Jesteśmy strażnikami pokoju, nie żołnierzami – stwierdził spokojnie Mace Windu.

Palpatine oddychał głęboko, próbując zapanować nad emocjami i raz jeszcze rozważyć wszystkie okoliczności.

– Mistrzu Yodo – odezwał się wreszcie i umilkł, czekając, aż Jedi o zielonkawej skórze popatrzy w jego stronę. – Naprawdę uważasz, że dojdzie do wojny?

Yoda ponownie zamknął oczy.

– Czegoś gorszego niż wojna obawiam się – odparł. – Znacznie gorszego.

– Ale czego? – drażył zaniepokojony Palpatine.

– Mistrzu Yodo, co przeczuwasz? – zawtórował mu Mace Windu.

– Przyszłości zobaczyć nie sposób – odrzekł Yoda, nie unosząc powiek. – Ciemna strona wszystko spowija. Jednego tylko pewien jestem... – Oczy Yody otworzyły się gwałtownie i przenikliwy wzrok przeszył niespokojne oblicze Palpatine'a. – Obowiązek swój Jedi spełnią.

Wielki Kanclerz spojrział na niego ze zdziwieniem, lecz nim zdążył i odpowiedzieć, na biurku pojawił się hologram, podobizna Dar Waca, jednego z jego asystentów.

– Komitet lojalistów właśnie przybył, panie – odezwał się po huttańsku DarWac.

– Wpuść ich.

Hologram zniknął, a Palpatine i czterej Jedi wstali, by zgodnie z obyczajem powitać szacownych gości. Członkowie komitetu weszli w dwóch grupach: senator Padmé Amidala kroczyła w towarzystwie kapitana Typha, Jar Jar Binksa, dworki Dorme i majordomusa Masa Ameddy, o kilka kroków za nimi pojawili się dwaj inni senatorowie – Bail Organa z Alderaanu oraz Horox Ryyder.

Zebrani wymienili zwyczajowe formułki powitalne, a Yoda czubkiem łaski trącił lekko zaskoczoną Padmé.

– Silna Moc jest w tobie, pani – rzekł Mistrz Jedi. – A tragedia na lądowisku straszliwa. Raduje się moje serce, że żywą cię widzę.

– Dziękuję, Mistrzu Yodo – odpowiedziała. Czy wiecie już, kto stoi za tym atakiem?

To pytanie sprawiło, że wszystkie oczy skierowały się na Amidalę i Yodę. Mace Windu odchrząknął cicho i stanął przed Padmé.

– Pani senator, nie mamy jeszcze dowodów, ale z naszych informacji wynika, że zamach mógł być dziełem niezadowolonych kopaczy przyprawy z księżyców Naboo.

Pani senator spojrzała pytająco na kapitana Typha, który pokręcił głową, nie mając nic do dodania. Oboje widzieli, jak bardzo sfrustrowani byli kopacze na Naboo, lecz ich demonstracje wydawały się być niczym w porównaniu z tragedią, która wydarzyła się na lądowisku w stolicy. Padmé przeniosła nieustępliwe spojrzenie na Mistrza Windu, zastanawiając się, czy to odpowiednia chwila na ujawnienie własnych podejrzeń. Wiedziała, że wzbudziłaby kontrowersje, że jej rozumowanie przeczyło logice, a jednak...

– Nie twierdzę, że to nieprawda – powiedziała z wahaniem. – Ale moim zdaniem za atak odpowiada hrabia Dooku.

Te słowa zaskoczyły wszystkich zebranych, a czterej Mistrzowie Jedi wymienili spojrzenia pełne niedowierzania i niezadowolenia.

– Wiesz przecież, pani – rzekł Mace dźwięcznym głosem – że hrabia Dooku był Jedi. Nie mógłby zabić kogoś z zimną krwią. To nie leży w jego charakterze.

– Jest politycznym idealistą – dodał Ki-Adi-Mundi – nie mordercą. – Dzięki stożkowatej głowie cereański Jedi przewyższał wzrostem wszystkich zebranych. Fałdy na policzkach nadawały zamyślanej twarzy Mistrza wyraz łagodności.

Yoda postukał łaską o posadzkę, zwracając na siebie uwagę wszystkich gości Kanclerza. Ten drobny gest rozładował nieco narastające napięcie.

– W tych mrocznych czasach nic nie jest takie, jak się nam wydaje – rzekł. – Zaprzeczyć jednak nie sposób, pani senator, że w

śmiertelnym niebezpieczeństwie jesteś.

Wielki Kanclerz Palpatine westchnął dramatycznie i stanął przy wielkim oknie, podziwiając świt nad Coruscant.

– Mistrzu Jedi – odezwał się po chwili – czy mogę zaproponować, aby senator Amidala znalazła się pod waszą opieką?

– Uważa pan, że to rozsądne posunięcie akurat teraz, gdy czasy są tak niepewne, a siły Jedi tak rozproszone? – spytał senator Bail Organa, skubiąc schludnie przystrzyżoną czarną bródkę. – Tysiące systemów przeszło już na stronę separatystów, a wiele innych robi to już wkrótce. Jedi są naszą jedyną...

– Panie Kanclerzu – przerwała mu Padmé – jeżeli mogę zauważyć, nie uważam, żeby...

– Sytuacja była aż tak poważna – dokończył za nią Palpatine. – Ale ja tak uważam, pani senator.

– Panie Kanclerzu, proszę! – zawołała. – Nie potrzebuję więcej strażników!

Palpatine spojrział na nią wzrokiem nadopiekuńczego ojca – gdyby ktokolwiek inny ośmielił się patrzeć na nią w ten sposób, Amidala uznałaby to spojrzenie za protekcyjne.

– Rozumiem doskonale, że dodatkowa ochrona może cię drażnić, pani – zaczął i umilkł na moment, a potem rozpromienił się, jakby przyszło mu do głowy logiczne, kompromisowe rozwiązanie. – Ale może towarzyszyć ci ktoś, kogo znasz, stary przyjaciel. – Uśmiechając się chytrze, Palpatine spojrział na Mace'a Windu i Yodę. – Może mistrz Kenobi? zasugerował, kiwając nieznacznie głową. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy Mace Windu odpowiedział mu podobnym gestem.

– Może – przytaknął Jedi. – Właśnie wrócił z Ansion, gdzie pomagał zażegnać spór graniczny.

– Na pewno go pamiętasz, moja pani – rzekł Palpatine, uśmiechając się z zadowoleniem, jakby sprawa była już załatwiona. – Strzegł cię podczas blokady Naboo.

– To nie jest konieczne, panie Kanclerzu – odparła zdecydowanie Padmé, lecz mężczyzna nadal uśmiechał się pogodnie, jakby wiedział doskonale, jak obalić argumenty upartej pani senator.

– Proszę więc zrobić to dla mnie. Będę spał spokojniej. Najedliśmy się dzisiaj strachu i nie mogę znieść myśli, że mogła pani zginąć.

Amidala westchnęła z rezygnacją i skinęła głową, a wtedy czterej Jedi wstali i ruszyli do wyjścia.

– Obi-Wan zgłosi się do ciebie natychmiast, pani – oznajmił na odchodnym Mace Windu. Mijając Padmé, Yoda skinął na nią i szepnął tak cicho, by nikt inny nie usłyszał jego słów.

– Zbyt mało o sobie się martwisz, pani senator, a za bardzo o politykę. O niebezpieczeństwie pamiętaj, Padmé. Pomoc naszą przyjmij.

Mistrzowie opuścili gabinet, a Padmé Amidala jeszcze przez długą chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi i strzegących ich gwardzistów.

Za jej plecami zaś, z głębi przestronnego biura Kanclerz Palpatine z uwagą obserwował całą scenę.

– Martwi mnie to, Mistrzu, że słyszymy o hrabim Dooku w takich okolicznościach – rzekł Mace, idąc obok Yody korytarzem wiodącym do sali posiedzeń Rady. – Szczególnie, że ostre słowa padają z ust senator Amidali. Brak zaufania do Jedi, czy nawet byłego Jedi, w tak trudnych czasach może oznaczać katastrofę.

– Zaprzeczyć udziałowi Dooku w ruchu separatystów nie możemy – przypomniał Yoda.

– Ani temu, że działa w imię swoich ideałów – odparował Mace. – Był kiedyś naszym przyjacielem i nie możemy o tym zapominać. Dlatego słysząc, jak jest zniesławiany, jak nazywa się go zabójcą...

– Tego nie powiedziano – poprawił Yoda. – Lecz ciemność nas spowija, a w ciemności nic nie jest tym, czym się wydaje.

– Ale dlaczego hrabia Dooku miałby nastawać na życie senator Amidali, skoro to właśnie ona jest największym przeciwnikiem stworzenia armii. Czyż separatyści nie powinni wręcz życzyć jej powodzenia? Przecież Amidala jest – choć może nieświadomie – sprzymierzeńcem w ich sprawie. A może mamy uwierzyć, że pragną wojny z Republiką?

Yoda wsparł się ciężko na lasce, jakby nagle ogarnęło go znużenie, i powoli zamknął oczy.

– Więcej się dzieje, niż dostrzec umiemy – rzekł cicho. – Zachmurzona jest Moc. I to martwi mnie.

Mace nic nie odpowiedział. Hrabia Dooku należał kiedyś do najwybitniejszych Mistrzów Jedi. Był szanowanym członkiem Rady i adeptem starszych – bardziej głębokich, jak powiedzieliby niektórzy znawcy – odmian filozofii Jedi i stylów walki, a wśród nich trudnej techniki posługiwania się mieczem świetlnym. Dla całego Zakonu Jedi i dla samego Mace’a Windu odejście Dooku było wielkim ciosem, a jego przyczyny podobne do tych, którymi teraz tłumaczyli swoje czyny separatystów. Hrabia uważał, że Republika stała się zbyt rozległa i ociążała w działaniu, by odpowiadać na potrzeby jednostek, nawet jeśli tymi jednostkami były całe systemy.

Jedno nie ulegało wątpliwości: niepokój Mace’a Windu o Dooku, podobnie jak niepokój Amidali i Palpatine’a, związany z poczynaniami separatystów, rósł z każdą chwilą, ponieważ wielu argumentom przeciwników Republiki trudno było odmówić racji.



# ROZDZIAŁ

## 6

Światła Coruscant gasły z wolna, zastępowane nieśmiałym blaskiem nielicznych gwiazd, których jasność przebijała się z trudem przez poświatę otaczającą tętniące życiem miasto. Na tle nocnego nieba zwykle drapacze chmur przypominały teraz skalne monolity, a charakterystyczne konstrukcje gigantycznych wież górujących nad miastem wyglądały jak pomniki wzniesione przez szaleńca. Były dowodem buty, nic nieznaczącej wobec majestatycznej pustki kosmosu, pozostającej poza zasięgiem zwykłych śmiertelników. Nawet wicher, który bezlitośnie smagał najwyższe piętra smukłych gmachów, jęczał żałośnie, jakby zwiastował ponury, a nieuchronny los wielkiego miasta i wielkiej cywilizacji.

Obi-Wan Kenobi i Anakin Skywalker mknęli turbowindą na najwyższe poziomy gmachu apartamentów senackich. Mistrz Jedi zastanawiał się właśnie nad kwestiami tak głębokimi i uniwersalnymi jak fenomen następstwa dnia i nocy, podczas gdy młody padawan myślał o czymś zupełnie innym. Oto ponownie miał spotkać Padmé, kobietę, która zawładnęła jego sercem, gdy miał dziewięć lat i od tamtej pory panowała, w nim niepodzielnie.

- Jesteś niespokojny, Anakinie – zauważył Obi-Wan.
- Ależ skąd – zaprzeczył chłopak nieprzekonująco.
- Nie widziałem cię tak zdenerwowanego od czasu, kiedy wpadliśmy do gniazda gundarków.
- Ty wpadłeś do niego, mistrzu, a ja cię uratowałem. Nie pamiętasz? – Wydawało się, że dyskretny manewr Obi-Wana odniósł

pożądany skutek: uczeń i nauczyciel wybuchnęli śmiechem, jednak kiedy umilkli, Anakin nadal był spięty.

– Poczuj się – powiedział Obi-Wan. – Oddychaj głęboko. Odpręż się.

– Nie widziałem jej od dziesięciu lat.

– Odpręż się, Anakinie – powtórzył mistrz. – Ona już nie jest królową. Drzwi rozsunęły się z cichym świstem i Obi-Wan wyszedł z windy.

– To nie dlatego jestem taki zdenerwowany – mruknął pod nosem Anakin.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, drzwi naprzeciwko otworzyły się i stanął w nich Gunganin w eleganckiej, czerwono – czarnej szacie. Przez krótką chwilę przyglądali się sobie uważnie, po czym gungański dyplomata – zapominając o etykiecie – zaczął podskakiwać w miejscu jak małe dziecko.

– Obi! Obi! Obi! – wrzeszczał jak opętany Jar Jar Binks, potrząsając wywieszonym językiem i obwisłymi uszami. – Moja tak się cieszyć, że wasza widzieć! Hurra!

Obi-Wan uśmiechnął się grzecznie, choć zdaniem Anakina wyglądał na zakłopotanego. Unosił łagodnie ręce, próbując uspokoić podekscytowanego jegomościa.

– Ja także cieszę się z tego spotkania, Jar Jar.

Binks podskakiwał jak oszalały jeszcze przez chwilę, nim – z wielkim trudem – zdołał się opanować.

– A to, moja się domyślać, pewnie być twoja uczeń – odezwał się w końcu, ochłonawszy trochę. Spokój nie trwał jednak długo, ponieważ kiedy przyjrzał się bliżej młodemu padawanowi, wrzasnął:

– Niiieee! Annie!? Niiieee! Mały Annie?! – Jar Jar chwycił padawana za barki, odsunął na odległość długich ramion i zmierzył wzrokiem od stóp do głów. – Niiieee! Jesteś taka wielgachny! Jijijiji! Annie! Moja nie wierzyć!

Tym razem to Anakin uśmiechnął się z zakłopotaniem, jednak z czystej uprzejmości nie stawiał oporu, kiedy rozradowany Gunganin porwał go w ramiona i uścisnął z całych sił, nie przestając przy tym podskakiwać.

– Cześć, Jar Jar – zdołał wydusić padawan, szarpany energicznie przez Binksa, który uparcie skakał i w kółko powtarzał jego imię, na przemian z dziwacznym, jijiji”. Zapewne mógłby robić tak w nieskończoność, gdyby Obi-Wan nie chwycił go mocno za ramię i osadził w miejscu.

– Przyszliśmy porozmawiać z panią senator Amidala. Możesz nas do niej zaprowadzić?

Jar Jar przestał skakać i spojrzał na Kenobiego, nadając swemu kaczemu dziobowi wyraz względnej powagi.

– Czekać na wasza. Annie! Moja nie uwierzyć! – Gunganin potrząsnął głową, a potem chwycił dłoń Anakina i pociągnął go za sobą.

Apartament urządzono z wielkim smakiem: miękko obite krzesła i otomanę ustawiłono kręgiem pośrodku, ściany zaś ozdobiono gustownymi dziełami sztuki. Przy otomanie stali Dorme i kapitan Typho. Mężczyzna miał na sobie zwykły, błękitny mundur z brązową, skórzaną tuniką na wierzchu, czarne rękawiczki oraz sztywną czapkę z daszkiem z czarnej skóry. Strój Dorme był jedną z tych eleganckich, choć nierzucających się w oczy sukien, które zwykle nosiły dworki z Naboo.

Anakin nawet nie spojrzał na tych dwoje – całą uwagę skupił na trzeciej osobie znajdującej się w pokoju: na Padmé. Jeżeli kiedykolwiek miał wątpliwości, czy dziewczyna naprawdę była tak piękna, jak ją zapamiętał, to teraz rozwiały się one bez śladu. Zachwycony wzrok padawana błędził po drobnej, kształtnej sylwetce i gęstych, ciemnych włosach związanych z tyłu. Marzył o tym, by zanurzyć w nich twarz. Wpatrywał się w oczy Padmé i chciał robić to przez całą wieczność. Spoglądał na jej usta i chciał...

Anakin zamknął na moment oczy i odetchnął głęboko. Poczował zapach, który trwał w jego pamięci przez lata jako zapach Padmé.

Musiał przywołać całą siłę woli, by kroczyć z godnością i szacunkiem za Obi-Wanem, zamiast jednym susem przemknąć pokój i zamknąć tę młodą kobietę w szalonym uścisku.

– Nasza już jestem! Patrzyć! – pisnął Jar Jar. Nie była to prezentacja, o jakiej marzył Obi-Wan, ale też nie spodziewał się

więcej po zwariowanym Gunganinie – Te Jedi już przyszły.

– To wielka radość znowu cię widzieć, pani – rzekł Obi-Wan, stając przed piękną senator Amidala.

Kryjąc się za plecami mistrza, Anakin wpatrywał się w Padmé, śledząc jej każdy ruch. Spojrzała na niego tylko raz i nie sprawiała wrażenia, że go poznaje.

Padmé chwyciła dłoń Obi.

– Minęło stanowczo zbyt wiele lat, mistrzu Kenobi... Tak się cieszę, że nasze ścieżki znowu się skrzyżowały. Ale jednocześnie muszę ci powiedzieć, że, moim zdaniem, wasza obecność tutaj nie jest konieczna.

– Ja zaś jestem pewien, że członkowie Rady Jedi mieli swoje powody, by nas wezwać – odparł Obi-Wan.

Padmé popatrzyła na niego z rezygnacją, lecz lekki grymas ustąpił miejsca ciekawości, kiedy nieco uważniej przyjrzała się młodemu padawanowi, czekającemu cierpliwie w cieniu nauczyciela. Zrobiła krok w prawo, by stanąć na wprost Anakina.

– Annie? – spytała, z niedowierzaniem unosząc brwi. Uśmiech na ustach i błysk w jej oczach świadczyły o tym, że nie oczekiwała odpowiedzi – Annie – powtórzyła. – Czy to możliwe? Wielkie nieba, jak ty wyrosłeś! – zawołała, wodząc wzrokiem po smukłym ciele padawana i odchylając głowę, by spojrzeć mu w oczy. Anakin teraz dopiero zdał sobie sprawę, o ile jest od niej wyższy.

Anakin był oszołomiony. Uśmiech Padmé był teraz jeszcze cieplejszy – nie było wątpliwości, że uradowało ją to spotkanie – lecz chłopak nawet tego nie zauważył.

– Ty też – wyksztusił. – To znaczy... chciałem powiedzieć, że jesteś piękniejsza niż dawniej – dodał, po czym odchrząknął i wyprostował się nieco. – znacznie niższa – zażartował, daremnie próbując sprawić wrażenie, że panuje nad sytuacją. – To znaczy... jak na senatora.

Anakin zauważył, że Obi-Wan spogląda na niego z dezaprobatą, ale Padmé tylko potrząsnęła głową i roześmiała się, rozładowując napięcie.

– Och, Annie, dla mnie zawsze pozostaniesz tym małym chłopcem, którego poznałam na Tatooine – powiedziała. Padawan spuścił wzrok

z zakłopotaniem spotęgowanym znaczącymi spojrzeniami mistrza i kapitana Typha. Nawet miecz świetlny nie podciąłby mu skrzydeł równie skutecznie, jak ta jedna uwaga.

– Nawet nie zauważysz naszej obecności, pani zapewnił Padmé Obi-Wan.

– Jestem niezmiernie wdzięczny, że przyszliście nam z pomocą, mistrzu Kenobi – odezwał się kapitan Typho. – Sytuacja jest bardziej niebezpieczna, niż pani senator jest skłonna przyznać.

– Nie potrzebuję liczniejszej ochrony – odparła Padmé, spoglądając najpierw na oficera z Naboo, a potem na wysłannika Rady. – Potrzebuję odpowiedzi. Chcę wiedzieć, kto próbuje mnie zabić. Wierzę, że odpowiedź na to pytanie wiąże się ze sprawami najwyższej wagi dla senatu. Coś się kryje za tym atakiem... – kobieta urwała, widząc zmarszczone brwi Obi-Wana.

– Jesteśmy tu po to, by cię chronić, pani senator, nie po to, by wszczynać śledztwo – stwierdził spokojnie, lecz nim przebrzmiały jego słowa, Anakin zdążył im zaprzeczyć.

– Dowiemy się, kto próbuje cię zabić, Padmé – oświadczył z naciskiem padawan. – Obiecuję ci to.

Skywalker zrozumiał swój błąd, gdy tylko zamknął usta i spojrzał na gniewną minę Obi-Wana. Przygotowywał w myślach odpowiedź dla Padmé i nie zauważył, że mistrz wyjaśnia już istotę misji zleconej im przez Radę. Spuścił wzrok i nerwowo przygryzł wargę.

– Nie przekroczymy granic naszego mandatu, mój młody padawanie! – rzekł ostro Obi-Wan.

– Oczywiście, chodziło mi tylko o lepszą ochronę pani senator, mistrzu – powiedział cicho Anakin.

To wyjaśnienie brzmiało głupio nawet dla samego padawana.

– Nie będziemy kolejny raz przerabiali tego ćwiczenia – ciągnął Obi-Wan. – Zaczynaj mnie wreszcie słuchać, Anakinie.

Skywalker nie mógł uwierzyć, że Obi-Wan upomina go nawet w obecności Padmé.

– Dlaczego? – spytał, desperacko próbując zmienić tok dyskusji, by zachować choć trochę godności.

– Co?! – wykrzyknął Obi-Wan.

Padawan wiedział, że posunął się za daleko. Nigdy nie widział na twarzy nauczyciela takiego oburzenia.

– Dlaczego dostaliśmy zadanie ochrony pani senator, jeśli nie po to, by wytropić zabójcę? – zapytał, próbując załagodzić sytuację. – ochrona to zadanie dla miejscowych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, nie dla Jedi. Moim zdaniem, mistrzu, to oznacza, że śledztwo mieści się w ramach naszego mandatu.

– Wykonamy rozkazy Rady – odparował Obi-Wan. – A ty nauczysz się, gdzie jest twoje miejsce.

– Może dzięki samej waszej obecności tajemnica zamachu zostanie odkryta – zasugerowała Padmé dyplomatycznie. Uśmiechała się przy tym do Anakina i Obi-Wana, zachęcając ich do bardziej uprzejmej rozmowy. – A teraz, wybaczcie; udam się na spoczynek dodała, widząc, że mężczyźni opanowali się nieco.

Wszyscy pokłonili się, kiedy Padmé i Dorme opuszczały salon. Obi-Wan raz jeszcze popatrzył surowo na Anakina, a ten odwzajemnił niechętnie spojrzenie.

– A ja się cieszę, że tu jesteście – wyznał kapitan Typho, podchodząc do gości. – Nie wiem jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi, ale jestem pewien, że Padmé Amidali nie zaszkodzi dodatkowa ochrona. Zdaje się, że wasi przyjaciele w Radzie Jedi podejrzewają spisek kopaczy, ale ja jestem innego zdania.

– Czego udało się wam dowiedzieć? – spytał Anakin, nie zważając na ostrzegawcze spojrzenie Obi-Wana. – Będziemy lepiej przygotowani do pilnowania pani senator, jeśli dowiemy się z czym lub z kim mamy do czynienia – wyjaśnił mistrzowi, wiedząc, że Kenobi uzna to rozumowanie za logiczne.

– Wiemy niewiele – przyznał Typho. – Pani senator Amidala przewodzi frakcji sprzeciwiającej się stworzeniu armii dla Republiki. Z determinacją dąży do rozprawy z separatystami drogą negocjacji, a nie siłą. Teraz jednak, po na szczęście nieudanym zamachu, jej przeciwnicy w senacie mają w ręce jeszcze mocniejsze argumenty.

– A skoro logika każe nam sądzić, że separatyści raczej nie chcieliby, żeby Republika miała siły zbrojne... – dodał z namysłem Obi-Wan.

– Wracamy do punktu wyjścia – podsumował Typho. – zawsze, kiedy dochodzi do podobnych incydentów, oczy wszystkich kierują się na hrabiego Dooku i jego popleczników. Albo też na którąś z lojalnych wobec niego grup – dodał szybko oficer, widząc zmarszczone czoło Kenobiego. – Separatyści są zamieszani w wiele zamachów w całej Republice. Nie stronią od przemocy. Dlaczego jednak mieliby wziąć na cel panią senator Amidalę – tego nie wie nikt.

– A my nie jesteśmy tu po to, żeby zgadywać, lecz po to, żeby bronić – podsumował Obi-Wan. Ton jego wypowiedzi wskazywał jednoznacznie, że dyskusję na ten temat uważa za zakończoną.

Typho skinął głową.

– Rozstawię swoich ludzi na każdym piętrze, a sam będę na dole, w ośrodku dowodzenia.

Kapitan wyszedł, a Obi-Wan natychmiast zaczął myszkować po salonie i przylegających pomieszczeniach, próbując wczuć się w klimat tego miejsca. Anakin zrobił to samo, lecz zaprzestał poszukiwań, gdy natknął się na Jar Jar Binksa.

– Moja pękać z radości, że znowu twoja widzieć, Annie.

– Za to ona nawet mnie nie poznała – mruknął Anakin, spoglądając na drzwi, za którymi zniknęła Padmé. – Myślałem o niej każdego dnia, odkąd się rozstaliśmy, a ona zupełnie o mnie zapomniała.

– Dlaczego twoja to mówić? – zdziwił się Jar Jar.

– Widziałeś ją – odparł enigmatycznie Anakin.

– Być szczęśliwa – zapewnił go Gunganin. – Taka szczęśliwa moja nie widzieć ona od długi czas. A czas teraz zły, Annie. Mnóstwo zły.

Padawan potrząsnął głową i już miał powiedzieć coś jeszcze o swoich zranionych uczuciach, gdy spostrzegł zbliżającego się Obi-Wana. Przeważnie wstrzymał się od komentarza.

Bystry mistrz zdążył jednak usłyszeć część rozmowy.

– Znowu się skupiasz na negatywnej stronie spraw – upomniał Anakina. – Uważaj na swoje myśli. Ucieszyła się ze spotkania i niech to ci wystarczy. A teraz sprawdźmy systemy bezpieczeństwa. Mamy sporo roboty.

– Tak, mistrzu – skłonił się Anakin.

Pokorne słowa młodego padawana niewiele miały wspólnego z tym, co działo się w jego duszy.

Padmé szciotkowała włosy, wpatrując się w lustro niewidzącym wzrokiem. Myślami wciąż wracała do spotkania z Anakinem; widziała jego twarz i spojrzenia, które jej posyłał. Słyszała też jego słowa: „jesteś piękniejsza niż dawniej” – i choć była to prawda, Padmé nie przywykła do słuchania takich komplementów. Od dziecka zajmowała się polityką, piastując coraz wyższe, bardziej eksponowane stanowiska. Większość mężczyzn, z którymi miała do czynienia, bardziej interesowała się tym, co może zyskać dzięki tej znajomości, niż podziwianiem urody czy okazywaniem Amidali bardziej osobistych uczuć. Dawniej, jako królowa Naboo, i teraz, jako senator, Padmé doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jest dla nich atrakcyjna, lecz nie jako kobieta, ale jako ktoś, kto ma władzę.

Nie mogła zapomnieć intensywnego spojrzenia Anakina.

Ale co to mogło oznaczać?

Widziała go bardzo dokładnie; szczupłą i mocną sylwetkę, twarz, której wyrazistość zawsze podziwiała, a także oczy, błyszczące, figlarne i przewrotne, pełne...

Pragnienia?

Ta myśl zaskoczyła Padmé. Opuściła ramiona i przyglądała się swojemu odbiciu, zastanawiając się, czy jest piękna.

Po długiej chwili pokręciła głową, wmawiając sobie, że to szaleństwo. Anakin był padawanem Jedi, a Jedi poświęcali życie służbie Zakonowi i to przede wszystkim podziwiała w nich Padmé Amidala.

Więc jak Anakin mógł patrzeć na nią w taki sposób?

Widocznie zwiódła ją wyobraźnia.

A może fantazjowała?

Śmiejąc się z samej siebie, Padmé uniosła szciotkę, ale zanim dotknęła włosów, znowu zastygła w bezruchu. Miała na sobie białą jedwabną koszulę nocną, a w tym pokoju także znajdowały się



kamery systemu bezpieczeństwa. Zwykle nawet o nich nie myślała, traktując je jako konieczność. Podobnie jak gwardziści, towarzyszyły jej na każdym kroku. Nauczyła się więc wykonywać nawet najbardziej intymne czynności pod ich czujnym okiem.

Teraz jednak miała świadomość, że może przez soczewki kamer obserwuje ją młody Jedi.

# ROZDZIAŁ

## 7

Łowca nagród ubrany w szary, zniszczony i osmalony strzałami z blasterów – lecz wciąż niezawodny – pancierz, stał na gzymsie, ponad sto pięter nad poziomem ulic Coruscant. Hełm łowcy także był szary, ozdobiony niebieskim pasem biegnącym wzdłuż wizjera i w dół, aż do podbródka. Wąska półka – jeśli wziąć pod uwagę silny wiatr i dużą wysokość – sprawiała wrażenie dość niebezpiecznego miejsca, lecz osobnikowi tak zwinnemu i wytrenowanemu jak Jango, utrzymanie się na niej nie sprawiało najmniejszych trudności.

Dokładnie o umówionej porze w pobliżu gzymsu zatrzymał się niewielki śmigacz. Wspólniczka Jango, Zam Wesell, skinęła głową i przeskoczyła na wąską półkę przed ekranem mieniącym się barwami reklam. Dolną część jej twarzy zakrywał długi czerwony welon, lecz nie był to przejaw hołdowania najnowszej modzie. Podobnie jak wszystkie elementy, które składały się na jej ekwipunek – od blastera, przez zbroję, aż po kolekcję ukrytej broni – welon Zam miał praktyczne zastosowanie: ukrywał cechy właściwe przedstawicielom rasy Clawdite.

A tacy, z oczywistych powodów, nie cieszyli się powszechnym zaufaniem.

– Wiesz już, że się nie udało? – spytał Jango.

– Kazałeś mi zabić tych ze statku z Naboo – odrzekła Zam. – Zaatakowałam statek, ale użyli sobowtóra. Wszyscy, którzy byli na pokładzie, zginęli.

Jango spojrzał na nią z krzywym uśmiechem.

– Tym razem musimy spróbować czegoś subtelniejszego. Mój klient się niecierpliwi. Nie możemy sobie pozwolić na drugi błąd. – To powiedziawszy, łowca wręczył współpracownikowi przezroczysty, trzydziesto centymetrowy cylinder, w którym wiły się dwa podobne do krocionogów stworzenia.

– Kouhuny – wyjaśnił. – bardzo jadowite.

Zam Wesel podniosła tubę nieco wyżej, by z bliska przyjrzeć się małym mordercom. Jej oczy błyszczały podnieceniem, kości policzkowe uniosły się ku górze, gdy szczęki rozsunęły się szeroko pod osłoną welonu. Zam spojrzała na Jango i skinęła głową.

Pewien, że zrozumiała polecenie, Jango ruszył w stronę śmigacza. Zanim do niego wsiadł, zatrzymał się na moment i spojrzał na zabójczynię.

– Tym razem żadnych błędów – przypomniał.

Clawdite zasalutowała, przykładając cylinder z jadowitymi kouhunami do czoła.

– I zrób ze sobą porządek – dorzucił Jango na odchodnym.

Zam Wesell skierowała się ku swemu pojazdowi, wolną ręką zdejmując welon. Gdy podnosiła lekki materiał, jej twarz zaczęła się zmieniać: usta zwęziły się, a oczy zagłębiły w kształtnych oczodołach, po fałdach na czole nie pozostał zaś nawet ślad. Zanim wsunęła welon do kieszeni, była już zgrabną, atrakcyjną kobietą o ciemnych, zmysłowych oczach. Nawet strój leżał na niej bez zarzutu.

Siedzący w śmigaczu Jango skinął głową z aprobatą i odleciał. Musiał przyznać, że jako Clawdite, odmieniec, Zam Wesell miała przewagę nad innymi specjalistami w swoim fachu.

Wielka Świątynia Jedi wznosiła się pośrodku rozległej równiny. W przeciwieństwie do większości budowli na Coruscant – prostych i praktycznych – była prawdziwym dziełem sztuki, ozdobionym kolumnadami i przyciągającym wzrok miękkimi, łagodnymi liniami detali. Nie brakowało wokół niej pięknych reliefów i rzeźb ustawionych tak, by światło wydobywało z nich zagadkowe półcienie.

Wnętrze Świątyni zaprojektowano z myślą o skupieniu i

medytacji; korytarze miały zachęcać do wędrówek i poszukiwań, a niezliczone komnaty – do zadawania pytań i znajdowania odpowiedzi. Sztuka bowiem była integralną częścią życia Jedi, tak jak szkolenie w technikach walki. Wielu rycerzy uważało ją za łącznik z tajemnicami Mocy, toteż rzeźby i portrety zdobiące ściany sal były czymś więcej, niż tylko podobiznami – były artystyczną interpretacją tego, co reprezentowali sobą wielcy Jedi. Czystą formą przedstawiały to, co dawni i terażniejsi Mistrzowie ubierali w słowa.

Mace Windu i Yoda kroczyli wolno jednym z korytarzy o wypolerowanej posadzce i bogato ozdobionych ścianach. Lampy rzucały słabą poświatę, za to w oddali widać było rzęście oświetloną salę.

– Dlaczego nie przewidzieliśmy tego ataku na panią senator? – zastanawiał się Mace, kręcąc głową. – Gdybyśmy byli czujni, domyślilibyśmy się, że coś takiego nastąpi.

– Zakłócenie w polu Mocy przyszłość nam zasłania – odparł zmęczony Yoda.

Mace dobrze znał przyczynę jego znużenia.

– Przepowiednia się sprawdza. Ciemna strona rośnie w siłę.

– I tylko ci, którzy do niej się zwrócili, przyszłość przewidzieć mogą – uzupełnił Yoda. – Tylko dotykając ciemnej strony, przejrzyć możemy.

Mace przez długą chwilę zastanawiał się nad słowami Mistrza. Podróż ku krawędzi ciemnej strony była ciężką próbą, jednak jeszcze bardziej zatrważające było to, że Yoda sądził, iż zakłócenie w polu Mocy, które wyczuwali już wszyscy Jedi, miało źródło w rosnącej potędze ciemnej strony.

– Minęło dziesięć lat, a Sithowie wciąż się nie ujawniają – zauważył Mace, wymawiając na głos imię największych wrogów, o których Jedi woleli nawet nie myśleć. Niejeden raz rycerze Jedi byli przekonani, że udało im się wytepić Sithów, że nie pozostał po nich nawet zgniły fetor. Także i teraz z chęcią zanegowaliby istnienie tajemnicznych adeptów ciemnej strony.

Niestety, nie mogli. Nikt nie wątpił, że ten, kto przed dziesięcioma laty zabił na Naboo Qui-Gon Jinnę, był Lordem Sithów.

– Sądzisz, że to Sithowie są źródłem zakłócenia Mocy? – upewnił się Mace.

– Są – odparł zrezygnowany Yoda. – ego pewien jestem. Mówił o przepowiedni, zgodnie z którą Ciemna Strona pewnego dnia osiągnie wielką potęgę, a jednocześnie narodzi się ten, kto przywróci równowagę Mocy w galaktyce. Ten wybraniec trafił już do szeregów rycerzy Jedi.

– Uważasz, że uczeń Obi-Wana będzie w stanie przywrócić równowagę Mocy? – spytał Mace.

Yoda zatrzymał się i wolno uniósł głowę, by spojrzeć na ciemnoskórego Mistrza. Mieszane uczucia, które malowały się na pomarszczonej twarzy przypomniały Mace'owi, że tak naprawdę nikt nie wie do końca, co miało oznaczać owo „przywrócenie równowagi”.

– Pod warunkiem, że za swoim przeznaczeniem podaży – odrzekł Yoda. Odpowiedź zawierała w sobie równie wielką dozę niepewności, jak samo pytanie.

Obaj Mistrzowie rozumieli jednak, że tam, gdzie – w sensie emocjonalnym, nie fizycznym – przynajmniej niektórzy Jedi będą musieli dotrzeć w poszukiwaniu prawdy, czekać ich będzie próba, która zweryfikuje granice wrażliwości i możliwości każdego z nich.

Yoda i Mace Windu ruszyli dalej, a każdy z nich zastanawiał się na złowieszczymi słowami, które wypowiedział Yoda:

„Tylko dotykając ciemnej strony, przejrzyć możemy”.

# ROZDZIAŁ

## 8

Sygnał u wejścia nie zaskoczył Padmé; przeczuwała, że gdy tylko nadarzy się okazja, Anakin przyjdzie z nią porozmawiać. Zatrzymała się jednak w połowie drogi do drzwi i po krótkim namyśle wróciła po ubranie, doszedłszy do wniosku, że koszula nocna jest zbyt odważnym strojem.

Padmé Amidala była zdziwiona swoją reakcją nigdy nie była szczególnie wstydliva.

Jednak, otworzyła drzwi dopiero wtedy, gdy się ubrała. Stała twarzą w twarz z Anakinem Skywalkerem.

– Witaj – powiedział padawan, z trudem łapiąc oddech.

– Wszystko w porządku?

Anakin zająknął się, nim odpowiedział.

– O, tak... – bąknął wreszcie. – Tak... mój mistrz zjechał na niższy poziom, żeby sprawdzić zabezpieczenia u kapitana Typha. Jest cicho i spokojnie.

– Wyglądasz na zawiedzionego. Anakin roześmiał się z zakłopotaniem.

– Nie podoba ci się to zajęcie – przypomniała Padmé.

– Nie chciałbym teraz być w żadnym innym miejscu galaktyki – zapewnił padawan. Tym razem to Padmé zachichotała z zażenowaniem.

– Ale ten... bezwład... – podsunęła. Anakin przytaknął ruchem głowy.

– Powinniśmy szukać zabójcy bardziej zdecydowanie – powiedział

z naciskiem. – Siedząc i czekając, aż prosimy się o katastrofę.

– Mistrz Kenobi jest innego zdania.

Mistrz Kenobi jest zbyt posłuszny – stwierdził Anakin. – Nawet nie próbuje robić tego, o co nie poprosi go Rada Jedi.

Padmé spojrzała z ukosa na porywczego padawana. Czyż dyscyplina nie była podstawową cechą, którą wpajano rycerzom Jedi? Czyż nie powinni przestrzegać zaleceń Kodeksu i reguł Zakonu?

– Mistrz Kenobi nie jest podobny do swojego nauczyciela – dodał Anakin. – Mistrz Qui-Gon rozumiał, że trzeba myśleć samodzielnie i wykazywać inicjatywę; inaczej nie zabrałby mnie z Tatooine.

– A ty jesteś do niego podobny? – odgadła Padmé.

– Wypełniam swoje obowiązki, ale domagam się swobody, żeby wykonać zadanie do końca.

– Domagasz się?

Anakin uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że proszę.

– A kiedy nie dostajesz tego, czego pragniesz? – indagowała Padmé z domyślnym uśmiechem, choć w głębi serca liczyła na poważną odpowiedź.

– Robię wszystko, żeby rozwiązać problem, który przede mną staje. – Anakin nie zamierzał zbyt wiele o sobie opowiadać.

– I dlatego siedzenie w sąsiednim pokoju i pilnowanie mnie wydaje ci się mało interesujące.

– Moglibyśmy robić znacznie ciekawsze rzeczy – odrzekł Anakin. Jego słowa zabrzmiały na tyle dwuznacznie, że zaintrygowana Padmé ciaśniej otuliła się szatą.

– Jeżeli złapiemy zabójcę, może uda się dotrzeć do zleceniodawcy – wyjaśnił, pospiesznie kierując rozmowę na mniej osobiste tory. – tedy ty będziesz bezpieczniejsza, a nasze zadanie – znacznie łatwiejsze.

Padmé próbowała rozszyfrować intencje Anakina. Zaskakiwał ją każdym słowem – był przecież padawanem Jedi – choć z drugiej strony, kiedy patrzyła w ogień, który palił się w jego błękitnych oczach, przestawała się dziwić temu, co mówił. Widziała w jego oczach zapowiedź kłopotów i burzę emocji.

Widziała także obietnicę wytropienia tego, kto czyhał na jej życie.

Obi-Wan Kenobi z wahaniem wyszedł z turbowindy, uważnie rozglądając się na wszystkie strony. Zauważył dwóch gwardzistów w pełnej gotowości i z zadowoleniem skinął głową w ich stronę. Każde piętro gmachu było strzeżone w podobny sposób, tu zaś, w sąsiedztwie apartamentu Amidali, kordon ochronny był wyjątkowo szczelny.

Kapitan Typho dostał do dyspozycji wielu żołnierzy i rozmieścił ich w rozsądny sposób, tworząc – zdaniem Obi-Wana – najlepszy system obrony, jaki można było stworzyć. Mistrz Jedi cieszył się z tego, bo starania oficera z Naboo ogromnie ułatwiały mu zadanie.

Lecz Obi-Wan Kenobi nie był spokojny. Kapitan Typho zdał mu szczegółową relację z ataku na statek senatorski z Naboo. Biorąc pod uwagę to, jak liczne środki ostrożności powzięto w związku z przybyciem Amidali – zgłoszono kilka fałszywych tras podejścia do lądowiska, zaangażowano wiele myśliwców zdalnej ochrony, zarówno republikańskich, jak i z Naboo, a trzy maszyny bez przerwy towarzyszyły jachtowi – zabójców, którzy dokonali tak trudnego ataku nie wolno było lekceważyć. Nie ulegało wątpliwości, iż byli świetnie przygotowani i mieli wysoko postawionych protektorów.

Najprawdopodobniej byli też uparci.

Jednak zamach na senator Amidalę przebywającą w tym budynku wymagałby zaangażowania całej armii.

Obi-Wan raz jeszcze skinął głową w stronę gwardzistów, obszedł całe piętro i wrócił do turbowindy.

Padmé odetchnęła głęboko. Anakin przed chwilą opuścił jej pokój, lecz wciąż miała przed oczami jego twarz. W wyobraźni widziała już swoją siostrę, Solę, i słyszała jej nieustanne drwiny.

Senator Amidala otrząsnęła się z niedorzecznych myśli o Soli i Anakinie. Machnęła ręką w stronę R2-D2 stojącego cierpliwie pod ścianą.

– Wyłącz – poleciała.



Mały robot odpowiedział trwożliwym „ooooo”.

– Śmiało, Artoo. Nic się nie stanie. Pilnują nas.

R2-D2 znów pisnął niespokojnie, ale posłusznie wyciągnął manipulator w stronę panelu systemu bezpieczeństwa.

Padmé jeszcze raz spojrzała na drzwi, przypominając sobie zarys smukłej postaci Anakina, młodego Jedi, jej obrońcy. Widziała jego niebieskie oczy tak wyraźnie, jakby stał jeszcze przed nią. Oczy pełne pasji, obserwujące ją z większą uwagą niż jakakolwiek kamera.



Anakin stał w salonie apartamentu Padmé, chłonąc otaczającą go ciszę sprzyjającą nawiązaniu mentalnej łączności z subtelnym królestwem Mocy. Padawan wyczuwał wokół siebie wszystkie formy życia, dokładnie tak, jakby rejestrował ich obecność pięcioma fizycznymi zmysłami.

Miał zamknięte oczy, lecz mimo to widział wszystko, co działo się w najbliższym otoczeniu i czuł każde zakłócenie w polu Mocy.

Powieki Anakina uniosły się nagle, wzrok błyskawicznie omiół całe pomieszczenie, a ręka omal nie wyszarpnęła z zatrasku rękojeści świetlnego miecza.

Zatrzymała się jednak w pół drogi, kiedy drzwi rozsunęły się cicho i do salonu wszedł mistrz Kenobi.

Obi-Wan rozejrzał się ciekawie, nim zatrzymał wzrok na Anakinie.

– Kapitan Typho ma na dole wystarczająco silną grupę strażników – powiedział. Nie przeniknie się żaden zabójca. Zauważyłeś coś?

Cicho tu jak w grobowcu – odparł Anakin. – Nie podoba mi się to czekanie, aż coś się jej stanie.

Obi-Wan pokręcił z rezygnacją głową, rozmyślając o tym, do czego zdolny jest jego uczeń. Wyjął zza pasa skaner i spojrział na ekran. Anakin nie miał kłopotów z odczytaniem uczuć malujących się na jego twarzy – od zaciekawienia, przez zdziwienie, aż po troskę.

Wiedział, że mistrz widzi na wyświetlaczu część sypialni Padmé; drzwi wejściowe oraz stojącego pod ścianą Artoo.

Mistrz Jedi spojrzał pytająco na Anakina.

– Padmé... pani senator Amidala zasłoniła obiektyw kamery – wyjaśnił padawan. – Chyba nie chciała, żebym ją podglądał.

Twarz Obi-Wana stężała.

– Co ona sobie wyobraża? Jej bezpieczeństwo jest najważniejsze, a ona naraża...

– Zaprogramowała Artoo, żeby zawiadomił nas, jeśli pojawi się jakiś intruz – powiedział Anakin, starając się uspokoić Obi-Wana.

– Intruz nie jest moim największym zmartwieniem – odparował Obi-Wan. – W każdym razie nie tylko on. Istnieje wiele sposobów, w jakie można zabić panią senator.

– Wiem, ale przecież chcemy też schwytać zabójcę – odparł Anakin z naciskiem, żeby nie powiedzieć: uporem. – Prawda, mistrzu?

– Używasz jej w charakterze przynęty? – spytał z niedowierzaniem Obi-Wan, wlepiając w ucznia zdumione spojrzenie.

– To był jej pomysł – zaprotestował Anakin, lecz ton, jakim to powiedział, zdradzał, iż plan bardzo mu się podoba. – Bez obaw. Nic się jej nie stanie. Wyczuwam wszystko, co dzieje się w sąsiednim pokoju, Zaufaj mi.

– To zbyt ryzykowne – odrzekł z wyrzutem Obi-Wan. – Poza tym, twoje zmysły nie są jeszcze wystarczająco wyostrzone, mój młody uczniu.

– A twoje są?

Obi-Wan uśmiechnął się chytrze.

– Możliwe...

Anakin także się uśmiechnął, skinął głową i znowu zamknął oczy, zanurzając się w świetle Mocy i kierując uwagę ku śpiącej Padmé. Żałował, że nie może spojrzeć na nią naprawdę, zobaczyć łagodnego falowania piersi, usłyszeć cichego oddechu, poczuć zapachu włosów, gładkości skóry i słodczy jej ust.

Na razie jednak musiał zadowolić się wyczuwaniem jej energii życiowej w polu Mocy.

Zalała go fala ciepła.

Padmé śniła o Anakinie.

Ujrzała scenę zajadłej walki, dokładnie takiej, jaką spodziewała się zobaczyć w senacie: wrzaski, wymachiwanie pięściami, groźby i głośno wyrażane sprzeciwy. Obserwując to wszystko, czuła jedynie znużenie.

Lecz Anakin był przy niej.

Sen zmienił się w koszmar, kiedy jej śladem podążył niewidoczny zabójca, raz po raz posyłający w stronę ofiary błyskawice blasterowych strzałów. Padmé czuła, że jej stopy stają się ciężkie, jakby grzęzły w głębokim, gęstym mule.

Anakin minął ją w biegu, wymachując mieczem świetlnym i odbijając strzały.

Padmé poruszyła się niespokojnie i jęknęła cicho. Osoba wybawiciela niepokoiła ją równie mocno, jak obecność zabójcy. Nie obudziła się jednak, a jedynie uniosła lekko głowę i na moment otworzyła oczy, po czym znowu zatopiła twarz w miękkiej poduszce.

Nie dostrzegła więc małego, krągłego robota sondującego unoszącego się za przesłoniętym żaluzjami oknem. Nie widziała także manipulatorów, które wysunęły się z korpusu robota i przykleiły do szyby, ani iskier, gdy automat wyłączył system alarmowy apartamentu. Nie mogła też zauważyć większego ramienia, które wycięło otwór w okiennej tafli, ani usłyszeć cichego chrzęstu towarzyszącego usuwaniu okrągłego fragmentu szyby.

W korpusie R2-D2, stojącego przy drzwiach sypialni, zapaliły się lampki kontrolne. Robot gwizdnął cicho, obracając kopułką i skanując wnętrze pokoju.

Niczego jednak nie wykrył i wyłączył się po paru sekundach. Z metalowego korpusu robota sondującego wysunęła się w kierunku wyciętego otworu niewielka tuba. Do sypialni Padmé wpełzły dwa kohuny – białawe, wijące się stworzenia o niezliczonych czarnych odnóżach i groźnie wyglądających szczypcach. Jednak to nie szczypce były ich najsilniejszą bronią; prawdziwe niebezpieczeństwo stanowiły ociekające jadem żądła na przeciwległych końcach ich ciał. Śmiercionośne istoty precyzyjnie przycisnęły się przez żaluzje i ruszyły w stronę

śpiącej Amidali.

– Wyglądasz na zmęczonego – odezwał się Obi-Wan do Anakina sąsiednim pokoju.

Stojący nieruchomo padawan otworzył oczy, budząc się z medytacyjnego transu. Minęła krótka chwila, nim dotarły do niego słowa mistrza. Wzruszył lekko ramionami, ale nie zaprzeczył.

– Ostatnio nie śpiam najlepiej.

Dla Obi-Wana nie była to żadna nowina.

– Z powodu matki? – spytał.

– Sam nie wiem, dlaczego wciąż mi się śni – odrzekł Anakin. – kiedy widziałem ją ostatnio, byłem bardzo mały.

Twoja miłość do niej była i jest głęboka – ocenił Obi-Wan. – nie widzę w tym powodu do rozpacz.

– Ale to coś więcej niż tylko... – zaczął chłopak, ale urwał w pół zdania, westchnął ciężko i pokręcił głową. – Czy to sny, czy może wizje? Obrazy tego, co było, czy przepowiednie tego, co będzie?

– A może jednak tylko sny? – dopowiedział Obi-Wan, uśmiechając się łagodnie. – Nie każdy sen jest przeczuciem, wizją czy innym mistycznym doświadczeniem. Niektóre są po prostu... snami. Nawet Jedi miewają sny, młody padawanie.

Anakin nie wyglądał na usatysfakcjonowanego tą odpowiedzią. Raz jeszcze potrząsnął głową.

– A sny z czasem mijają – dokończył mistrz.

– Wolałbym, żeby śniła mi się Padmé – odparł Anakin, uśmiechając się szelmowsko. – Sama jej obecność jest... odurzająca.

Obi-Wan zmarszczył groźnie brwi.

– Uważaj na swoje myśli, Anakinie – upomniał go stanowczo. – one cię zdradzają. Pamiętaj, że łączy cię więź z Zakonem Jedi – więź, którą niełatwo zerwać – a stanowisko Jedi w sprawie takich związków jest jasne i niezmiennie: są zakazane. – Kenobi parsknął lekceważąco, spoglądając w stronę drzwi do sypialni Padmé. – poza tym nie zapominaj, że ona jest politykiem, a im nie wolno ufać.

– Nie jest taka jak inni w senacie, mistrzu – zaprotestował z

zapalem Anakin.

Obi-Wan spojrzal na niego przenikliwie.

– Z mojego doświadczenia wynika jednoznacznie, że senatorowie skupiają się tylko na jednym rodzaju działalności: na zadowalaniu sponsorów swoich kampanii wyborczych. I zawsze są skłonni zapominać o urokach demokracji, żeby zdobyć dodatkowe fundusze.

– Mistrzu, nie rób mi kolejnego wykładu – wtrącił błagalnie Anakin, wzdychając głęboko. Nie pierwszy raz mistrz dzielił się z nim swoimi poglądami. – A przynajmniej nie o ekonomii ani polityce. – Obi-Wan zdecydowanie nie należał do miłośników życia politycznego Republiki.

Kenobi mimo wszystko chciał dodać coś jeszcze, lecz Anakin znowu wpadł mu w słowo.

– Proszę, mistrzu powiedział z naciskiem. – Zresztą to tylko uogólnienia. Wiem, że Padmé...

– Senator Amidala – poprawił Obi-Wan.

– ...nie jest taka – dokończył padawan. – Kanclerz chyba także nie jest skorumpowany.

– Palpatine jest politykiem. Zauważyłem, że bardzo sprytnie potrafi grać na namietnościach i uprzedzeniach niektórych senatorów.

– Moim zdaniem, to dobry człowiek – odparł Anakin. – Mój instynkt podpowiada mi pozytywne...

Padawan urwał, a w oczach pojawiło się zdumienie.

– Ja też to poczułem – szepnął Obi-Wan i obaj Jedi puścili się biegiem w stronę sypialni.

Kouhuny pełzły wolno ku odsłoniętej szyi śpiącej Padmé, z ożywieniem szczękając szczypcami.

– Wee ooooo! – zawył R2-D2, nagle wyczuwając niebezpieczeństwo, po czym skierował reflektor wprost na posłanie, idealnie oświetlając cel dla Obi-Wana i Anakina, którzy właśnie wpadli do pokoju.

Padmé ocknęła się i z przerażeniem spojrziała na dwie wijące się istoty, które z sykiem unosiły się tuż przed jej twarzą.

Trwało to tylko chwilę, gdyż dwa precyzyjne cięcia miecza świetlnego, wyprowadzone przez Anakina tuż nad miękką pościelą,

przepełowiły ich smukłe ciała.

– Robot sondujący! – krzyknął Obi-Wan i rzucił się w stronę okna, za którym unosił się w powietrzu robot zabójca, w pośpiechu chowający liczne chwytaki i manipulatory.

Jedi skoczył wprost na żaluzje i rozbijając na kawałki tafłę szyby, porwał je ze sobą. Sięgnął po Moc, by wydłużyć lot i pochwycić korpus wycofującego się robota. Automat zaczął spadać, lecz jego układ napędowy szybko skompensował zmianę masy i ustabilizował lot. Maszyna zawisała wraz z nieproszonym gościem na wysokości stu pięter nad ziemią.

A potem odpłynęła w dal, unosząc Obi-Wana ze sobą.

– Anakinie? – zawołała cicho Padmé. Intensywne spojrzenie jego błękitnych oczu sprawiło, że bezwiednie podciągnęła kołdrę pod samą brodę.

– Zostań tu! – rozkazał Anakin. – Artoo, pilnuj jej! – dodał i popędził do drzwi. Omal nie zderzył się w nich z kapitanem Typhem, dwoma gwardzistami i Dorme'em, którzy nadbiegali z przeciwka.

– Zajmijcie się nią! – zawołał i, nie wdając się w szczegółowe wyjaśnienia, biegiem minął ochronę, zmierzając do turbowindy.



Robot sondujący, który nie był pozbawiony mechanizmów obronnych, raz po raz otaczał pancierz błyskawicami wyładowań elektrycznych boleśnie kłusujących ręce Obi-Wana.

Rycerz Jedi zacisnął zęby. Nie miał wyboru. Wiedział, że nie powinien patrzeć w dół, zrobił to jednak i daleko, daleko w dole zobaczył tętniące życiem ulice miasta.

Kolejne mocne wyładowanie omal nie posłało go w dół, ku ludzkiemu mrowisku.

Jedi sięgnął bez zastanowienia do przewodu zasilającego i wyrwał go mocnym szarpnięciem. Niebieskawe łuki elektryczne zniknęły.

Wraz z nimi jednak znikło zasilanie układu napędowego, który utrzymywał robota w powietrzu.

Spadali jak kamienie, a światła mijanych pięter tworzyły wokół nich rozmazane smugi.

– Niedobrze, niedobrze! – powtarzał Obi-Wan, gorączkowo próbując wetknąć złącze mocy na miejsce. Udało mu się i światła robota sondującego ponownie zapłonęły złowieszczym blaskiem. Automat podjął przerwany lot, lecz nie próbował już pozbyć się wroga, rażąc go prądem, za to nieustannie starał się strząsnąć z siebie upartego człowieka.

Anakin nie miał zamiaru czekać na turbowindę. Wyjął miecz i jednym celnym cięciem otworzył drzwi. Kabiny nie było. Padawan nie zastanawiał się nawet, czy pojechała w dół, czy też na górę: po prostu skoczył do szybu i złapał się jednej z pionowych szyn. Zaparłszy się o nią stopą, zaczął zjeżdżać spiralnym ruchem, jednocześnie próbując przypomnieć sobie rozkład budynku, a szczególnie to, gdzie znajdują się garaże.

Nagle szósty zmysł – a może raczej zakłócenie Mocy – ostrzegł go o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

– Rany! – wrzasnął Anakin, spoglądając w dół, na kabinę turbowindę mknącą wprost na niego. Przyłgął do metalowej prowadnicy i skierował otwartą dłoń ku rozpędzonej windzie. Posłał potężną dawkę Mocy, lecz nie po to, by zatrzymać kabinę, ale po to, by odepchnąć się od niej i polecieć w górę szybu. Uniósł się wystarczająco szybko, by zmienić pozycję i w miarę miękko wylądować na dachu turbowindy.

Znowu sięgnął po miecz i wbił świetlistą klingę w zamek włazu. Nie zważając na paniczne krzyki pasażerów, uniósł klapę, wyłączył broń i chwyciwszy się krawędzi otworu, z efektownym przewrotem wskoczył do środka.

– Poziom garaży? – rzucił pytająco w stronę pary oszołomionych senatorów, Sullustanina i człowieka.

– Czterdzieści siedem! – odpowiedział natychmiast wyższy.

– Za późno – dodał niepozorny Sullustanin, wskazując na błyskawicznie zmieniające się wskazania wyświetlacza. – Następny jest na sześćdziesiątym którymś... – zaczął senator, ale Anakin nie słuchał. Huknął pięścią w klawisz hamulca, a kiedy winda nie stanęła, ponownie skorzystał z Mocy, sięgając bezpośrednio do mechanizmów spowalniających bieg kabiny i naciskając na nie z całej siły.

Winda stanęła, jakby uderzyła w niewidzialną barierę, a wszyscy trzech pasażerowie unieśli się w powietrze. Lądowanie Sullustanina było raczej twarde.

Anakin zaczął tłuc pięścią w drzwi i krzyczeć, by ktoś je otworzył. Opanował się, czując na ramieniu czyjąś dłoń. To wyższy z dwóch senatorów uniesionym w górę palcem nakazywał niecierpliwemu Jedi zaczekać.

Pasażer wcisnął wyraźnie oznaczony klawisz na panelu sterującym i drzwi turbowindy rozsunęły się posłusznie.

Anakin wzruszył ramionami i uśmiechnął się z zakłopotaniem, po czym padł na podłogę i wsunął się w szczelinę pod stropem oddzielającym dwa poziomy korytarza. Biegł jak szalony, najpierw w lewo, potem w prawo, nim dostrzegł balkon przylegający do hangaru maszyn. Popędził w jego stronę, przeskoczył przez balustradę i wylądował pośród równo zaparkowanych śmigaczy. Jeden z nich, żółty, o smukłym dziobie, był otwarty. Padawan wskoczył do środka, uruchomił silnik i z ogromną prędkością wystartował z platformy, kierując maszynę ku strumieniom pojazdów przepływającym po niebie w różnych kierunkach.

Nabierając wysokości, zastanawiał się gorączkowo nad tym, dokąd właściwie powinien lecieć. Po której stronie budynku się znajduje? Gdzie jest okno, przez które wyskoczył Obi-Wan? Jaki kurs obrał umykający robot?

Rozważywszy wszystkie możliwości, uczeń Jedi doszedł do wniosku, że tylko dwie rzeczy mogą naprowadzić go na ślad nauczyciela: głupie szczęście albo...

Padawan zagłębił się w Moc, poszukując w niej sygnału, który mógłby zidentyfikować jako emanację umysłu swojego mistrza.



Zam Wesell oparła się o burte śmigacza, niecierpliwie bębniąc palcami w rękawicach o dach starego pojazdu. Miała na głowie za duży purpurowy hełm, z wąskim, prostokątnym otworem, przez który widać było jej oczy. Metal zasłaniał domniemane piękno jej twarzy, za to doskonale dopasowany kombinezon podkreślał każdą krągłość kobiecego ciała.

Zam zazwyczaj nie zastanawiała się nad swoim wyglądem; zresztą akurat w tej misji nie miało znaczenia to, czy wyróżnia się z tłumu, ale to, że potrafi wtopić się weń i zniknąć. *Zdarzały* się jednak i takie zadania, w których jej pozornie kobiecy wdzięk okazywał się bardzo pomocny: zbliżała się wtedy do celu, wykorzystując oczywistą słabość mężczyzn.

Ale tym razem wdzięk nie mógł jej pomóc i Zam dobrze o tym wiedziała. Zlecono jej zamordowanie senator, doskonale strzeżonej przez bezgranicznie oddaną gwardię, której członkowie byli gotowi bronić jej jak własnego dziecka. Zam zastanawiała się nawet, czym ta młoda kobieta ściągnęła na swoją głowę gniew jej zleceniodawców. Jednak jako zawodowy zabójca, Zam nie pozwalała sobie na zbyt głębokie analizowanie takich kwestii. To nie należało do jej obowiązków. Nie zamierzała być strażnikiem niczyjej moralności; nie chciała rozstrzygać o tym, czy staje się narzędziem sprawiedliwości, czy zbrodni. Była narzędziem, działała jak maszyna. Była wykonawcą woli swoich pracodawców i niczym więcej.

Skoro więc Jango zlecił jej zabicie Amidali, zamierzała to zrobić, a potem wrócić po zapłatę i zająć się nowymi zadaniami. Jej plan był prosty i logiczny.

Zam długo nie mogła uwierzyć, że ładunek wybuchowy, który podłożyła na lądowisku, nie spełnił swego zadania. Wzięła sobie tę lekcję do serca – zrozumiała, że niełatwo będzie obnażyć i wykorzystać słabości senator Amidali.

Kobieta odmieniec rąbnęła pięścią w dach śmigacza. Nie cierpiała tych rzadkich na szczęście sytuacji, kiedy była zmuszona korzystać z pomocy robotów: bezduszne maszyny pozbawiały ją przyjemności osobistego wykonania zlecenia.

Teraz jednak w otoczeniu Amidali pojawili się Jedi, a Zam Wesell,

która знаła ich tylko z plotek, jakoś nie miała ochoty wdawać się w walkę z którymś z tych fanatyków.

Spojrząwszy na czasomierz wbudowany w deskę rozdzielczą śmigacza, ponuro skinęła głową. O tej porze zadanie powinno już być wykonane. Jadowite kouhuny zostały dostarczone na miejsce, a najmniejsze zadrapanie pokrytym trucizną żądłem któregoś z nich oznaczało szybką śmierć ofiary.

Zam wyprostowała się nagle, tknięta niemiłym przeczuciem.

Najpierw usłyszała krzyk – zaskoczenia lub bólu – a kiedy rozejrzała się dokoła, jej ukryte za wizjerem hełmu oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Wpatrywała się przez chwilę w robota zabójcę, którego osobiście programowała, a który teraz kluczył między strzelistymi budynkami z mężczyzną w szatach Jedi uczeptionym jego korpusu. Szybko zapanowała nad strachem i uśmiechnęła się szeroko, widząc, jak automat próbuje się bronić. Rozpędzony robot sondujący uderzył w ścianę drapacza chmur, nieomal strącając upartego Jedi. Kiedy zorientował się, że to nie wystarczyło, zanurkował między sznury pojazdów i ustawił się za jednym ze śmigaczy, tuż pod otworem wydechowym.

Jedi wił się i szarpał na wszystkie strony, jakimś cudem unikając strumienia gorących gazów. Robot zmienił taktykę: skreślił, próbując przelecieć tuż nad dachem jednego z budynków.

Zam podziwiała to widowisko szeroko otwartymi oczami. Była pod wrażeniem umiejętności rycerza Jedi, który nie dał się zmiażdżyć o krawędź gmachu, ale w ostatniej chwili podciągnął się wyżej i począł biec po dachu za sunącym szybko robotem. Był naprawdę dobry!

Dla pewnej siebie łowczyni nagród było bardzo interesujące widowisko, ale musiała działać. Pochyliła się i wyjęła z kabiny śmigacza długi karabin blasterowy. Wycelowawszy spokojnie, posłała w powietrze serię błyskawic, które przemknęły obok robota i walczącego o życie Jedi.

Zam uniosła głowę znad celownika, zszokowana faktem, iż przeciwnik zdołał jakimś cudem uniknąć strzałów lub – jak podejrzewała – odbić je, używając mocy Jedi.

– Spróbuj zablokować coś takiego – mruknęła łowczyni, unosząc karabin po raz drugi. Wymierzyła w pierś mężczyzny, lecz po namyśle uniosła nieco lufę i nacisnęła spust.

Robot sondujący eksplodował.

Jedi runął w dół i zniknął z celownika.

Zam westchnęła cicho i wzruszyła ramionami przekonana, że warto było poświęcić automat dla takiego widowiska. A także dla zwycięstwa, pomyślała z nadzieją. Jeżeli pani senator Amidala leży teraz martwa, to cena robota była zaiste nic nieznaczącą kwotą; honorarium, które obiecano łowczyni za wykonanie zlecenia, przekraczało jej najśmielsze marzenia.

Kobieta odmieniec wsunęła karabin do kabiny śmigacza, sama zaś pochyliła się nisko i wślizgnęła na fotel pilota, by czym prędzej znaleźć się na ruchliwych szlakach komunikacyjnych Coruscant.

Obi-Wan spadał i krzyczał. Dziesięć pięter. Dwadzieścia. Tym razem w repertuarze sztuczek rycerza Jedi nie było ani jednej, która byłaby przydatna w takiej sytuacji. Mistrz rozglądał się bezradnie, lecz nie dostrzegł w pobliżu niczego, czego mógłby się złapać; żadnego tarasu czy choćby solidnego gzymsu.

Tylko pięćset pięter dzielących go od ziemi.

Próbował zapanować nad strachem, zatopić się w Mocy i z godnością przyjąć nieuchronny koniec.

I wtedy właśnie tuż obok niego pojawił się śmigacz, a tuż nad jego burtą – zuchwale uśmiechnięta twarz niepokornego padawana. Obi-Wan Kenobi nie przypominał sobie, by kiedykolwiek tak się ucieszył na widok jakiegokolwiek istoty.

– Autostopowicze zwykle ustawiają się na platformach – poinformował go Anakin, manewrując pojazdem tak, by Obi-Wan mógł chwycić się karoserii. – Choć, oczywiście, nowatorskie posunięcia przyciągają uwagę pilotów.

Obi-Wan był zbyt zajęty wpełzaniem na fotel pasażera, by odciąć się uczniowi. Wreszcie udało mu się usiąść obok Anakina.

– Omal cię nie straciłem – zauważył padawan.

– Żartujesz. Co zajęło ci tyle czasu?

Anakin przybrał niedbałą pozę, opierając lewe ramię na krawędzi drzwi otwartego śmigacza.

– Wiesz, mistrzu – odezwał się beztrósco – jakoś nie mogłem znaleźć odpowiedniej maszyny. Potrzebowałem takiej z otwartą kabiną, a przy tym dostatecznie szybkiej, by dopędzić twój niezwykle pojazd. Poza tym musiałem dobrać odpowiedni kolor...

Tam! wykrzyknął nagle Obi-Wan, wskazując ręką na śmigacz z zamkniętą kabiną, przy którym chwilę wcześniej widział tajemniczego zabójcę z karabinem. Stara maszyna sunęła nieco wyżej i Anakin musiał mocno pociągnąć za ster i drążek, by ruszyć w pościg.

Niemal natychmiast z okna uciekającego pojazdu wysunęła się ręka z pistoletem blasterowym, którego lufa kilkakrotnie wypluła ogień.

– Gdybyś poświęcał tyle samo czasu na ćwiczenia z mieczem, ile spędzasz na ostrzeniu dowcipu, dorównałbyś Mistrzowi Yodzie w sztuce fechtunku, młody padawanie! – rzucił zgryźliwie Obi-Wan miotany na wszystkie strony w rytmie uników, które próbował wykonywać Anakin.

– Zdawało mi się, że już mu dorównałem.

– Tylko w myślach, mój bardzo młody padawanie – odparował Kenobi. Zaraz potem krzyknął i pochylił się odruchowo, gdy śmigacz przeciął zatłoczoną trasę, omal nie zderzając się z kilkoma pojazdami.

– Uważaj! Zwolnij trochę! Przecież wiesz, że nie lubię, kiedy tak robisz!

– Przepraszam, mistrzu, zapomniałem, że nie przepadasz za lataniem! – odkrzyknął Anakin. Ostatnie słowo wypowiedział znacznie wyższym tonem, gdyż dokładnie w tym momencie prowadzona jego ręką maszyna zanurkowała gwałtownie, unikając ostrzału upartego łowcy nagród.

– Nie mam nic przeciwko lataniu – wyksztusił Obi-Wan. – Ale to, co teraz robisz, to nie lot, tylko samobójstwo! – Żołądek podszedł mu do gardła, kiedy padawan ściągnął stery w prawo i pchnął w dół, przyspieszając lot maszyny, by po chwili przemknąć przez kolejny szlak powietrzny i szarpnięciem sterów w lewo i do siebie wrócić na

poprzedni kurs – tylko po to, żeby znowu znaleźć się w polu ostrzału.

Nagle uciekający pojazd skręcił gwałtownie, a obaj Jedi jak na komendę wybałuszyli oczy i wrzasnęli dziko, widząc pędzący wprost na nich pociąg powietrzny.

Obi-Wan znowu poczuł gorycz w ustach, lecz i tym razem Anakin zdołał uniknąć zderzenia. Kenobi zerknął na padawana i stwierdził, że młodzieniec stara się sprawiać wrażenie spokojnego, wręcz rozluźnionego.

– Mistrzu, przecież wiesz, że umiałem latać, zanim nauczyłem się chodzić – odezwał się Skywalker, uśmiechając się chytrze. Jestem w tym naprawdę dobry.

– Zwolnij trochę – polecił mu w odpowiedzi Obi-Wan, głosem sugerującym jednoznacznie, że znamienity rycerz Jedi za chwilę zwymiotuje.

Anakin zignorował rozkaz. Przyspieszył nawet, kontynuując pościg za zabójcą sunącym teraz w stronę rzeki powietrznych ciężarówek. Śmigacz kluczył dokoła, mijając wielkie maszyny i manewrując wokół olbrzymich budowli, a przy tym uparcie trzymając się na ogonie uciekającego pojazdu. W końcu padawan zadarł dziób maszyny, kierując ją w górę wzdłuż ściany smukłego gmachu.

– Nie zgubi mnie – oświadczył dumnie. – Jest coraz bardziej zdesperowany.

– To świetnie – odparł drwiąco Obi-Wan. – Zaczekaj... – dodał po chwili, gdy śmigacz znalazł się na wprost tunelu. – Nie wlatuj tam!

Lecz Anakin właśnie to zrobił, tylko po to, by niemal natychmiast zawrócić, umykając przed olbrzymim pociągiem. Okrzyk trwogi w wykonaniu Obi-Wana nie ustępował mocą dźwiękowi ostrzegawczej syreny rozpędzonego kolosa.

– Przecież wiesz, że nie cierpię, kiedy to robisz!

– Przepraszam, mistrzu – odpowiedział bez przekonania padawan. – nie martw się. Gość zabije się lada chwila.

– Więc pozwól mu zginąć samotnie! – warknął rozsierdzony Kenobi.

Przez moment obserwowali, jak śmigacz zabójcy wciska się między sznury pojazdów, a potem włącza w jeden z nich, mknąc pod

prąd.

Anakin bez zastanowienia skierował maszynę jego śladem.

Oba śmigacze kluczyły wściekle, przy czym z pojazdu zabójcy raz po raz padały blasterowe strzały. Nagle pojazd przyspieszył, wystrzelił świecą ku górze i wywinął pętlę. Zam Wesell znalazła się tuż za plecami dwóch Jedi.

– Świetny ruch – pogratulował Anakin. – Ale ja też mam coś dla ciebie – dodał, z całych sił naciskając hamulec i odwracając ciąg silników. Nieprzyjacielska maszyna sprawnie powtórzyła ten manewr i w okamgnieniu zawisła burta w burtę z żółtym śmigaczem.

Zamaskowany zabójca wymierzył w Obi-Wana.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął Kenobi. – Zaraz mnie zabije!

– Racja – zgodził się Anakin, gorączkowo manipulując sterami. – o nie był dobry pomysł.

– Miło, że zauważyłeś – mruknął skulony w fotelu Mistrz Jedi. Zaraz potem jego ciało podskoczyło bezwładnie, gdy pojazd opadł gwałtownie i skręcił tak, by znaleźć się tuż pod „brzuchem” drugiej maszyny.

– Teraz nie będzie do nas strzelał – oznajmił z dumą padawan. Jego radość nie trwała jednak długo: przeciwnik natychmiast zrozumiał nową taktykę Jedi i skręcił gwałtownie, wyskakując ze strumienia pojazdów w kierunku najbliższego budynku. Mknął pod takim kątem, by przelecieć tuż nad krawędzią dachu.

Obi-Wan chciał wykrzyknąć imię Anakina, ale wyksztusił tylko: „Ananananana”. Ich pojazd z zadartym dziobem przemknął nad budynkiem... i znalazł się pod kadłubem ogromnego statku, wolno obniżającego pułap lotu.

– Ląduje! – wrzasnął Obi-Wan. – Na nas! – dodał zdesperowany, widząc, że Anakin nie reaguje dostatecznie szybko. Padawan szarpnął sterami, kierując maszyną w bok, ścinając wieńczący budynek maszt i zrywając flagę.

– Zdejmij to – odezwał się spokojnie chłopak, ruchem głowy wskazując na strzępy sukna, które przyczepiły się do obudowy wlotów powietrza.

– Co?

– Zdejmij flagę! Prędeż; tracimy moc!

Mrucząc pod nosem, Obi-Wan wypełził z kabiny i niezgrabnie wsunął się na przednią maskę pojazdu. Wyciągnął rękę i zdarł poszarpany materiał, a wtedy śmigacz skoczył naprzód, nieomal strącając go na ziemię.

– Nie rób tak! – ryknął Kenobi. – Nie cierpię tego!

– Przepraszam, mistrzu.

– Leci w stronę elektrowni. Uważaj. Nie leć za blisko złącz mocy, to niebezpieczne.

Anakin minął jedno ze złącz. W tym samym momencie potężne wyładowanie elektryczne przecięło powietrze tuż obok śmigacza.

– Zwolnij! – zakomenderował Obi-Wan. – Zwolnij! Nie leć tam! Ale Anakin już to zrobił, szarpiąc sterami to w prawo, to w lewo.

– Co ty wyprawiasz?!

– Przepraszam, mistrzu!

Dokoła pojawiała się coraz więcej wyładowań. Pojazd kluczył w szaleńczym tańcu, nim wreszcie bezpiecznie minął rzędy przekaźników.

– No, to było dobre – przyznał Obi-Wan.

– To było szaleństwo – odparł drżącym głosem Anakin. Mistrz Jedi spojrzał na niego z ukosa. Widząc bladozielonkawą twarz ucznia, jęknął cicho i ukrył twarz w dłoniach.

– Teraz go mamy! – krzyknął triumfalnie Anakin. Śmigacz zabójcy zniknął właśnie w wąskim prześwicie między dwoma gmachami.

Anakin pomknął za nim, lecz tuż za zakrętem przekonał się, że leci wprost na pojazd zaparkowany w poprzek prześwitu, a z jego kabiny wychyla się postać z karabinem blasterowym.

– A niech to – jęknął.

– Stój! – zawołał Obi-Wan i w tej samej chwili obaj pochylili się nisko pod jaskrawymi smugami laserowych strzałów.

– Nie, uda się nam przelecieć! – odkrzyknął Anakin, otwierając szerzej przepustnicę.

Śmigacz Jedi przemknął tuż pod maszyną Zam i skreślił gwałtownie w stronę niedużego otworu w ścianie budynku. W środku znajdowała się płatanina rur. Pojazd przechylił się i nawrócił w

pełnym pędzie, mijając o włos potężny dźwig i zahaczając ogonem o kilka wsporników. z uszkodzonej konstrukcji buchnęła wielka kula płonącego gazu, która omal nie strawiła żółtego śmigacza. Pojazd zaczął wirować, z impetem uderzył o sąsiednią budowlę i wreszcie znieruchomiał.

Anakin skrzywił się, spodziewając się ostrej reprimendy, ale kiedy po chwili odważył się spojrzeć na Obi-Wana, stwierdził, że Mistrz Jedi siedzi nieruchomo, patrząc przed siebie szeroko otwartymi oczami i monotonnym głosem powtarza:

– Zwariowałem, zwariowałem, zwariowałem...

– Przecież się udało – zauważył nieśmiało Anakin.

– Nie, nie udało się! – ryknął Obi-Wan. – Jesteśmy unieruchomieni, a ty omal nas nie zabiłeś!

Anakin spuścił głowę, spojrzął na swoje dłonie i niespokojnie poruszył palcami.

Zdaje się, że jeszcze żyjemy – powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu, w nadziei, że uda mu się rozbroić rozwścieczonego mistrza. Ale Obi-Wan wciąż wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować.

– To była czysta głupota! – zagrzmał.

Anakin gorączkowo próbował uruchomić napęd śmigacza.

– Ale mogło się udać – zaprotestował. Uśmiechnął się pewniej, gdy silnik z rykiem obudził się do życia.

– Nie, nie mogło! A w dodatku zgubiliśmy go!

Nim przebrzmiały słowa Obi-Wana, z nieba sypnęła się seria błyskawic. Jedi zadarli głowy i ujrzeli znikający za szczytem budynku śmigacz zabójcy.

– Nie zgubiliśmy – odparł z uśmiechem Anakin, ruszając z miejsca tak energicznie, że przyspieszenie wgniotło ich w miękkie fotele. Obi-Wan wychylił się na zewnątrz, by ugasić małe płomienie, które pełzały po obudowie maszyny.

Znowu ścigali zabójcą, przecinając starannie wytyczone szlaki powietrzne i raz po raz unikając zderzenia z innymi pojazdami. Wreszcie nieprzyjaciel nabrał wysokości i uskoczył w lewo, między dwa gmachy. Anakin zareagował natychmiast, kierując pojazd w



prawo i nieco wyżej.

– Co robisz? – spytał zaskoczony Obi-Wan. – Nie widziałeś, dokąd poleciał?

– To jest skrót. Mam nadzieję.

– Jak to „masz nadzieję”? Jaki „skrót”? Przecież tamten skręcił w przeciwną stronę! Znowu go zgubiłeś!

– Mistrzu, jeśli pozwolimy, żeby ten pościg potrwał dłużej, ten łądak w końcu się rozbije. – Anakin próbował zachować spokój. – Jeśli mam być szczery, wolałbym raczej złapać go i dowiedzieć się, dla kogo pracuje.

– Ach tak – wycedził Obi-Wan, głosem wprost ociekającym sarkazmem. – dlatego poleciliśmy w złą stronę.

Anakin wzniósł maszynę jeszcze wyżej, zawrócił i zawiesił ją nieruchomo w powietrzu, mniej więcej pięćdziesiąt pięter nad poziomem ulic.

– Zgubiłeś go i tyle – orzekł Obi-Wan.

– Strasznie mi przykro, mistrzu – odpowiedział Anakin nieszczerze, jakby zależało mu tylko na tym, by wreszcie uciąć narzekania mistrza. Jedi spojrzał na niego twardo, gotów upomnieć go surowo, ale nie odezwał się, ponieważ zauważył, że skoncentrowany młodzieniec liczy coś, bezgłośnie poruszając ustami.

– Przepraszam na chwilę rzekł padawan. A potem wstał i na oczach wstrząśniętego Obi-Wana po prostu wysiadł ze śmigacza.

Kenobi wychylił się za burtę w chwili, gdy Anakin lądował pięć pięter niżej, na dachu znajomo wyglądającego pojazdu.

– Nie znoszę, kiedy robi coś takiego – mruknął z niedowierzaniem Obi-Wan, kręcąc głową.

Zam Wesell prowadziła maszynę w pobliżu ścian budynków, unikając zatłoczonych tras. Chociaż nie była pewna, czy robot zabójca wykonał swoje zadanie, humor i tak jej dopisywał: przed chwilą udało jej się przechytryć dwóch rycerzy Jedi.

Nagle jej śmigacz zatrząsał się od potężnego uderzenia. W pierwszej chwili sądziła, że to strzał z blastera, ale wskazania przyrządów

zdradziły naturę „pocisku”. Wiedziała, kto mógł wylądować na dachu pojazdu.

Zam zamknęła przepustnicę, a potem otworzyła ją do maksimum. Śmigacz szarpnął gwałtownie do przodu, a nagle przyspieszenie omal nie strąciło Anakina. O mało nie zjechał na ogon pojazdu, ale mocno trzymał się pancerza i – ku wściekłości Zam – zaczął pełznąć w kierunku kabiny.

Łowczyni parsknęła drwiąco, a potem huknęła obcasem w hamulec, tak, że padawan przeleciał nad kabiną. Zdołał jednak chwycić się przedniego zawieszenia i nie zamierzał go puszczać.

Zam znowu przyspieszyła i sięgnęła po pistolet blasterowy, by postać w stronę Anakina serię śmiercionośnych błyskawic. Mierzyła jednak pod złym kątem – nie trafiła ani razu, a padawan wytrwale pełził w stronę kabiny, nie zważając na coraz bardziej gwałtowne manewry pojazdu. Zam zdekoncentrowała się na moment i jej twarz na ułamek sekundy powróciła do zwykłej formy, właściwej samicom Clawdite.

Łowczyni nagród zakłęta cicho i skierowała śmigacz ku zatłoczonym szlakom, myśląc intensywnie, w jaki sposób pozbyć się upartego Jedi. Znowu wprowadziła maszynę w serię najdziwniejszych manewrów, jakie przyszły jej do głowy, pomалу dochodząc do wniosku, że najlepiej będzie zbliżyć się do któregoś z większych pojazdów i po prostu uwędzić natręta w chmurze gazów z otworów wydechowych.

I właśnie kiedy miała wcielić w życie swój plan, rozpalone, błękitne ostrze energetyczne przebiło dach śmigacza i wbiło się w fotel tuż obok niej. Spojrzawszy w górę, przekonała się, że nieustępliwy Jedi zaczyna wycinać dziurę w poszyciu.

Oddała w jego stronę kilka strzałów i wreszcie z ulgą zauważyła, że wytrąciła miecz z dłoni napastnika, choć, niestety, nie była pewna, czy w ślad za bronią podążył także jej właściciel.

Obi-Wan dojrzał wreszcie umykający śmigacz Zam oraz Anakina próbującego utrzymać się na dachu w momencie gdy z dłoni tamtego

wypadał miecz świetlny.

Mistrz pokręcił głową i skierował żółty pojazd kursem przechwytyjącym ku widocznej w dole ulicy.

Kiedy Anakin wcisnął rękę przez otwór w dachu, Zam natychmiast wymierzyła w jego stronę z pistoletu. Padawan nawet nie próbował jej chwycić; po prostu otworzył pięść, a wtedy, nim łowczyni zdążyła wypalić, niewidzialna siła wyrwała jej broń i wcisnęła ją w dłoń Jedi.

– Nie! – krzyknęła zdumiona Zam i obróciła się na fotelu pilota, puszczając przyrządy sterownicze, by oburącz pochwycić pistolet. Walka o broń w coraz mniej stabilnym śmigaczu trwała do chwili, w której przypadkowy strzał przebił podłogę i rozerwał przewody układu sterowniczego.

Teraz sterowanie koziółkującym pojazdem było już niemożliwe. Zam szybko rzuciła się do przyrządów kontrolnych, ale jej wysiłki były daremne.

Śmigacz wszedł w lot nurkowy i spiralnym kursem poniósł krzyczących z przerażenia pasażerów w stronę kanionu ulicy.

Wreszcie, w ostatniej chwili, Zam dokonała niemożliwego: udało jej się zapanować nad pojazdem na tyle, by zmienić czołowe zderzenie z dziurawym chodnikiem w podłej dzielnicy Coruscant w długi poślizg, który skrzesał iskry z metalowego brzucha śmigacza.

Wrak zatrzymał się gwałtownie na krawężniku, Anakin zaś szerokim łukiem poleciał w powietrze i przekoziółkował po brudnym trotuarze. Kiedy się zatrzymał, zobaczył zabójczynię wyskakującą ze śmigacza i znikającą w głębi ulicy. Zerwał się na równe nogi i pognął za nią.

Bryzgi błota z kałuży, w którą wdepnął, ocuciły go nieco i uświadomił sobie, gdzie się znalazł; trafił do podziemi Coruscant, na brudne i cuchnące ulice. Zwolnił – łowczyni nagród i tak zniknęła mu z oczu – rozejrzał się ciekawie, dostrzegając w półmroku sylwetki podejrzanych indywiduów, w większości należących do obcych ras. Padawan skrzywił się z niesmakiem i niedowierzaniem, widząc siedzących tu i ówdzie żebraków.

Szybko jednak otrząsnął się z zaskoczenia, przypominając sobie, dlaczego znalazł się w tym dziwnym miejscu, a także o Padmé i grożącym jej niebezpieczeństwie. To pobudziło go do działania, puścił się więc biegiem po zdewastowanym chodniku i po chwili znowu zobaczył sylwetkę zabójcy, która właśnie próbowała wmieszać się w tłum odrażających osobników. Anakin zaczął rozpychać się w gęstej ciżbie, ale nie był w stanie nadążyć za uciekającą.

Miał jednak szczęście; jeszcze raz udało mu się wypatrzeć hełm łowczyni nagród, dokładnie w chwili, gdy zniknęła w drzwiach budynku.

Padawan dotarł do miejsca, w którym stracił ją z oczu i zadarł głowę, by przyjrzeć się neonowi zapraszającemu do jaskini hazardu. Niezniechęcony, skierował się w stronę drzwi wejściowych, lecz w pół drogi zatrzymał go znajomy głos mistrza.

Żółty śmigacz lądował właśnie po przeciwnej stronie ulicy.

– Anakinie! – powtórzył Obi-Wan, idąc w kierunku ucznia. Miał w ręce jego miecz.

– Weszła do tego klubu, mistrzu!

Kenobi uniósł rękę w uspokajającym geście, nie zauważając nawet, że mówiąc o umykającym zabójcy, padawan użył żeńskiej formy.

– Cierpliwości – rzekł. – Użyj Mocy, Anakinie. Pomyśl.

– Przepraszam, mistrzu.

– Wszedł tam po to, żeby się ukryć; nie po to, żeby uciekać.

– Tak, mistrzu.

Obi-Wan skinął mieczem w stronę młodzieńca.

– Następnym razem postaraj się go nie zgubić.

– Przepraszam, mistrzu.

Kiedy Anakin wyciągnął rękę po swoją broń, Obi-Wan spojrzał surowo w oczy padawana i schował miecz za siebie.

– Miecz świetlny jest najcenniejszym przedmiotem, jaki posiada rycerz Jedi.

– Tak, mistrzu. – Anakin ponownie sięgnął po broń, a Obi-Wan i tym razem mu jej nie oddał. Nie spuszczał wzroku z twarzy ucznia.

– Jedi musi mieć go przy sobie w każdej sytuacji.

- Wiem, mistrzu – odparł Anakin lekko rozdrażniony.
- Ta broń jest twoim życiem.
- Słyszałem już to. – Wzrok Obi-Wana złagodniał. Mistrz podał padawanowi miecz, a ten bez słowa przypiął broń do pasa.
- Ale niczego się nie nauczyłeś, Anakinie – odrzekł po chwili Jedi, odwracając się wolno.
- Staram się, mistrzu.

Obi-Wan wyczuł w jego głosie szczerą i może odrobinę żalu, które przypomniały mu o tym, w jak skomplikowanych okolicznościach mały Anakin dołączył do Zakonu. Skywalker był na to zdecydowanie za duży – miał prawie dziesięć lat – lecz mimo to Mistrz Qui-Gon wziął go na swego ucznia, nie zważając na sprzeciw Rady. Mistrz Yoda od początku przeczuwał, że Anakin Skywalker może być groźny; chłopiec dysponował największym potencjałem Mocy, jaki kiedykolwiek odkryto u żywej istoty. Z drugiej jednak strony, naukę w Zakonie Jedi należało podejmować znacznie wcześniej. Moc była nazbyt potężnym narzędziem – a może właśnie nie była narzędziem, i na tym polegał cały problem. Tylko nierozważny Jedi mógł traktować Moc jako narzędzie, jako środek do realizacji własnych celów. Dla prawdziwego rycerza była partnerem zmierzającym podobnym kursem, ścieżką do rzeczywistej harmonii i pełnego zrozumienia.

Kiedy Qui-Gon zginął z rąk Lorda Sithów, Rada Jedi zrewidowała swoją decyzję co do młodego Anakina, powierzając go opiece Obi-Wana, który dzięki temu mógł bez przeszkód spełnić obietnicę daną konającemu mistrzowi. Prawdą jednak było i to, że przywódcy Zakonu uczynili to niechętnie. Yoda sprawiał przy tym wrażenie zrezygnowanego, jakby wydarzenia potoczyły się ku rozwiązaniu nieuniknionemu, a niepożądanemu czy choćby zadowalającemu. Nie cichły też szeptane poglądy, jakoby Anakin był Wybrańcem – tym, który przywróci równowagę Mocy.

Obi-Wan nie był pewien, co to może oznaczać, ale myślał o tej sprawie z odrobiną lęku. Spojrzał na Anakina, który stał przy nim cierpliwie, jak uczeń z pokorą przyjmujący słowa mistrza. Zachowanie młodzieńca podniosło Kenobiego na duchu. Tak, ten

zuchwały i uparty padawan zdecydowanie dał się lubić.

Obi-Wan ukrył uśmiech tylko dlatego, że nie chciał, by Anakin poczuł się zbyt łatwo rozgrzeszony za brak rozsądku i zgubienie miecza.

Zakaszła lekko, starając się ukryć chichot. Przecież nie tak dawno on sam wyskoczył przez okno dobrych sto pięter ponad ulicami Coruscant.

Mistrz Jedi pierwszy wszedł do szulerni. W zadymionym wnętrzu kłębił się spory tłum ludzi i obcych popijających drinki najrozmaitszych kolorów i przez fajki o wymyślnych kształtach wdychających opary egzotycznych roślin. Pod szatami wielu gości widać było wypukłość sugerującą ukrytą broń. Rozejrzawszy się dokoła, Jedi pojęli, że w tym lokalu każdy może być ich wrogiem.

– Dlaczego mam przecucie, że ty mnie kiedyś wykończysz? – mruknął Obi-Wan, wracając do przerwanej rozmowy.

– Nie mów tak, mistrzu – zaproponował Anakin z powagą, która zaskoczyła Kenobiego. – Jesteś dla mnie jak ojciec. Kocham cię i nigdy nie sprawiłbym ci bólu.

– Więc dlaczego mnie nie słuchasz?

– Będę słuchał – odrzekł gorliwie Anakin. – Poprawię się. Obiecuję. Obi-Wan skinął głową i raz jeszcze rozejrzał się po sali.

– Widzisz go gdzieś?

– To „ona”, mistrzu.

– W takim razie bądź ostrożny – odparł Kenobi, parszkając cichym śmiechem.

– Poza tym to chyba odmieniec – dodał Anakin. Obi-Wan skinął głową w stronę tłumu miłośników hazardu.

– Idź, znajdź ją – polecił, po czym ruszył w przeciwną stronę.

– Dokąd to, mistrzu?

– Idę się napić – padła krótka odpowiedź.

Anakin zamrugał ze zdziwienia, obserwując nauczyciela, który zaczął przepychać się w stronę baru. Chciał ruszyć za nim, by zadać jeszcze kilka pytań, ale przypomniał sobie burę, którą otrzymał przed paroma minutami oraz obietnicę poprawy i posłuszeństwa. Odwrócił się i wszedł w tłum, próbując nie zwracać uwagi na podejrzliwe lub

otwarcie wrogie spojrzenia gości szulerni.

Stanąwszy przy barze, Obi-Wan kątem oka obserwował przez chwilę swojego ucznia. Potem dał znak barmanowi i z uwagą przyglądał się, jak ten stawia przed nim pustą szklanę i nalewa do niej bursztynowy.

– Kupisz pan działkę igiełek śmierci? – odezwał się z boku czyjś gardłowy głos.

Obi-Wan nie odwrócił się nawet, by spojrzeć na typa z czarną czupryną, z której sterczały dwie antenki podobne do skrzyconych rogów.

– Nikt nie ma lepszych igiełek śmierci niż Elan Sleazebaggano – dodał handlarz, uśmiechając się złowieszczo.

– Nie chcesz mi sprzedać igiełek śmierci – odparł chłodno Jedi, wykonując dyskretny ruch palcami i wzmacniając słowa potęgą Mocy.

– Nie chcę ci sprzedać igiełek śmierci – powtórzył posłusznie Elan Sleazebaggano.

– Chcesz pójść do domu i zastanowić się nad swoim życiem.

– Chcę pójść do domu i zastanowić się nad swoim życiem – zgodził się potulnie Elan, po czym odwrócił się i odszedł.

Obi-Wan wychylił drinka i gestem poprosił barmana o dolewkę.

Tymczasem Anakin kontynuował poszukiwania. Wydawało mu się, że coś jest nie w porządku, ale czy mógł oczekiwać czegoś innego, przekraczając próg takiego lokalu? A jednak uczucie niepokoju nie ustępowało; czające się gdzieś zło przybierało na sile i unosiło niczym mgła nad głowami gości.

Padawan nie widział pistoletu wysuwanego z kabury i kierowanego w stronę pleców niczego niespodziewającego się Obi-Wana.

Nie widział, ale czuł...

Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak mistrz obraca się płynnie i zapala miecz świetlny. W oczach Anakina akcja rozgrywała się jak w zwolnionym tempie, choć w rzeczywistości Obi-Wan poruszał się ze śmiertelnoścą prędkością i precyzją. Świetliste błękitne ostrze – identyczne jak to, którym posługiwał się padawan – zakreśliło w powietrzu pionową pętlę, a zaraz potem drugą, nieco

bliżej ciała przeciwnika. Niosła zabójczym – teraz dopiero, kiedy zdjęła hełm, Jedi mogli upewnić się, że była kobietą – krzyknęła z bólu, a jej ręka, wciąż jeszcze zaciśnięta na kolbie pistoletu, wylądowała na posadzce, gładko ucięta powyżej łokcia.

W sali zapanował chaos. Anakin ruszył w stronę mistrza, przeciskając się między emanującymi niespokojną energią bywalcami lokalu.

– Spokój! – zawołał donośnym, wspartym przez Moc głosem, unosząc rękę. – To sprawa oficjalna. Wracajcie do swoich trunków.

Powoli, bardzo powoli, goście się uspokajali. Tu i ówdzie podejmowano przerwane rozmowy. Obi-Wan skinął na ucznia, by z jego pomocą wynieść ranną na ulicę.

Ułożyli ją ostrożnie na chodniku. Zam Wesell ocknęła się, gdy tylko Obi-Wan zaczął opatrywać kikut jej ramienia. Warknęła wściekle i skrzywiła się z bólu, spoglądając nienawistnie na dwóch Jedi.

– Czy wiesz, kogo próbowałaś zabić? – spytał Obi-Wan.

– Panią senator z Naboo – odrzekła obojętnie łowczyni nagród.

– Kto cię wynajął?

Clawdite spojrzała na nich chłodno.

– To było zwyczajne zlecenie.

– Mów! – ponaglił ją Anakin, lecz Zam nawet nie mrugnęła.

– Ona i tak wkrótce zginie – dorzuciła. – Nie jestem ostatnia. Za taką cenę, jaką oferują za jej głowę, łowcy nagród będą się ustawiać w kolejce. Bądźcie pewni, że następny nie powtórzy moich błędów – dokończyła, pojękując z bólu, choć z pewnością należała do najtwardszych.

– Ranę musi obejrzeć medyk – odezwał się z troską Obi-Wan, spoglądając na Anakina. Jeśli padawan w ogóle przejmował się stanem łowczyni, to nie dał tego po sobie poznać. Zbliżył się do niej z wściekłym grymasem na twarzy.

– Kto cię wynajął? – powtórzył jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem wspierając swoje pytanie dawką Mocy tak potężną, że zaskakującą nawet dla samego mistrza. – Gadaj i to szybko!

Zam nadal wpatrywała się w niego intensywnie, aż w końcu



zaczęła mówić: – To był łowca nagród, zwany...

Gdzieś wysoko rozległo się ciche „puff”. Kobieta drgnęła spazmatycznie i skonała. Jej ludzkie rysy wykrzywiły się groteskowo, zmieniając się wolno w toporną twarz osobnika rasy Clawdite.

Anakin i Obi-Wan z trudem oderwali wzrok od tej przemiany. Zadarli głowy i dostrzegli na nocnym niebie sylwetkę człowieka z plecakiem raketowym wzbijającego się w niebo nad Coruscant.

Kenobi spojrział jeszcze raz na martwą istotę i wyciągnął z jej szyi niewielki przedmiot.

– Zatruta strzałka.

Anakin westchnął i odwrócił wzrok. Zawiedli; pozwolili niedoszłej zabójczyni zginąć.

Jednego był teraz absolutnie pewny: senator Padmé Amidala była w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

# ROZDZIAŁ

## 9

Anakin stał w milczeniu w sali Rady Jedi, otoczony kręgiem Mistrzów Zakonu. Towarzyszący mu Obi-Wan był jego mistrzem, ale nie jednym z tych Mistrzów. Podobnie jak większość z dziesięciu tysięcy Jedi, Kenobi był rycerzem, podczas gdy członkowie Rady byli prawdziwymi Mistrzami, najlepszymi z najlepszych, najważniejszymi postaciami Zakonu. Anakin nigdy nie czuł się dobrze w ich obecności. Wiedział, że ponad połowa z nich miała poważne wątpliwości, czy powinien zostać przyjęty do Zakonu po ukończeniu dziesięciu lat. Wiedział również o tym, że choć opinia Yody sprawiła, iż pozwolono mu uczyć się pod kierunkiem Obi-Wana, kilku Mistrzów wciąż nie było przekonanych o słuszności tej decyzji.

– Wytropić tego łowcę nagród musisz, Obi-Wanie – rzekł Mistrz Yoda, gdy pozostali przekazywali sobie z rąk do rąk zatrutą strzałkę.

– I co najważniejsze, dowiedzieć się, dla kogo pracuje – dodał Mace Windu.

– A co z senator Amidala? spytał Kenobi. – Wciąż potrzebuje naszej ochrony.

Anakin wyprężył się, przeczuwając to, co miało zaraz nastąpić.

– Tym twój padawan się zajmie – powiedział Yoda, patrząc na Anakina.

Serce padawana rosło, kiedy słuchał słów Mistrza – nie tylko z powodu zaufania, jakie mu okazano, ale także dlatego, że bardzo podobało mu się zadanie. Wiedział, że wykona je z prawdziwą przyjemnością.

– Anakinie, będziesz towarzyszył pani senator w drodze na jej ojczystą planetę, Naboo dorzucił Mace. – Tam będzie bezpieczna. Nie używajcie zarejestrowanych środków transportu. Podróżujcie jako uchodźcy.

Skywalker skinął głową, ale od razu wiedział, że wypełnienie polecenia będzie niezwykle trudne.

– Senator Amidala jest przywódczynią opozycji wobec ustawy o militaryzacji i nie zechce opuścić stolicy.

– Póki zabójcy nie schwytemy, z naszą opinią liczyć się musi – odparł Yoda.

Anakin znowu skinął głową.

– Ja po prostu wiem, Mistrzu, jak bardzo zależy jej na udziale w tym głosowaniu – odrzekł. – Bardziej interesuje ją ustawa, niż...

– Anakinie – przerwał mu Mace – udaj się do senatu i poproś Kanclerza Palpatine’a, żeby z nią porozmawiał. – Jego ton świadczył dobitnie o tym, że temat został wyczerpany.

Anakin chciał jeszcze coś dodać, lecz Obi-Wan wziął go pod ramię i szybko wyprowadził z sali.

– Chciałem tylko wyjaśnić, jak bardzo *zależy* Padmé na tym głosowaniu – powiedział chłopak, kiedy znaleźli się w holu.

Wystarczająco jasno opisałeś nam uczucia Amidali – odparł Obi-Wan. – I dlatego Mistrz Windu kazał ci poprosić Kanclerza o interwencję. – Uczeń i nauczyciel ruszyli korytarzem. Anakin ugryzł się w język, by nie skwitować słów mistrza ciętą ripostą.

– Rada Jedi rozumie, Anakinie – kontynuował Kenobi.

– Tak, mistrzu. Musisz jej ufać.

– Tak, mistrzu. – Anakin odpowiadał automatycznie, ponieważ myślał już o zupełnie innych sprawach. Padawan wiedział, że niełatwo będzie przekonać Padmé, by opuściła planetę przed głosowaniem, ale nie miało to dla niego większego znaczenia. Najważniejsze było to, że znajdzie się blisko niej i będzie jej strzegł.

Anakin nie był zdenerwowany, przebywając w gabinecie Kanclerza Palpatine’a. Zdawał sobie sprawę z ogromu władzy, którą

ten człowiek skupia w swoich rękach i szanował sprawowany przezeń urząd, ale czuł się tu swojsko, jakby odwiedzał dobrego przyjaciela. Wiedział, że Palpatine darzy go sympatią i traktował Wielkiego Kanclerza jak drugiego mentora. Oczywiście, nie był mu tak bliski jak Obi-Wan, ale zawsze mógł liczyć na jego dobre rady.

Co więcej, zawsze czuł się w jego gabinecie mile widzianym gościem.

– Porozmawiam z nią zgodził się Palpatine, gdy Anakin przedstawił mu swoją prośbę. – Pani senator Amidala nie sprzeciwi się mojemu poleceniu. Znam ją wystarczająco dobrze, żeby mieć co do tego pewność.

– Dziękuję, Ekscelencjo.

– Tak więc, mój młody padawanie, nareszcie powierzono ci prawdziwe zadanie – rzekł Kanclerz, uśmiechając się szeroko i ciepło, niczym ojciec gawędzący z synem. – Twoja cierpliwość została nagrodzona.

– Większa w tym zasługa twoich rad, panie, niż mojej cierpliwości – odrzekł Anakin. – Wątpię, czy wytrzymałbym tak długo, gdyby nie zapewnienia waszej Ekscelencji, że moi Mistrzowie Jedi obserwują mnie uważnie i że wkrótce powierzą mi naprawdę ważne zadanie.

Palpatine skinął głową.

– Nie potrzebujesz moich rad, Anakinie – odezwał się po chwili. – Z czasem nauczysz się ufać własnym uczuciom, a wtedy staniesz się niepokonany. Powtarzałem to już wielokrotnie i powtórzę jeszcze raz: jesteś najbardziej uzdolnionym Jedi, jakiego spotkałem.

– Dziękuję, Ekscelencjo – odparł spokojnie Anakin, choć z trudem panował nad drżeniem całego ciała. Słuchanie tak pochlebnych opinii z ust tych, którzy nie do końca go rozumieli – na przykład z ust matki – nie było tym samym, czym słuchanie słów Palpatine’a, Wielkiego Kanclerza Republiki. Był on wybitną osobistością, być może najznamienitszą w całej galaktyce, a jednocześnie w żaden sposób nie podlegał rozkazom Yody czy Mace’a Windu. Anakin dobrze wiedział, że człowiek pokroju Palpatine’a nie prawilby takich komplementów, gdyby w nie nie wierzył.

– Przeczuwam, że staniesz się największym spośród wszystkich

Jedi, Anakinie – ciągnął Palpatine. – Potężniejszym nawet niż Mistrz Yoda.

Anakin miał nadzieję, że nie zemdleje z wrażenia. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał, a jednocześnie jakaś część jego duszy gorąco pragnęła ufać słowom Palpatine'a. Miał w sobie siłę, potęgę przekraczającą ograniczenia, które próbowali narzucać jemu i sobie rycerze Jedi. Padawan wiedział, że Obi-Wan Kenobi po prostu nie zdaje sobie z tego sprawy i to było źródłem największej frustracji w jego stosunkach z mistrzem. Anakin czuł, że smycz, na której prowadził go Obi-Wan, była stanowczo za krótka.

Nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć na pochlebne słowa Palpatine'a, więc stał pośrodku przestronnego gabinetu i uśmiechał się lekko.

Kanclerz stał przy oknie i spoglądał na niekończący się strumień pojazdów przemykających wysoko nad Coruscant.

Po długiej chwili Anakin zebrał się na odwagę i podszedł do wielkiego biurka, by stanąć obok Wysokiego Kanclerza i wraz z nim w milczeniu podziwiać panoramę stolicy.

– Niepokoję się o mojego padawana – rzekł Obi-Wan Kenobi, idąc obok Yody i Mace'a Windu długim korytarzem Świątyni Jedi. – nie jest jeszcze gotów do samodzielnych zadań.

– Rada pewna jest swojej decyzji, Obi-Wanie – odparł Yoda.

– Chłopak jest wyjątkowo uzdolniony – dodał Mace.

– Ale wiele jeszcze musi się nauczyć, Mistrzu – nie ustępował Kenobi. – ego umiejętności uczyniły go... nieco aroganckim.

– Tak, tak – zgodził się Yoda – to cecha powszechna coraz bardziej wśród Jedi. Zbyt pewni siebie się stają. Nawet ci starsi, bardziej doświadczeni.

Obi-Wan rozważał słowa Mistrza, wolno kiwając głową. Z pewnością było w nich wiele prawdy. Niepokój, który ogarniały z wolna zamieszkane światy galaktyki, sprawiał, że i w Zakonie wyczuwało się atmosferę napięcia, zwłaszcza, że tak wielu rycerzy działało samotnie, z dala od Coruscant. Czyż arogancja nie była

głównym powodem, dla którego hrabia Dooku podjął decyzję o odejściu z Zakonu i zerwaniu więzów z Republiką?

– Pamiętaj, Obi-Wanie – upomniał go Mace – jeżeli przepowiednia jest prawdziwa, twój uczeń jest jedyną istotą, która może przywrócić Mocy równowagę.

Czy Obi-Wan mógł o tym zapomnieć? Mistrz Qui-Gon jako pierwszy dostrzegł w chłopcu potencjał i jako pierwszy przewidział, że to właśnie Anakin wypełni przepowiednię. Jednak ani on, ani żaden inny Jedi, nie potrafił sprecyzować, co właściwie oznaczać ma owo „przywrócenie równowagi Mocy”.

– O ile podąży właściwą ścieżką – rzekł zauważył Obi-Wan.

– Teraz swoją misją zająć się musisz – przypomniał Yoda, odrywając Obi-Wana od niepokojących rozważań, jakby potrafił czytać w jego myślach. – Gdy tajemnica zabójcy odkryta zostanie, być może i inne zagadki rozwiązane będą.

– Tak, Mistrzu – odrzekł Obi-Wan, unosząc na wysokość oczu małą, śmiertcionośną strzałkę, którą wy dobył z ciała martwej Clawdite.

Shmi Skywalker Lars delikatnie uniosła brudnozłotawy napierśnik androida, by umocować go na miejscu. Uśmiechnęła się do C-3PO, i choć jego twarz nie mogła wykrzywić się tak, jak ludzka, wiedziała, że i on, na swój dziwny roboci sposób, jest zadowolony. Tak często skarżył się przecież na piach skrzypiący w jego kablach i ścierający silikonową izolację. Gdy tak się działo, jego metalowym ciałem targały elektrowstrząsy miniaturowych zwarć. To dlatego Shmi kończyła teraz dzieło, które zapoczątkował Anakin, budując protokolarnego androida.

– Teraz? – spytała na głos, z trudem otwierając pokryte zakrzepłą krwią usta. Nie, nie teraz, pomyślała. Zamontowała te blachy już dawno temu – minęło tyle dni... może tygodni... a może miesięcy? Zrobiła to, kiedy Cliegg zabrał ją na swoją farmę wilgoci. Tak, właśnie wtedy: w garażu znalazła części androida protokolarnego, upchnięte pod stołem.

Pamiętała wszystko doskonale, lecz nie miała pojęcia, kiedy to się działo.

A teraz... teraz była...

Nie mogła otworzyć oczu i się rozejrzeć; nie miała siły, a zastygła krew skleiała powieki tak mocno, że najmniejszy ich ruch sprawiał ból.

To dziwne, że jedynym miejscem, w którym naprawdę czuła ból, były właśnie powieki. Przecież wydawało jej się, że została ranna.

Wydawało się...

Shmi usłyszała za sobą jakiś dźwięk. Czyżby szuranie stóp? A potem mamrotanie. Tak, oni bez przerwy mamrotali.

Powróciła myślą do C-3PO, biednego C-3PO, który tak bardzo potrzebował blaszanego pancerza na swoje skąpo okablowane ramiona.

Delikatnie uniosła fragment...

Usłyszała przenikliwy trzask – a raczej wydawało jej się, że był przenikliwy, bo dobiegał jakby z oddali – a zaraz potem poczuła na plecach lekkie muśnięcie.

Nie czuła uderzeń bata; w tym miejscu na jej ciele nie było już sprawnych zakończeń nerwowych.

# ROZDZIAŁ

# 10

Anakin Skywalker stał z Jar Jar Binksem przy drzwiach oddzielających sypialnię Padmé od pokoju, w którym poprzedniej nocy wraz z Obi-Wanem trzymał straż. Spoglądając na wybite okno, człowiek i Gunganin obserwowali najeżony wysokościami horyzont.

Tymczasem Padmé i Dorme kręciły się po sypialni, przygotowując się do wyjazdu. Z gwałtownych ruchów poirytowanej pani senator nietrudno było wyczytać, że lepiej trzymać się od niej z daleka. Przychylając się do prośby młodego Jedi, Kanclerz Palpatine rozkazał Padmé wrócić na Naboo. Usłuchała polecenia, ale widać było, że nie jest zadowolona z takiego obrotu spraw.

Wzdychając głęboko, Padmé wyprostowała się wreszcie i potarła obolałe od schylania się plecy. Westchnąwszy jeszcze raz, zwróciła się do Jar Jara:

– Wyjeżdżam na długi urlop – powiedziała tak poważnie, jakby chciała wykrzesać z beztroskiego Gunganina odrobinę rozsądku. – Będziesz zastępował mnie w senacie. Wiem, że mogę na ciebie liczyć, przedstawicielu Binks.

– Moja zaszczycona... – bąknął Jar Jar i urwał. Stał przy tym na baczność; tylko jego głowa i długie uszy kołysały się groteskowo. Łatwo jest ubrać Gunganina w strój dygnitarza; znacznie trudniej zmienić jego naturę.

– Słucham? – spytała surowo Padmé, nie kryjąc rozdrażnienia. Powierzała Jar Jarowi ważne zadanie i nie była zachwycona, że



Gunganin akurat w takiej chwili zachowuje się tak niepoważnie.

Wyraźnie zakłopotany Jar Jar odchrząknął cicho i wyprażył się jeszcze mocniej.

– Moja być zaszczycona, że mieć na sobie taki ciężar. Moja przyjmować go z wielką pokorą i...

– Jar Jar, nie chcę cię dłużej zatrzymywać – przerwała mu Padmé.  
– pewnością masz mnóstwo pracy.

– Oczywiście, pani. – Ukłoniwszy się przesadnie głęboko, jakby chciał ukryć fakt, że rumieni się niczym darelliański ognisty krab, Gunganin odwrócił się szybko i wyszedł, posyłając Anakinowi szeroki uśmiech.

Padawan odprowadził Gunganina wzrokiem, lecz gdy Padmé odezwała się, uczucie ulgi i spokoju, które go przepełniało, prysło w jednej chwili.

– Nie podoba mi się ten pomysł z ukrywaniem się – stwierdziła z naciskiem.

– Nie martw się. Teraz, kiedy Rada zarządziła dochodzenie, mistrz Obi-Wan bardzo szybko się dowie, kto wynajął tego łowcę nagród. Od tego właśnie trzeba było zacząć. Zawsze lepiej działać ofensywnie przeciwko zagrożeniu; szukać jego źródeł, a nie reagować na skutki. – Anakin zamierzał wspomnieć o tym, że od początku proponował wszczęcie śledztwa, że od pierwszej chwili miał rację, tylko Rada nie nadążała za jego tokiem myślenia. Spozrzegł jednak błyski w oczach Padmé i umilkł, pozwalając jej mówić.

– A kiedy twój mistrz będzie szukał łowcy, ja mam się ukrywać?

– Tak, to najmądrzejsze posunięcie. Padmé westchnęła.

– Nie po to pracowałam rok nad zablokowaniem ustawy o militaryzacji, żeby odlatywać stąd, kiedy będą się ważyły jej losy!

– Czasami musimy się wyrzec dumy i robić to, czego wymagają od nas inni – odparł spokojnie Anakin. W jego ustach słowa te nie brzmiały zbyt przekonująco. Zresztą gdy tylko je wypowiedział, zrozumiał, że należało inaczej sformułować zdanie.

– Dumy! – wykrzyknęła Padmé. – Annie, jesteś młody i nie znasz się na polityce. Zachowaj podobne opinie na inną okazję.

– Przepraszam, pani, starałem się tylko...

– Nie, Annie!  
– Proszę, nie nazywaj mnie tak.  
– Jak?  
– Annie. Nie nazywaj mnie Annie.  
– Przecież zawsze tak ciebie nazywałem. To twoje imię, prawda?  
– Mam na imię Anakin – odparł spokojnie młody Jedi, spoglądając twardo na Padmé. – Kiedy mówisz „Annie”, czuję się, jakbym wciąż był małym chłopcem. A nie jestem.

Padmé milczała przez chwilę. Zmierzyła padawana od stóp do głów skinęła głową. W jej głosie także pojawiła się nuta szacunku.

– Przepraszam, Anakinie. Nie sposób zaprzeczyć, że... dorosłeś. Anakin wyczuł w tych słowach coś w rodzaju uznania, sugestię, że przyjęła do wiadomości, iż stał się mężczyzną; może nawet przystojnym. Fakt ten, w połączeniu z uśmiechem, który posłała mu Padmé, zbił go z tropu i zawstydził. Padawan dostrzegł na półce małą kulistą ozdobę i sięgnął po nią, używając Mocy. Przedmiot zawisł nad jego palcami, skutecznie odwracając uwagę Padmé.

Mimo to wolał odchrząknąć, nim się odezwał, bojąc się, że ściśnięte gardło odmówi mu posłuszeństwa.

– Mistrz Obi-Wan jakoś tego nie dostrzega. Krytykuje każdy mój ruch, jakbym wciąż był dzieckiem. Nie słuchał mnie, kiedy nalegałem, żebyśmy poszukali zleceniodawcy zamachów...

– Nauczyciele już tacy są: zawsze widzą w nas więcej słabości, niż byśmy chcieli – zgodziła się Padmé. – Ale dzięki temu się rozwijamy.

Anakin znowu sięgnął Mocą do ozdobnej kulki i uniósł ją nieco wyżej, sprawiając, że zaczęła się obracać.

– Nie zrozum mnie źle – odezwał się po chwili. – Obi-Wan jest świetnym mentorem, równie mądrym jak Mistrz Yoda i równie potężnym jak Mistrz Windu. Jestem mu wdzięczny, że wziął mnie na swojego ucznia, ale... – urwał, szukając odpowiednich słów – ale choć jestem jego padawanem, w pewien sposób – ba, na wiele sposobów – po prostu go wyprzedzam. Jestem już gotów do prób. Wiem, że tak jest! On to wie, ale uważa, że jestem zbyt nieprzewidywalny. Inni Jedi w moim wieku przeszli już próby, i to z powodzeniem. Zdaję sobie sprawę, że późno zacząłem, ale on po prostu nie pozwala mi

robić postępów.

Padmé spoglądała na Anakina z rosnącym zacięciem.

– To musi być dla ciebie frustrujące – odezwała się w końcu.

– Gorzej! – zawołał Anakin, wyczuwając w jej głosie nutę współczucia. – Ciągłe mnie krytykuje! Nigdy nie słucha! Po prostu nic nie rozumie! To niesprawiedliwe!

Mówiłby tak w nieskończoność, ale Padmé zaczęła się śmiać. Jej wesołość pohamowała go równie skutecznie, jak uczyniłby to siarczasty policzek.

– Wybacz – wydusiła, nie przestając chichotać – ale mówiłeś dokładnie tak jak mały chłopiec, którego kiedyś znałam.

– Ja się wcale nie skarżę! To nie tak!

Tym razem roześmiała się także Dorme stojąca w odległym kącie sypialni.

– Nie powiedziałam tego, żeby cię zranić – wyjaśniła Padmé. Anakin wziął głęboki wdech i wolno wypuścił powietrze, rozluźniając spięte ramiona.

– Wiem.

Wyglądał przy tym tak żałośnie, że Padmé podeszła do niego i delikatnie pogładziła go po policzku.

– Anakinie...

Po raz pierwszy, odkąd spotkali się po latach Padmé, popatrzyła naprawdę głęboko w błękitne oczy młodego padawana. Ich spojrzenia spotkały się i sięgnęły dalej, aż do serc. Czar prysnął po chwili, gdy Padmé powiedziała zmieszana:

– Proszę, nie staraj się zbyt szybko dorosnąć.

– Już dorosłem – odparował Anakin. – Sama to powiedziałaś. – Chciał, by ostatecznie słowa zabrzmiały sugestywnie. Znowu spojrzął w brązowe oczy Padmé; tym razem jeszcze bardziej intensywnie i namiętnie.

– Proszę, nie patrz na mnie w taki sposób – wyszeptała, odwracając się szybko.

– Dlaczego?

– Dlatego że wiem, o czym myślisz.

– O, więc także masz w sobie siłę Jedi? – zaśmiał się Anakin,

starając rozładować napięcie.

Padmé zerknęła w bok, na Dorme, która przyglądała im się, nie kryjąc zainteresowania, ale i troski. Amidala doskonale rozumiała niepokój dziewczyny; rozmowa z Anakinem potoczyła się w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Po chwili spojrzała prosto w oczy padawana.

– I dlatego, że wprowadzasz mnie w zakłopotanie – dodała, nie pozostawiając miejsca na dyskusję.

Anakin odwrócił wzrok.

– Przepraszam, pani – odezwał się z wymuszoną obojętnością, cofając się o krok, by mogła wrócić do przerwanej rozmowy.

Znowu był tylko ochroniarzem.

Ale Padmé wiedziała, że jest kimś więcej.

Gdzieś na zalanym wodą i smaganym wichrem globie, w najdalszym zakątku Odległych Rubieży, ojciec i syn siedzieli na półce z połyskującego czarnego metalu. Wpatrywali się uważnie w nieliczne spokojne miejsca na wodzie utworzone przez prądy, które opływały gigantyczne podpory konstrukcji sterczące ze wzburzonego oceanu. Ulewa zelała nieco – a było to zjawisko dość rzadkie w tym królestwie wilgoci – spokojniejsze miejsca na morzu były dobrze widoczne i na nich właśnie koncentrował się wzrok polujących. To tam w każdej chwili mogły się pojawić smukłe, mniej więcej metrowej długości, ciemne sylwetki falorybów.

Ojciec i syn znajdowali się na najniższym kołnierzu jednej z kolumn, na których wznosiło się miasto Tipoca, największe na całej planecie Kamino, pełne smukłych budowli, którym nadano opływowe kształty, aby były mniej podatne na porywy wiatru. Zaprojektowali je, a przynajmniej zmodernizowali, najlepsi architekci galaktyki, którzy rozumieli, iż doskonałym sposobem zmagania się z żywiołami szalejącymi na tym świecie jest unikanie walki. Niemal w każdej wnęce w ścianach gmachów umieszczono wysokie, transpystalowe okna. Ojciec chłopca, Jango, często zastanawiał się, dlaczego Kaminoanie – wysokie, szczupłe, blade istoty o wielkich oczach w

kształcie migdałów, wydłużonych głowach i długich szyjach – potrzebowali tak wielu okien. Na co chcieli patrzeć na tej planecie burz, rozszalałych oceanów i nieustających deszczów?

A jednak nawet na Kamino zdarzały się spokojniejsze chwile. Wszystko jest względne, myślał Jango. I dlatego, gdy stwierdził, że deszcz słabnie, postanowił wyjść z synem na świeże powietrze.

Jango klepnął chłopca w ramię, ruchem głowy wskazując na jedną z plam względnie spokojnej wody. Dziesięcioletek z zapalonym uniósł broń *atlatl* z odrzutem jonowym i starannie wycelował. Chłopiec nie używał celownika laserowego, który automatycznie kompensował załamanie światła na powierzchni wody, ponieważ jego ojciec chciał się przekonać, jakie poczynił postępy w nauce polowania.

Dokładnie tak jak uczył go ojciec, malec wolno wypuścił powietrze z płuc, znieruchomiał i skoncentrował się na celu. Gdy ryba ustawiła się bokiem, cisnął w jej stronę zabójczy *atlatl*. Metr od wyciągniętej ręki chłopca tylna część pocisku rozjarzyła się na moment nagłym błyskiem mocy. Ostrze przyspieszyło gwałtownie, przecięło wodę i trafiło zwierzę w bok, przewiercając się na wylot kolczastym grotem.

Chłopiec krzyknął radośnie i natychmiast przekreślił uchwyt broni, blokując prawie niewidoczną, ale bardzo wytrzymałą linkę. Ryba walczyła, lecz syn łowcy wolno i metodycznie przekreślał rękojeść, przyciągając zdobycz coraz bliżej.

– Dobra robota – pochwalił go Jango. Ale gdybyś trafił o centymetr bliżej w stronę głowy, przebiłbyś najważniejszy mięsień znajdujący się tuż pod skrzelami i unieruchomiłbyś rybę.

Chłopiec skinął głową, niezrażony tym, że jego ojciec i nauczyciel nawet w udanych akcjach zawsze dopatrywał się błędów. Wiedział, że człowiek, którego kochał najmocniej ze wszystkich, robił to tylko po to, by podsycać w nim dążenie do perfekcji. A w pełnej niebezpieczeństw galaktyce tylko perfekcja gwarantowała przetrwanie.

Za to, że ojciec w trosce o jego przyszłość nie wahał się krytykować go na każdym kroku, chłopiec kochał go jeszcze bardziej.

Nagle Jango zastygł, wyczuwając w pobliżu jakiś ruch, a może tylko pojedynczy stuk kroku lub nowy zapach – sygnał, który dla

wprawnego łowcy nagród oznacza, że ktoś się zbliża. Na Kamino nie było groźnych nieprzyjaciół, jeśli nie liczyć dalekich, otwartych przestrzeni oceanu, gdzie od czasu do czasu pojawiały się olbrzymie stworzenia o długich mackach. Jednak nad powierzchnią wody życie właściwie nie istniało – jedynym wyjątkiem byli, oczywiście, sami Kaminoanie, więc Jango nie był zaskoczony, gdy ujrzał Taun We, osobę, która zwykle była pośrednikiem w jego kontaktach z gospodarzami.

– Witaj, mistrzu Jango – odezwała się wysoka i smukła istota, unosząc chude ramię w geście pokoju i przyjaźni.

Jango skinął głową, ale nie uśmiechnął się na powitanie. Dlaczego Taun We opuściła krągłe gmachy miasta, z których Kaminoanie prawie nigdy nie wychodzili? I dlaczego przeszkadzała łowcy, kiedy spędzał czas ze swym synem?

– Ostatnio rzadko bywasz w naszym sektorze – zauważyła Taun We.

– Mam ciekawsze zajęcia.

– Z dzieckiem?

Jango spojrzał na chłopca, który wypatrywał właśnie kolejnego faloryba. A raczej, jak zauważył łowca, starał się, by tak to wyglądało. To spostrzeżenie sprawiło, że Jango z aprobatą skinął głową. Dobrze nauczył swego syna sztuki kamuflażu i podstępny – stwarzania pozorów, które doskonale ukrywały prawdziwe działania, takie jak dyskretne podsłuchiwanie rozmowy i zapamiętywanie każdego słowa Taun We.

– Zbliża się dziesiąta rocznica – wyjaśniła Kaminoanka. Jango spojrzał na nią spode łba.

– Sądzisz, że nie pamiętam o urodzinach Boby?

Jeżeli delikatna Taun We była urażona ostrą wypowiedzią łowcy, w żaden sposób tego nie okazała.

– Jesteśmy gotowi. Znowu możemy zaczynać.

Jango popatrzył na Bobę, jedno z tysięcy swoich dzieci, ale jedyne, które było doskonałym klonem, wierną repliką bez najmniejszej ingerencji genetycznej, która czyniłaby go bardziej posłusznym. Chłopiec był też jedynym egzemplarzem, którego nie

poddano procesowi przyspieszonego wzrostu. Klony, które poczęto równocześnie z nim, były teraz zdrowymi, w pełni dojrzałymi żołnierzami.

Jango uważał, że polityka przyspieszania wzrostu jest błędem – czyż doświadczenie nie było równie ważnym czynnikiem kształtującym wojownika, jak geny? – ale nie dzielił się tymi przemyśleniami z Kaminoanami. Wynajęto go, by stał się źródłem materiału genetycznego. Kwestionowanie poczynań pracodawcy nie wchodziło w zakres jego obowiązków.

Taun We przekrzywiła nieznacznie głowę, wolno mrugając powiekami.

Jango domyślał się, że jest to przejaw zaciekawienia i omal nie zachichotał. Kaminoanie byli do siebie bardzo podobni; znacznie bardziej niż ludzie, zwłaszcza ci pochodzący z innych planet. Być może ich koncepcja jedności czy też podobieństwa w ramach jednego gatunku była częścią procesu reprodukcyjnego, w którym teraz dokonywano licznych manipulacji genetycznych, jeśli nie otwartego klonowania. Tak czy inaczej, jako społeczeństwo mieszkańcy Kamino byli niemal jednym umysłem i jednym ciałem. To dlatego Taun We była zdumiona – tak jak w tej chwili – ilekroć miała do czynienia z człowiekiem, który tak małym szacunkiem darzył innych przedstawicieli swojego gatunku, nawet, jeśli były to klony.

To właśnie Kaminoanie stworzyli armię dla Republiki. A przecież gdyby nie różnice i wynikające z nich konflikty nie byłoby wojen.

Te sprawy niewiele obchodziły Janga. Był łowcą nagród, samotnikiem, odludkiem – a raczej byłby, gdyby w jego życiu nie pojawił się Boba. Jango miał gdzieś politykę, wojny i armię klonów stworzonych na jego podobieństwo. Jeśli wszystkie miały zostać wycięte w pień, to niech i tak będzie. Nie czuł się związany z żadnym z nich.

Rozmyślając o tym, spojrzął na syna. Z żadnym, z wyjątkiem Boby, rzecz jasna.

Wszystko inne było tylko zleceniem, łatwym do wykonania i dobrze płatnym. Jango nie mógł marzyć o lepszych zarobkach, lecz znacznie ważniejsze było to, iż tylko Kaminoanie mogli dać mu nie

syna, ale stuprocentowo wierną kopię jego samego. Boba miał zapewnić ojcu przyjemność ujrzenia tego, kim Jango mógłby się stać, gdyby dorastał pod okiem kochającego, troskliwego ojca; nauczyciela, który przez konstruktywną krytykę popychałby go ku doskonałości. W zasadzie nie było w galaktyce łowców nagród lepszych niż Jango, lecz on nie wątpił, że Boba, stworzony i szkolony do osiągnięcia doskonałości, prześcignie nawet jego i stanie się jednym z najwybitniejszych wojowników, jacy kiedykolwiek żyli.

Największą nagrodę w swojej karierze Jango Fett odbierał właśnie teraz: dzieląc spokojne chwile z synem, swym młodszym wcieleniem.

A były to jedne z niewielu spokojnych chwil w burzliwym życiu łowcy skazanego już w dzieciństwie na samodzielne przetrwanie w Odległych Rubieżach. Każda kolejna próba czyniła go silniejszym, bliższym doskonałości; kształciła w nim umiejętności, które teraz mógł przekazywać Bobie. Nikt nie byłby dla chłopca lepszym nauczycielem niż ojciec. Kiedy Jango Fett chciał kogoś dopaść, ten ktoś mógł uważać się za złapanego. Kiedy Jango Fett chciał kogoś uśmiercić, ten ktoś był już trupem.

Lecz tak naprawdę Jango nie „chciał”. Interesy nie miały nic wspólnego z osobistymi pragnieniami łowcy. Polowanie i zabijanie były tylko częścią jego pracy, a do najcenniejszych lekcji, których życie mu nie szczędziło, należała ta, która nauczyła go, jak być bezwzględny. Absolutnie bezwzględny. I to była jego najstraszniejsza broń.

Spojrzał na Taun We, a potem uśmiechnął się do syna. Tak, z pewnością był pozbawiony uczuć, ale nie wtedy, kiedy spędzał czas z Boba. Czuł miłość i dumę, ale ze wszystkich sił stawał się tego nie okazywać. Bo choć szczerze kochał syna – a może właśnie dlatego, że go kochał – pragnął kształcić w nim od najmłodszych lat cechę, którą uważał za najcenniejszą: chłód graniczący z brakiem jakichkolwiek ludzkich uczuć.

– Wznowimy proces, gdy tylko będziesz gotowy – powiedziała Taun We, przerywając rozmyślenia Jango.

– Nie macie dość materiału, żeby obejść się beze mnie?

– Skoro i tak tu jesteś, chcielibyśmy, żebyś wziął udział w procesie



– odrzekła Taun We. – Najlepiej jest korzystać z pierwotnego dawcy.

Jango przewrócił oczami na myśl o igłach i sondach, ale skinął głową w geście przyzwolenia. Biorąc pod uwagę wynagrodzenie, praca naprawdę nie była ciężka.

– Daj znać, kiedy będziesz gotowy. – Taun We ukloniła się i odeszła.

Gdybyście mieli czekać, aż będę gotowy, czekalibyście całą wieczność, pomyślał Jango Fett. W milczeniu obserwował chłopca, który kolejny raz szykował do strzału. A to dlatego, że mam już to, na czym mi zależało, dodał w duchu łowca, nie spuszczać z oka Boby, który bystrymi oczami wypatrywał kolejnego faloryba.

W przemysłowym sektorze Coruscant znajdowały się największe porty towarowe całej galaktyki. Nieustannie lądowały w nich niezgrabne transportowce, a na ich spotkanie wylatywały masywne dźwigi gotowe odebrać miliony ton ładunków niezbędnych do utrzymania a przy życiu planety-miasta, która z racji przeludnienia już dawno nie była samowystarczalna. Wydajność służb przeładunkowych była zdumiewająca, lecz mimo to zawsze było tu tłoczno, i często doki były zablokowane przez nadmierną liczbę frachtowców i latających maszyn portowych.

Było tu także miejsce dla pasażerów – biedoty Coruscant szukającej taniej okazji do opuszczenia planety na pokładzie frachtowców. Tysiące tysięcy ludzi próbowały uciec ze stołecznego świata, na którym tempo życia graniczyło z szaleństwem.

Anakin i Padmé, ubrani w proste brązowe tuniki i bryczesy – typowy strój uchodźców – starali się nie wyróżniać z tłumu. Szli ramię w ramię do wyjścia z wahadłowca, który zbliżał się do doku i pomostu prowadzącego na pokład jednego z olbrzymich transportowców. Kapitan Typho, Dorme i Obi-Wan czekali na nich przy drzwiach.

– Szczęśliwej podróży, pani – rzekł kapitan ze szczerą troską. Widać było, że nie jest zachwycony tym, iż traci z oczu swoją podopieczną. Podał Anakinowi dwie niewielkie torby podróżne i z

otuchą skinał głową młodemu Jedi.

– Dziękuję, kapitanie – odpowiedziała Padmé, nie kryjąc wzruszenia. – Proszę uważać na Dorme. Teraz wam będzie zagrażało niebezpieczeństwo.

– Przy mnie będzie bezpieczny – wtrąciła szybko Dorme. Padmé uśmiechnęła się, wdzięczna za tę próbę poprawienia jej nastroju, a potem uścisnęła wierną towarzyszkę. Objęła ją jeszcze mocniej, czując, że dziewczyna cicho szlocha.

– Nie spotka was nic złego – szepnęła wprost do ucha Dorme.

– Nie chodzi o mnie, pani. Martwię się o ciebie. Co będzie, jeśli oni zorientują się, że opuściłaś stolicę?

Padmé odsunęła dworkę na odległość ramion i uśmiechnęła się lekko, spoglądając z ukosa na Anakina.

– Wtedy mój Jedi opiekun będzie musiał pokazać, ile jest wart. Dorme zaśmiała się nerwowo, otarła łzy i skinęła głową.

Stojąc z boku, Anakin uśmiechnął się w duchu, choć na zewnątrz starał się emanować wyłącznie pewnością siebie. Komplementy Padmé sprawiały mu jednak ogromną przyjemność.

Obi-Wan zepsuł padawanowi błogi nastrój, odciągając go na stronę.

– Zostańcie na Naboo – rozkazał mistrz. – Nie rzucajcie się w oczy. Pamiętaj: nie rób absolutnie niczego bez porozumienia ze mną albo z Radą.

– Tak, mistrzu – odrzekł posłusznie Anakin, choć gotował się w środku i miał ochotę rzucić się na Obi-Wana. Nie robić absolutnie nic bez porozumienia? Bez pytania o zgodę? Czy nie zasłużył na więcej zaufania? Czy nie udowodnił, że jest zaradnym, godnym zaufania padawanem?

– Postaram się jak najszybciej dotrzeć do sedna tego spisku, pani – wrócił się Obi-Wan do Padmé. Gniew Anakina sięgnął szczytu; przecież właśnie to sugerował mistrzowi, gdy tylko zlecono im ochronę senator Amidali! – Jestem pewien, że wkrótce będziecie mogli wrócić – dodał Obi-Wan.

– Będę niewymownie wdzięczna za szybkie rozwiązanie tej sprawy, mistrzu Jedi.

Myśl o tym, że Padmé miałyby być wdzięczna Kenobiemu, nie podobała się Anakinowi. Nie chciał, by w jej oczach rola mistrza była istotniejsza niż jego własna.

– Pora iść – powiedział padawan, postępując krok naprzód.

– Wiem – odrzekła Padmé, która nie była uradowana ani wizją opuszczenia Coruscant, ani koniecznością narażania na niebezpieczeństwo kolejnej wiernej dworki. Ciągle miała w pamięci obraz umierającej Cordé.

Padmé i Dorme uściskały się po raz ostatni. Anakin wziął bagaże i odwrócił się, by zejść na płytę lądowiska, gdzie czekał już R2-D2.

– Niech Moc będzie z tobą – rzekł Obi-Wan.

– Niech Moc będzie z tobą. – odpowiedział Anakin szczerze; naprawdę chciał, by Obi-Wan odnalazł inicjatora zamachów, choćby po to, by galaktyka znowu stała się dla Padmé bezpiecznym miejscem. Miał jednak nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko. Misja, którą mu powierzono, pozwoliła mu być blisko kobiety, którą kochał; nie chciał otrzymać nowego zadania i rozstawać się z nią na dłużej.

– Nagle zaczęłam się bać – wyznała Padmé, kiedy szli w stronę olbrzymiego frachtowca, który miał ich zabrać na Naboo. Za nimi toczył się R2-D2, pogwizdując radośnie.

– To moje pierwsze samodzielne zadanie, więc... ja też się boję. – Anakin odwrócił się, by spojrzeć na Padmé i posłać jej szeroki, zawadiacki uśmiech. – Ale nie martw się, na szczęście jest z nami Artoo!

Poczucie humoru było im w tej chwili bardzo potrzebne.

Z okien wahadłowca, który miał za chwilę powrócić w bardziej eleganckie rejony stolicy, trzy pary oczu z troską obserwowały Anakina, Padmé i R2-D2, którzy wolno znikali w tłumie.

– Mam nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy żaden głupi pomysł – mruknął Obi-Wan. Fakt, że mistrz Jedi tak otwarcie wyrażał swoje obawy względem własnego ucznia był dla kapitana Typha dowodem zaufania.

– Bardziej martwię się o jej pomysły niż o jego – odparł oficer, z powagą kręcąc głową. – Padmé Amidala nie ma zwyczaju słuchać rozkazów.

– Dobrana z nich para – zauważyła Dorme.

Mężczyźni bez słowa spojrzeli na dziewczynę. Typho znowu pokręcił głową. Padmé Amidala istotnie była uparta, silna i niezależna. Wolała ufać własnej ocenie sytuacji niż sugestiom innych, nawet bardziej doświadczonych ludzi.

Nie była jednak bardziej uparta od Anakina.

Dla Obi-Wana nie była to pocieszająca myśl.

# ROZDZIAŁ

# 11

Wielka Świątynia Jedi była miejscem kontemplacji i ciężkiego treningu, ale także bankiem informacji. Rycerze Jedi byli bowiem nie tylko strażnikami pokoju, ale i wiedzy. W zwieńczonym wysokim sklepieniem, głównym korytarzu Świątyni stały przezroczyste komory, zwane pokojami analiz, pełne robotów najrozmaitszych kształtów i rozmiarów, gotowych służyć pomocą w niezliczonych dziedzinach.

Wędrując przestronnymi salami Świątyni, Obi-Wan Kenobi rozmyślał o swoim uczniu i Padmé. Zastanawiał się, czy mądrym posunięciem było powierzenie Anakinowi opieki nad senator Amidala. Zapał, z jakim padawan podjął się tego zadania, włączył sygnał ostrzegawczy w głowie Obi-Wana – lecz mimo to mistrz nie sprzeciwił się decyzji Rady. Nie zrobił tego przede wszystkim dlatego, że miał na głowie bardziej naglące sprawy. Miał nadzieję, że tu, w skarbnicy wszelkiej wiedzy, zdoła odkryć źródło kłopotów Amidali.

Większość kabin była – jak zwykle – zajęta. Nigdy nie brakowało tu uczniów i mistrzów szukających informacji. Wreszcie jednak Obi-Wan znalazł wolną komorę z robotem analitycznym SP-4, czyli dokładnie takim, jakiego potrzebował. Usiadł przed konsoleką, a robot natychmiast wysunął tacę na próbki.

– Proszę umieścić na tacy przedmiot, który ma zostać poddany analizie – powiedział SP-4 metalicznym głosem. Kenobi już trzymał w dłoni zatrutą strzałkę, która zabiła łowczynię nagród.

Gdy tylko tacka wsunęła się na miejsce, ekran przed Obi-Wanem

rozjarzył się szybko przesuwanymi się diagramami i kolumnami danych.

– To zatruta strzałka – wyjaśnił Jedi. – Muszę wiedzieć, gdzie i przez kogo została zrobiona.

– Chwileczkę, proszę. – Przez ekran przetoczyła się kolejna fala rysunków i jeszcze dłuższe kolumny liczb. Wreszcie obraz zatrzymał się na schemacie podobnej broni, ale dopasowanie nie było zadowalające i maszyna ponownie zaczęła przeglądać banki pamięci. Obrazy przez dłuższą chwilę zmieniały się jak w kalejdoskopie, lecz nie znalazł się taki, który do złudzenia przypominałby strzałkę przyniesioną przez Obi-Wana.

Ekran zgasł, a tacka wysunęła się ponownie.

– Jak widać na ekranie, badana broń nie istnieje w żadnej ze znanych kultur – wyjaśnił SP-4. – Oznaczenia nie zostały zidentyfikowane. Zapewne jest to przedmiot wykonany ręcznie przez wojownika niezwiązanego z żadną zbadaną cywilizacją. Proszę odsunąć się od tacy na próbki.

– Słucham? Może spróbowałbyś jeszcze raz? – spytał zirytowany Kenobi.

– Mistrzu Jedi, nasze bazy danych są bardzo szczegółowe. Obejmują informacje z osiemdziesięciu procent galaktyki. Jeżeli nie potrafię ustalić, skąd pochodzi ten przedmiot, to gwarantuję, że nie potrafi tego nikt.

Obi-Wan podniósł strzałkę, spojrzął na robota i westchnął z rezygnacją, nie do końca przekonany o słuszności jego opinii.

– Dzięki za pomoc – rzucił, zastanawiając się, czy oprogramowanie automatów typu SP-4 pozwala im zrozumieć sarkazm. – Może i nie umiesz mi pomóc, ale znam kogoś, kto ją zidentyfikuje.

– Rachunek prawdopodobieństwa nie sugeruje istnienia takiej możliwości... – zaczął SP-4, po czym wygłosił długą i monotonną mowę pochwalną na temat obszerności swoich baz danych i niezrównanych możliwości programów wyszukujących.

Obi-Wan jednak już dawno zostawił za sobą pokój analiz i przemierzywszy długimi krokami przestronny korytarz, wyszedł ze

Świątyni.

Opuścił jej mury, nie zwierając się nikomu ze swoich planów; potrzebował skupienia i koncentracji, a jeszcze bardziej szybkich odpowiedzi. Instykt podpowiadał mu, że ma do czynienia ze sprawą, w której nie chodzi jedynie o bezpieczeństwo Amidali. Wyczuwał coś poważnego, ale szczegółów mógł się jedynie domyślać. Czy chodziło o postawę Anakina? Może o spisek przeciwko Republice?

A może po prostu się zdenerwował, bo SP-4, na którym zwykle można było polegać, tym razem w ogóle nie umiał mu pomóc? Potrzebował odpowiedzi, a konwencjonalne metody ich pozyskania zawiodły. Ale Obi-Wan Kenobi pod wieloma względami nie był „konwencjonalnym” rycerzem Jedi. Choć zwykle pełen rezerwy – szczególnie w kontaktach z padawanem – w głębi duszy miał wiele wspólnego ze swoim byłym mistrzem, niepokornym Qui-Gon Jinnem.

Obi-Wan wiedział, jak zdobyć odpowiedź.

Skierował śmigacz do handlowej części dzielnicy Coco, leżącej daleko od zaułka, w którym wraz z Anakinem dopadł niedoszłą zabójczynię Amidali. Dotarłszy na miejsce, zaparkował pojazd i wyszedł na ulicę. Zatrzymał się przed niewielkim budynkiem o matowych oknach i ścianach pomalowanych jaskrawą metaliczną farbą. Nazwę lokalu zapisano na szyldzie egzotycznym pismem, lecz choć Obi-Wan nie umiał jej odczytać, wiedział doskonale, że stoi przed Jadłodajnią u Dexa.

Uśmiechnął się lekko. Nie widział się z Dexem od bardzo, bardzo dawna. Zbyt długo to trwało, pomyślał, wchodząc do środka.

Wnętrze lokalu było dość typowe dla niższych poziomów miasta: pod ścianami znajdowały się łóżka, zaś pośrodku ustawiono małe okrągłe stoliki z wysokimi stołkami. Był tam także kontuar, częściowo otoczony stołkami, zajętyymi przez istoty rozmaitych ras. Obi-Wan wiedział, że ma przed sobą twardych zawodników: pilotów frachtowców i pracowników portu. W galaktyce z jej wszechobecną techniką, niewiele było istot zarabiających na życie pracą mięśni.

Jedi podszedł do małego stolika i przysiadł na stołku, przypatrując się robotowi kelnerce, który przecierał blat szmatą.

– Czego sobie życzy – spytał automat.

– Szukam Dextera.

Robot wydał z siebie mało sympatyczny odgłos. Obi-Wan tylko się uśmiechnął.

– Chciałbym z nim porozmawiać. – Chce czegoś od niego?

– Dex nie ma kłopotów – zapewnił robota Jedi. – To sprawa osobista. Robot wpatrywał się w niego przez krótką chwilę, po czym pokręcił głową i wrócił za kontuar.

– Skarbie, ktoś do ciebie – zawołał, otwórzysz klapę okienka, przez które wydawano posiłki. – Wygląda na Jedi.

W otworze ukazała się wielka głowa spowita kłębami szarawej pary. Szeroki uśmiech – na ustach, w których zmieściłaby się cała głowa Kenobiego – odsłonił wielkie zęby gospodarza, szczerze uradowanego na widok gościa.

– Obi-Wan!

– Witaj, Dex – odpowiedział Jedi, po czym wstał i podszedł do lady.

– Siadaj, stary! Zaraz do ciebie przyjdę!

Obi-Wan rozejrzał się dookoła. Robot kelnerka kręcił się po sali, obsługując pozostałych klientów. Jedi postanowił zająć miejsce w łoży tuż obok kontuaru.

– Napijesz się *ardees*? – spytał automat znacznie przyjaźniejszym tonem.

– Tak, dziękuję.

Robot musiał przycisnąć się do kontuaru, by przepuścić idącego nieco sztywno niesławnego Dextera Jettstera. Był to osobnik imponującej postury; pozbawiona karku góra mięsa, przy której najwięksi twardziele odwiedzający ten lokal wyglądali cherlawo. Spod koszuli gospodarza wystawał tłusty kałdun, a na łysej głowie olbrzyma perliły się krople potu. I choć najlepsze lata miał już za sobą, a jego ruchy nie były tak płynne jak dawniej – głównie za sprawą starych ran i kontuzji – Dexter Jettster z pewnością nie był istotą, z którą ktokolwiek miałby ochotę walczyć – zwłaszcza że każde z jego czworga ramion zakończone było pięścią, która jednym ciosem mogła zmienić twarz w mokrą plamę. Obi-Wan zauważył, że wielu gości spoglądało na Jettstera z respektem.



- Witaj, stary druhu!
- Cześć, Dex. Dawno się nie widzieliśmy.

Dexter z wysiłkiem wcisnął się na siedzenie naprzeciwko Obi-Wana. Robot kelnerka zdążył wrócić i postawić przed starymi przyjaciółmi kubki z parującym *ardees*.

– Powiedz, przyjacielu, co mogę dla ciebie zrobić? – spytał Dex i Kenobi wiedział, że nie są to słowa rzucone na wiatr. Jedi nie zawsze aprobował wybryki Jettstera – szczególnie przekrety związane z działaniem jadłodajni oraz liczne bijatyki – ale jednocześnie miał świadomość, że nigdzie nie znajdzie bardziej lojalnego przyjaciela. Dex potrafił zabijać wrogów, ale był też gotowy poświęcić życie za kogoś, na kim mu zależało. Tak stanowił niepisany kodeks gwiazdnych włóczęgów, którego zasady przemawiały do wyobraźni Kenobiego. Przebywanie wśród ludzi takich jak Dex sprawiało mu znacznie większą przyjemność niż obcowanie z elitą rządzących.

– Możesz mi powiedzieć, co to jest? – Obi-Wan położył na stole niepozorną strzałkę. Zauważył, że Dex gwałtownie odstawił kubek i szeroko otworzył oczy na widok tajemniczego przedmiotu.

– Proszę, proszę – mruknął cicho, jakby nagle zabrakło mu powietrza. Delikatnie, niemal z nabożną czcią uniósł strzałkę. – nie widziałem takiej, odkąd wyniosłem się z Subterrel, spoza Odległych Rubieży.

- Nie wiesz, skąd pochodzi?

Dexter położył strzałkę przed Obi-Wanem.

– Kloniarze robią takie rzeczy. A nazywają je *saberdartami* z planety Kamino.

– *Saberdartami* z planety Kamino? – powtórzył Kenobi. – Ciekawe, dlaczego nie mamy czegoś takiego w archiwum analiz.

Dex trącił strzałkę pulchnym palcem.

– Można ją zidentyfikować tylko po tych nacięciach z boku – wyjaśnił. – Te wasze roboty analityczne zwracają uwagę tylko na czytelne symbole. Sądziłem, że wy, Jedi, umiecie dostrzegać różnicę między wiedzą a mądrością.

– No cóż, Dex, gdyby roboty potrafiły myśleć, już by nas tu nie było, prawda? – odparł ze śmiechem Obi-Wan. Sekundę później

Dexter zawtórował mu tubalnym głosem.

Rycerz Jedi spoważniał po chwili, przypominając sobie o misji, którą mu powierzono.

– Kamino... Nie znam tej planety. Należy do Republiki?

– Nie, znajduje się poza Odległymi Rubieżami. Powiedziałbym, że dobrych dwanaście parseków „na południe” od Labiryntu Rishi. Nawet te twoje roboty z archiwum nie powinny mieć problemu z jej znalezieniem. Kaminoanie raczej nie opuszczają swojej planety. Są kloniarzami. I to doskonałymi.

Obi-Wan znowu podniósł strzałkę i oparłszy łokieć o blat, wolno obracał ją w palcach.

– Kloniarzami? – powtórzył. – Są przyjaźnie nastawieni?

– To zależy.

– Od czego? – spytał Jedi, spoglądając na Dexa ponad czubkiem strzałki.

– Od tego, jak dobre masz maniery i jak gruby portfel – odpowiedział Dex z szerokim uśmiechem.

Obi-Wan nie był zaskoczony. Z uwagą przyglądał się strzałce.

# ROZDZIAŁ

# 12

Senator Padmé Amidala, była królowa Naboo, nie przywykła do podróżowania w takich warunkach. Wszyscy uchodźcy podróżowali jedną klasą: najgorszą. Frachtowiec bowiem, zgodnie ze swą nazwą, przeznaczony był do przewożenia w swych wielkich ładowniach towarów, a nie żywych istot. Oświetlenie było fatalne, a zapachy jeszcze gorsze, choć trudno było ustalić, czy ich źródłem jest sam statek, czy też wielorasowy tłum emigrantów. Jednak dla Padmé podróż ta była mimo wszystko przyjemna. Młoda kobieta wiedziała, że powinna być teraz na Coruscant i walczyć ze zwolennikami ustawy o militaryzacji, ale jakimś cudem właśnie tu, na pokładzie frachtowca, czuła się naprawdę wolna i spokojna.

Wolna od odpowiedzialności. Wolna od protokołu. Choć przez chwilę mogła być po prostu Padmé, a nie senator Amidala. Jeśli nie liczyć wczesnego dzieciństwa, niewiele było w jej życiu momentów podobnej swobody. Z perspektywy lat wydawało jej się, że całe dotychczasowe życie poświęciła służbie publicznej; działała wyłącznie dla wyższego, wspólnego dobra, nie zważając na własne potrzeby i nie mając czasu być tylko Padmé.

Nie żałowała, że tak wyglądało jej życie. Była dumna ze swoich osiągnięć, co więcej, dawały jej one głębokie poczucie przynależności do czegoś znacznie większego niż świat prywatnych potrzeb.

A jednak nie mogła zaprzeczyć, że chwile, kiedy na jej barkach nie spoczywała wielka odpowiedzialność, miały swoje uroki.

Spojrzała na niespokojnie śpiącego Anakina. Patrzyła na niego nie

na padawana Jedi, swojego obrońcę, ale jak na młodego mężczyznę.

Przystojnego młodego mężczyznę, który wielokrotnie wyznawał jej miłość. Z pewnością niebezpiecznego młodego mężczyznę, przyszłego Jedi, myślącego o rzeczach, o których myśleć nie powinien. Mężczyznę, który z uporem podążał za głosem serca. A wszystko to dla niej... Padmé nie mogła zaprzeczyć: było w tym coś pociągającego. Oboje kroczyli podobną ścieżką służby publicznej – ona jako senator, on jako padawan Jedi. Jednak chłopak otwarcie buntował się przeciwko regułom rządzącym jego życiem, a przynajmniej przeciwko mistrzowi, który te reguły ustalał. Padmé nigdy się nie buntowała.

Ale czy nie miała na to ochoty? Czy Padmé Amidala nie chciała być tylko Padmé? Przynajmniej raz na jakiś czas?

Uśmiechnęła się i odwróciła plecami do Anakina, wypatrując w mrocznym wnętrzu ładowni drugiego towarzysza podróży. Wreszcie zauważyła R2-D2 stojącego w kolejce żywych istot rozmaitych gatunków. Tuż przed nim obsługa kuchni napełniała właśnie czyjąś miskę porcją mętnej papki. Prawie każdy, kto odchodził od kontuaru, wydawał z siebie cichy jęk zawodu.

Padmé przyglądała się z rozbawieniem, jak jeden z serwujących zaczyna krzyczeć, wymachując ręką w stronę R2.

– Żadnych robotów w kolejce po żarcie! – wrzasnął kuchcik. – Jazda stąd!

R2 ruszył z miejsca, lecz zatrzymał się nagle i szybko wysunął ze swego pękatego korpusu grubą rurę, która zawisała nad ladą i wciągnęła solidną porcję papki, by w specjalnym pojemniku zawieźć ją swojej pani.

– Żadnych robotów! – powtórzył serwujący.

R2 wciągnął jeszcze trochę papki, a potem wysunął chwytak w stronę tacy z chlebem. Chwyciwszy kromkę, gwizdnął wesoło, zawrócił i odjechał, nie zważając na przekleństwa i wymachiwanie pięściami.

Klucząc między śpiącymi emigrantami, dotarł do uśmiechniętej Padmé.

– Nie, nie! – zawołał ktoś tuż obok. – Mamo, nie!

Padmé odwróciła się i przekonała, że to jej towarzysz, spocony i drżący, krzyczy przez sen.

– Anakinie? – powiedziała, potrząsając nim lekko.

– Nie, mamó! – krzyknął, odsuwając się w kąt pościelenia. Gwałtownie poruszał nogami, jakby przed czymś uciekał.

– Anakinie – powtórzyła Padmé nieco głośniejszym i mocniejszym głosem trącając ramię padawana.

Błękitne oczy otworzyły się nagle i szybko omiotły pomieszczenie, zanim zatrzymały się na twarzy Padmé.

– O co chodzi?

– Śniło ci się coś strasznego.

Anakin bez słowa wpatrywał się w Padmé, a na jego twarzy pojawił się najpierw wyraz zaciekawienia, a potem troski.

Amidala wzięła od R2-D2 miszkę papki i kawałek chleba.

– Jesteś głodny?

Skywalker usiadł, przeczesał dłonią włosy i pokręcił głową.

– Niedawno weszliśmy w nadprzestrzeń – poinformowała go Padmé.

– Jak długo spałem?

– Dość długo – odpowiedziała z uśmiechem.

Anakin wygładził poły tuniki, wyprostował się i rozejrzał, próbując strząsnąć z siebie resztki snu.

– Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę Naboo – westchnął. Gdy popatrzył na szarawą papkę, zrzędała mu mina. A kiedy schylił się i ją powąchał – zmarszczył nos. – Naboo – powtórzył, spoglądając na Padmé. – Myślałem o niej każdego dnia, odkąd odlecieliśmy. To najpiękniejsze miejsce, jakie widziałem.

Wpatrywał się w Padmé tak przenikliwie, że speszona odwróciła wzrok.

– Możliwe, że nie będzie taka, jaką pamiętałeś. Wspomnienia czasem są piękniejsze niż rzeczywistość.

– Tak... – zgodził się Anakin. Kiedy podniosła głowę i spojrzała na niego, nadal mierzył ją wzrokiem, toteż nietrudno było jej zgadnąć o czym mówił. – Ale czasem rzeczywistość przewyższa wspomnienia.

– Pewnie niełatwo ci jest być w Zakonie Jedi – odezwała się po

chwili Padmé, zmieniając temat. – Nie możesz odwiedzać wszystkich miejsc, które chciałbyś zobaczyć. Nie możesz robić tego, na co masz ochotę.

– Ani przebywać z ludźmi, których kocham? – dorzucił Anakin, zauważając, dokąd zmierza ta rozmowa.

– A czy wolno ci kochać? – spytała Padmé bez ogródek. – Sądziłam, że dla Jedi miłość jest zabroniona.

– Zakazane są związki – zaczął Anakin tonem tak beznamiętnym, jakby cytował nudne regułki. – nakazane jest posiadanie. Współczucie, które zdefiniowałbym jako bezwarunkową miłość, jest osią w życiu każdego Jedi. Tak więc można powiedzieć, że jesteśmy wręcz zachęcali do miłości.

– Tak bardzo się zmieniłeś... – stwierdziła Padmé, czując, że w tym, co mówi jest coś niestosownego, jakby ukryta zachęta.

– Za to ty ani trochę. Jesteś dokładnie taka sama, jaką pamiętam cię ze swoich snów. Dlatego podejrzewam, że Naboo także się nie zmieniła.

– Nie zmieniła – przytaknęła nieprzytomnie. Byli zdecydowanie zbyt blisko siebie; co do tego nie miała wątpliwości. Wiedziała też, że oboje stąpają po niebezpiecznym gruncie. On był przecież padawanem Jedi, a Jedi nie mogą... Padmé wyprostowała się i odchrząknęła. – daje się, że przed chwilą śniła ci się matka – zauważyła, odsuwając się trochę od Anakina. – Mam rację?

Chłopak spochmurniał i spuścił wzrok, wolno kiwając głową.

– Opuściłem Tatooine tak dawno temu. Moje wspomnienia o matce blakną – wyznał, wbijając w Padmé udręczony wzrok. – Nie chcę ich stracić. Nie chcę zapomnieć jej twarzy.

– Wiem – zaczęła i już miała unieść rękę, by pogłodzić policzek padawana, ale powstrzymała się i pozwoliła mu mówić.

– Ciągle widzę ją w snach. Bardzo realistycznych, przerażających snach. Martwię się o nią.

– Rozczarowałbyś mnie, gdyby było inaczej – odpowiedziała Padmé głosem pełnym ciepła i współczucia. – Opuściłeś ją w tak smutnych okolicznościach. – Anakin skrzywił się, jakby uraziły go te słowa. – Ale dobrze się stało, że to zrobiłeś – przypomniała,

spoglądając w jego smutne oczy. – Postąpiłeś tak, jak sobie tego życzyła. Uznała, że tak będzie lepiej dla ciebie. Szansa, którą dał ci Qui-Gon, obudziła w niej nadzieję. Przecież tego właśnie rodzice pragną dla swego dziecka: wiedzieć, że będzie miało szansę na lepsze życie.

– Ale sny...

– Myślę, że nie pozbędziesz się tak łatwo poczucia winy – przerwała mu Padmé. Anakin pokręcił głową, czując, że Amidala nie rozumie jego intencji. Ona jednak była innego zdania. – o zupełnie naturalne, że chciałbyś zabrać matkę z Tatooine, może mieć ją przy sobie, albo na Naboo, Coruscant czy w jakimkolwiek miejscu, które uważasz za bardziej bezpieczne i piękniejsze. Uwierz mi, Anakinie – dodała miękko, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Dobrze zrobiłeś, opuszczając Tatooine. Dobrze dla siebie, ale i – co ważniejsze – dobrze dla twojej matki.

Port kosmiczny w Theed pod wieloma względami przypominał ten z Coruscant, pełen frachtowców i wahadłowców spływających z nieba wyznaczonymi szlakami. Jednakże w przeciwieństwie do planety – miasta, w stolicy Naboo nie było imponujących wysokościowców z twardego metalu i połyskującej transpastali. Tutejsze budynki konstruowano z kamienia i innych klasycznych materiałów, dachy miały łagodne zaokrąglone kształty, a ściany delikatne kolory. Po ścianach domów pięły się rozmaite odmiany roślin nadające miastu niepowtarzalny charakter.

Anakin i Padmé szli przez znajomo wyglądający plac, na którym dziesięć lat temu rozpoczęła się bitwa z robotami bojowymi Federacji Handlowej. R2-D2 jechał za nimi, gwiżdżąc wesołą melodię, jakby udzieliła mu się spokojna atmosfera Theed.

Padmé spoglądała ukradkiem na Anakina, z zadowoleniem obserwując, jak padawan odpręża się i uśmiecha coraz szerzej.

– Gdybym tu dorastał, chyba nigdy bym stąd nie wyjechał – oświadczył Anakin.

Padmé roześmiała się cicho.

– Bardzo wątpię.

Naprawdę. Kiedy zacząłem szkolenie, byłem bardzo samotny i tęskniłem za domem. Tylko myśli o tym mieście i o mamie sprawiały mi radość.

Padmé spojrzała na niego ze zdziwieniem. Pierwszy pobyt na Naboo powinien kojarzyć się młodemu Jedi z udziałem w walce na śmierć i życie! Czyżby jego obsesja na punkcie kobiety, którą pokochał i planety, z której pochodziła, była aż tak głęboka, że złe wspomnienia wyblakły w żarze uczuć?

– Problem polegał na tym – ciągnął Skywalker – że im więcej myślałem o mamie, tym gorzej się czułem. Humor poprawiał mi się za to, gdy przypominałem sobie Naboo i pałac. O tym, jak pałac błyszczy w promieniach słońca, o tym, jak pachną kwiaty...

– I słyhać cichy szum dalekich wodospadów dodała Padmé. – Kiedy pierwszy raz przyjechałam do stolicy, byłam bardzo mała. Nigdy przedtem nie widziałam wodospadu. Te, które tu zobaczyłam, wydawały mi się cudowne. Nie spodziewałam się wtedy, że pewnego dnia zamieszkałam w pałacu.

– Powiedz, czy już jako mała dziewczynka marzyłaś o władzy i polityce?

Pytanie było tak niedorzeczne, że Padmé głośno się roześmiała.

– O, nie. To była ostatnia rzecz, o której myślałam. – Czuła, że ogarnia ją nostalgia, że ma ochotę wspominać dawno minione dni, nim wojna odebrała jej niewinność, a oszustwa i pułapki polityki zmieniły jej życie. Nie mogła uwierzyć, że tak łatwo otwiera swoje serce przed młodym padawanem. – Marzyłam o pracy w Ruchu Pomocy Uchodźcom. Nie przypuszczałam, że kiedyś stanę do wyborów. Ale im lepiej poznawałam historię, tym bardziej uświadamiałam sobie, ile dobrego mogą zdziałać politycy. Dlatego, kiedy miałam osiem lat, dołączyłam do Młodych Legislatorów, co tu, na Naboo, jest równoznaczne z oficjalnym oświadczeniem, że rozpoczyna się służbę publiczną. Potem zostałam Doradcą Senackim i wykonywałam swoje obowiązki z takim zapałem, że zanim się obejrzałam, wybrano mnie na królową. – Padmé spojrzała na Anakina i wzruszyła ramionami, starając się, by jej słowa brzmiały w miarę



skromnie. Między innymi dzięki wynikom w nauce – wyjaśniła. – Ale podejrzewam, że wyniesiono mnie do tej godności przede wszystkim przez wzgląd na moje przekonanie, że reformy są możliwe. Ludzie zapalili się do moich planów tak bardzo, że w kampanii wyborczej prawie nie poruszano kwestii mojego wieku. Nie byłam najmłodszą królową w historii Naboo, ale teraz, spoglądając z perspektywy czasu, wydaje mi się, że chyba byłam zbyt młoda. – Umilkła i spojrzała w oczy Anakina. – Nie wiem, czy byłam gotowa.

– Ludzie, którym służyłaś, uznali, że dobrze się spisałaś – przypomniał padawan. – Podobno chcieli zmienić konstytucję, żebyś mogła pozostać na tronie.

– Populizm to nie demokracja, Annie. Populizm daje ludziom to, czego chcą, a nie to, czego potrzebują. Szczerze mówiąc, poczułam ulgę, kiedy zakończyła się druga kadencja. – Padmé zachichotała. – Moi rodzice też! Bali się o mnie podczas blokady i od tamtej pory czekali tylko, kiedy się to wszystko skończy. Zresztą i ja myślałam już o założeniu rodziny...

Padmé odwróciła się, czując, że się rumieni. Jak mogła tak się przed nim otworzyć? Raz jeszcze popatrzyła na Anakina i dotarło do niej, że czuje się przy nim tak swobodnie, jakby znali się i przyjaźnili od urodzenia.

– Moja siostra ma cudowne dzieci... – powiedziała, spuszczać wzrok; jak zawsze, kiedy starała się ukryć własne pragnienia. – Ale kiedy królowa poprosiła mnie, żebym została senatorem, nie mogłam jej odmówić – wyjaśniła.

– To prawda – zgodził się Anakin. – Moim zdaniem, jesteś potrzebna Republice. Cieszę się, że wybrałaś służbę. Przeczuwam, że za naszego pokolenia wydarzą się rzeczy, które głęboko odmienia galaktykę.

– Czyżby przepowiednia Jedi? – zażartowała Padmé.

– Nie, tylko przeczucie – wyjaśnił ze śmiechem. – Po prostu wydaje mi się, że system się zestarzał i coś musi się zmienić...

– Ja też tak uważam – przytaknęła szczerze Padmé.

Zatrzymali się na moment przed wielkimi wrotami pałacu, by nacieszyć oczy wspaniałym widokiem. W przeciwieństwie do

większości budynków na Coruscant, projektowanych przede wszystkim z myślą o funkcjonalności, ten gmach miał więcej wspólnego ze Świątynią Jedi. Jego twórca doceniał znaczenie estetyki i wiedział, że forma musi współgrać z przeznaczeniem.

Gości powitały uśmiechnięte twarze. Sio Bibble, wielki przyjaciel i zaufany doradca z czasów, kiedy Padmé była królową, stał przy tronie obok królowej Jamillii, dokładnie tak, jak niegdyś stawał przy królowej Amidali. Nie postarzał się zbyt przez ostatnie lata; jego starannie utrzymane białe włosy i broda nadal nadawały mu dystyngowany wygląd, a w oczach palił się ów intensywny blask, który Padmé tak uwielbiała.

Siedząca obok niego Jamillia wyglądała imponująco, jak przystało na królową. Misterna fryzura pasowała doskonale do bogato wyszywanych szat – jakże podobnych do tych, które nosiła Padmé. Młoda pani senator pomyślała z uznaniem, że Jamillia wygląda w nich nadzwyczaj dostojnie.

W sali tronowej nie brakowało też sztabu doradców i grupy dworek oraz straży. Padmé stwierdziła w duchu, że to jedna ze złych stron bycia królową: nie ma ani odrobiny prywatności.

Królowa Jamillia wstała z godnością – głównie z powodu fantazyjnej fryzury – i zbliżyła się do Padmé, by wziąć ją za rękę.

– Martwiliśmy się o ciebie. Cieszę się, że znowu jesteś z nami, Padmé – powiedziała głębokim głosem o południowo-wschodnim akcencie, który sprawiał, że spółgłoski brzmiały wyjątkowo mocno.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Żałuję tylko, że nie mogę służyć ci lepiej, pozostając na Coruscant i biorąc udział w głosowaniu.

– Wielki Kanclerz Palpatine wszystko nam wyjaśnił – wtrącił Sio Bibble. – Powrót do domu był jedynym rozsądnym wyjściem.

Padmé z rezygnacją skinęła głową. Zbyt ciężko pracowała nad zjednoczeniem opozycji przeciwko ustawie o militaryzacji, by teraz w pełni cieszyć się powrotem na Naboo.

– Ile systemów przyłączyło się do hrabiego Dooku i jego separatystów? – spytała królowa Jamillia, która nie lubiła tracić czasu na błahe rozmowy.

– Tysiące – odrzekła Padmé. – Każdego dnia opuszcza Republikę

coraz więcej. Jestem pewna, że jeśli senat przegłosuje utworzenie armii, czeka nas wojna domowa.

Sio Bibble uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– To nie do pomyślenia! – warknął. – Od czasu utworzenia Republiki nie było jeszcze wojny na taką skalę.

– Czy widzisz jakiś sposób na sprowadzenie separatystów na łono Republiki drogą negocjacji? spytała spokojnie Jamillia.

– Nie, jeśli będą się czuli zagrożeni. – Padmé zdumiała się pewnością, z jaką wypowiedziała te słowa. Poznała niuanse swej pracy na tyle dobrze, że mogła bezgranicznie ufać instynktowi. Wiedziała jednak i o tym, że wkrótce będzie musiała przywołać na pomoc wszystkie swoje talenty. – Separatyści nie mają armii, ale jeżeli ich sprowokujemy, z pewnością będą się bronić. Nie mając ani czasu, ani pieniędzy na stworzenie sił zbrojnych, mogą szukać wsparcia Gildii albo Federacji Handlowej.

– Armie handlarzy! – parsknęła królowa, nie kryjąc rozdrażnienia i niesmaku. Tu, w Theed, wszyscy wiedzieli, jak groźne mogą być takie grupy. To właśnie Federacja Handlowa swego czasu omal nie rzuciła Naboo na kolana. I dokonałaby tego, gdyby nie bohaterska postawa Amidali, dwóch Jedi, małego Anakina i garstki królewskich pilotów. Jednak i to nie wystarczyłoby do pokonania armii robotów bojowych, gdyby nie niespodziewany sojusz zawarty przez królową Amidalę z dzielnymi Gunganami – Dlaczego senat nie robi nic, żeby ich powstrzymać?

– Obawiam się, że mimo starań Kanclerza nadal mamy wielu urzędników, sędziów, a nawet senatorów opłacanych przez Gildię – przyznała Padmé.

– Więc to prawda, że Gildia nawiązała z separatystami bliski kontakt, tak, jak się tego spodziewaliśmy – stwierdziła Jamillia.

Sio Bibble ponownie uderzył dłonią w dłoń, zwracając na siebie uwagę zebranych.

– Niesłychane! – zawołał. – To skandal, że po tylu przesłuchaniach i czterech procesach przed Sądem Najwyższym Nute Gunray wciąż jest wicekrólem Federacji Handlowej. Czy ci czciciele pieniądza naprawdę wszystkim rządzą?

– Pamiętaj, radco, że sądy doprowadziły do redukcji armii Federacji – uspokoiła go królowa. – To słuszne posunięcie.

Padmé skrzywiła się lekko.

– Niestety, Wasza Wysokość, krążą pogłoski, iż armia Federacji Handlowej nie została zredukowana zgodnie z nakazem sądu.

Anakin Skywalker odchrząknął cicho i postąpił krok naprzód.

– Rycerzom Jedi nie zezwolono na śledztwo w tej sprawie – wyjaśnił. – Powiedziano nam, że byłoby ono zbyt niebezpieczne dla całej gospodarki.

Królowa Jamillią spojrzała na niego i skinęła głową, potem zaś przeniosła wzrok na Padmé. Wyprostowała się i zadarła podbródek, przyjmując prawdziwie królewską postawę.

– Musimy zachować wiarę w Republikę – oświadczyła. – Demokracja przestanie istnieć, kiedy tylko nabierzemy przekonania, że jej sprawne funkcjonowanie jest niemożliwe.

– Módlmy się, żeby ten dzień nigdy nie nadszedł – odpowiedziała cicho Padmé.

– Teraz jednak musimy zadbać o twoje bezpieczeństwo – przypomniała Jamillią, po czym spojrzeniem dała znak Sio Bibble'owi. Na jego sygnał wszyscy doradcy, dworki i asystenci skłonili się i w pośpiechu opuścili salę tronową. Sio Bibble stanął zaś przed Anakinem i czekał, aż zamkną się drzwi za ostatnim z wychodzących.

– Co proponujesz, mistrzu Jedi?

– Anakin jeszcze nie jest Jedi, radco – wtrąciła Padmé. – Jest padawanem. Moim zdaniem, powinniśmy...

– Hej, chwileczkę! – przerwał jej Anakin, mrużąc oczy i marszcząc brwi, wyraźnie niezadowolony z tej lekceważącej uwagi.

– Przepraszam! – odparowała, nie ustępując przed groźnym spojrzeniem padawana. Moim zdaniem, powinniśmy pozostać w Krainie Jezior. Można się tam dobrze ukryć.

– To ja przepraszam! włączył się jeszcze bardziej zirytowany Anakin. Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo, pani.

Padmé przymierzała się do ostrej reprymendy, ale zauważyła wymianę podejrzliwych spojrzeń między Sio Bibble'em a królową

Jamillią. Dotarło do niej, że nie powinna publicznie sprzeczać się z Anakinem, bo może to wzbudzić podejrzenia, iż coś między nimi jest. Opanowała się więc i przemówiła znacznie łagodniejszym tonem.

– Annie, moje życie jest w niebezpieczeństwie, a tu jest mój dom. Znam ten świat lepiej niż ty; to dlatego tu jesteśmy. Będzie lepiej, jeśli wykorzystasz moją wiedzę.

Przepraszam, pani skłonił się Anakin.

– Padmé ma rację – rzekł wyraźnie rozbawiony Sio Bibble, biorąc padawana pod ramię. – Kraina Jezior to najdalsza część Naboo. Nie ma tam wielu ludzi, za to będziecie mieć dobry widok na puste równiny. To naprawdę doskonały wybór. Tam łatwiej ci będzie chronić panią senator.

– Świetnie – podsumowała Jamillią. – Zatem ustalone.

Padmé widziała po minie Anakina, że nie jest specjalnie zachwycony, ale mogła jedynie odpowiedzieć mu lekkim wzruszeniem ramion.

– Padmé – ciągnęła królowa Jamillią – wczoraj przyjechałam na audiencji twojego ojca. Opowiedziałam mu, co się stało. Ma nadzieję, że przed wyjazdem odwiedzisz matkę. Twoja rodzina bardzo się o ciebie martwi.

Padmé pomyślała z bólem, że życie rodzinne i służba publiczna to dwa światy, które trudno pogodzić. To dlatego już dawno dokonała wyboru; wiedziała, że występując w podwójnej roli – żony lub nawet matki oraz pani senator – nie przysłuży się najlepiej ani rodzinie, ani Republice.

Nigdy nie martwiła się o własne bezpieczeństwo; teraz jednak uświadomiła sobie, że dokonywane przez nią wybory mogą mieć wpływ na życie innych ludzi, i to tych najbliższych jej sercu.

Nie uśmiechała się, kiedy wraz z Anakinem, Sio Bibble'em i królową Jamillą opuszczała salę tronową, zmierzając w stronę głównej klatki schodowej pałacu.

# ROZDZIAŁ

# 13

Największym pomieszczeniem w wielkiej Świątyni Jedi na Coruscant była sala Archiwum. Podświetlane panele komputerowe ciągnęły się długimi rzędami, gdzieś tam ustawiono też popiersia sławnych Jedi rzeźbione w białym kamieniu przez najlepszych artystów stolicy.

Obi-Wan zatrzymał się przed jednym z nich, przyglądając mu się i dotykając palcami, jakby pragnął wejrzeć w duszę modelu i poznać jego uczucia. Tego dnia w Archiwum nie było zbyt wielu interesantów – rzadko kiedy bywało ich więcej niż kilku jednocześnie – toteż Jedi oczekiwał, że Madame Jocasta Nu, Archiwistka Jedi, wkrótce przybędzie na umówione spotkanie.

Stał cierpliwie, z uwagą studiując mocne rysy kamiennej twarzy – wysokie kości policzkowe, staranną fryzurę oraz duże przenikliwe oczy. Obi-Wan nie znał zbyt dobrze tego człowieka legendy, hrabiego Dooku, ale spotkał go raz i wiedział, że podobieństwo zostało uchwycone wyśmienicie. W osobie hrabiego wyczuwało się tę samą intensywność, niemal namacalną aurę siły, która często otaczała mistrza Qui-Gona, zwłaszcza wtedy, gdy miał do spełnienia szczególnie ważną misję. Qui-Gon sprzeciwiał się Radzie Jedi wtedy, kiedy uważał to za stosowne – postąpił tak na przykład przed dziesięciu laty w sprawie Anakina, wstawiając się za nim na długo przed tym, nim Rada doceniła niezwykły talent chłopca: gigantyczny potencjał Mocy sugerujący, iż młody Skywalker może być Wybrańcem, o którym wspominała stara przepowiednia. Tak, Obi-

Wan pamiętał upór Qui-Gona, ale jednocześnie wiedział, że hrabia Dooku jest zupełnie inny, że nigdy nie rezygnuje, że obsesyjnie drąży sprawy, na których mu zależy. Jego oczy były jak niegasnące płomienie.

Dooku sięgał czasem po ekstremalne i niebezpieczne środki. Odszedł z Zakonu Jedi, wyrzekł się powołania i odwrócił plecami do towarzyszy. Trudno było odgadnąć, co zmusiło go do tego kroku, lecz przecież musiał zdawać sobie sprawę z faktu, że w rodzinie Jedi łatwiej byłoby mu stawić im czoło.

– Prosiłeś o pomoc? odezwał się stanowczy głos za plecami Obi-Wana, wyrywając go z zadumy. Kenobi odwrócił się i zobaczył Madame Jocastę Nu chowającą splecione dłonie w fałdach luźnej szaty Jedi. Wyglądała na istotę delikatną i wiekową. Wielu młodych, mniej doświadczonych Jedi próbowało podporządkować sobie tę niepozorną kobietę, zmusić ją do wykonania zadań, które sprowadziły ich do Archiwum – tylko po to, by w niezbyt przyjemnych okolicznościach poznać prawdziwą naturę Madame Jocasty Nu. Pod pooraną zmarszczkami skórą krył się bowiem duch pełen temperamentu, siły i determinacji. Jocasta Nu była Archiwistą Zakonu od bardzo wielu lat. Nawet najszacowniejszy z Mistrzów odwiedzających wielką salę musiał podporządkować się rozkazom tej kobiety, jeśli nie chciał narazić się na jej gniew.

– Tak, tak, prosiłem odezwał się w końcu Obi-Wan, zdając sobie sprawę z tego, że Jocasta Nu wpatruje się w niego uważnie, oczekując odpowiedzi.

Stara kobieta uśmiechnęła się i podeszła bliżej do popiersia hrabiego Dooku.

– Niezwykła twarz, prawda? – zauważyła. Jej cichy głos uspokoił nieco Kenobiego. – Był jednym z najbardziej błyskotliwych Jedi, jakich miałam zaszczyt poznać.

– Nie potrafię zrozumieć, dlaczego odszedł – odrzekł Obi-Wan, także spoglądając na imponującą rzeźbę. – W całej historii tylko dwudziestu Jedi opuściło Zakon.

– Stracona Dwudziestka – przytaknęła Jocasta Nu, wzdychając ciężko. – Ale odejście hrabiego Dooku to najświeższa i najbardziej

bolesna sprawa. Nikt nie lubi o tym mówić. Zakon poniósł wielką stratę.

– Co się stało?

– Cóż, można powiedzieć, że nie zawsze zgadzał się z decyzjami Rady – odparła władczyni Archiwum. – Podobnie jak twój dawny mistrz, Qui-Gon.

Mimo iż Obi-Wan myślał właśnie o tym samym, stanowcze słowa Jocasty Nu zaskoczyły go, ponieważ rzucały na postać Qui-Gona zupełnie nowe światło; czyniły z niego jawnego buntownika. Kenobi wiedział, oczywiście, że jego mistrz bywał czasem nieposłuszny – na przykład wtedy, gdy bronił przed Radą Anakina – ale nigdy nie myślał o nim jak o rebeliancie. Wszystko wskazywało na to, że Jocasta Nu, na co dzień trzymająca rękę na pulsie życia Świątyni Jedi, była innego zdania.

– Naprawdę? – powiedział Obi-Wan, oczekując przede wszystkim informacji o Dooku, ale w duchu mając nadzieję także na opowieść o swoim dawnym, ukochanym mistrzu.

– O, tak. Mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj byli indywidualistami. I idealistami. – Jocasta Nu nie przestawała wpatrywać się intensywnie w popiersie hrabiego. Obi-Wan miał wrażenie, że nagle znalazła się bardzo, bardzo daleko od sali Archiwum. – zawsze starał się zostać jeszcze potężniejszym Jedi. Chciał być najlepszy. W starym stylu walki na miecze świetlne nie miał sobie równych. Jego wiedza o Mocy była... niebywała. Aż wreszcie odszedł... chyba dlatego, że stracił wiarę w Republikę. Uważał, że polityką rządzi korupcja...

Jocasta Nu umilkła na moment, by spojrzeć spod oka na Obi-Wana. Wyraz jej twarzy zdradzał, że zgadzała się z poglądami hrabiego bardziej niż inni Jedi.

– Był też przekonany, że Jedi zdradzają samych siebie, służąc politykom – dokończyła.

Obi-Wan zmrużył oczy, analizując jej słowa. Wiedział, że wielu rycerzy – nie wyłączając Qui-Gona i jego samego – od czasu do czasu wyrażało podobne opinie.

– Zawsze wiele oczekiwał po władcach Republiki – ciągnęła



Jocasta Nu. – Pewnego dnia zniknął bez wieści na dziewięć czy dziesięć lat i pojawił się dopiero niedawno jako przywódca ruchu separatystycznego.

– Bardzo ciekawe – przyznał Obi-Wan. – chociaż nadal nie jestem pewien, czy dobrze to rozumiem.

– Nikt z nas nie jest pewien – odparła Jocasta Nu. Jej powaga rozpułyła się w serdecznym uśmiechu. – Ale domyślam się, że nie wezwalesz mnie po to, żeby usłyszeć wykład z historii. Masz jakiś problem, mistrzu Kenobi?

– Tak. Staram się odnaleźć system planetarny zwany Kamino. Niestety, nie ma go na żadnych mapach, które znalazłem w Archiwum.

– Kamino? – Jocasta Nu rozejrzała się, jakby chciała odnaleźć tajemniczą planetę tu i teraz. – Nie znam takiego systemu. Pozwól, że sprawdzę.

Przeszli kilka kroków i stanęli przed terminalem komputerowym, w którym Obi-Wan prowadził poszukiwania. Kobieta pochyliła się i wprowadziła kilka komend.

– Jesteś pewien, że wpisałeś prawidłowe współrzędne?

– Według moich informacji, system powinien znajdować się gdzieś w tym kwadrancie – przytaknął Obi-Wan. – „Na południe” od Labiryntu Rishi.

Po kilku kolejnych stuknięciach w klawiaturę zmarszczki na czole Jocasty Nu tylko się pogłębiły.

– A co z dokładnymi współrzędnymi?

– Mam tylko kwadrant – odrzekł Obi-Wan. Jocasta Nu spojrzała na niego z ukosa.

– Nie masz współrzędnych? Brzmi to tak, jakbyś zasięgał informacji u ulicznego sprzedawcy, starego górnika albo handlarza furbogami.

– Prawdę mówiąc, u wszystkich trzech – przyznał z uśmiechem Obi-Wan.

– Jesteś pewien, że system istnieje?

– Całkowicie.

Jocasta Nu w zamyśleniu potarła dłonią podbródek.

– Użyję czytnika grawitacyjnego – powiedziała, bardziej do siebie niż do Obi-Wana.

Po wprowadzeniu kilku rozkazów holograficzna mapa wycinka galaktyki zaczęła się obracać, a para Jedi śledziła jej ruchy z uwagą.

– Widzę tu pewne zaburzenia grawitacyjne – zauważyła Archiwistka. – Może planeta, której szukasz, została zniszczona?

– Czy taki fakt nie byłby odnotowany?

– Powinien być, chyba że zdarzył się bardzo niedawno – odparła Jocasta Nu, lecz mówiąc, kręciła głową w taki sposób, jakby te słowa nie przekonywały nawet jej samej. Przykro mi, ale wszystko wskazuje na to, że system, którego szukasz, nie istnieje.

– To niemożliwe. Może dane Archiwum są niekompletne?

– Dane są kompletne i doskonale zabezpieczone, mój młody Jedi – powiedziała z naciskiem kobieta. – Jednej rzeczy możesz być absolutnie pewny: jeśli jakiejś rzeczy nie ma w naszych bazach danych, to znaczy, że ona nie istnieje.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Obi-Wan wiedział, że Jocasta Nu się nie myli.

Znowu spojrzął na mapę zbity z tropu faktem. Był przekonany, że w galaktyce nie było bardziej wiarygodnego źródła informacji niż Dexter Jettster i Jocasta Nu. A jednak to, co mówili było ze sobą sprzeczne. Dex był równie pewny pochodzenia *saberdartu*, jak Archiwistka nieistnienia planety Kamino.

Obi-Wan Kenobi wiedział, że odnalezienie niedoszęłego zabójcy Amidali nie będzie łatwe, a myśl ta zmartwiła go z wielu powodów.

Uzyskawszy zgodę Jocasty Nu, Jedi wcisnął kilka klawiszy, by przeładować informacje z Archiwum do małego hologlobu. Ściskając w dłoni nośnik danych, opuścił salę, posyłając ostatnie spojrzenie imponującej podobiznie hrabiego Dooku.

Jeszcze tego samego dnia, z dala od komputerów Archiwum i robotów analitycznych, Obi-Wan Kenobi postanowił poszukać odpowiedzi w medytacji. Znalazł mały przytulny pokój niedaleko wielkiego balkonu Świątyni; jeden z wielu, które wybudowano z

myślą o potrzebnych rycerzom Jedi chwilach cichej refleksji. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na miękkiej macie, obok strumyka tryskającego ze ściany i płynącego po wygładzonych kamieniach z kojącym szmerem – cicha, prosta i piękna pieśń wody była właściwym tłem do rozmyślań.

Na ścianie wisiało malowidło przedstawiające plamy czerwieni, ciemnego szkarłatu i czerni – swobodną interpretację stygnącego jeziora lawy. Obraz zachęcał do otoczenia się jego barwami, do zanurzenia w ciepłe kolory przy wtórze szmeru strumyka i porzucenia na moment cielesnej formy bytu.

Zapadłszy w trans, Obi-Wan Kenobi szukał odpowiedzi. Najpierw skoncentrował się na zagadce Kamino, spodziewając się, że słowa Dextera okażą się prawdziwe. Ale jeśli tak, to dlaczego w Archiwum nie było nawet wzmianki o tej planecie?

W medytacji Obi-Wana wdarł się nowy obraz – Anakina i Padmé na Naboo.

Mistrz Jedi zamarł, obawiając się, że za chwilę dozna widzenia, w którym na padawaną i piękną panią senator czyhać będzie niebezpieczeństwo.

Wkrótce jednak zrozumiał, że zagrożenia nie ma: para w spokoju oddawała się zabawie.

Ulga Obi-Wana trwała tylko do momentu, kiedy zdał sobie sprawę, iż scena rozgrywająca się na jego oczach może doprowadzić do największego ze wszystkich możliwych niebezpieczeństw. Po chwili jednak oddalił od siebie czarne myśli, nie wiedząc, czy są one projekcją rzeczywistości, czy przepowiednią przyszłości. Skupił się na sprawie planety Kamino, na pytaniu o tożsamość tego, kto tak bardzo pragnął śmierci Amidali. Wiedział, że im prędzej upora się z tą zagadką, tym prędzej będzie mógł powrócić do Anakina i wskazać mu właściwą drogą.

Mistrz Jedi poszybował myślą do popiersia hrabiego Dooku, gorączkowo szukając odpowiedzi, lecz z jakiegoś powodu wizerunek Anakina wciąż mieszał się z podobizną renegata...

Zmartwiony i jeszcze bardziej zdezorientowany niż poprzednio, Obi-Wan Kenobi opuścił pokój medytacji, potrząsając głową i

rozmyślając nad zawilnością powierzonej mu sprawy.

Cierpliwość zmieniła się we frustrację i rycerz Jedi postanowił szukać pomocy u mądrzejszych i bardziej doświadczonych od siebie. Krótki spacer zaprowadził go na przestronną werandę, gdzie zatrzymał się, by rozładować napięcie, przyglądając się niewinnej scenie.

Mistrz Yoda prowadził zajęcia z dwudziestoma młodymi rekrutami Jedi – dziećmi w wieku od czterech do pięciu lat, które za pomocą małych mieczy świetlnych toczyły właśnie pojedynki z latającymi robotami szkoleniowymi.

Obi-Wan przypomniał sobie własny trening. Nie mógł dostrzec oczu malców ukrytych pod maskami hełmów, ale wyobrażał sobie, jakie emocje malują się na buziach dzieci. Zapewne pojawiało się na nich na przemian wielkie skupienie i niepoohamowana radość, gdy mały miecz kolejny raz skutecznie zablokował nieszkodliwą błyskawicę wystrzeloną przez automat. Zachwyty trwały zazwyczaj krótko, ponieważ prowadził do dekoncentracji, a w konsekwencji do kary w postaci celnego strzału.

Kenobi pamiętał i to, że niosące niewielką energię błyskawice nie były zbyt bolesne, za to mocno raniły dumę. Nie było nic gorszego, niż udany kontratak robota; zwłaszcza gdy strzał dosięgał tylnej części ciała rekruta: wtedy trafiony zawodnik zaczynał podskakiwać w pociesznym tańcu, co potęgowało tylko jego zakłopotanie. Obi-Wan doskonale pamiętał, jak wszyscy trenujący przyglądali się nieszczęsnemu „tancerzowi”.

Szkolenie Jedi bywało niekiedy upokarzające.

Było także ekscytujące, bowiem po porażkach przychodziły sukcesy, a każdy z nich umacniał pewność siebie i pozwalał uczniowi lepiej poznać nieustannie zmieniające się piękno, którym była Moc. Tak rodziła się potęga, której posiadanie różniło rycerzy Jedi od pozostałych mieszkańców galaktyki.

Widok Yody szkolącego malców, który wyglądał teraz dokładnie tak samo jak przed ćwierćwieczem, kiedy to nauczał Obi-Wana, nappełnił serce młodego mistrza ciepłymi uczuciami.

– Nie myślcie. Odczuwajcie – pouczał Yoda. – Jednością bądźcie z

Mocą.

Obi-Wan uśmiechnął się, bezgłośnie wypowiadając wraz z Mistrzem następne słowa:

– To pomoże wam.

Ileż razy słyszał te zdania!

Wciąż uśmiechał się szeroko, kiedy Yoda odwrócił się w jego stronę.

– Dosyć, młodzieży! – zakomenderował wielki Mistrz Jedi. – Gościa mamy. Powitajcie go.

Dwadzieścia małych mieczy świetlnych wyłączyło się z sykiem i uczniowie stanęli na baczność, przyciskając do boku zdjęte z głów hełmy.

– Mistrz Obi-Wan Kenobi – powiedział Yoda z powagą, starając się, by dzieci nie poczuły się lekceważone.

– Witaj, mistrzu Obi-Wanie! – zawołali chórem rekruci.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Mistrzu – rzekł Kenobi, kłaniając się lekko.

– W czym pomóc ci mogę?

Obi-Wan przez moment rozważał odpowiedź na to proste pytanie. Owszem, przyszedł tu, szukając pomocy u Yody, ale teraz, widząc, że odrywa Mistrza od pracy, zaczął zastanawiać się, czy cierpliwość nie opuściła go zbyt szybko. Czy miał prawo oczekiwać, że Yoda pomoże mu w wypełnianiu tej misji? Kenobi szybko pozbył się wątpliwości. Obaj byli rycerzami Jedi, więc spoczywała na nich wspólna odpowiedzialność. Mimo to nie oczekiwał od Mistrza konkretnych odpowiedzi, choć z drugiej strony... Yoda zawsze miał w zanadrzu jakieś niespodzianki i za każdym razem jego pomoc przekraczała oczekiwania zainteresowanych.

– Szukam planety, którą opisał mi stary przyjaciel – wyjaśnił rycerz, dobrze wiedząc, że Yoda chłonie z uwagą każde jego słowo. – Ufam mu bezgranicznie, ale w naszym Archiwum nie ma żadnej wzmianki na temat tego systemu – dokończył, pokazując Yodzie hologlob.

– Ciekawa zagadka – odrzekł Yoda. – Planetę mistrz Obi-Wan zgubił. Nieładnie... Nieładnie. Ciekawa zagadka. Zbierzcie się, młodzi

przyjaciele, wokół czytelnika map. Oczyście umysły. Spróbujemy znaleźć niesforną planetę mistrza Obi-Wana.

Przeszli do salki sąsiadującej z werandą. Pośrodku niej stała wąska kolumna zakończona płytkim zagłębieniem. Obi-Wan uniósł hologlob i ułożył go w zagłębieniu. W tej samej chwili zamknęły się żaluzje i pokój pogrążył się w mroku, w powietrzu zaś ukazała się trójwymiarowa mapa gwiazd.

Obi-Wan odczekał chwilę, nim wyjawiał mistrzowi szczegóły sprawy, by malcy zdążyli ochłonać po pierwszych emocjach. Z rozbawieniem patrzył, jak niektórzy próbowali dotknąć wirujących w powietrzu gwiazd. Kiedy gwar dziecięcych głosów ucichł, Kenobi stanął pośrodku wyświetlanego obrazu.

– Powinna być mniej więcej tu – wyjaśnił. – W tym rejonie siły grawitacyjne ściągają sąsiednie ciała niebieskie właśnie do tego punktu. Powinna tu być gwiazda, ale jej nie ma.

– Bardzo interesujące – rzekł Yoda. – Cień grawitacyjny pozostał, a gwiazda i wszystkie jej planety zniknęły. Jak to możliwe? Śmiało, młodzieży. Jaka jest pierwsza rzecz, którą w umysłach swoich widzicie? Odpowiedź? Myśl? Kto powie?

Obi-Wan w milczeniu spoglądał na dzieci.

Jedno z nich podniosło rękę. Obi-Wan miał ochotę roześmiać się na myśl o tym, że taki malec mógłby rozwiązać zagadkę, która okazała się zbyt trudna dla trojga wyszkolonych Jedi, w tym dla Yody i Madame Jocasty Nu, ale spostrzegł, że Mistrz zachowuje pełne skupienie i powagę.

Yoda skinął głową, a dziecko natychmiast pospieszyło z odpowiedzią.

– Pewnie ktoś wymazał dane w Archiwum.

– Racja! – zgodziły się pozostałe maluchy. – Tak właśnie było! Ktoś wymazał!

– Gdyby planeta była zniszczona, nie byłoby grawitacji – dodał któryś z uczniów.

Oszołomiony Obi-Wan wpatrywał się tępo w grupkę podnieconych rekrutów, zaś Yoda chichotał cicho.

– Zaprawdę cudowny jest umysł dziecka – rzekł Mistrz. –

Niezaśmiecony. Prawda: ktoś wymazał dane.

To powiedziawszy, Yoda ruszył w stronę drzwi, a Kenobi podążył za nim, używając Mocy do wyciągnięcia hologlobu z wnętrza czytnika. Gwiezdna mapa zgasła.

– Leć do środka pola grawitacyjnego, a planetę odnajdziesz – poradził Yoda.

– Mistrzu, kto mógł usunąć informacje z Archiwum? Przecież to niemożliwe.

– Niebezpieczna i niepokojąca to zagadka – odrzekł Yoda, marszcząc czoło. – Tylko Jedi mógł tego dokonać. Ale który i dlaczego – powiedzieć trudno. Medytować nad tym będę. Niech Moc będzie z tobą.

Obi-Wan miał jeszcze tysiąc pytań, ale Jedi zrozumiał, że Mistrz właśnie go pożegnał. Obaj mieli przed sobą wiele zagadek do rozwiązania, ale teraz, przynajmniej przed Kenobim, otworzyła się w miarę prosta ścieżka. Rycerz z szacunkiem pokłonił się Yodzie, który zdążył już wznowić zajęcia z dziećmi i nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Wkrótce potem Obi-Wan, był już na lądowisku, obok gotowego do lotu myśliwca – smukłej, podobnej do strzały maszyny z wąskimi skrzydłami typu delta i kabiną umieszczoną w tylnej części kadłuba. Mace Windu, wysoki i potężnie zbudowany Mistrz, stał obok i z właściwym sobie spokojem przyglądał się ostatnim przygotowaniom do wyprawy. Jego postać emanowała siłą i spokojem. Mace Windu samą swoją obecnością dodawał bliźnim otuchy, dawał im nadzieję na pomyślny obrót spraw.

– Bądź czujny – zwrócił się do Obi-Wana, przechylając lekko głowę. – Zakłócenie w polu Mocy jest coraz silniejsze.

Kenobi przytaknął bez słowa, choć jego zmartwienia miały w tym momencie zdecydowanie bardziej konkretny i przyziemny charakter niż obawy Mistrza.

– Niepokoję się o mojego padawana. Nie jest gotowy do samodzielnej służby – odezwał się po chwili.

Mace skinął głową, jakby przypominał Obi-Wanowi, że ta kwestia została już omówiona.

– Ma wyjątkowe zdolności – powiedział. – Rada wierzy w trafność swojej decyzji, Obi-Wanie. Nie znamy odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące twojego ucznia, ale nie można zaprzeczyć, że chłopak ma talent. Pod twoją opieką poczynił ogromne postępy.

Obi-Wan rozważył dokładnie słowa Mistrza i znowu skinął głową, wiedząc, że stąpa po niebezpiecznym gruncie. Gdyby okazał niepokój co do temperamentu Anakina, mógłby zaszkodzić Zakonowi i galaktyce. Z drugiej strony powinien wiedzieć, dlaczego Jedi mimo wszystko zdecydowali się na kształcenie młodego Skywalkera.

– Jeżeli przepowiednia jest prawdziwa, Anakin przywróci równowagę Mocy – dokończył Mace.

– Musi się jeszcze wiele nauczyć. Szybkie postępy uczyniły go... – Obi-Wan zawahał się, szukając w miarę delikatnego określenia... aroganckim. Teraz dopiero rozumiem i uznaję to, co ty i Yoda wiedzieliście od początku: chłopak był zbyt duży, by rozpoczynać szkolenie i... Zmarszczki, które przecięły czoło Maca Windu, zasygnalizowały Kenobiemu, że może posuwa się zbyt daleko.

– Jest w tym coś jeszcze – zauważył Mace. Obi-Wan wziął głęboki, uspokajający oddech.

Mistrzu, Anakin i ja nie powinniśmy otrzymać tego zadania. Obawiam się, że mój uczeń nie będzie w stanie obronić pani senator Amidali.

– Dlaczego?

– Bo jest... jest z nią emocjonalnie związany. To trwa już od dzieciństwa. A teraz jest zagubiony, brakuje mu koncentracji. Mówiąc te słowa, Obi-Wan skierował się do myśliwca. Wdrapał się do kabiny i usiadł w fotelu pilota.

– Mówiłeś już o tym stwierdził Mace. A twoje zastrzeżenia zostały dokładnie rozważone i nie zmieniły decyzji Rady. Obi-Wanie, musisz wierzyć, że Anakin pójdzie właściwą ścieżką.

Mistrz miał rację; jeżeli Anakin ma stać się kiedyś wielkim przywódcą, o którym wspominała przepowiednia, musi przejść próby charakteru. Obi-Wan wiedział, że jedna z tych prób rozgrywa się



właśnie teraz, na odległej planecie, z udziałem młodej kobiety, którą pokochał padawan. Kenobi miał tylko nadzieję, że Anakin w porę zda sobie sprawę, że to, co przeżywa, jest właśnie wielką próbą charakteru. Tylko wtedy zdoła wyjść z niej zwycięsko.

– Czy Mistrz Yoda wejrzał już w przyszłość na tyle, by stwierdzić, czy czeka nas wojna? – spytał, by zmienić temat, choć przeczuwał, że te sprawy łączą się ze sobą nierozzerwalnie. Gdyby odnalazł zabójcę, a Republika zawarła pokój z separatystami, mógłby skoncentrować się na szkoleniu Anakina i zapewnić zdezorientowanemu padawanowi solidne wsparcie.

– Sondowanie ciemnej strony to niebezpieczny proces – odparł Mace. – Nie wiem, nawet kiedy Yoda zamierza zacząć, ale gdy to zrobi, być może pozostanie w odosobnieniu przez wiele dni.

Obi-Wan w milczeniu skinął głową, a Mistrz Windu pożegnał go uśmiechem i gestem uniesionej dłoni.

– Niech Moc będzie z tobą.

– Arfour, wprowadź kurs do pierścienia napędu nadświatlnego – polecił Obi-Wan robotowi astronawigacyjnemu, jednostce R4-P wmontowanej na stałe w lewe skrzydło smukłego myśliwca. Pora zacząć działać, pomyślał.

# ROZDZIAŁ

# 14

Prostota tej sceny była urzekająca: dzieci bawiły się bez troski, a dorośli wygrzewali się w promieniach słońca lub gawędzili z sąsiadami ponad schludnie przyciętymi żywopłotami. Była to scena najzupełniej normalna dla mieszkańców Naboo, ale w niczym nie przypominała tego, czego doświadczył w swoim życiu Anakin Skywalker. Na Tatooine domy rozrzucone były na wielkich połaciach pustyni, w miastach zaś, takich jak Mos Eisley, zabudowa była ciasna i chaotyczna, a jej mieszkańcy stanowili barwną mieszaninę ras. Na Coruscant w ogóle nie było już takich ulic, jak na ojczystej planecie Padmé: zamiast żywopłotów i drzew sadzonych w równych rzędach, jak okiem sięgnąć ciągnęły się kanciaste, permabetonowe powierzchnie starych budynków i szarzejących fundamentów wielkich drapaczy chmur. Ani na Tatooine, ani na Coruscant dzieci nie biegały bez troski po podwórkach.

Dla Anakina była to więc scena prosta i piękna zarazem.

Padawan znowu ubrany był w szatę Jedi, Padmé miała na sobie zwyczajną niebieską sukienkę, która doskonale podkreślała jej urodę. Anakin zerkał na nią co chwila, jakby pragnął, by jej obraz wrył się w jego pamięć na zawsze.

Skywalker uśmiechnął się, wspominając stroje, które Amidala nosiła jako królowa Naboo – obszerne, pięknie wyszywane suknie zdobione klejnotami oraz imponujące nakrycia głowy i wymyślne fryzury.

Doszedł do wniosku, że bardziej podoba mu się w prostej

sukience. Owszem, królewskie szaty były piękne, ale odwracały uwagę od urody Padmé. Wymyślne nakrycia głowy zakrywały jej jedwabiste ciemne włosy, a makijaż chował przed światem jej piękną cerę. Ciężkie suknie ukrywały doskonałość jej kształtów.

– To mój dom! – zawołała Padmé, brutalnie wyrywając Anakina z przyjemnego rozmarzenia.

Podążył wzrokiem za jej gestem i ujrzał skromny, choć gustowny budynek, otoczony – jak wszystkie domy na Naboo – klombami kwiatów, koloniami pnączy i żywopłotami. Padmé pobiegła w stronę drzwi, a Anakin przystanął, by przyjrzeć się domowi i okolicy, w której dorastała Amidala. Podczas podróży z Coruscant usłyszał mnóstwo opowieści o jej dzieciństwie, a teraz przypomniał je sobie, próbując wpasować je w obraz okolicy, w której się rozegrały.

– O co chodzi? – spytała Padmé, zauważając, że Anakin został w tyle. – Tylko mi nie mów, że jesteś nieśmiały!

– Nie, tylko... – zaczął padawan, ale zagłuszył go głośny pisk dwóch dziewczynek, które nadbiegały od strony podwórza.

– Ciocia Padmé! Ciocia Padmé!

Anakin nie widział jeszcze u swej podopiecznej tak radosnego uśmiechu. Padmé pochyliła się i rozpostarła ramiona, by złapać rozpędzone dzieci. Młodsza siostrzenica Padmé, nieco niższa od siostry, miała krótkie, jasne, kręcone włosy, a starsza podobną fryzurę do uczesania swojej pięknej cioci.

– Ryoo! Pooja! – zawołała Padmé, ściskając je mocno. – Tak się cieszę, że was widzę! – Ucałowała małe roześmiane twarzyczki, po czym wzięła dziewczynki za ręce i poprowadziła w stronę stojącego na uboczu padawana.

– To jest Anakin. Anakinie, oto Ryoo i Pooja.

Dziewczynki wyszeptały nieśmiało „dzień dobry”, a na ich buziach pojawiły się dorodne rumieńce. Anakin uśmiechnął się tylko, choć w gruncie rzeczy czuł się równie niezręcznie jak dziewczynki.

Sekundę później Ryoo i Pooja zapomniały o nieśmiałości: dostrzegły małego robota, który toczył się dzielnie, wreszcie doganiając swoją panią.

– Artoo! – wykrzyknęły siostry i pospieszyły na spotkanie z

robotem. Odbywwszy taniec radości wokół R2-D2, zaczęły przytulać się do jego lśniącej kopułki.

Automat wyglądał na równie uradowanego; Anakin nie słyszał jeszcze, by zwykły robot astromechaniczny wygwizdywał tak szczęśliwą melodię.

Padawana wzruszyła ta niewinna scena. Nie oglądał takich w dzieciństwie.

Choć i wtedy zdarzały się wyjątkowe chwile. Od czasu do czasu Shmi udawało się rozbudzić iskrę radości, która na moment rozświetlała ponure życie niewolników na Tatooine. Na tym zasypanym piaskiem, brudnym, gorącym i podle pachnącym świecie, Anakin i jego matka zdołali wygospodarować kilka chwil prawdziwie niewinnego piękna.

Tutaj jednak, na Naboo, takie chwile były rzeczą normalną, a nie wartym zapamiętania wyjątkiem.

Anakin spojrział na Padmé, lecz ona już odwróciła się w stronę domu, skąd nadchodziła bardzo do niej podobna kobieta.

Podobna, ale nie do końca. Była nieco starsza, odrobinę mocniej zbudowana i trochę bardziej... doświadczona, pomyślał Anakin, nie znajdując lepszego określenia. Nie uważał, że to coś złego. Wyobrażał sobie, spoglądając, jak czule obejmuje Padmé, że tak mogłaby wyglądać piękna pani senator za kilka lat – kiedy się ustatkuje, nacieszy życiem rodzinnym. Biorąc pod uwagę uderzające podobieństwo dwóch kobiet, padawan nie był zaskoczony, kiedy starsza została mu przedstawiona jako Sola, siostra Padmé.

– Mama i tato będą zachwyceni – stwierdziła Sola. – Ostatnie tygodnie były dość ciężkie.

Padmé zmarszczyła brwi. Wiedziała, że wiadomość o zamachach na jej życie prędzej czy później dotrze do rodziców. Niepokoila się tym przez całą drogę.

Za troskę o dobro innych Anakin kochał Padmé jeszcze bardziej. Nie bała się niczego, dobrze znosiła to, że w każdej chwili ktoś mógł ją zabić i tylko jedna sprawa – prócz rozsad na arenie politycznej, które mogły osłabić jej stanowisko w senacie – nie dawała jej spokoju: bezpieczeństwo tych, których kochała. Kto pozostawił matkę

niewolnicę na Tatooine, potrafił docenić tę troskę.

– Mama szykuje obiad – wyjaśniła Sola, widząc zmieszanie Padmé i szybko zmieniając temat. – Jak zwykle zjawiasz się w samą porę. – kobieta ruszyła w stronę domu. Padmé zaczęła na Anakina, a potem wzięła go za rękę i obdarzywszy zachęcającym uśmiechem, poprowadziła do domu. R2-D2 potoczył się za nimi, nie próbując nawet odpędzać rozanielonych Ryoo i Pooji.

Wnętrze domu było równie proste i pełne życia oraz łagodnych barw, jak jego otoczenie. Nie było ostrych świateł, popiskujących konsolet czy mrugających ekranów komputerów. Wygodne meble miały opływowe miękkie kształty. Ustawiono je na kamiennej posadzce lub na grubych, miękkich dywanach.

Dom rodziców Padmé nie przypominał gmachów, które Anakin widział na Coruscant, ani nor, które tak dobrze poznał na Tatooine. Widok tego miejsca tylko utwierdził młodego padawana w przekonaniu, z którym nie tak dawno zdradził się przed Padmé: gdyby urodził się na Naboo, nigdy nie opuściłby tej planety.

Padmé przedstawiła Anakina ojcu, Ruwee, mężczyźnie o szerokich ramionach, krótkich ciemnych włosach i rysach twarzy znamionujących prostolinijność, siłę i wrażliwość. Gdy Anakin zobaczył matkę Padmé, zrozumiał po kim jego ukochana odziedziczyła niewinny szczery uśmiech, który mógł rozbroić horde żądnych krwi Gamorrean. W twarzy Jobal odnalazł ten sam spokój i dobroć.

Wkrótce potem Anakin, Padmé i Ruwee siedzieli już przy stole w jadalni, z przyjemnością nasłuchując odgłosów z kuchni – brzęku kamionkowych talerzy i kubków oraz uparcie powtarzanego przez Solę refrenu: „Mamo, za dużo”. Za każdym razem, gdy padały te słowa, Ruwee i Padmé uśmiechali się domyślnie.

– Nie wydaje mi się, żeby nic nie jedli od startu z Coruscant – rzuciła przez ramię zirytowana Sola, wychodząc z kuchni.

– Wystarczy dla całego miasteczka? – spytała konspiracyjnie Padmé, gdy jej starsza siostra postawiła naczynie na stole.

– Przecież znasz mamę – uśmiechnęła się Sola – Jeszcze nikt nie wyszedł z tego domu głodny.

– No, jednemu się udało – poprawiła ją Padmé. – Ale mama dogoniła go i zaciągnęła z powrotem.

– Żeby go nakarmić czy ugotować? – spytał bystry padawan. Pozostała trójka wpatrywała się w niego przez moment, po czym wszyscy wybuchnęli serdecznym śmiechem.

Wciąż chichotali, kiedy Jobal weszła do jadalni, niosąc jeszcze większą, równie pełną misę. Tym razem śmiech był znacznie głośniejszy. Dopiero gdy Jobal spojrzała surowo na rodzinę, zrobiło się cicho.

– Przyszli w porze obiadu – powiedziała. – Wiem, co to oznacza – dodała, stawiając talerz przed młodym Jedi i kładąc rękę na jego ramieniu. – Mam nadzieję, że jesteś głodny, Anakinie.

– Trochę – odrzekł, unosząc głowę i uśmiechając się ciepło. Spojrzenie pełne wdzięczności nie umknęło uwagi Padmé, która mrugnęła porozumiewawczo w stronę Anakina.

– Stara się być uprzejmy, mamó – powiedziała. – Umieramy z głodu. Jobal uśmiechnęła się szeroko i spojrzała z wyższością na Solę i Ruwee, którzy znowu roześmiali się w głos. Wszystko to wydawało się Anakinowi tak ciepłe i pełne miłości i takie... dokładnie takie... tak właśnie chciał żyć, choć może nie do końca sobie to uświadamiał.

Byłby naprawdę szczęśliwy, gdyby nie to, że brakowało mu Shmi.

Na wspomnienie matki Anakin spochmurniał na moment, szybko jednak odsunął od siebie te myśli i spojrzał ukradkiem na zebranych. Na szczęście nikt nie zauważył tej przelotnej zmiany nastroju.

– Skoro umieracie z głodu, to trafiliście w odpowiednie miejsce we właściwym czasie – powiedział Ruwee, po czym spojrzał na Anakina. – Jedz śmiało, synu!

Jobal i Sola zakręty przekazywać misy z jedzeniem z rąk do rąk. Anakin nałożył sobie kilka różnych potraw – nie znał żadnej z nich, ale zapachy podpowiadały mu, że nie będzie zawiedziony. Jadł w milczeniu, nieuważnie słuchając rozmów toczących się przy stole. Znowu myślało Shmi; o tym, jak bardzo chciał ją tutaj sprowadzić, jako wolną kobietę wiodącą życie, na jakie zasługiwała.

Jego uwagę przykuła nagła powaga w głosie Jobal gawędzącej z Padmé.

– Kochanie, cieszę się, że jesteś bezpieczna. Martwiliśmy się. Anakin uniósł głowę i dostrzegł niezadowolenie w oczach Padmé.

Ruwee, chcąc rozładować napięcie, nim wzrośnie do niebezpiecznego poziomu, położył dłoń na ramieniu żony.

– Kochanie... – zaczął cicho.

– Wiem, wiem! – przerwała mu Jobal. – Ale musiałam to powiedzieć. Powiedziałam więc i już.

Sola odchrząknęła lekko.

– Moim zdaniem, to niesamowity dzień – powiedziała. Wszyscy spojrzeli na nią z uwagą. Czy wiesz, Anakinie, że jesteś pierwszym chłopakiem mojej siostry, którego przyprowadziła do domu?

– Sola! – wykrzyknęła Padmé, przewracając oczami. – On nie jest moim chłopakiem! To Jedi, którego senat przydzielił mi jako ochroniarza.

– Ochroniarza? – powtórzyła zaniepokojona Jobal. – Och, Padmé, nikt nam nie powiedział, że sprawa jest tak poważna!

Westchnienie Padmé złało się z jękiem zniecierpliwienia.

– Bo nie jest, mamie odparła. Naprawdę. A Anakin jest moim przyjacielem; znamy się od łąt. Pamiętacie tego chłopca, który towarzyszył Jedi podczas blokady planety?

Jej najbliżsi odpowiedzieli chóralnym „ach” i pokiwali głowami. Padmé uśmiechnęła się do Anakina.

– Teraz jest dorosły – powiedziała, jakby chciała dać mu znak, że wcześniej nie miała racji, lekceważąc znaczenie jego misji i jego pozycję.

Anakin zerknął na Solę i widząc, że kobieta przygląda mu się uważnie, poruszył się niespokojnie na krześle.

– Skarbie, kiedy ty się wreszcie ustatkujesz? – podjęła wątek Jobal. – Nie masz jeszcze dość takiego życia? Bo ja tak!

– Mamie, nie grozi mi nic złego – odparła z naciskiem Padmé, kładąc dłoń na rękę Anakina.

– Czy to prawda? – spytał Ruwee, spoglądając na Anakina. Padawan odwzajemnił twarde spojrzenie, dostrzegając w oczach ojca szczerą troskę o życie córki. Ruwee z pewnością zasługiwał na to, by znać prawdę.

– Nie. Przykro mi to mówić, ale grozi jej niebezpieczeństwo. Ledwie wypowiedział te słowa, a już poczuł na dłoni silny uścisk Padmé.

– Ale niezbyt wielkie – dodała szybko pani senator, posyłając mu spojrzenie w rodzaju „zapłacisz mi za to później”. – Prawda, Anakinie? – syknęła przez zaciśnięte zęby, uśmiechając się z trudem.

– Senat uznał za stosowne na pewien czas uwolnić Padmé od obowiązków i oddać pod opiekę Jedi – rzekł Anakin obojętnie, starając się nie reagować na ból w dłoni, w którą coraz mocniej wbijały się paznokcie Padmé. – Mój mistrz, Obi-Wan, zajmuje się w tej chwili tą sprawą. Sądzę, że wkrótce będzie po wszystkim.

Odetchnął z ulgą, kiedy młoda kobieta rozluźniła uchwyt. Ruwee i Jobal odprężyli się wyraźnie. Anakin wiedział, że dobrze postąpił, ale ze zdziwieniem zauważył, że Sola wciąż wpatruje się w niego, a z jej ust ani na chwilę nie znika zagadkowy uśmiech. Wyglądała tak, jakby została dopuszczona do wielkiego sekretu.

Spojrzał na nią pytająco, ale siostra Padmé uśmiechnęła się tylko jeszcze szerzej.

– Czasem żałuję, że nie podróżowałem więcej – przyznał Ruwee, gdy z Anakinem wybrali się na poobiedni spacer. – Choć muszę przyznać, że jestem tu zupełnie szczęśliwy.

– Padmé mówiła, że wykładasz na uniwersytecie.

– Tak. A przedtem byłem budowniczym – odparł Ruwee, kiwając głową. – We wczesnej młodości pracowałem też w Ruchu Pomocy Uchodźcom.

Anakin popatrzył na niego z ciekawością, choć nie był zaskoczony.

– Zdaje się, że wszyscy tu jesteście zainteresowani służbą publiczną – zauważył.

– Naboo jest hojna – wyjaśnił Ruwee. – Mam na myśli samą planetę. Daje nam wszystko, czego potrzebujemy; ba, daje wszystko, co nam się zamarzy. Żywności nie brakuje, klimat jest łagodny, a okolice...

– Piękne – uzupełnił Anakin.



– W rzeczy samej – przytaknął Ruwee. – Jesteśmy szczęściarzami i dobrze o tym wiemy. Nie wolno nam zbyt lekko traktować bogactwa, które mamy; musimy dzielić się nim i nieść pomoc innym. Mówimy zwykle, że liczymy na przyjaźń tych, którzy mają mniej szczęścia, i że nie uważamy się za prawowitych dziedziców tego, co mamy, lecz raczej za obdarowanych bardziej szczerze, niż na to zasługujemy. I dlatego dzielimy się tym, co mamy i pracujemy dla innych, a przez to stajemy się lepsi, bardziej spełnieni niż ci, którzy po prostu beczynnienie cieszą się swoim szczęściem.

Anakin zastanawiał się przez chwilę nad tymi słowami.

– Myślę, że podobnie jest z Jedi – powiedział. – Dane nam są wielkie dary i ciężko pracujemy nad tym, żeby dobrze wykorzystać. A wtedy używamy naszej potęgi, żeby pomóc galaktyce stać się choć trochę lepszym miejscem.

– I żeby uczynić życie tych, których kochamy, choć trochę bezpieczniejszym?

Anakin uśmiechnął się i skinął głową, odczytując podtekst ukryty w słowach Ruwee. Poczł satysfakcję, gdy w oczach mężczyzny dostrzegł szacunek i wdzięczność. Rozumiał doskonale, skąd bierze się uczucie, którym Padmé darzyła swą rodzinę, miłość, którą wyczuwał, ilekroć w pobliżu *znalazła* się jedna z bliskich jej osób. Wiedział, że gdyby nie został zaakceptowany przez Ruwee, Jobal lub Solę, ucierpiałyby na tym jego znajomość z piękną panią senator.

Cieszył się więc, że przybył na Naboo nie tylko jako towarzysz Padmé, ale także jako jej obrońca.

Tymczasem Sola i Jobal sprzątały po obiedzie. Padmé zauważyła w ruchach matki pewne napięcie i pomyślała, że ostatnie wypadki – nieudane próby zabójstwa i przepychanki w senacie wokół ustawy, która mogła doprowadzić do wojny, musiały być dla niej ciężką próbą.

Spojrzała na Solę, jakby szukała wsparcia, sposobu na rozluźnienie atmosfery, ale w jej oczach znalazła tylko ciekawość, która wyprowadziła ją z równowagi jeszcze bardziej niż grobowy nastrój

matki.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o nim? – spytała Sola, uśmiechając się chytrze.

– A o czym tu mówić? – odrzekła Padmé z najsolidniejszą dozą obojętności, na jaką było ją stać. – To zwykły młodzik.

– Młodzik? – powtórzyła ze śmiechem Sola. – Nie zauważyłaś, jak na ciebie patrzy?

– Sola! Przestań!

– To jasne, że coś do ciebie czuje – ciągnęła starsza siostra. – twierdzisz, moja mała siostrzyczko, że nic nie zauważyłaś?

– Nie jestem twoją małą siostrzyczką – odparowała Padmé. – Anakin jest moim przyjacielem. Nasze stosunki są ściśle profesjonalne.

Sola tylko się uśmiechnęła.

– Mamo, każ jej przestać! – zawołała zakłopotana i zirytowana Padmé.

Teraz siostra roześmiała się na głos.

– Właściwie to możliwe, że nie zauważyłaś, jak na ciebie patrzy. Pewnie boisz się zauważyć.

– Skończ z tym wreszcie!

Jobal stanęła między nimi, spoglądając surowo na Solę.

– Twoja siostra po prostu się martwi, kochanie – zwróciła się do Padmé.

– Mamo, jesteś niemożliwa – powiedziała, wzdychając z rezygnacją. – To, co robię jest ważne.

– Zrobiłaś już swoje, Padmé – odrzekła Jobal. – Najwyższy czas, żebyś zajęła się własnym życiem. Tak wiele tracisz!

Padmé pochyliła głowę i przymknęła oczy, próbując przyjąć rady płynące z dobroci serca. Przez moment żałowała, że wróciła do domu, że kolejny raz musi wysłuchiwać tych samych wywodów i nalegań.

Ale tylko przez moment. Po namyśle przyznała, że cieszy się, iż są w galaktyce ludzie, którzy ją kochają i którym tak bardzo na niej zależy.

Uśmiechnęła się pojednawczo do matki, Jobal zaś skinęła głową i lekko poklepała ją po ramieniu. Padmé odwróciła się w stronę Soli i

znowu ujrzała na jej wargach domyślny uśmiech.

Co takiego zobaczyła Sola?

– Powiedz mi szczerze, synu, jak poważna jest ta sprawa? – spytał otwarcie Ruwee, kiedy stanęli przed drzwiami domu. – Jak wielkie niebezpieczeństwo zagraża mojej córce?

Anakin nie wahał się ani chwili; od czasu rozmowy przy stole był przekonany, że ojciec Padmé zasługuje z jego strony wyłącznie na uczciwość.

– Doszło do dwóch zamachów na jej życie. Niewykluczone, że nastąpią kolejne. Ale nie kłamałem i nie próbowałem bagatelizować zagrożenia – mój mistrz naprawdę jest na tropie zabójców. Jestem pewien, że dowie się, kim są i zajmie się nimi. To nie potrwa długo.

– Nie chciałbym, żeby stało się jej coś złego – rzekł Ruwee z troską.

– Ja też nie – zapewnił go Anakin.

Padmé wpatrywała się w oczy starszej siostry, aż wreszcie Sola ustąpiła.

– Co? – spytała, odwracając wzrok.

Zostały same. Jobal dołączyła do Ruwee, siedzącego z młodym padawanem Jedi w salonie.

– Dlaczego wygadujesz takie rzeczy o mnie i o Anakinie?

– Bo sprawa jest oczywista – odparła Sola. – Nie wypieraj się. Padmé westchnęła i przysiadła na łóżku.

– Zdawało mi się, że rycerzom Jedi nie wolno myśleć o takich sprawach – zauważyła.

– Nie wolno.

– Ale Anakin myśli. – Słowa Soli sprawiły, że Padmé uniosła głowę i spojrzała jej prosto w oczy. Przecież wiesz, że mam rację.

Padmé bezradnie potrząsnęła głową, a Sola roześmiała się cicho.

– Masz w sobie więcej z Jedi niż on stwierdziła. – A nie powinnaś.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Padmé nie wiedziała, czy ma się obrazić, nie wyczuła jeszcze bowiem, do czego zmierza jej siostra.

– Jesteś tak spętana swoim poczuciem obowiązku, że w ogóle nie zwracasz uwagi na własne pragnienia – wyjaśniła Sola. – Nawet na uczucia do Anakina.

– Skąd możesz wiedzieć, co do niego czuję?

– Ty pewnie też nie wiesz – odparła Sola. – A to dlatego, że nie pozwalasz sobie nawet o tym myśleć. Bycie senatorem i bycie czyjąś dziewczyną to nie są sprawy, które się wzajemnie wykluczają.

– Moja praca jest ważna!

– A kto mówi, że nie? – spytała Sola, unosząc ręce w pojednawczym geście. – To zabawne, Padmé, że zachowujesz się tak, jakbyś składała śluby wstrzemięźliwości, podczas gdy Anakin postępuje tak, jakby nie wiązały go żadne reguły, a przecież jest inaczej!

– Wyciągasz pochopne wnioski – stwierdziła Padmé. – Widuję się z Anakinem zaledwie od kilku dni, a od naszego poprzedniego spotkania minęło dziesięć lat!

Sola wzruszyła ramionami. Chytry uśmiezek ustąpił miejsca wyrazowi autentycznej troski. Kobieta przysiadła na łóżku obok siostry i objęła ją.

– Nie znam żadnych szczegółów waszej znajomości i masz rację, nie wiem, co czujesz. Wiem za to, co czuje on. I ty także znasz prawdę.

Padmé nie zaprzeczyła. Siedziała w milczeniu, wpatrzona w podłogę.

– To cię przeraża – zauważyła Sola. Zaskoczona Padmé spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. – Czego się boisz, siostrzyczko? Uczuć Anakina i obowiązków, z których nie będzie mógł zrezygnować? A może tego, co sama czujesz?

Sola uniosła podbródek Padmé, by mogły spojrzeć sobie w oczy.

– Nie wiem, co czujesz – przyznała. – Ale sądzę, że to dla ciebie coś nowego. Coś przerażającego i cudownego zarazem.

Padmé milczała. Wiedziała, że zaprzeczanie nie byłoby uczciwe.

– Trudno strawić wszystkich naraz – powiedziała do Anakina

nico później, kiedy znaleźli się sami w jej pokoju. Ledwie zdążyła rozpakować bagaże, a już zajęła się ponownym upychaniem ubrań w torbie podróżnej. Tym razem jednak były to inne stroje, mniej oficjalne niż te, które musiała nosić jako pani senator Naboo.

– A przecież twoja matka tak dobrze gotuje – odparł Anakin. Padmé przez moment spoglądała na niego ze zdziwieniem, nim dotarło do niej, że żartuje i że doskonale zrozumiał, o co jej chodziło.

– To wielkie szczęście, że masz taką cudowną rodzinę – odezwał się Anakin bardziej poważnym tonem. – Nie sądzisz, że mogłabyś oddać siostrze trochę ubrań? – dodał, uśmiechając się złośliwie.

Padmé także się uśmiechnęła, lecz kiedy przyjrzała się bałaganowi, który zrobiła, musiała przyznać mu rację.

– Nie martw się. To nie potrwa długo.

– Po prostu chciałbym dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. Gdziekolwiek jest to twoje „miejsce”. – Anakin rozglądał się po pokoju, zaskoczony liczbą i rozmiarami szaf pełnych strojów. – Wciąż mieszkasz z rodzicami – stwierdził, kręcąc głową. – nie spodziewałem się tego.

– Tak często podróżuję, że nie miałam nawet czasu rozejrzeć się za własnym domem i wcale nie jestem pewna, czy tego chcę – odparła Padmé. – Oficjalne rezydencje są takie zimne. Tutaj jest inaczej. Dobrze się tu czuję. To mój prawdziwy dom.

– Ja nigdy nie miałem prawdziwego domu – rzekł Anakin, bardziej do siebie niż do Padmé. – Dom był zawsze tam, gdzie przebywała moja mama – dodał, czerpiąc otuchę ze współczującego smutnego uśmiechu Padmé.

Młoda kobieta powróciła do przerwanoego pakowania.

– Kraina Jezior jest przepiękna... – zaczęła, lecz urwała, widząc Anakina, który z rozbawieniem wpatrywał się w nieduży hologram.

– To ty? – spytał, wskazując na małą, może siedmio – lub ośmioletnią dziewczynkę, otoczoną dziesiątkami niewielkich, uśmiechniętych, zielonych stworzeń, i trzymającą jedno z nich na rękach.

Padmé roześmiała się, zakłopotana.

– Poleciliśmy z Ruchem Pomocy na Shadda-Bi-Boran. Słońce tego

systemu zapadało się w sobie; zamieszкана planeta zaczynała umierać. Pomagałam w przesiedlaniu dzieci. – Podeszła do Anakina, by jedną rękę oprzeć na jego ramieniu, a drugą wskazać postać na hologramie. – widzisz tego malca, którego mam na rękach? Miał na imię N'a-kee-tula, co znaczy „uroczy”. Był taki żywotny... jak wszystkie te dzieciaki.

– Był?

– Nie potrafiły się zaadaptować – wyjaśniła smutno. – Nie umiały żyć poza ojczyzną planetą.

Anakin skrzywił się lekko i czym prędzej sięgnął po inny hologram, przedstawiający Padmé o kilka lat starszą, ubraną w oficjalne szaty i stojącą między dwoma starszymi, podobnie ubranymi legislatorami. Spojrzał raz jeszcze na pierwszy portret, po czym powrócił wzrokiem do drugiego bo zauważył, że Padmé ma na nim znacznie poważniejszą minę.

– To był mój pierwszy dzień wśród Młodych Legislatorów – wyjaśniła. – Widzisz różnicę? – spytała, jakby czytała w jego myślach.

Anakin jeszcze przez moment wpatrywał się w hologram, a potem uniósł głowę i roześmiał się, widząc na twarzy Padmé tę samą groźną minę. Ona zawtórowała mu śmiechem, ścisnęła lekko jego ramię i wróciła do pakowania.

Padawan ustawił dwa hologramy obok siebie i wpatrywał się w nie przez dłuższy czas. To były dwa oblicza kobiety, którą kochał.

# ROZDZIAŁ

# 15

Wodny śmigacz mknął nad powierzchnią jeziora, pozostawiając na wodzie ledwie widoczny ślad. Od czasu do czasu dziób przecinał grzbiet wyższej fali, a wtedy w powietrze wzbijała się mgiełka chłodnych kropli. Anakin i Padmé rozkoszowali się pędem powietrza i wodnym pyłem zraszającym ich czoła, obserwując otoczenie spod półprzymkniętych powiek. Gęste ciemne włosy dziewczyny falowały, szarpane wiatrem.

Sternik pojazdu, Paddy Accu, wybuchał śmiechem, potrząsając siwiejącą czupryną za każdym razem, gdy bryzgi wody wzbijały się w powietrze.

– Nad wodą zawsze lepiej się leci! – zawołał basem, przekrzykując szum wiatru i wycie silnika. Podoba się?

Padmé była zachwycona. Mężczyzna pochylił się i pociągnął do siebie dźwignię akceleratora.

– Ale pierwszorzędna zabawa zacznie się dopiero wtedy, kiedy posadzę maszynę na powierzchni – wyjaśnił. – Co pani na to, pani senator?

Padmé i Anakin spojrzeli na niego ciekawie, nie do końca rozumiejąc jego intencje.

– Mielіśmy lecieć na wyspę – zauważył padawan z nutą niepokoju w głosie.

– Spokojna głowa, dowiozę was, gdzie trzeba! – odparł Paddy Accu i śmiejąc się tubalnie, pchnął inny drążek. Śmigacz z hukiem opadł na wodę.

– Paddy? – spytała niepewnie Padmé.

Sternik roześmiał się jeszcze głośniej.

– Tylko mi nie mów, że zapomniałaś! – zahuczał. Kiedy gwałtownie pchnął manetkę, pojazd wystrzelił do przodu; rym razem jednak nie był to gładki lot, ale wyboista jazda po marszczącej się od wiatru powierzchni jeziora.

– O, tak! – odkrzyknęła Padmé. – Pamiętam!

Anakin zastanawiał się, czy mężczyzna nie planuje jakiegoś podstępu. Po chwili zaskoczenia i niepewnych spojrzeń, kierowanych na przemian w stronę Padmé i Paddy'ego, odprężył się jednak i zaczął rozkoszować niezwykłą jazdą.

Pył wodny zalewał ich teraz nieprzerwanie, wzbijany smukłym dziobem śmigacza.

– Cudownie! – zawołała Padmé.

W pewnym momencie Paddy wychylił pojazd tak mocno, że Anakin i Padmé byli pewni, iż czeka ich kąpiel. Padawan omal nie sięgnął po Moc, by przywrócić śmigaczowi równowagę, ale powstrzymał się w porę, nie chcąc tracić zabawy.

A pojazd się nie przewrócił. Paddy był doskonałym pilotem i wiedział, jak wykorzystać maszynę do granic możliwości, nie ryzykując przy tym utraty życia. Minęło sporo czasu, nim zwolnił bieg maszyny i wprowadził ją wolno do przystani na wyspie.

Padmé chwyciła go za rękę i pochyliła się, by ucałować w policzek.

– Dziękujemy!

Anakin ze zdziwieniem zauważył, że spalone słońcem policzki Paddy'ego zarumieniły się nieco.

– To było... zabawne – przyznał padawan.

– Gdyby nie było, nie miałoby sensu, prawda? – odparł mężczyzna i znowu roześmiał się tubalnie.

Kiedy Paddy rzucał cumę, Anakin przeskoczył na pomost i podał rękę Padmé.

– Zaniosę wasze bagaże – zaoferował Pady. Padmé spojrzała na niego z wdzięcznością. – Idźcie, podziwiajcie widoki. Nie traćcie czasu na takie drobiazgi.



– Tracić czas? – powtórzyła cicho Padmé, nieco tęsknym głosem. Para młodych ludzi wspięła się na górę drewnianymi schodami wiodącymi pośród kwietników i pnączy. Weszli na taras z widokiem na piękny ogród i połyskującą w wieczornym słońcu tafłę jeziora, za którą piętrzyły się błękitno-purpurowe grzbiety gór.

Padmé oparła skrzyżowane ramiona o balustradę, zapatrzona w cudowną panoramę.

– Widać odbicie gór na wodzie – zauważył Anakin z zachwytem.

– Tak... – odpowiedziała zamyślona.

Padawan patrzył na nią tak długo, aż odwzajemniła spojrzenie.

– Dla ciebie może to oczywiste – powiedział – ale tam, gdzie się wychowałem, nie było jezior. Dlatego widok takiej ilości wody zawsze... – Anakin urwał i potrząsnął głową, wyraźnie przytłoczony wspaniałym widokiem.

– Zdumiewacie?

– I zachwyca – dodał z ciepłym uśmiechem. Padmé odwróciła się w stronę jeziora.

– Trudno jest niezmiennie cenić pewne rzeczy przez długi czas – przyznała. – A jednak po tylu latach wciąż widzę urodę tych gór odbijających się w wodzie. Mogłabym wpatrywać się w ten obraz codziennie, od rana do wieczora.

Anakin oparł o balustradę tuż przy Padmé. Zamknął oczy, rozkoszując się jej zapachem i ciepłem jej skóry.

– Kiedy byłem w trzeciej klasie, przyjeżdżaliśmy tu na wakacje – powiedziała, wskazując ręką na sąsiedni skrawek lądu. – Widzisz tę wyspę? Pływaliśmy do niej codziennie. Uwielbiam wodę.

– Ja też. Pewnie dlatego, że wychowałem się na pustynnej planecie. – Anakin wpatrywał się uparcie w Padmé, ciesząc oczy jej urodą. Wiedział, że czuje jego spojrzenie i celowo nie spuszcza wzroku z dalekiego horyzontu.

– Kładliśmy się na piasku i czekaliśmy, aż słońce nas osuszy... i staraliśmy się odgadnąć nazwy śpiewających ptaków.

– Nie lubię piasku. Jest szorstki i drażniący. Wszędzie się wciska. – Padmé popatrzyła na Anakina. – Nie to, co ten – ciągnął padawan. – Ale na Tatooine tak właśnie jest. A tu wszystko jest miękkie i gładkie.

– Wypowiadając ostatnie słowa, bezwiednie pogładził ramię Padmé.

Kiedy dotarło do niego, co robi, chciał cofnąć rękę, lecz choć Padmé wyglądała na niepewną i lekko przestraszona, nie odsunęła ręki.

– Kiedyś na tej wyspie mieszkał pewien staruszek – powiedziała. Jej ciemnobrązowe oczy zdawały się spoglądać w odległą przeszłość.

– Robił z piasku szkło. Jego dzbanki i naszyjniki były... magiczne.

Anakin przysunął się jeszcze bliżej i wpatrywał się w jej profil, aż odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Tutaj wszystko jest magiczne – powiedział cicho.

– Kiedy patrzyło się w szkło, było widać wodę – jak marszczy się i porusza. Wyglądało to bardzo realistycznie, choć przecież takie nie było.

– Czasem to, w co wierzymy, staje się rzeczywistością. – Anakin miał wrażenie, że Padmé chciałaby odwrócić wzrok, a jednak tego nie robiła. Magnetyczna siła połączyła ich spojrzenia; coraz głębiej zapadali się w siebie.

– Kiedyś zdawało mi się, że jeśli będę bardzo długo wpatrywać się w szkło, cała się zatracę – powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

– Myślę, że tak właśnie jest... – Mówiąc te słowa, Anakin pochylił się i musnął ustami jej wargi. Przez moment nie opierała się; przymknęła oczy i delektowała się łagodną pieszczotą. Anakin zbliżył się i szukając prawdziwego, głębokiego pocałunku, wolno wodził ustami po wargach Padmé. Czuł, że mógłby to robić przez długie godziny, przez całą wieczność...

Lecz Padmé cofnęła się nagle, jakby ocknęła się ze snu.

– Nie, nie powinniśmy...

– Przepraszam – odrzekł Anakin. – Kiedy jestem blisko ciebie, tracę rozsądek.

A jednak znowu wpatrywał się w jej piękną twarz, zatracając się w niej niczym w szklanej kuli.

Niezwykły moment minął. Padmé znowu opierała się o balustradę, spoglądając na gładką taflę jeziora.



Gdy tylko gwiazdy przestały być rozmazanymi smugami, w które zmieniało je hamowanie z prędkości nadświatłowej, Obi-Wan Kenobi ujrzał „zagubioną” planetę – dokładnie tam, gdzie jej obecność wykazywały anomalie grawitacyjne.

– Oto i ona, Arfour. Dokładnie tam, gdzie powinna być – zwrócił się do robota astromechanicznego zespolonego z lewym skrzydłem myśliwca. Odpowiedział mu twierdzący gwizd. – Zaginiona planeta Kamino. Więc jednak ktoś zmienił dane w Archiwum.

R4 zapiszczał ciekawie.

– Nie mam pojęcia, kto – odparł Obi-Wan. – Możliwe, że tutaj znajdziemy odpowiedź.

Polecił robotowi odłączyć pierścień napędu nadświatłowego – obręcz otaczającą środkową część gwiazdowego myśliwca, do której po obu stronach przymocowano potężne silniki pozwalające na podróż w nadprzestrzeni. Dopiero wtedy skierował Deltę 7 ku planecie, na bieżąco odczytując dane napływające ze skanerów maszyny.

Wkrótce zauważył, że Kamino to wodna planeta – spod grubej warstwy chmur spowijającej większą część planety nie wystawał ani jeden skrawek stałego lądu. Jedi raz jeszcze sprawdził odczyty czujników, szukając przede wszystkim innych statków poruszających się w okolicy. Nie wiedział, czego ma się spodziewać. Wreszcie komputer pokładowy odebrał zapytanie o dane identyfikacyjne myśliwca. Kenobi natychmiast włączył transponder, który automatycznie nadał niezbędne informacje. Poczuł ulgę, gdy po chwili nadeszła druga transmisja z planety Kamino – tym razem zawierająca współrzędne miejsca, które nazwano Tipoca City.

– Schodzimy, Arfour. Czas znaleźć odpowiedzi na parę pytań.

Robot pisnął posłusznie i przekazał współrzędne do komputera nawigacyjnego. Myśliwiec skręcił ostrzej ku powierzchni planety, wdarł się w atmosferę i pomknął nad zalaną deszczem, spienioną

powierzchnią oceanu. Lot poniżej pułapu burzowych chmur był jeszcze mniej przyjemny niż wejście w atmosferę, ale maszyna posłusznie trzymała wyznaczony kurs i wkrótce oczom Obi-Wana ukazało się miasto Tipoca. Tworzyły je połyskujące w strugach dżdżu kopuły i miękko zakrzywione ściany wznoszące się na olbrzymich kolumnach sterczących wprost z morskiej kipieli.

Kenobi szybko wypatrzył właściwe lądowisko, ale postanowił najpierw przelecieć nad miastem i okrążyć je, by przyjrzeć się lepiej tej imponującej konstrukcji. A było to zarówno dzieło sztuki, jak i wybitne dokonanie inżynieryjne – całość kojarzyła się Obi-Wanowi z gmachem senatu i Świątynią Jedi na Coruscant. Eleganckie krzywizny ścian i wypukłości dachów wydobyto z półmroku burzy umiejętnym oświetleniem.

– Jest na co popatrzeć, Arfour – przyznał ze smutkiem Jedi. Odwiedził w życiu setki planet, ale widok tak niezwykłego i pięknego miejsca jak Tipoca przypomniawszy mu jedynie, że istnieją tysiące takich, których jeszcze nie widział zbyt wiele, by mógł je poznać jeden człowiek, choćby całe życie poświęcił podróżom.

Wreszcie Obi-Wan posadził maszynę na permabetonowej płycie lądowiska. Naciągnął na głowę kaptur, a potem otworzył owiewkę i wyszedł na zewnątrz. Zmagając się z wichrem i ulewnym deszczem, pospieszył w stronę pobliskiej wieży. Drzwi rozsunęły się przed nim, odsłaniając rzęsiście oświetlone białe pomieszczenie. Kenobi wszedł do środka.

– Jak dobrze, że do nas przyleciałeś, mistrzu Jedi – odezwał się melodyjny głos.

Obi-Wan zsunął z głowy kaptur. Strącił krople wody z włosów i przecierając dłonią twarz, odwrócił się w stronę głosu. Zamarł, zaskoczony widokiem Kaminoanki.

– Jestem Taun We – przedstawiła się istota.

Była wyższa od Obi-Wana, blada i niewiarygodnie smukła. Lecz mimo zwiewności ciała, nie było w nim nic nierzeczywistego. Owszem, było szczupłe, lecz pełne mocnej życiowej energii. Oczy Taun We, wielkie i ciemne, kształtem przypominające migdały, podobne były do czystych niewinnych oczu dziecka przyglądającego

się świata z niegasnącą ciekawością. Jej nos tworzyły dwie pionowe szczeliny, połączone poziomą, przecinającą wzgórek ponad górną wargą.

– Premier czeka.

Te słowa wyrwały Obi-Wana z rozmyślań nad dziwną urodą niezwyklej istoty.

– Czeka na mnie? – spytał, nie potrafiąc ukryć niedowierzania. Jakże, na galaktykę, te istoty mogły spodziewać się jego wizyty?

– Naturalnie – odrzekła Taun We. – Lama Su nie może się doczekać spotkania z tobą. Minęło tyle lat, że zaczęliśmy wątpić, czy kiedykolwiek przylecisz. Proszę za mną.

Obi-Wan skinął głową i starał się zachować spokój, choć milion pytań zaprzętało jego umysł. „Minęło tyle lat”? „Wątpili, czy przybędę”?

Korytarz był równie jaskrawo oświetlony jak sala przylegająca do platformy lądowiska, ale oczy Obi-Wana wkrótce przyzwyczyliły się do blasku. Po drodze mijali wiele okien, za którymi Jedi widział innych Kaminoan zajętych pracą. Istoty płci męskiej wyróżniały się grzebieniem pośrodku głowy i wraz z samicami zasiadały przy niezwyklej meblach. Obi-Wan był zaskoczony czystością tego, co widział: wszystko było wypolerowane, błyszczące i gładkie. Pytania jednak zatrzymał dla siebie i z niecierpliwością oczekiwał spotkania z premierem Lama Su. Sądząc po tempie, które narzuciła Taun We, jej także zależało na szybkim dotarciu do przywódcy.

Wreszcie Kaminoanka zatrzymała się przed drzwiami i otworzyła je ruchem ręki, po czym gestem zaprosiła Kenobiego, by pierwszy wszedł do środka.

Powitał ich Kaminoanin nieco wyższy od Taun We, o głowie ozdobionej charakterystycznym grzebieniem. Spojrzawszy na Obi-Wana, zamrugął wielkimi oczami i uśmiechnął się serdecznie. Nieznacznym ruchem ręki przywołał dwa jajowate siedziska, które spiralnym torem z wdziękiem spłynęły spod sufitu.

– Pozwolę sobie przedstawić Lamę Su, premiera planety Kamino – odezwała się Taun We, po czym zwróciła się do zwierzchnika. – Panie premierze, oto mistrz Jedi...

– Obi-Wan Kenobi – dokończył Jedi, kłaniając się z szacunkiem.

Premier skinął dłonią w stronę niezwykłego fotela, sam zaś usiadł na drugim. Obi-Wan wołał jednak stać.

– Mam nadzieję, że pobyt u nas sprawi ci przyjemność, mistrzu – rzekł premier. Doskonale się składa, że przybyłeś w najpiękniejszej porze roku.

– Doceniam waszą gościnność – odparł Obi-Wan. Postanowił nie dodawać, że jeśli klęska żywiołowa panująca na zewnątrz była typowa dla „najpiękniejszego sezonu”, to wolałby nigdy nie oglądać mniej pięknych pór roku na Kamino.

– Proszę – powiedział Lama Su, ponownie wskazując smukłą dłonią siedzisko. – Pomówmy o interesach – dodał, gdy Obi-Wan usiadł, – Z pewnością ucieszy cię wieść, mistrzu, że prace posuwają się zgodnie z planem. Dwieście tysięcy jednostek jest już gotowe, a produkcja kolejnego miliona jest mocno zaawansowana.

Obi-Wan poczuł, że język nagle odmawia mu posłuszeństwa, ale zapanował nad sobą i powiedział:

– To doskonała wiadomość.

– Spodziewaliśmy się, że będziesz zadowolony.

– Oczywiście.

– Przekaż, proszę, Mistrzowi Sifo-Dyasowi, że jego zamówienie zostanie z pewnością zrealizowane w całości i w terminie. Mam nadzieję, że cieszy się dobrym zdrowiem?

– Przepraszam – odrzekł oszołomiony Jedi. – Mistrzowi...

– Mistrzowi Jedi Sifo-Dyasowi. Nadal jest, jak sędzę, jednym z najważniejszych członków Rady Jedi?

Imię wymienione przez premiera – istotnie należące do Mistrza Jedi i byłego członka Rady – wywołało kolejną lawinę pytań w umyśle Kenobiego, ale Jedi zapanował nad emocjami i skupił się na wyciąganiu z rozmówcy dalszych cennych informacji.

– Obawiam się, że muszę przekazać smutną wiadomość: Mistrz Sifo-Dyas został zabity prawie dziesięć lat temu.

Lama Su zamrugał niespokojnie.

– Och, przykro mi to słyszeć. Jestem pewien, że byłby dumny z armii, którą dla niego stworzyliśmy.

– Z armii? – powtórzył Obi-Wan.

– Z armii klonów. Muszę przyznać, że jest to jedna z najlepszych, jakie kiedykolwiek zrealizowaliśmy.

Obi-Wan nie był pewien, jak głęboko powinien zaangażować się w tę grę. Jeżeli Sifo-Dyas istotnie zamówił armię klonów, to dlaczego Mistrz Yoda, ani żaden inny członek Rady, nigdy o tym nie wspominali? Nim dopadła go przedwczesna śmierć, Sifo-Dyas był potężnym Jedi, ale czy odważyłby się działać samodzielnie w tak poważnej sprawie? Jedi przyjrzał się parze Kaminoan, próbując poprzez Moc wysondować ich intencje. Wszystko wskazywało na to, że mówią prawdę, postanowił więc zaufać instynktowi i pozwolić, by rozmowa toczyła się dalej.

– Powiedz mi proszę, panie premierze, czy kiedy Mistrz skontaktował się z tobą pierwszy raz w sprawie tej armii, powiedział ci, komu ma służyć?

– Oczywiście – odparł niczego niepodejrzewający Kaminoanin. – Armia jest przeznaczona dla Republiki.

Tym razem Obi-Wan omal nie krzyknął. O co, na galaktykę, w rym wszystkim chodzi? Cóż to za armia klonów dla Republiki? Zamówiona przez Mistrza Jedi? Czy senat wiedział o tej sprawie? Czy wiedzieli o niej Yoda lub Mistrz Windu?

– Rozumiesz zapewne odpowiedzialność, która spoczywa na dostawcy armii dla Republiki – rzekł, starając się nie zdradzać emocji. – Spodziewamy się... nie, musimy mieć to, co najlepsze.

– Oczywiście, mistrzu Kenobi – odparł Lama Su z niezachwianą pewnością siebie. – Chciałbyś, jak sądzę, dokonać teraz osobistej inspekcji.

– Właśnie po to tu jestem – odpowiedział skwapliwie Obi-Wan. A potem wstał i wyszedł z gabinetu w ślad za premierem i Taun We.

Połacie bujnych traw, nakrapiane kielichami kwiatów o najdziwniejszych kształtach i kolorach, okrywały łagodnie nachylony stok wzgórza. W głębi widać było błyszczący w słońcu wodospad zasilający jezioro, a dalej oczka wodne przedzielone pasmami wzgórz

i ciągnące się aż po horyzont.

Ciepły wiatr niósł nasiona dmuchawców, wysoko zaś, po jasnobłękitnym niebie, szybowały puszyste obłoki. Było to miejsce pełne życia i miłości, ciepła i łagodności.

Dla Anakina Skywalkera było to miejsce idealnie odzwierciedlające naturę Padmé Amidali.

Stadko spokojnych roślinożernych *shaaków* pasło się w pobliżu, nie zwracając najmniejszej uwagi na parę młodych ludzi. Były to osobliwe wielkie, tłuste czworonożne zwierzęta. W powietrzu uwijały się roje owadów, zbyt jednak zajętych korzystaniem z darów łąki, by tracić czas na uprzykrzanie życia Anakinowi i Padmé.

Była królowa Naboo siedziała na trawie, w zamyśleniu zrywając kwiaty. Raz po raz zerknęła na Anakina, ale tylko przelotnie, jakby bała się, że zauważy. Była zachwycona jego reakcją na wszystko, co widział na Naboo. Jego entuzjazm kazał jej sięgnąć pamięcią do chwil, kiedy była bardzo młoda, nieprzytłoczona odpowiedzialnością za losy Republiki. Zaskoczyło ją to, że padawan Jedi mógł być tak...

Brakowało jej odpowiedniego słowa. Bez troski? Radosny? Śmiały? A może miał w sobie wszystkie te cechy?

– I co? – ponaglił ją Anakin, zmuszając do odpowiedzi na pytanie, które zadał chwilę wcześniej.

– Sama nie wiem – odpowiedziała wymijająco, udając irytację.

– Na pewno wiesz! Tylko nie chcesz mi powiedzieć. Padmé zaśmiała się bezradnie.

– Zamierzasz wypróbować na mnie jedną z tych sławnych sztuczek Jedi?

– Działają tylko na słabe umysły – wyjaśnił padawan. – A twój z pewnością taki nie jest – dodał, posyłając dziewczynie niewinne spojrzenie, któremu po prostu nie umiała się oprzeć.

– No dobrze uległa wreszcie. – Miałam dwanaście lat. Nazywał się Palo. Oboje należeliśmy do Młodych Legislatorów. Był kilka lat starszy niż ja... – Padmé zmrużyła oczy, by spojrzeć na Anakina w wyjątkowo prowokujący sposób. –... i bardzo przystojny – dodała. – Ciemne kręcone włosy... rozmarzone oczy...

– Dobrze, już sobie go wyobrażam! – przerwał Jedi gwałtownie. –



Co się z nim stało?

– Ja wstąpiłam do służby publicznej, a on został artystą.

– Możliwe, że postąpił rozsądniej.

– Nie lubisz polityków, prawda? – spytała Padmé, czując, że pomału wzbiera w niej gniew.

– Lubię dwoje albo troje – odrzekł Anakin. – Ale co do jednej osoby jeszcze nie jestem pewien. – Jego uśmiech znowu rozbroił Padmé, której z trudem udało się zachować powagę.

– Po prostu nie wydaje mi się, żeby system, w którym pracują, jeszcze działał – dokończył rzeczowo Anakin.

– Doprawdy? spytała sarkastycznie. – A co byś zrobił, żeby go naprawić?

– Potrzebny nam system, w którym politycy będą naprawdę dyskutować ze sobą, uzgadniać rozwiązania optymalne dla wszystkich i wprowadzać je w życie – wyjaśnił, jakby sprawa była banalnie prosta i logiczna.

– I właśnie to robimy – odparła Padmé bez wahania. Anakin spojrział na nią z powątpiewaniem. – Kłopot w tym, że „wszyscy” nie zawsze zgadzają się z naszymi rozwiązaniami – dodała. – Prawdę mówiąc, bardzo rzadko się zgadzają.

– W takim razie, ktoś powinien ich zmusić.

To stwierdzenie zaskoczyło Padmé. Czyżby był tak przekonany o swojej nieomyślności, że chciałby... Nie, pomyślała, odsuwając od siebie to niepokojące przypuszczenie.

– Kto? – spytała. – Kto miałby ich zmusić?

– Nie wiem – odpowiedział zmieszany, wymachując rękami. – Ktoś...

– Ty? – Jasne, żenię!

– To kto?

– Ktoś mądry.

– Coś mi to zalatuje dyktaturą – stwierdziła Padmé, zwycięsko kończąc debatę. W milczeniu obserwowała przewrotny uśmiech, który pojawiał się z wolna na ustach Anakina.

– Cóż – powiedział spokojnie – jeśli to miałyby się okazać skuteczne...

Padmé starała się nie okazać, jak bardzo jest zaskoczona. O czym on mówi? Jak może wierzyć w coś takiego? Wpatrywała się w niego bez słowa, a on odwzajemniał to surowe spojrzenie... lecz w końcu nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

– Żartujesz sobie ze mnie!

– O, nie! – odpowiedział Anakin, cofając się i siadając na miękkiej trawie, z rękami uniesionymi w obronnym geście. – Gdzieżbym śmiał drwić sobie z pani senator!

Jesteś okropny! – Padmé podniosła kawałek owocu i rzuciła nim w padawana, który złapał go w locie. Zaraz potem sypnęły się kolejne pociski.

– Zawsze jesteś taka poważna – skarcił ją Anakin, żonglując owocami.

– Ja? Poważna? – spytała z udawanym niedowierzaniem. Jednak nie mogła odmówić mu racji. Przez całe życie przyglądała się ludziom takim jak Palo, którzy bez wahania podążali za porywami serca, podczas gdy ona kroczyła zawsze ścieżką odpowiedzialności. Zaznała chwil wielkiego triumfu i wielkiej radości, ale doświadczała ich najpierw ubrana w ekstrawaganckie szaty królowej Naboo, a potem uwięziona w sieci niezliczonych obowiązków senatora. Często pragnęła wyzwolić się z tego wszystkiego, zrzucić ceremonialne stroje i zanurzyć się w rwącej wodzie z jednego tylko powodu: by poczuć jej przyjemny chłód i śmiać się, ile dusza zapagnie.

Złapała kolejny kawałek owocu i rzuciła w stronę Anakina, który złapał go zręcznie i dołączył do pozostałych, wirujących w powietrzu. Dorzucała następne i w końcu było ich tyle, że stracił nad nimi kontrolę i bezskutecznie próbował uskoczyć przed owocowym deszczem.

Padmé skręcała się ze śmiechu, trzymając się za brzuch, Anakin zaś, uniesiony nastrojem chwili, zerwał się na równe nogi i popędził w stronę stada przestraszonych *shaaków*.

Zazwyczaj obojętne zwierzęta parsknęły trwożliwie i ruszyły z kopyta za Anakinem, który zatoczył kilka obszernych okręgów i zniknął za wzgórzem.

Padmé uspokoiła się i zaczęła rozmyślać o tej chwili, o całym dniu

i o swoim przyjacielu. Co się właściwie działo? W żaden sposób nie potrafiła wyzbyć się wyrzutów sumienia: zabawiała się bez troski, podczas gdy inni ciężko pracowali nad ustawą o militaryzacji, a Obi-Wan Kenobi przemierzał galaktykę w poszukiwaniu tych, którzy życzyli jej śmierci.

Powinna być gdzieś indziej, robić coś pożytecznego...

Poważne rozmyślenia przerwał jej pełen niedowierzania śmiech, kiedy *shaaki* i Anakin znowu pojawili się na polanie. Tym razem Jedi dosiadał jednego z „wierzchowców”, jedną ręką trzymając się fałdy skóry, a drugą trzymając wysoko, by utrzymać równowagę. Najbardziej niedorzeczne w tym wszystkim było jednak to, że Anakin jechał tyłem, mając przed oczami ogon tłustego *shaakai* – Annie! – krzyknęła Padmé, zdumiona i rozbawiona. Kiedy jednak zawołała padawana po raz drugi, do jej głosu wkradła się nuta obawy, bowiem *shaaki* rozpędzał się właśnie do galopu, a padawan usiłował stanąć na jego grzbiecie.

I być może udałoby mu się tego dokonać, gdyby zwierz nie skręcił nagle. Anakin spadł i potoczył się po gęstej murawie.

Zgięta w pół Padmé zanosila się śmiechem.

Lecz Anakin leżał nieruchomo.

Dziewczyna spojrzała na niego przerażona. Wstała szybko i ruszyła biegiem w stronę leżącego.

– Annie! Annie! Nic ci się nie stało?

Nie ruszał się, kiedy delikatnie obracała go na plecy. Aż wreszcie jego twarz wykrzywiła się w wyjątkowo głupiej minie, a z gardła wyrwał się głośny, serdeczny śmiech.

– Och! – krzyknęła Padmé, wymierzając mu tęgiego kuksańca. Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie, aż straciła równowagę i walcząc zaciekle runęła na niego z impetem.

Po chwili Anakin zdołał przewrócić ją na plecy i przygwoździć do ziemi. Padmé przestała walczyć, oszołomiona jego bliskością. Spojrzała mu w oczy, czując wyraźnie ciężar jego ciała.

Anakin zarumienił się lekko i przewrócił na bok, a potem wstał i już całkowicie opanowany wyciągnął do niej rękę.

Padmé wpatrywała się w niebieskie oczy Anakina, bez słowa,

jednym spojrzeniem wyznając mu całą prawdę. Chwyła jego dłoń i razem poszli w stronę *shaaka*, który znowu pożywiał się spokojnie soczystą trawą.

Anakin wspiał się na grzbiet zwierzęcia i przyciągnął do siebie Padmé. Ruszyli stępa. Siedząc za plecami młodego mężczyzny i z całej siły przytulając się niego, Padmé daremnie próbowała zapanować nad uczuciami szalejącymi w jej sercu.

Padmé podskoczyła, słysząc pukanie do drzwi.

Kolejny raz odtwarzała w myślach wydarzenia z popołudnia, a zwłaszcza jazdę na grzbiecie *shaaka*, kiedy wracała z Anakinem do domu. Obejmowała go w pasie, oparła policzek na jego ramieniu, czuła się szczęśliwa, bezpieczna i...

Odetchnęła głęboko, by opanować drżenie rąk, gdy sięgała do klamki.

Otworzyła drzwi i na tle zachodzącego słońca zobaczyła Anakina.

Uśmiechając się, zrobił krok do przodu. Padmé wpatrywała się w niego jak urzeczona. Przez moment wydawało jej się, że słońce zachodzi za szerokimi ramionami Anakina, a nie za widnokretem, tak, jakby padawan miał dość siły, by wedle swojego uznania zakończyć dzień. Wokół jego postaci tańczyły pomarańczowe płomienie zacierające granicę między Anakinem a wiecznością.

Padmé wreszcie przypomniała sobie, że trzeba oddychać. Cofnęła się o krok i Anakin wszedł do środka, nieświadomy niezwykłych doznań, które wywołał przed chwilą. Spoglądając na jego uśmiech, czuła dziwne zakłopotanie. Przez moment zastanawiała się, czy nie powinna była włożyć innej sukni, ponieważ ta, którą miała na sobie, czarna i odsłaniająca ramiona, wydała jej się zbyt odważna.

Nim zamknęła drzwi, spojrzała jeszcze raz na okryte różową poświatą jezioro połyskujące w ostatnich promieniach słońca.

Kiedy się odwróciła, Anakin stał już przy stole, przypatrując się misce pełnej owoców i innym przedmiotom ułożonym przez Padmé. Zauważyła, że spojrzał na jedną z unoszących się w powietrzu kul świetlnych, której blask stawał się coraz bardziej intensywny, w miarę

jak słońce znikало za horyzontem. Dla zabawy trącił ją palcem i nieświadom tego, że jest obserwowany, uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy kula umknęła, zakołysała się i zaświeciła jeszcze jaśniej.

Wkrótce siedzieli już przy stole, a dwie kelnerki, Nandi i Teckla, przyniosły wieczorny posiłek. Anakin wspominał właśnie co ciekawsze przygody, które przeżył, trenując i podróżując u boku Obi-Wana.

Padmé słuchała z uwagą, w głębi duszy pragnęła jednak czegoś więcej: rozmowy o tym, co zdarzyło się na łące. Nie wiedziała jednak, jak zacząć, więc po prostu pozwoliła mu mówić, zadowolając się słuchaniem.

Uśmiechnęła się szeroko, kiedy Nandi postawiła przed nią deser: jej ulubiony, żółto – kremowy, soczysty i słodki owoc *shuura*.

– A kiedy do nich dotarłem, przeszliśmy do... – Anakin zawiesił głos, by pobudzić ciekawość Padmé –... agresywnych negocjacji – dokończył, po czym podziękował Teckli, która właśnie postawiła przed nim miskę z owocem.

– Do agresywnych negocjacji? Co to takiego?

– To... negocjacje z użyciem miecza świetlnego – odparł Padawan z chytrym uśmiechem.

– Ach tak. – Padmé roześmiała się i spróbowała wbić widelec w apetyczny miąższ owocu.

Owoc *shuura* przesunął się nieznacznie, a metal uderzył o gładkie dno miski. Lekko speszona Padmé spróbowała jeszcze raz.

Deser znowu się poruszył.

Spojrzała na padawana, który z trudem tłumiał śmiech, spoglądając niewinnie na własny talerz.

– To ty!

Anakin uniósł głowę i szeroko otworzył oczy.

– Słucham?

Padmé pogroziła mu widelcem, a potem znenacka, znowu zaatakowała *shuura*.

Chłopak był jednak szybszy. Owoc uciekł spod widelca, który znowu stuknął o naczynie. Zanim Padmé zdążyła posłać Anakinowi kolejne ostrzegawcze spojrzenie, owoc uniósł się w powietrze i zawisł

tuż przed jej oczami.

– Przestań! – rozkazała, ale nie potrafiła udawać, że się gniewa. Roześmiała się, a Anakin zawtórował jej po chwili. Nie patrząc na niego, szybko sięgnęła po lewitujący przysmak.

Drobny ruch palców Anakina wystarczył, by *shuura* przeskoczył nad jej dłonią.

– Anakinie!

– Gdyby przyłapał mnie nie tym mistrz Obi-Wan, dostałbym niezłą burę przyznał padawan. Poruszył ręką, a wtedy owoc posłusznie przyleciał prosto do niego. – Ale nie ma go tu – dodał, krojąc *shuura* na kilka plasterków. Sięgnąwszy po Moc, wysłał jeden z nich ku Padmé, która ustami chwyciła go w locie.

Kiedy Teckla i Nandi przyszły, by sprzątnąć po posiłku, młodzi przenieśli się do saloniku z kominkiem, wygodnymi fotelami i kanapą.

Nandi i Teckla pożegnały się i wyszły. Anakin i Padmé zostali sami. Napięcie natychmiast wróciło i ogarnęło Padmé ze zdwojoną mocą.

Chciała, żeby ją całował, i właśnie to niekontrolowane pragnienie otrzeźwiło ją nieco. To nie było właściwe.

– Nie – powiedziała, unosząc ostrzegawczo palec, gdy uparty padawan zaczął zbliżać się do niej.

Anakin cofnął się, a na jego chłopięcej twarzy odmalowała się rozterka.

– Od chwili, kiedy spotkałem cię pierwszy raz, wiele lat temu, nie było dnia, żebym o tobie nie myślał. – Jego głos był chrapliwy, pełen emocji, a błyszczące oczy wwiercały się w Padmé. – A teraz, kiedy znowu jestem z tobą, cierpię. Im bliżej jestem, tym bardziej się męczę. Na samą myśl o tym, że moglibyśmy się rozstać, ściska mnie w dołku i czuję suchość w ustach. Kręci mi się w głowie! Nie mogę oddychać! Prześladuje mnie ten pocałunek, którego nie powinnaś była mi dać. Moje serce bije nadzieją, że ta jedna pieszczota nie stanie się tylko blizną.

Padmé wolno opuściła rękę, zafascynowana słuchając wyznania. Wiedziała, że Anakin mówi szczerze, że otwiera przed nią serce, choć

wie, że mogłaby złamać je jednym słowem. Była wzruszona i zaszczyczona jego szczerością.

– Zamieszkałaś w mojej duszy i dręczysz mnie wyszeptał Anakin żarliwie. – Co mam zrobić? Powiedz, a zrobię wszystko, co każesz.

Padmé odwróciła wzrok, szukając odpowiedzi w tańczących w kominku płomieniach. Minęło kilka chwil niezręcznego milczenia.

– Powiedz mi chociaż, czy cierpisz tak samo jak ja – poprosił Anakin. Padmé odwróciła się do niego, nie kryjąc wzburzenia.

– Nie mogę! zawołała. – Oboje nie możemy – dodała nieco ciszej. – To po prostu niemożliwe.

– Wszystko jest możliwe – zaproponował Anakin, pochylając się nad nią. – Padmé, proszę cię, posłuchaj...

– To ty posłuchaj – przerwała mu. O dziwo, własne słowa dodały jej siły, której tak potrzebowała. – Żyjemy w realnym świecie. Wróć do niego, Annie. Uczysz się, by zostać rycerzem Jedi. Ja jestem senatorem. Jeśli podążysz za swoimi pragnieniami, zaprowadzą cię tam, gdzie żadne z nas nie powinno się znaleźć... bez względu na to, co do siebie czujemy.

– Więc jednak coś czujesz! Padmé z trudem przełknęła ślinę.

– Jedi nie mogą się żenić – zauważyła, starając się uniknąć rozmowy na temat jej uczuć. – Zostałbyś wydalony z Zakonu. Nie pozwolę, żebyś wyrzekł się dla mnie swojej przyszłości.

– Prosisz, żebym myślał racjonalnie – odparł bez wahania Anakin. Jego pewność siebie i śmiałość nieco zaskoczyły Padmé. Poczwała, że znowu traci nad sobą kontrolę. W mężczyźnie, który siedział przy niej, nie było już ani śladu dziecka. – A ja nie mogę tego zrobić – kontynuował Anakin. – Uwierz mi, chciałbym oddalić od siebie te uczucia, ale po prostu nie umiem.

– Nie poddam się – stwierdziła z całym przekonaniem, na jakie potrafiła się zdobyć. Zaciśnęła zęby, wiedząc, że musi być silniejsza od Anakina. Przede wszystkim dla jego dobra. – Są w moim życiu ważniejsze sprawy niż miłość.

Skrzywiła się, widząc, że odwrócił się, głęboko urażony. Tym razem to Anakin zapatrzył się w ogień. Padmé wiedziała, że próbuje znaleźć odpowiedź na jej kategoryczną deklarację.

– Nie musiałyby tak być – odezwał się padawan po długiej chwili. Moglibyśmy utrzymać nasz związek w tajemnicy.

– Żylibyśmy w kłamstwie, i to w takim, którego na dłuższą metę nie udałoby się utrzymać. Moja siostra widziała, jak się zachowujemy. Matka też. Nie umiałabym tak... A ty, Anakinie? Czy potrafiłbyś tak żyć?

Mężczyzna wpatrywał się w nią przez moment gorejącymi oczami.

– Nie. Masz rację – przyznał w końcu. – To by nas zniszczyło. Padmé zapatrzyła się w płonące drwa. Zastanawiała się, gdzie tkwiła bardziej niszczycielska siła: w uczynkach czy w myślach?



# ROZDZIAŁ

# 16

– Ooo! – zawołał Boba Fett, puszczając się biegiem po płycie lądowiska, by z bliska obejrzeć smukły myśliwiec gwiezdny.

– Piękny statek – zgodził się Jango, idąc za synem i uważnie przyglądając się pojazdowi. Zwracał uwagę nie tylko na linię, ale i na oznaczenia oraz bogate uzbrojenie, a w szczególności na robota astromechanicznego zespolonego z lewym skrzydłem, który poświstywał radośnie.

– To Delta 7 – obwieścił podniecony Boba, wskazując palcem na cofniętą kabinę pilota. Jango skinął głową, zadowolony, że syn poważnie traktuje lekcje, których mu udziela. Myśliwce tego typu były całkiem nowe – do tego stopnia, że nie wyposażano ich jeszcze seryjnie w jednostkę napędu nadświatlnego. Jango wiedział o tym i dlatego mimowolnie spojrzał w pochmurne niebo, zastanawiając się, czy na orbicie nie krąży statek – matka. Szybko jednak ocknął się z zadumy i potrząsając głową, zbliżył się do Boby.

– Co powiesz o robocie? – spytał. – Umiesz zidentyfikować typ? Boba wspiał się na skrzydło maszyny i przez chwilę przyglądał się oznaczeniom fabrycznym, a potem odwrócił się w stronę ojca, z przejęciem przykładając palec do zaciśniętych ust.

– To R4-P – stwierdził.

– Czy to typowa jednostka astromechaniczna dla tego typu myśliwca?

– Nie – odparł bez zastanowienia Boba. – Piloci Delt 7 wolą zwykle R3-D, który lepiej radzi sobie z obsługą systemów

celowniczych.

Myśliwiec jest tak zwrotny, że czasem trudno poradzić sobie ze strzelaniem z dział laserowych. Czytałem, że niektórym pilotom udało się nawet odstrzelić dziób własnej maszyny! Wprowadzali statek w szybką beczkę, ale kończąc manewr, nie kompensowali ręcznego obrotu... – Wyjaśniając zawilości pilotażu, chłopiec wymachiwał rękami, wyginając je i zaplatając przed sobą.

Jango słuchał tego jednym uchem, choć w głębi serca był zachwycony wiedzą Boby.

A gdyby pilot nie potrzebował umiejętności strzeleckich R3-D? – spytał po chwili.

Boba spojrział na niego, jakby nie zrozumiał pytania.

– Czy wtedy wybrałby R4-P?

– Tak odpowiedział z wahaniem chłopiec.

– A jaki pilot nie potrzebowałby robota do obsługi działek? Boba przez moment spoglądał na ojca w milczeniu, a potem uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ty! – zawołał, zadowolony z siebie.

Jango przyjął komplement z wyrozumiałym uśmiechem. Jango potrafił latać każdym myśliwcem, a gdyby miał okazję sięgnąć za sterami Deltę 7, zapewne wolałby używać R4-P, a nie R3-D. Jednak zadając synowi pytanie, nie miał na myśli siebie. Wiedział, że istnieją inni piloci o nadzwyczajnie wyostrzonych zmysłach, którzy bez wątpienia wybraliby robota lepiej spisującego się w nawigacji, niż w obsłudze broni pokładowej.

Jango Fett znowu spojrział w niebo, zastanawiając się, czy powinien spodziewać się desantu Jedi w Tipoca City.



Rzędy wielkich regałów, na których ustawiono przezrocyste kule, ciągnęły się w przestronnej sali jak okiem sięgnąć. W każdym z

okrągłych pojemników wypełnionych płynem znajdował się embrion. Sięgnąwszy w ich stronę Mocą, Obi-Wan poczuł silną falę życiowej energii.

– Wylęgarnia raczej stwierdził niż spytał Jedi.

– To pierwsza faza, rzecz jasna – wyjaśnił Lama Su.

– Imponująca.

– Mieliśmy nadzieję, że będziesz zadowolony, mistrzu Jedi – odparł premier. – Klony potrafią myśleć twórczo. Przekonasz się wkrótce, że są nieskończenie skuteczniejsze niż roboty. Nie muszę chyba dodawać, że nasze klony są najlepsze w galaktyce. Od stuleci doskonalimy metody hodowli.

– Ile ich jest? – spytał Obi-Wan. – Mam na myśli tę salę.

– W całym mieście mamy kilka takich wylęgarni. Pierwsza faza jest, oczywiście, decydująca, choć muszę zaznaczyć, że dzięki naszej technologii przeżyje ponad dziewięćdziesiąt procent zarodków. Raz na jakiś czas cała partia wykazuje pewne... pewne wady, ale nie przeszkadza to w utrzymaniu stałego poziomu produkcji. Dzięki metodzie przyspieszonego wzrostu te klony, które tu widzisz, będą w pełni dojrzałe i gotowe do walki już za dziesięć lat.

„Dwieście tysięcy jednostek jest już gotowych, a produkcja kolejnego miliona jest mocno zaawansowana”. Te słowa, wypowiedziane wcześniej w gabinecie Lamy Su, wciąż jeszcze dźwięczały złowróżbnym echem w umyśle Obi-Wana. Miał przed sobą niebywale wydajne centrum klonowania produkujące nieprzerwanie zastępy doskonale wyćwiczonych i umotywowanych wojowników. Konsekwencje tego faktu były porażające.

Kenobi spojrzał na najbliższy embrion unoszący się swobodnie w odżywczym płynie i spokojnie ssący mały kciuk. Już za dziesięć lat ten mały człowiek stanie się żołnierzem zdolnym do zabijania i gotowym umrzeć.

Jedi zadrżał i spojrzał na kaminońskiego przewodnika.

– Chodźmy – powiedział Lama Su, ruszając w głąb korytarza. Przeszli do wielkiej sali, w której za równymi rzędami pulpitów zasiadały równe rzędy mniej więcej dziesięcioletnich uczniów. Chłopcy mieli identyczne stroje, identyczne fryzury, identyczne rysy

twarzy, sylwetki i gesty. Obi-Wan odruchowo spojrział na śnieżnobiałe ściany, jakby spodziewał się, że zobaczy na nich sprytnie ustawione lustra, które zwielokrotniły obraz jednego dziecka.

Uczniowie, pogrążeni w nauce, obdarzyli wizytujących przelotnym spojrzeniem.

Zdyscyplinowani, pomyślał Obi-Wan, znacznie bardziej niż normalne dzieci.

Jeszcze jedna myśl nie dawała mu spokoju.

– Wspominałeś o procesie przyspieszonego wzrostu...

– O, tak. To niezbędny zabieg – odparł premier. – Gdyby nie on, wychowanie dorosłego kłona trwałoby całe pokolenie. My dokonujemy tego w połowę krótszym czasie. Jednostki, które zobaczysz wkrótce na placu marszowym, stworzyliśmy dziesięć lat temu, gdy Sifo-Dyas złożył u nas zamówienie. Teraz są już dojrzałe, gotowe do podjęcia służby.

– Zatem te powstały mniej więcej pięć lat temu? – wywnioskował.

Lama Su skinął głową.

– Czy chciałbyś dokonać teraz przeglądu produktów końcowych, mistrzu Jedi? – spytał. Obi-Wan wyczuwał podniecenie w głosie Kaminoanina, najwyraźniej bardzo dumnego z dokonań swoich podwładnych.

– Liczę na twoją pozytywną ocenę, nim dokonasz odbioru dostawy.

Okrucieństwo tego, co działo się w miastach na wodnej planecie, głęboko poruszyło Obi-Wana. „Jednostki”. „Produkt końcowy”. Przecież rozmawiali o ludzkich istotach, żywych, oddychających, myślących. Tworzenie klonów przeznaczonych do jednego tylko celu, poddawanie ich tak ścisłej kontroli i okradanie ich z połowy dzieciństwa nie mieściło się w uznawanych przez Kenobiego normach. Myśl, że inicjatorem całego procederu mógł być Mistrz Jedi, była wprost nie do zniesienia.

Dotarli wreszcie do kantyny, w której setki dorosłych klonów ubranych w czerń mężczyzn w wieku Anakina – siedziały w równych rzędach, posilając się w identyczny sposób jednakowym pożywieniem.

– Przekonasz się, że są zupełnie posłuszne – mówił właśnie Lama Su, zupełnie nieświadomy rozterek Obi-Wana. – Oczywiście, zmieniliśmy ich strukturę genetyczną tak, by stały się mniej niezależne niż oryginał.

– A kto jest oryginałem?

– Łowca nagród, Jango Fett – odparł Lama Su. – Uważaliśmy, że Jedi byłby jeszcze lepszym kandydatem, ale Sifo-Dyas osobiście wybrał Janga.

Myśl o wykorzystaniu w taki sposób rycerza Jedi omal nie zwała Kenobiego z nóg. Armia klonów władających Mocą?!

– A gdzie przebywa teraz ten łowca? – spytał od niechcienia.

– Tutaj – odparł Lama Su. – Może nas odwiedzać i opuszczać, kiedy tylko zechce.

Mówiąc te słowa, premier wprowadził gościa w długi korytarz pełen wąskich, przezroczyстых, walcowatych komór. Jedi w zdumieniu przyglądał się klonom, które wspinały się do nich, układały wygodnie i zamykały oczy, gotowe do snu.

– Rzeczywiście są zdyscyplinowane – przyznał.

– To klucz do sukcesu – odrzekł Lama Su. Zdyscyplinowane, ale zdolne do twórczego myślenia. To doskonała mieszanka. Mistrz Sifo-Dyas wyjaśnił nam awersję Jedi do dowodzenia robotami. Mówił, że rycerze Jedi mogliby rozkazywać jedynie armii żywych istot.

A wy chcieliście nawet, żeby oryginałem był Jedi? – pomyślał Obi-Wan. Westchnął głęboko, zastanawiając się ze zgrozą, jak Mistrz Sifo-Dyas – czy którykolwiek z rycerzy Jedi – mógł podjąć tak lekkomyślną decyzję o stworzeniu armii klonów. Rozumiał jednak, że na razie musi zrezygnować z poszukiwania odpowiedzi na to pytanie, a całkowicie skoncentrować się na słuchaniu i obserwowaniu, by zebrać jak najwięcej danych, które ułatwiłyby Radzie podjęcie stosownych działań.

– Zatem Jango Fett postanowił pozostać na planecie Kamino?

– To jego wybór. Poza odpowiednią kwotą za swoje usługi – zapewniam, że nie małą. Fett zażądał od nas tylko jednego: niezmodyfikowanego klona samego siebie. Interesujące, prawda?

– Niezmodyfikowanego?

– Tak. Chciał genetycznie wiernej repliki – wyjaśnił premier. – Takiej, której nie zaprogramowano posłuszeństwa i nie poddano przyspieszonemu wzrostowi.

– Bardzo chciałbym poznać tego Janga Fetta – rzekł Obi-Wan, bardziej do siebie niż do Lamy Su. Był zaintrygowany. Kim był człowiek, którego Sifo-Dyas uznał za idealny pierwowzór żołnierza klona?

Lama Su spojrzał na Taun We, która posłusznie skinęła głową.

– Z przyjemnością zaaranżuję wasze spotkanie – powiedziała, po czym oddaliła się dyskretnie.

Premier poprowadził Obi-Wana dalej, pokazując mu szkolenie klonów na wszystkich poziomach rozwoju. Na rozległym placu ćwiczeń tysiące szturmowców klonów, zakutych w białe pancerze i zasłaniające twarz hełmy, maszerowały i trenowały musztrę z precyzją dobrze zaprogramowanych robotów.

– Wspaniałe, prawda? – odezwał się Lama Su.

Obi-Wan zadarł głowę, by spojrzeć w oczy Kaminoanina, który z dumą przyglądał się swemu dziełu. Jedi wiedział, że dla Lamy Su dylematy etyczne nie istniały. Być może właśnie dlatego Kaminoanie osiągnęli takie sukcesy w klonowaniu: sumienie nie przeszkadzało im w pracy.

Lama Su popatrzył na Kenobiego, uśmiechając się szeroko i oczekując odpowiedzi. Obi Wan bez słowa skinął głową.

Rzeczywiście, klony były wspaniałe. Jedi wyobrażał je sobie na polu bitwy – brutalne i skuteczne.

Nie pierwszy raz tego dnia Obi-Wan Kenobi poczuł zimne dreszcze. Dopiero teraz zrozumiał i docenił krucjatę, którą prowadziła senator Amidala – krucjatę przeciwko stworzeniu sił zbrojnych Republiki nieuniknionej konsekwencji tego kroku: wojnie.

Rycerz Jedi na Kamino. Ta myśl wydała się Jango Fettowi więcej niż niepokojąca.

Łowca spojrzał na Bobę, który w drugim końcu pokoju z uwagą wertował schematy techniczne i listy parametrów bojowych myśliwca

Delta 7, porównując je ze znanymi zaletami i wadami jednostek astromechanicznych typu R4-P.

Życie chłopca jest proste, myślał z zazdrością Jango. Dla Boby liczy się jedynie miłość – ojca i do ojca – oraz nauka rzemiosła. Poza tymi dwiema sprawami interesowało go wyłącznie organizowanie sobie rozrywek w czasie, który spędzał samotnie, gdy Jango opuszczał planetę lub załatwiał swoje interesy z Kaminoanami.

Spoglądając na syna, Jango Fett czuł się, że zaczyna się o niego bać. Omal nie rozkazał Bobie pakować się, omal nie zabrał go i nie uciekł z planety Kamino, ale zbyt dobrze rozumiał niebezpieczeństwo kryjące się w takiej taktyce. Opuściłby planetę, nie dowiedziawszy się niczego o potencjalnym przeciwniku, rycerzu Jedi, który pojawił się tak niespodziewanie. A przecież zleceniodawcy zależy na takich informacjach.

Jango także ich potrzebował. Gdyby wyjechał teraz, tuż przed spotkaniem z Jedi, byłoby oczywiste, że uciekł.

A wtedy jego tropem wyruszyłby rycerz Jedi – przeciwnik, o którym nie wiedział praktycznie nic.

Jango wpatrywał się uparcie w Bobę, jedyną istotę we wszechświecie, na której naprawdę mu zależało.

– Rozegraj to na zimno – szepnął do siebie. – Jesteś tylko surowcem dla klonów, wystarczająco dobrze opłacanym, by nie interesować się celem całego przedsięwzięcia.

To była jego litania. To był jego plan, który musiał się powieść.  
Dla dobra Boby.

Ruch dłoni Taun We uruchomił niewidzialny dzwonek, kolejny raz przypominając Obi-Wanowi, jak obcy i niezwykły jest ten świat, Kamino i miasto Tipoca. Nie rozmyślał jednak nad tym długo, ponieważ jego uwagę przykuł mechanizm blokujący drzwi: rozbudowany, elektroniczny zamek z rygłem. Wydawało mu się, że to dość niezwykle zabezpieczenie, biorąc pod uwagę rzekomo znakomite stosunki Jango Fetta z Kaminoanami. Czy zamek miał zatrzymać intruzów na zewnątrz, czy Jango Fetta wewnątrz?

Raczej to pierwsze, pomyślał Obi-Wan. Jango był przecież łowcą nagród. Na pewno miał licznych i niebezpiecznych wrogów.

Kenobi wciąż jeszcze przyglądał się zamkowi, kiedy drzwi rozsunęły się, ukazując stojącego za nimi chłopca – wierną kopię tych, których Jedi oglądał przez cały dzień. Egzemplarz zamówiony przez Jango różnił się od nich jedynie tym, że naprawdę miał dziesięć lat.

– Boba – odezwała się przyjaźnie Taun We. – Zastaliśmy twojego ojca? Boba Fett długo wpatrywał się w towarzyszącego jej człowieka.

– Ta – a – odpowiedział.

– A czy możemy się z nim zobaczyć?

– Jasne – odrzekł Boba. Cofnął się o krok, ale gdy goście przekraczali próg, ani na chwilę nie spuszczał z oka rycerza Jedi. – Tato! – zawołał.

Ta forma zdziwiła nieco Obi-Wana, który wiedział, że ma do czynienia z klonem, a nie biologicznym synem. Czyżby rzeczywiście istniała więź między chłopcem a jego ojcem? Czy Jango zażądał repliki samego siebie nie dla zysku, lecz po prostu dlatego, że chciał mieć syna?

– Tato! – powtórzył głośniejszym głosem Boba. – Przyszła Taun We!

Jango Fett ubrany był w prostą koszulę i spodnie. Obi-Wan rozpoznał go natychmiast, choć mężczyzna był znacznie starszy od najstarszych klonów, a jego nieogoloną twarz znaczyły liczne blizny. Ciało łowcy wciąż prezentowało się imponująco, budząc nieodparte skojarzenia z zahartowanymi twardego życia typami spod ciemnej gwiazdy, których Kenobi spotykał w mało wytwornych zakątkach galaktyki. Przedramiona Jango zdobiły dziwne tatuaże, których wzór nic Obi-Wanowi nie mówił.

Kiedy Jedi uniósł głowę, przekonał się, że łowca lustruje go podejrzliwym wzrokiem. Ten człowiek balansuje niebezpiecznie na krawędzi strachu, pomyślał Obi-Wan.

– Witaj w domu, Jango – powiedziała Taun-We. – Miałeś udaną podróż?

Kenobi wpatrywał się intensywnie w oczy łowcy, zastanawiając się, o jaką podróż chodziło. Jango był jednak profesjonalistą; jego



twarz nawet nie drgnęła.

– W miarę – odpowiedział swobodnie. Nie przestawał przy tym mierzyć wzrokiem Obi-Wana, złowrogo mrużąc oczy.

– Przedstawiam ci mistrza Jedi, Obi-Wana Kenobiego – odezwała się Taun We, próbując rozładować narastające napięcie. – Przybył dokonać inspekcji naszych dokonań.

– Naprawdę? – Jeżeli słowa Kaminoanki w ogóle obchodziły Janga, nie okazał tego.

– Twoje klony są imponujące – rzekł Obi-Wan. – Pewnie jesteś z nich bardzo dumny.

– Jestem tylko prostym człowiekiem, który szuka swojej drogi we wszechświecie, mistrzu Jedi.

– Jak my wszyscy, prawda?

Kenobi rozejrzał się po pokoju. Jego uwagę przykuły półotwarte drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Dostrzegł w głębi poobijane i osmalone fragmenty pancerza, uderzająco podobnego do tego, w który ubrany był mężczyzna z plecakiem raketowym, właściciel zatrutej strzałki, zabójca Zam Wesell. Jedi dostrzegł także niebieskawą linię kojarzącą się z oprawą wizjera i szczeliny oddechowej na hełmie zamachowca z Coruscant. Zanim jednak zdążył przyjrzeć się jej bliżej, Jango stanął tuż przed nim, celowo zasłaniając widok.

– Zapuszczasz się czasami do centrum Republiki, na przykład na Coruscant? – spytał otwarcie Obi-Wan.

– Byłem tam raz czy dwa.

– Ostatnio?

Spojrzenie łowcy nagród znowu stało się podejrzliwe.

– Możliwe...

– W takim razie, na pewno znasz Mistrza Sifo-Dyasa – stwierdził Obi-Wan, ciekaw reakcji mężczyzny.

Reakcji nie było. Jango Fett ani drgnął, a kiedy Jedi próbował odrobinę się przesunąć, by jeszcze raz zajrzeć do sąsiedniego pokoju, Jango odezwał się w specjalnym, umownym języku:

– Boba, zamknij drzwi.

Dopiero gdy polecenie zostało wykonane, Jango odsunął się nieco.

Obi-Wan miał wrażenie, że mężczyzna czai się do skoku.

– Mistrza...? – spytał Jango.

– Sifo-Dyasa. To on wynajął cię do tej roboty, prawda?

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł Jango. Jeśli kłamał, Obi-Wan nie potrafił wyczuć w jego słowach fałszu.

– Naprawdę?

– Zatrudnił mnie gość nazwiskiem Tyranus, na jednym z księżyców Bogdena – wyjaśnił Jango. Obi-Wan znowu odniósł wrażenie, że mężczyzna mówi prawdę.

– Ciekawe – mruknął i spuścił wzrok, zaskoczony i zmieszany takim obrotem sprawy.

– Podoba ci się armia, mistrzu Jedi? – spytał Jango Fett.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ją w akcji – odrzekł Kenobi.

Jango spoglądał na niego z uwagą, szukając ukrytego w jego słowach podtekstu. A potem, jakby doszedł wniosku, że w zasadzie nie ma to wielkiego znaczenia, błysnął zębami w uśmiechu.

– Zrobią, co do nich należy. Gwarantuję.

– Jak ich pierwowzór? Jango Fett wciąż się uśmiechał.

– Dzięki, że poświęciłeś nam tyle czasu, Jango – rzekł Obi-Wan, po czym odwrócił się do Taun We i spojrzawszy na nią, ruszył w kierunku drzwi.

– Spotkanie z Jedi to zawsze przyjemność – padła odpowiedź. Dwuznaczna, granicząca z ukrytą groźbą.

Obi-Wan puścił ją mimo uszu. Jango Fett z pewnością był niebezpiecznym człowiekiem, szczerwanym i zaprawionym w bojach, a na dodatek umiejętnie posługującym się wszelkiego rodzaju bronią. Kenobi uznał więc, że nim pchnie sprawę do przodu, powinien najpierw przekazać meldunek o wszystkim, czego się dowiedział, na Coruscant, do Rady Jedi. Odkrycie armii klonów było wydarzeniem zdumiewającym i bardzo niepokojącym. Jej istnienie trudno było wytłumaczyć w logiczny sposób.

Czy Jango był mężczyzną z plecakiem raketowym, którego widział na Coruscant w tę noc, gdy dokonano zamachu na życie Amidali?

Przeczenie podpowiadało Obi-Wanowi, że tak, ale jaki był związek tej sprawy z faktem, iż ten sam osobnik został wybrany na wzorzec dla armii klonów zamówionej podobno przez nieżyjącego już Mistrza Jedi?

Kiedy krocząc obok Taun We, Kenobi opuścił mieszkanie Fetta, drzwi zamknęły się za nim z cichym sykiem. Przystanął na moment i przywołał Moc.

Rygiel w zamku przesunął się bezszelestnie.

– To jego myśliwiec, prawda, tato? – spytał Boba Fett. – Skoro jest rycerzem Jedi, może używać robota typu R4-P.

Jango w zamyśleniu skinął głową.

– Wiedziałem! – zawołał radośnie Boba, lecz ojciec spojrzał na niego z powagą.

– Tato, co się stało?

– Pakuj się. Odlatujemy. Boba chciał coś powiedzieć...

– Natychmiast – rozkazał łowca nagród. Chłopiec omal się nie przewrócił, pędząc na złamanie karku do swojego pokoju.

Jango Fett pokręcił głową. Ten konflikt nie był mu potrzebny. Nie teraz. Łowca nie pierwszy raz miał wątpliwości, czy słusznie postąpił, przyjmując zlecenia na zabicie Padmé Amidali. Był zaskoczony, kiedy Federacja Handlowa złożyła mu tę ofertę. Jej przedstawiciele nalegali, twierdząc, że śmierć pani senator będzie mieć dla nich decydujące znaczenie przy zawieraniu pewnych sojuszy. Oferta była przy tym zbyt lukratywna, by Jango mógł ją odrzucić – nagroda wystarczyłaby mu na godziwe życie z Bobą na dowolnie wybranej planecie.

Zawierając kontrakt na zabicie pani senator Amidali, łowca nie wiedział jednak, że rycerze Jedi wkrótce wezmą go na celownik.

Jango spojrzał w stronę małego Boby.

Nie chciał zostawać w tym mieście ani chwili dłużej.

# ROZDZIAŁ

# 17

Padmé ocknęła się nagle. Coś było nie w porządku. Usiadła na pościeli, przestraszona myślą o kolejnym ataku jadowitych wijących się morderców.

Ale w pokoju panowała niczym niezmacona cisza.

Nagle, z sąsiedniej sypialni, którą zajmował Anakin, rozległ się krzyk:

– Nie! Nie! Mamo! Nie rób tego!

Padmé zeskoczyła z łóżka i wybiegła z pokoju, nie dbając o to, że ma na sobie jedynie kuszą atłasową koszulkę. Zatrzymała się przed drzwiami pokoju padawana, nasłuchując uważnie dobiegających ze środka, stłumionych okrzyków. Zrozumiała, że to tylko kolejny koszmar dręczący Anakina, taki jak ten, który prześladował go na pokładzie statku lecącego na Naboo. Otworzyła drzwi i spojrzała na młodego Jedi.

Anakin rzucał się na pościeli, raz po raz wykrzykując „Mamo!”. Padmé niepewnie weszła do środka, a wtedy padawan uspokoił się nagle i przewrócił na drugi bok. Zły sen – a może wizja – dobiegł końca.

Padmé cofnęła się ostrożnie i cicho zamknęła drzwi. Odczekała jeszcze chwilę i nie usłyszawszy więcej ani okrzyków, ani odgłosów szamotaniny, wróciła do łóżka.

Długo leżała w ciemności, rozmyślając o Anakinie i o tym, jak bardzo chciała być teraz przy nim, objąć go i pomóc przebrnąć przez nocne koszmary.

Następnego ranka znalazła go na wschodnim balkonie rezydencji, z widokiem na jezioro i unoszące się ponad horyzontem słońce. Stał przy balustradzie, tak głęboko zamyślony, że nie usłyszał jej kroków.

Kiedy podeszła bliżej, przekonała się, że zamyślenie padawana jest w istocie głęboką medytacją. Nie chcąc mu przeszkadzać, odwróciła się i ucho ruszyła w stronę wyjścia.

– Nie odchodź – odezwał się Anakin.

– Nie chcę ci przeszkadzać – odparła zaskoczona.

– Twoja obecność działa na mnie kojąco.

– Dziś w nocy znów śnił ci się koszmar – powiedziała cicho, gdy Anakin wreszcie otworzył oczy.

– Jedi nie miewają koszmarów – odparł butnie.

– Słyszałam cię – odrzekła szybko Padmé.

– Widziałem matkę – przyznał padawan, spuszczać głowę. – Widziałem ją tak wyraźnie, jak ciebie teraz. Ona cierpi, Padmé. Zabijają ją! Zadają jej ból!

– Kto? – spytała Padmé, podchodząc bliżej i kładąc dłoń na ramieniu Anakina. W jego twarzy zobaczyła zaskakującą determinację.

– Wiem, że łamię rozkaz chronienia cię za wszelką cenę... – urwał.

– Wiem też, że zostanę ukarany, może nawet usunięty z Zakonu, Jedi, ale muszę tam polecieć.

– Polecieć?

– Muszę jej pomóc! Przykro mi, Padmé. – Nie mam wyboru dodał.

– Pewnie że nie. Nie możesz mieć, jeśli jesteś pewny, że twoja matka ma kłopoty. – Anakin z uznaniem skinął głową. – Polecę z tobą – postanowiła. Anakin chciał coś powiedzieć, ale uśmiech Padmé kazał mu milczeć.

– Tym sposobem nadal będziesz mógł mnie chronić – dodała reżolutnie. – Nie złamiesz rozkazów.

– Nie wydaje mi się, żeby Rada Jedi to właśnie miała na myśli, Obawiam się, że zmierzam w stronę niebezpieczeństwa i zabieram cię ze sobą...

– „Zmierzam w stronę niebezpieczeństwa” – powtórzyła Padmé i roześmiała się. – Zdaje się, że nigdy tam nie byłam.

Anakin patrzył na nią, nie wierząc własnym uszom. Po chwili i on się uśmiechnął.

Smukły statek Padmé i Anakina wyszedł z nadprzestrzeni nieopodal burej tarczy planety Tatooine – jakże różnej od Naboo, świata zielonych traw i ciemnobłękitnych wód, spowitego smugami białych obłoków. Tatooine była tylko brązową kulą zawieszoną w przestrzeni, przeciwieństwem oazy życia, którą była ojczysta planeta Padmé.

– „Znowu w domu, znowu w domu, tutaj odpoczniemy” – zacytował Anakin fragment dziecinnej rymowanki.

– „Tu ogniska sercu bliskie, na rodzinnej ziemi” – dokończyła Padmé. Chłopak spojrzał na nią, przyjemnie zaskoczony.

– Znasz to?

– Każdy to zna.

– Nie wiedziałem, że w ogóle ktoś... – mruknął Anakin. – Wydawało mi się, że mama wymyśliła ten kawałek specjalnie dla mnie.

– Przykra sprawa. Może naprawdę tak było? Może to trochę inne słowa niż te, których uczyła mnie moja matka.

Anakin pokręcił głową z powątpiewaniem, ale nie stracił dobrego humoru. Cieszył się nawet, że Padmé zna tę samą rymowanąkę i że zapewne wszystkie matki przekazywały ją swoim dzieciom.

A najbardziej cieszył się z tego, że znalazł kolejną rzecz, która łączyła go z ukochaną.

– Jak dotąd nie wysłali nam współrzędnych – zauważyła Padmé.

– I pewnie tego nie zrobią, o ile nie poprosimy – odparł Anakin. – Tutaj nie przestrzega się zasad. Trzeba znaleźć sobie miejsce i wylądować, a potem mieć nadzieję, że statek nie zostanie porwany przy pierwszej okazji.

– Dokładnie tak uroczo, jak zapamiętałam.

Anakin spojrzał na Padmé i skinął głową. Tyle rzeczy zmieniło się w jego życiu, odkąd wymagający naprawy statek królowej Amidali, którym lecieli także Obi-Wan i Qui-Gon, wylądował przymusowo na

Tatooine. Padawan próbował się uśmiechnąć, ale był za bardzo zdenerwowany i zbyt wiele niespokojnych myśli kłębiło się w jego głowie. Czy matce nic się nie stało? Czy straszny sen był zapowiedzią przyszłości, czy odtworzeniem zdarzeń, które już nastąpiły?

Statek, prowadzony ręką Anakina, wszedł w atmosferę i pomknął w dal pod błękitnym niebem.

– Mos Espa – powiedział padawan, gdy na horyzoncie ukazało się miasto.

Z impetem wlecieli ponad zabudowania, wzbudzając tym falę protestów odebranych przez pokładowy komunikator. Ale Anakin wiedział, co robi. Statek zwolnił nad obrzeżami miasta i opuścił się na płytę rozległego lądowiska, w gąszcz jednostek handlowych najróżniejszych klas.

– Nie możecie tak sobie lądować bez zaproszenia! – szczeptał urzędnik portowy, krępa istota o świńskiej twarzy, z kolczastymi wyrostkami na plecach i ogonie.

– W takim razie dobrze się składa, że nas zaprosiłeś – odparł spokojnie Anakin, wykonując dyskretny ruch ręką.

– W takim razie dobrze się składa, że was zaprosiłem! – powtórzył radośnie urzędnik. Anakin i chichocząca Padmé minęli go bez słowa.

. – Annie, jesteś niegrzeczny – stwierdziła, gdy stanęli na zakurzonej ulicy.

– Przecież nie było tuzina statków czekających na miejsce – odparł Anakin, dumny z siebie i zadowolony z łatwości, z jaką użył Mocy wobec gburowatego typu. Machnął ręką w stronę sunącej nad ziemią rykującej ciągniętej przez niewysokiego i chudego robota ES-PSA, który w miejscu nóg miał duże koło.

Anakin podał adres i android ruszył krętymi ulicami Mos Espy, ciągnąc za sobą dwuosobowy pojazd. Wprawnie kluczył w tłoku i od czasu do czasu wydawał z siebie przenikliwy dźwięk, gdy ktoś uparcie nie ustępował mu z drogi.

– Myślisz, że miał z tym coś wspólnego? – spytała Padmé.

– Watto?

– Tak. Twój dawny właściciel.

– Jeżeli Watto w jakikolwiek sposób skrzywdził moją matkę,

osobiście powyrywam mu skrzydła – zapewnił Anakin, choć nie był pewien, co poczuje na widok Watta, nawet jeśli Toydarianin nie zrobił jego matce nic złego. Handlarz złodem zawsze traktował go lepiej niż inni właściciele niewolników z Mos Espy i rzadko używał przemocy, ale z drugiej strony Anakin pamiętał, że Watto nie zgodził się na uwolnienie Shmi, kiedy zawierał zakład z Qui-Gonem. Padawan miał świadomość, że być może próbuje przerzucić na Toydarianina część poczucia winy za pozostawienie matki na Tatooine.

– Tutaj, Espasa – zwrócił się do androida. Ryksza zatrzymała się przed sklepem. Na stołku przed wejściem siedział krągły skrzydlaty Toydarianin z krótką trąbą zwisającą nad ustami. Majstrował elektronicznym wkrętakiem przy czymś, co wyglądało na uszkodzoną część robota. Na głowie miał mały kapelusik, a na grzbiecie kusą kamizelkę naciągniętą do granic możliwości na pulchny wystający brzuch. Anakin rozpoznał go natychmiast.

Wpatrywał się w Watta wystarczająco długo, by Padmé wysiadła pierwsza i podała mu rękę.

– Zaczekaj tu, proszę – przykazała riksarzowi.

– *No chuba da wanga, da wanga!* – wrzeszczał Toydarianin nad zepsutym elementem, a trzy roboty naprawcze uwijały się w pobliżu, próbując mu pomóc.

– Mówi po huttańsku – wyjaśnił Anakin.

– „Nie, nie ten, ale tamten!” – przetłumaczyła Padmé. – Myślisz, że łatwo jest być królową? – spytała, widząc minę padawana, zdumionego faktem, że umie posługiwać się tą dziwną mową.

Anakin pokręcił głową i zbliżając się do drzwi sklepiku, raz po raz zerkał na Padmé.

– *Chut chut, Watto* – powitał Toydarianina.

– *Ke booda?* – odpowiedział mu zdziwiony głos.

– *Di nova, chut chut* – powtórzył Anakin, z trudem przekrzykując trajkocząc nerwowo roboty.

– *Go ana bopa!* – ryknął na nie Watto. Gadatliwe trio natychmiast umilkło i wyłączyło się, składając się do pozycji spoczynku.

– *Ding mi chasa hopa* – zaproponował Anakin, biorąc uszkodzoną



część z rąk Watta i manipulując nią z wprawą. Toydarianin przyglądał się w milczeniu poczynaniom padawana, a jego wyłupiaste oczy stawały się coraz większe.

– *Ke booda?* – zapytał wreszcie. – *Yo baan pee hota. No wega mi condorta. Kin chasa du Jedi. No bata tu tu.*

– Nie poznaje cię – szepnęła Padmé do Anakina, próbując nie roześmiać się na dźwięk ostatnich słów Watto, które brzmiały mniej więcej jak „Cokolwiek się stało, jestem niewinny”.

– *Mi boska di Shmi Skywalker* – rzekł Anakin. Watta podejrzliwie zmrużył oczy. Kto mógł mieć powód, żeby szukać jego byłej niewolnicy? Toydarianin zmierzył wzrokiem Padmé, a potem znowu spojrzał na Anakina.

– Annie? – spytał, przechodząc na basie. – Mały Annie? Nieee! Odpowiedzią Skywalkera był szybki ruch dłoni i dźwięk budzącej się do życia części robota. Uśmiechając się szeroko, chłopak podał część zaskoczonemu Toydarianinowi.

Niewielu było w okolicy cudotwórców, którzy potrafili robić takie rzeczy z uszkodzonymi elementami robotów.

– To naprawdę Annie! – zawołał Watto. – To ty! – Skrzydełka istoty zaczęły zaciekle młócić powietrze, unosząc go w powietrzu. – Aleś wyrósł! – dodał, zawisając kilka centymetrów nad ziemią.

– Witaj, Watto.

– Ho-ho! – zahuczał Toydarianin. – Rycerz Jedi! Kto by pomyślał? Słuchaj no, może pomógłbyś mi przycisnąć paru cwaniaczków, którzy są mi winni fortunę...

– Moja matka... – przypomniał mu Anakin.

– Ach, tak, Shmi. Już nie jest moją niewolnicą. Sprzedałem ją.

– Sprzedałeś? – Anakin poczuł, że Padmé mocniej ściska jego ramię.

– Ładnych parę lat temu – wyjaśnił Watto. – Przykro mi, Annie, ale sam wiesz: interes to interes. Sprzedałem ją farmerowi wilgoci nazwiskiem Lars. Tak mi się przynajmniej zdaje. Uwierz lub nie, ale słyszałem, że ją uwolnił i ożenił się z nią. Wyobrażasz sobie?

Anakin pokręcił głową, próbując przetrwać te nowiny.

– Nie wiesz, gdzie teraz są?

– Daleko. Chyba gdzieś po drugiej stronie Mos Eisley.

– A dokładniej?

Watto zastanawiał się przez moment, a potem wzruszył ramionami.

– Muszę to wiedzieć – rzekł Anakin, spoglądając na niego groźnie. Rysy Watta stężały, bo Toydarianin pojął wreszcie, iż Jedi nie żartuje.

– Jasne – powiedział, – Nie ma sprawy. Chodźmy zajrzeć do ksiąg. Kiedy weszli do sklepiku, wspomnienia powróciły do Anakina ze zdwojoną siłą. Ileż to godzin, ile lat spędził w tych murach, naprawiając wszystko, co podrzucił mu Watto? Ile znalezionych części uskładał na zapleczu, by zbudować z nich własny ścigacz? Musiał przyznać, że nie wszystkie wspomnienia z tamtych dni były złe, lecz tych dobrych było zbyt mało, by przesłoniły fakt, iż był niewolnikiem. Własnością Watta. Na szczęście dla Toydarianina, wśród starych zapisków znalazła się informacja o położeniu farmy wilgoci należącej do Cliegga Larsa.

– Zostań na trochę, Annie – zaproponował Watto, kiedy przekazał przybyszom dane o nowym właścicielu Shmi – a może o jej mężu?

Anakin odwrócił się bez słowa i wyszedł. Postanowił, że nigdy więcej nie spojrzy na Watta i jego sklep z rupieciami. Chyba że Toydarianin okłamał go co do losu Shmi lub okazałoby się, że skrzywdził ją w jakiś sposób.

– Espasa, z powrotem na lądowisko – rzucił w stronę androida, wsiadając z Padmé do rykszy. – Szybko.

– Nie macie ochoty się czegoś napić? – zawołał Watto, ale pojazd już ruszył, wzbijając tumany kurzu.

– *Annie du Jedi* – mruknął Toydarianin, po czym lekceważąco machnął rękami w stronę znikającej rykszy. – Kto by pomyślał.

Anakin szybko wyprowadził statek z lądowiska, przy okazji omal nie doprowadzając do kolizji z manewrującym tuż obok małym frachtowcem. Kontrola lotów Mos Espy odezwała się głośnymi protestami, ale Skywalker po prostu wyłączył komunikator i z maksymalną prędkością pomknął nad miastem. Wkrótce minęli

skaliste połacie, nad którymi w młodości latał ścigaczem, ale nawet nie zwrócił na nie uwagi. Skierował maszynę wprost nad pustynię, w stronę Mos Eisley. Kiedy miasto i port kosmiczny pojawiły się w iluminatorze, skręcił na północ i zwiększył pułap lotu, omijając z daleka zabudowania.

Zaraz potem zobaczył pierwszą farmę wilgoci, a potem drugą i trzecią., położone niemal w jednej linii za miastem.

– To ta – powiedziała Padmé. Anakin posępnie skinął głową i posadził statek na skarpie otaczającej pustynne siedlisko.

– Naprawdę znowu ją zobaczę – szepnął, wyłączając silniki. Padmé uścisnęła jego rękę i uśmiechnęła się z otuchą.

– Nie masz pojęcia, jak to jest rozstać się z matką w takich okolicznościach – rzekł padawan.

– Bez przerwy rozstaję się z moją rodziną – odparła. – Ale masz rację, to nie to samo. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jak to jest być niewolnikiem, Anakinie.

– Jeszcze gorsza jest świadomość, że ma się matkę niewolnicę. Padmé skinęła głową, przyznając mu rację.

– Zostań na pokładzie, Artoo – poleciła. Robot pisnął twierdząco.

Pierwszą postacią, którą zobaczyli, idąc w stronę zabudowań, był brudnoszary android o bardzo zniszczonej powłoce. Widać było, że brakuje mu porządnej kąpieli olejowej – zginał się sztywno, pracując przy jednym z sensorów. Na widok przybyszów wyprostował się gwałtownie.

– Dzień dobry – przywitał się uprzejmie. – Czym mogę służyć? Jestem See...

– Threepio? – spytał z niedowierzaniem Anakin.

– O rety! wykrzyknął android, trzęsąc się gwałtownie. – Mój stwórca! Pan Anakin! Wiedziałem, że pan wróci! Wiedziałem! A to zapewne panna Padmé?

– Witaj, Threepio – odpowiedziała kobieta.

– Na moje obwody! Tak się cieszę, że państwa widzę!

– Przyleciałem zobaczyć się z matką – wyjaśnił Anakin. Android odwrócił się szybko w jego stronę, a potem lekko cofnął.

– Sądzę... sądzę... – zająknął się C-3PO. – Chyba będzie najlepiej,

jeśli wejdziemy do środka. – Odwrócił się i ruszył w stronę domu, gestem zapraszając gości, by szli za nim.

Anakin i Padmé wymienili niespokojne spojrzenia. Padawan wciąż nie mógł wyzbyć się fatalnych przeczuc, które prześladowały go od czasu ostatnich nocnych koszmarów.

Nim go dogonili, android był już na podwórzu.

– Panie Clieggu! Panie Owenie! Czy wolno mi przedstawić parę dostojnych gości?

Z domu wybiegli młody mężczyzna i młoda kobieta. Zwolnili, gdy zobaczyli przybyszów.

– Jestem Anakin Skywalker – przedstawił się padawan.

– Anakin? – powtórzył mężczyzna, szeroko otwierając oczy. – Anakin!

Kobieta zakryła dłonią usta.

– Jedi Anakin – szepnęła.

– Słyszeliście o mnie? Shmi Skywalker jest moją matką.

– I moją – odrzekł mężczyzna. – No, może nie prawdziwą, ale najprawdziwszą, jaką kiedykolwiek znałem – dodał, wyciągając rękę.

– Owen Lars. A to moja dziewczyna, Beru Whitesun.

Beru kiwnęła głową.

– Witajcie – powiedziała.

Padmé straciła już nadzieję, że Anakin ją przedstawi, więc sama zbliżyła się do gospodarzy.

– Jestem Padmé.

– Zdaje się, że jesteśmy przyrodnimi braćmi – rzekł Owen, nie spuszczać oka z młodego Jedi, o którym tak wiele słyszał. – Przeczewałem, że pewnego dnia się pojawisz.

– Czy jest tu moja matka?

– Nie ma jej – rozległ się niski głos zza pleców Owena i Beru. Cała czwórka odwróciła się, by spojrzeć na mocno zbudowanego mężczyznę unoszącego się w fotelu repulsorowym. Widząc jego obandażowaną nogę i kikut drugiej, Anakin domyślił się, że rany muszą być świeże. Poczł, że serce podchodzi mu do gardła.

– Cliegg Lars – rzekł starszy mężczyzna, podlatując bliżej i wyciągając rękę na powitanie. – Shmi jest moją żoną. Wejdźmy do

środku. Mamy sobie wiele do powiedzenia.

Anakin podążył za nim jak we śnie. Straszonym śnie.

– Zdarzyło się to tuż przed świtem – powiedział Cliegg, zbliżając się z Owenem do stoki w jadalni, podczas gdy Beru zajęła się przygotowaniem jedzenia i napojów dla gości.

– Pojawili się znikąd – dodał Owen.

– Sfora Jeźdźców Tusken – wyjaśnił Cliegg.

Kolana ugięły się pod Anakinem i opadł ciężko na siedzenie naprzeciwko Owena. Spotykał już Ludzi Piasku, ale był to kontakt dość przelotny. Pewnego razu zaopiekował się ciężko rannym Tuskenem, a kiedy zjawili się jego pobratymcy – został puszczonej wolno, co nie zdarzyło się dotąd żadnemu przedstawicielowi rozumnych ras zamieszkujących Tatooine. Jednak mimo tego doświadczenia Anakin nie czuł się dobrze, słysząc imię Shmi wymieniane obok złowrogiej nazwy „Jeźdźcy Tusken”.

– Twoja matka jak zawsze wyszła wcześniej, żeby pozbierać grzyby rosnące na skraplaczach – ciągnął Cliegg. – Sądząc po śladach, była w połowie drogi do domu, kiedy ją dopadli. Ci Tuskenowie tylko wyglądają jak ludzie; w rzeczywistości to podłe bezrozumne potwory.

– Wiele śladów wskazywało na to, że kręcą się w pobliżu – wtrącił Owen. – nie powinna była wychodzić!

– Nie możemy dać się zastraszyć! – odparował gniewnie Cliegg, ale opanował się i odwrócił do Anakina. – Wszystko wskazywało na to, że odpędziliśmy ich dość skutecznie. Nie wiedzieliśmy, jak silna była ta grupa, silniejsza niż te, które widywaliśmy dotąd. Kiedy porwali Shmi, ruszyło nas za nimi trzydziestu. Powróciło czterech.

Mężczyzna skrzywił się i potarł kikut nogi. Anakin wyraźnie wyczuwał jego ból.

– Pewnie tropiłbym ich dalej, ale... straciłem nogę... – Padawan zdumiał się, czując jego wielką miłość do Shmi.

– Nie mogę latać – wyjaśnił Lars. – Rana musi się zagoić. Dumny mężczyzna odetchnął głęboko, starając się opanować.

– Nie tak zamierzałem cię powitać, synu – rzekł. – Nie tak planowaliśmy to z twoją matką. Nie chcę tracić nadziei, ale minął już miesiąc. Trudno uwierzyć, żeby mogła przeżyć tak długo.

Te słowa podziały na Anakina jak mocny cios. Zerwał się na równe nogi.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Owen.

– Po matkę – odparł twardo Anakin.

– Annie, nie! – zawołała Padmé, wstając i chwytając go za ramię.

– Twoja matka nie żyje, synu – dodał zrezygnowany Cliegg. – Pogódź się z tym.

Anakin spojrzał na nich pałającymi oczyma.

– Wyczuwam jej ból – wydusił przez zaciśnięte zęby. – Ciągły ból. Znajdę ją.

Krótką chwilę ciszy przerwał Owen:

– Weź mój skuter raketowy – powiedział, zrywając się z miejsca i mijając Anakina.

– Wiem, że ona żyje – rzekł Anakin, zwracając się ku Padmé. – Po prostu wiem.

Kobieta spojrzała na niego ze smutkiem i puściła jego rękę, gdy ruszył za Owenem.

– Jaka szkoda, że nie zjawił się wcześniej – jęknął Cliegg. Padmé popatrzyła bez słowa na zrozpaczonego mężczyznę i na Beru, która stanęła obok niego i objęła go czule.

A potem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, postanowiła dołączyć do Anakina i Owena.

– Musisz tu zostać – rzekł Anakin, kiedy stanęła u jego boku. – To dobrzy ludzie. Będziesz bezpieczna.

– Anakinie...

– Wiem, że ona żyje – powiedział, nie odrywając wzroku od dalekich wydm.

Padmé przytuliła go mocno.

– Znajdź ją – szepnęła.

– Niedługo wrócę – obiecał Jedi, a potem skoczył na siodło raketowego skutera, uruchomił silnik i pognął w dal, ponad oceanem piasku.

# ROZDZIAŁ

# 18

Kiedy sygnał wywoławczy, szyfrowany kodem piątym i przeznaczony dla wąskiego grona odbiorców, dotarł do Świątyni Jedi na Coruscant, Mace Windu i Yoda wiedzieli, że wiadomość będzie ważna. Niezwykle ważna.

Odebrali ją w pokoju Yody, lecz najpierw Mace rozejrzał się uważnie po korytarzu i starannie zamknął drzwi.

Ukazał się przed nimi hologram Obi-Wana Kenobiego. Mężczyzna był niespokojny, raz po raz oglądał się przez ramię.

– Mistrzowie, udało mi się nawiązać kontakt z Lamą Su, premierem planety Kamino.

– Oho, dobrze, żeś planetę swoją odnalazł – odezwał się Yoda.

– Dokładnie tak, jak przewidzieli twoi uczniowie – przytaknął Obi-Wan. – Kaminoanie są kloniarzami, podobno najlepszymi w galaktyce. Z tego, co widziałem, wnioskuję, że tak jest naprawdę.

Mistrzowie zmarszczyli czoła.

– Użyli łowcy nagród, Janga Fetta, jako wzorca dla armii klonów.

– Armii? – powtórzył Mace.

– Armii dla Republiki – dodał Obi-Wan. – Co więcej, jestem przekonany, że to on stoi za zamachami na senator Amidalę.

– Sądzisz, że ci kloniarze także są w to zamieszani?

– Nie, Mistrzu. Wygląda na to, że nie mają motywu.

– Niczego nie zakładaj z góry, Obi-Wanie – poradził Yoda. – Czystym musi być twój umysł, jeżeli odkryć masz prawdziwych złoczyńców stojących za tym spiskiem.

– Tak, Mistrzu – zgodził się Obi-Wan. – Premier Lama Su powiedział mi, że pierwszy batalion klonów żołnierzy jest gotów do odbioru. Prosił także, bym cię uprzedził, że jeśli zachcemy zamówić ich więcej niż planowano – a produkcja pierwszego miliona jest już mocno zaawansowana – Kaminoanie będą potrzebować sporo czasu.

– Milion klonów wojowników? – spytał z niedowierzaniem Mace Windu.

– Tak, Mistrzu. Powiedziano mi, że to Mistrz Sifo-Dyas prawie dziesięć lat temu na żądanie senatu złożył zamówienie na armię klonów. Ja jednak mam wrażenie, że zginął, zanim to się stało. Czy Rada kiedykolwiek autoryzowała stworzenie armii klonów?

– Nie – odparł bez wahania Mace. – Ktokolwiek złożył to zamówienie, działał bez upoważnienia Rady Jedi.

– Zatem jak to się stało? I dlaczego?

– Zagadka jest coraz bardziej zawiła – stwierdził Mace. – Trzeba ją rozwiązać z wielu powodów, nie tylko przez wzgląd na bezpieczeństwo pani senator Amidali.

– Klony są imponujące, Mistrzu – powiedział Obi-Wan. – Stworzono je i wyszkolono tylko w jednym celu.



– Zatrzymać musisz tego Janga Fetta – polecił Yoda. – Sprowadzić do nas. My go przesłuchamy.

– Tak, Mistrzu. Zgłoszę się, kiedy będę go miał. – Obi-Wan raz jeszcze obejrzał się przez ramię i nagle polecił R4 przerwać transmisję.

– Armia klonów – rzekł Mace do Yody, kiedy hologram zgasł. Dlaczego Sifo-Dyas miałby...

– Informacja, kiedy zamówienie złożono, pomóc nam może – odparł Yoda. Mistrz Windu skinął głową. Jeżeli dane zdobyte przez Obi-Wana były prawdziwe, Sifo-Dyas musiał złożyć zamówienie na



krótko przed śmiercią.

– Jeżeli ten Jango Fett rzeczywiście jest zamieszany w ataki na Amidalę, a jednocześnie został wybrany na wzorzec dla armii klonów tworzonej dla Republiki... – Mace Windu urwał i pokręcił głową. Nie wierzył w tak niezwykły zbieg okoliczności. Ale w jaki sposób można było powiązać ze sobą dwie tak odległe sprawy? Czy ten, kto postanowił stworzyć armię klonów, obawiał się pani senator Amidali i opozycji, którą budowała przeciwko ustawie o militaryzacji?

Mistrz Jedi potarł czoło dłonią i spojrzał na Yodę, który siedział z zamkniętymi oczami. Pewnie rozważa tę samą zagadkę, pomyślał Mace. Kto wie, czy nie martwi się bardziej niż ja.

– Ślepi jesteśmy, skoro tworzenia armii klonów dostrzec nie umieliśmy – zauważył Yoda.

– Czas poinformować senat, że nasza zdolność do korzystania z Mocy się zmniejszyła.

– Tylko Czarni Lordowie Sithów wiedzą o naszej słabości – odparł Yoda. – Jeżeli senat poinformujemy, przysporzymy sobie wrogów.



Obi-Wan szedł korytarzem, starając się zachować czujność. Nie wiedział nic o dotychczasowych dokonaniach Janga Fetta, ale uznał, że muszą być znaczące, skoro akurat tego mężczyznę wybrano na prototyp całej armii klonów. Przystanął, zamknął oczy i zagłębił się w Moc, szukając ukrytych wrogów. Chwilę później, przekonany, że w pobliżu nie ma Janga, zbliżył się do drzwi jego mieszkania. Delikatnie przebiegł palcami wokół portalu, szukając potencjalnych pułapek, a potem dotknął zamka. Trzymając na nim jedną dłoń, spróbował lekko popchnąć drzwi.

Nie ustąpiły.

Obi-Wan sięgnął po miecz świetlny, by utorować sobie drogi siłą, ale po namyśle zmienił zdanie, decydując się na bardziej subtelne

rozwiązanie. Znowu zamknął oczy i posłał niewidzialne wici Mocy wprost do blokady, z łatwością manipulując mechanizmem. Wciąż trzymając miecz, pchnął drzwi po raz drugi i tym razem rozsunęły się bezszelestnie.

Gdy tylko zajrzał do środka, zrozumiał, że broń nie będzie mu potrzebna. W mieszkaniu panował nieprawdopodobny bałagan: na podłodze leżały wyciągnięte z szaf szuflady i poprzewracane krzesła.

Obi-Wan rozejrzał się, szukając jakiegoś śladu. Wreszcie jego wzrok padł na ekran komputera w salonie. Zbliżył się do terminala, włączył go i stwierdził, że jest on częścią sieci bezpieczeństwa, sprzężoną z kamerami rozmieszczonymi w wielu zakątkach budowli. Obi-Wan w pośpiechu przeglądał obrazy przekazywane z różnych odcinków korytarza i z samego mieszkania. Zobaczył także widoki z kamer umieszczonych na zewnątrz – na zalanym deszczem dachu budynku i za transpystalowym oknem salonu, w którym się znajdował.

Przeglądał obrazy coraz szybciej, rozszerzając pole widzenia obiektów lub powiększając sceny, które wydały mu się podejrzane.

Wreszcie dotarł do ujęcia, które w całości wypełniała platforma lądowiska i stojący na niej dziwny statek o szerokiej płaskiej podstawie, miękkich konturach i zwężającym się kadłubie. W jego przedniej części widać było owiewkę kryjącą kabinę, w której zmieściłoby się dwóch, może trzech ludzi.

W pobliżu maszyny uwijała się znajoma postać: albo Boba Fett, albo któryś z klonów.

Obi-Wan skinął głową i uśmiechnął się, patrząc na ruchy chłopca. Była w nich pewna przypadkowość, a fakt ten wskazywał jednoznacznie, kim jest dziecko; musi to być Boba, a nie jeden z wytresowanych klonów.

W polu widzenia kamery pojawiła się wkrótce jeszcze jedna postać. Był to Jango, ubrany w pancerz i plecak raketowy, który Jedi widział już wcześniej na ulicach Coruscant. Jeżeli do tej pory Obi-Wan miał jeszcze jakieś wątpliwości, czy Jango był osobą, która zatrudniła Zam Wesell, to w tym momencie zyskał absolutną pewność. Natychmiast wybiegł z mieszkania i popędził korytarzem,

szukając wyjścia na zewnątrz.

– Tak, pozwolę ci prowadzić – rzekł Jango do Boby.

Chłopiec triumfalnie machnął pięścią, zachwycony, że będzie mógł zasiać za sterami „Niewolnika I”. Minęło wiele miesięcy od chwili, kiedy łowca pozwolił mu na to po raz ostatni.

– Ale nie podczas startu – zastrzegł Jango. – Teraz musimy się spieszyć, synu, ale obiecuję ci wyjść z nadprzestrzeni nieco wcześniej niż trzeba, żebyś zdążył sobie polatać.

– A będę mógł wylądować?

– Zobaczymy.

Boba wiedział, że oznacza to odmowę, ale nie próbował naciskać. Rozumiał, że wokół niego dzieje się coś ważnego i groźnego, więc postanowił przyjąć to, co proponował ojciec i cieszyć się tym. Chwycił torbę i wspiął się po rampie do małego przedziału magazynowego. Obejrzał się, by spojrzeć na Janga i wtedy zobaczył sylwetkę wyłaniającą się z kabiny turbowindy i biegnącą w strugach ulewnego deszczu.

– Tato! Spójrz!

Jango odwrócił się gwałtownie, a w oczach małego Boby pojawił się strach, biegnącym bowiem był niedawny gość, Jedi. W jego dłoni błysnął miecz świetlny i pierwsze krople wody z sykiem opadły na energetyczną klingę.

– Na pokład! – zawołał Jango, lecz chłopiec zawahał się, obserwując, jak ojciec wyciąga blaster i oddaje strzał w stronę rycerza Jedi. Obi-Wan ze zdumiewającym refleksem poruszył mieczem, bez widocznego wysiłku odbijając błyskawicę.

– Boba! – ryknął Jango.

Chłopiec, wreszcie wyrwany z transu, popędził rampą w górę i zniknął we wnętrzu Niewolnika I”.

Obi-Wan odbił się i skoczył w stronę łowcy nagród. Blaster znowu wypalił. I tym razem Jedi z łatwością zablokował pierwszy strzał, drugi zaś odbił w stronę Janga.

Błyskawica wróciła do punktu wyjścia ułamek sekundy za późno. Łowca uskoczył, a silniki rakietowe w jego plecaku ryknęły donośnie, unosząc go na szczyt pobliskiej wieży.

Obi-Wan wylądował z przewrotem na ziemi i natychmiast odwrócił się w stronę Janga, który znowu wystrzelił. Bez zastanowienia Jedi oddał swoje ręce we władanie Mocy – miecz poruszył się w dół i w lewo, odbijając śmiertcionośną błyskawicę.

– Pójdziesz ze mną, Jango! – zawołał Kenobi.

Mężczyzna odpowiedział serią świetlistych wiązek energii. Zarząca się klinga zablokowała je wszystkie, poruszając się na boki z oszałamiającą szybkością. Również wtedy, gdy Jango zmienił metodę i zaczął posyłać błyskawice na przemian to w lewo, to w prawo, Moc nieomylnie prowadziła ręce Obi-Wana.

– Jango! – krzyknął Jedi. W tym samym momencie zdał sobie sprawę, że ostatni wystrzał posłał w jego stronę nie porcję energii, ale ładunek wybuchowy. W następnej chwili leciał już w bok, wspomagając unik całą potęgą Mocy.

Eksplozja na lądowisku zatrzęsała całym statkiem. Wystraszony Boba zatoczył się na ścianę.

– Tato! – krzyknął i popędził w stronę panelu widokowego. Włączył go i skierował kamerę na scenę rozgrywającą się poniżej.

Natychmiast wypatrzył ojca i rozplakał się z radości, widząc, że nic mu nie jest. Uspokoił się dość szybko i zaczął rozglądać się za przeciwnikiem. Obi-Wan kończył właśnie efektowny przewrót i zrywał się na równe nogi, bez wysiłku blokując kolejne strzały.

Boba spojrział na pulpit, próbując przypomnieć sobie wszystko, czego nauczył go ojciec o urządzeniach pokładowych. Ucieszył się, że tak pilnie przyswajał sobie każde jego słowo. Ze złowrogim uśmiechem, z którego ojciec z pewnością byłby dumny, chłopiec uruchomił ogniwa energetyczne i zwolnił blokadę działa laserowego.

– Spróbuj to zablokować, Jedi – szepnął. A potem wycelował w Obi-Wana i nacisnął spust.

– Masz mi wiele do powiedzenia! – krzyknął Obi-Wan do Janga, usiłując przekrzyczeć deszcz i gwałtowne poddmuchy wiatru. – Wyświadczysz przysługę sobie i swojemu synowi, jeśli...

Urwał, podświadomie rejestrując huk wystrzału z działła laserowego, Zanim zrozumiał, co się dzieje, instynkt wspomagany Mocą kazał mu uskokoczyć. Zrobił w powietrzu podwójne salto, a kiedy wylądował, permabetonowa konstrukcja drżała jeszcze po salwie z ciężkiego działła laserowego „Niewolnika I”, które obróciło się szybko, poszukując celu.

Obi-Wan znowu umknął, lecz tym razem podmuch eksplozji rzucił go na ziemię. Miecz wypadł z ręki rycerza i potoczył się po śliskiej i mokrej płycie lądowiska.

Na szczęście działło na moment umilkło – jego ogniwa wyczerpały zapas energii – a Obi-Wan nie zamierzał marnować czasu. Zerwał się na równe nogi i ruszył na Janga Fetta, który siedł już w jego stronę.

Łowca nagród wystrzelił z blastera, lecz Kenobi skoczył wysoko ponad linią ognia, obrócił się w powietrzu i celnym kopnięciem wybił broń z dłoni Janga Fetta.

Przeciwnik nie cofnął się. Gdy tylko Obi-Wan wylądował, Jango rzucił się na niego i chwycił za bary, pchając z całej siły.

Próbował go przewrócić, ale stopy Jedi poruszały się zbyt szybko, zapewniając mu idealną równowagę. Wreszcie Obi-Wan wsunął nogę między stopy Janga i obrócił się nieco, osłabiając uścisk obejmujących go ramion.

Łowca uśmiechnął się chytrze i huknął czołem w twarz Kenobiego, oszłamiając go na moment. Uwolnił lewą rękę i wymierzył nią potężny cios, ale niemal natychmiast pożałował, że to zrobił. Jedi uchylił się przed ciosem i wywinął w miejscu salto pod przelatującym ze świstem ramieniem. Lądując, wykonał podwójne kopnięcie – jego stopy uderzyły w piersi Janga Fetta, rzucając go o parę kroków do tyłu.

Obi-Wan przejął inicjatywę: natarł na chwiejącego się łowcę nagród, by powalić go na ziemię, gdzie ciężki pancerz chroniący ciało mężczyzny działałby na jego niekorzyść.

Ale Jango postanowił pokazać mu, dlaczego wybrano go na

wzorzec dla całej armii klonów. Przez moment ustępował przed napierającym rycerzem, a potem nagle zmienił ustawienie nóg i osadził przeciwnika w miejscu. Posłał w jego stronę lewy sierpowy, lecz Obi-Wan zrobił unik i odpowiedział prawym prostym. Jango zdążył pochylić głowę, więc cios ledwie go musnął. Krótki impuls silników raketowych uniósł go w powietrze, umożliwiając wymierzenie szybkiego kopniaka. Obi-Wan opadł na kolana, uchylając się przed ciosem i natychmiast wybił się wysoko w górę, przeskakując nad drugim, mierzonym niżej.

Zaraz też przystąpił do kontrataku, lecz Jango przykucnął i przyjął lego kopnięcie na dobrze osłonięte biodro, jednocześnie opuszczając lewą rękę. Pochwycił goleń rycerza Jedi na krótką chwilę, by prawą ręką rąbnąć w wewnętrzną stronę uda Obi-Wana.

Jedi gwałtownie odchylił się do tyłu i padł na ziemię, jednocześnie unosząc lewą nogę. Kopniak dosięgnął żeber Fetta. Krzyżowy ruch obu nóg przerzucił Janga ponad Obi-Wanem, który wylądował twarzą do ziemi i natychmiast wypuścił wroga z mocnego uścisku, by na oślep wymierzyć spadającemu kopniaka. Kenobi poderwał się natychmiast i odwrócił, by wykorzystać przewagę nad z trudem odzyskującym równowagę przeciwnikiem.

Prawy prosty trafił łowcę nagród w twarz, lewy sierpowy zaś, który nadleciał ułamek sekundy później, powaliłby go na plecy. Jango jednak kolejny raz wykazał się niewiarygodnym refleksem: uchylił się przed ciosem i zaskoczył Obi-Wana dwoma szybkimi ciosami w brzuch.

Jedi machnął prawą ręką, by odepchnąć Fetta, używając Mocy. Potrzebował chwili, aby wyprostować się i znowu przyjąć postawę obronną.

Jango zerwał się dość szybko i z jeszcze większą zaciekleścią rzucił się do ataku.

Kenobi precyzyjnymi ruchami blokował wszystkie ciosy łowcy nagród. Skierował ramię w dół, by powstrzymać potężne kopnięcie, zaraz potem odbił nim rozpedzoną pięść i płynnie przeszedł do ataku, wbijając wyprostowane palce w szczelinę w pancerzu mężczyzny. Jango skrzywił się i cofnął, a Jedi skoczył za nim.

Lecz łowca i na to miał odpowiedź; w chwili, gdy Obi-Wan zamknął go w żelaznym uścisku, odpalił silniki plecaka raketowego, by unieść się w powietrze wraz z przeciwnikiem. Ciąg bocznej dyszy popchnął obu mężczyzn poza platformę lądowiska, nad stromo opadające obrzeże wielkiej konstrukcji.

Jango niezauważalnie wyślizgiwał się z uchwytu Obi-Wana. Po chwili postanowił użyć silników manewrowych plecaka – zaczął obracać się to w prawo, to w lewo, nie przestając wyrywać się silnym dłońmi Kenobiego, aż wreszcie osiągnął cel.

Jedi runął ciężko na skraj platformy i zsunął się niebezpiecznie blisko krawędzi – tak blisko, że usłyszał huk fal rozbijających się o potężne kolumny. Zatrzymawszy się zrozumiał nagle, że jest bezbronny i w tej samej chwili sięgnął po Moc, by przywołać do siebie miecz świetlny.

Gdzieś z boku rozległ się strzał, lecz nie był to skowyt blasterowych błyskawic, ale dziwny syczący odgłos. Kenobi przetoczył się tak daleko, jak tylko mógł.

To nie wystarczyło. Zdekoncentrował się na moment i znowu wypuścił miecz, a wtedy cienki drut przemknął pod jego nadgarstkami i zawinął się, krępując je mocno.

A potem zaczęła się jazda: najpierw w górę, po stromym obrzeżu, a potem po platformie lądowiska. Jango leciał coraz szybciej, ciągnąc za sobą Obi-Wana, który zdał się na odruchy kształcone przez lata treningu oraz na Moc, którą władał po mistrzowsku. Jedi zmienił pozycję i już po chwili stanął na nogach, pozwalając holować się w biegu. Kiedy drut na moment zwiśł luźno, Kenobi skoczył w bok, za solidny wspornik. Stanąwszy pewnie, mógł wykorzystać dźwignię, którą stanowił metalowy element konstrukcyjny.

Ponownie sięgnął głęboko w pokłady Mocy, tym razem po to, by na krótką chwilę nieomal zespolić się z permabetonową płytą.

Był nieruchomy jak skała.

Drut naprężył się mocno, lecz Obi-Wan ani drgnął.

Jedi poczuł, że kąt działania siły zmienia się nagle: Jango spadł na lądowisko.

Obi-Wan zaczął okręgać wspornik, lecz zatrzymał się w pół kroku i

zasłonił dłonią oczy, gdy plecak Janga Fetta eksplodował, wywołując silny błysk i równie potężną falę uderzeniową.

– Tato! – krzyknął Boba Fett i zbliżył twarz do iluminatora, kiedy ekwipunek Janga nagle wyleciał w powietrze. Zaraz jednak ujrzał ojca – całego i zdrowego, za to zaciekle próbującego uwolnić się od umocowanego do pancerza drutu, którego drugi koniec ciągnął do siebie rycerz Jedi.

Bezsilny Boba raz po raz uderzał dłonią w ekran, powtarzając bez końca słowo „tato”. Skrzywił się boleśnie, kiedy Kenobi z impetem wpadł na jego ojca, zasypując go lawiną ciosów, i kiedy obaj potoczyli się ku krawędzi lądowiska i dalej, ku oceanowi szalejącemu w dole.

Obi-Wan wierzgał gwałtownie, próbując jednocześnie zagłębić się w Moc, lecz Jango uderzał nieprzerwanie. Jedi nie mógł uwierzyć, że łowcy chce się w taki sposób tracić energię w chwili, kiedy obu ich czekała pewna śmierć w morskiej topieli. Zdołał na moment odsunąć się od Fetta, który z dziwnym uśmiechem uniósł ramię i zacisnął pięść. Z pancerza okrywającego przedramię wysunął się rząd długich szponów.

Kenobi skulił się odruchowo, kiedy Jango uniósł rękę jeszcze wyżej, lecz potężny cios nie był przeznaczony dla niego – metalowe pazury wbiły się w pochyłą powierzchnię, po której zjeżdżali. Łowca tymczasem walczył już z mechanizmem mocującym na jego ramieniu bransoletę, z której wystrzelił drut krępujący Obi-Wana, i w tej samej chwili, w której szpony zagłębiły się w podłoże, był już wolny.

Jango Fett zatrzymał się z przeraźliwym zgrzytem metalu, a mistrz Jedi pomknął dalej.

– Złap dla mnie faloryba – usłyszał Kenobi, a potem zniknął za krawędzią i runął w dół, ku kłębiącym się falom.

– Tato! Och, tato! – zawołał z ulgą Boba Fett, kiedy zobaczył ojca powracającego na platformę lądowiska. Jango stanął chwiejnie i ruszył w stronę statku. Boba pospieszył mu na spotkanie: otworzył



właz i wyciągnął ręce, by pomóc ojcu wejść na pokład.

– Zabierz nas stąd – jęknął oszołomiony i wyczerpany Jango. Chłopiec rozpromienił się i natychmiast sięgnął do panelu kontrolnego, by uruchomić silniki.

– Zaraz będziemy w nadprzestrzeni!

– Leć prosto i skup się na wyjściu z atmosfery! – rozkazał Jango. Stęknął z bólu, masując obolały bok. Dopiero po chwili zauważył urażoną minę syna. – włącz komputer nawigacyjny; niech liczy współrzędne skoku – dodał spokojnie.

Boba uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Startujemy! – wykrzyknął.



Obi-Wan użył Mocy do pochwycenia luźnego końca drutu, który wciąż krępował jego ręce. Przerzucił go ponad jedną z poprzecznych belek wspierających konstrukcję platformy i sekundę później pionowy lot zakończył się potężnym szarpnięciem.

Jedi rozejrzał się uważnie, a potem zaczął kołysać się z coraz większym rozmachem. Wreszcie wychylił się wystarczająco mocno, by puścić koniec drutu i miękko wylądować na małej platformie remontowej tuż nad powierzchnią oceanu.

Odpoczywał przez moment, starając się wyrównać oddech, po czym ruchem ręki otworzył drzwi turbowindy przeznaczonej zapewne dla personelu technicznego. Nim kabina dotarła na poziom lądowiska, usłyszał ryk silników statku łowcy nagród.

Wbiegł na platformę i natychmiast przywołał Mocą zgubiony miecz świetlny.

Za późno. Statek drżał już cały, gotów unieść się w powietrze.

Obi-Wan sięgnął do pasa, wy dobył niewielki nadajnik i rzucił go w stronę Niewolnika I”. Magnetyczna przyłga w ostatniej chwili uczepiła się poszycia startującego statku.

Stojąc w strugach deszczu i obłoku pary, Obi-Wan wpatrywał się w niknący w oddali pojazd.

A potem rozejrzał się po platformie, raz jeszcze rozgrywając w pamięci całą walkę. Jego szacunek dla Janga Fetta, łowcy nagród, wzrósł znacząco. Rozumiał już, dlaczego to właśnie ten człowiek został wybrany przez Sifo-Dyasa – czy też Tyranusa. Jango Fett był silnym, pomysłowym i sprawnym wojownikiem.

Udało mu się sprowadzić Obi-Wana Kenobiego, rycerza Jedi – tego samego, który pokonał Dartha Maula, Lorda Sithów – na krawędź katastrofy.

Lecz mimo to Obi-Wan był zadowolony z rozwoju wypadków – teraz mógł śledzić Janga Fetta. A u celu tej podróży miał nadzieję znaleźć nareszcie kilka odpowiedzi, a nie kolejne zagadki.

# ROZDZIAŁ

# 19

Boba siedział cicho, gdy „Niewolnik 1” wrywał się z pola grawitacyjnego planety Kamino. Chciał porozmawiać z ojcem o tym, jak użył działa laserowego, jak podmuch wystrzału przewrócił rycerza Jedi i wytrącił broń z jego ręki. Wiedział jednak, że to nie jest odpowiedni moment; zbyt dobrze znał tę marsową minę, która wykrzywiała teraz oblicze Janga.

Chłopiec przysiadł więc pod ścianą, jak najdalej od ojca, który sprawnie wprowadzał współrzędne skoku w nadprzestrzeń.

– Prędej, prędzej – powtarzał cicho Jango, kołyszając się miarowo w fotelu, jakby chciał popędzić statek, i co kilka sekund spoglądając na ekrany sensorów, jak gdyby spodziewał się pościgu floty nieprzyjacielskich maszyn.

Wreszcie wydał okrzyk zwycięstwa i pchnął dźwignię napędu nadświatelnego. Boba uderzył plecami o ścianę i zapatrzył się w iluminator, za którym gwiazdy rozciągnęły się w długie smugi.

Jango Fett opadł na fotel i westchnął z ulgą. Jego rysy złagodniały.

– Powiem ci, że niewiele brakowało – rzekł ze śmiechem do syna.

– Nieźle mu przyłożyłeś – odparł Boba, znowu drżąc z podniecenia. – nie miał szans, tato!

Jango uśmiechnął się i skinął głową.

– Prawdę mówiąc, synu, byłem w niezłych opałach – przyznał. – kiedy uchylił się przed ładunkiem wybuchowym, skończyły mi się sztuczki.

Boba zmarszczył brwi, głęboko wierząc, że absolutnie nikt nie jest w stanie zdobyć przewagi na jego ojcem. Po chwili jednak, gdy przypomniał sobie moment, o którym mówił Jango, uśmiechnął się szeroko.

– Ale wtedy dołożyłem mu z działła laserowego!

– Świetnie się spisałeś – pochwalił go łowca. – Wystrzeliłeś w najodpowiedniejszym momencie, a potem, kiedy nadszedł czas odlotu, czekałeś na mnie przy włazie, gotów pomóc mi w razie potrzeby. Dobrze się uczysz, Boba. Lepiej niż się spodziewałem.

– To dlatego, że jestem małym tobą – powiedział chłopiec, ale Jango pokręcił głową.

– Jesteś znacznie lepszy, niż ja byłem w twoim wieku. A jeśli będziesz dalej tak ciężko pracował, staniesz się najlepszym łowcą nagród, jakiego widziała ta galaktyka.

– Od początku, gdy tylko zawarłeś umowę z Kaminoanami, miałeś taki plan, prawda? To dlatego chciałeś mnie mieć!

Jango Fett zmierzwił czuprynę Boby.

– Tak, choć były i inne powody – powiedział z powagą. – A ty pod każdym względem spisujesz się lepiej, niż się spodziewałem, niż miałem nadzieję, niż marzyłem.

W całej galaktyce nie było nikogo, kto mógłby uszczęśliwić małego Bobę Fetta bardziej niż ojciec wypowiadający takie właśnie słowa.

Jango wyprowadził „Niewolnika 1” z nadprzestrzeni nieco przed czasem, aby Boba mógł poćwiczyć sztukę pilotażu w drodze do Geonosis. Dla chłopca obsługującego pulpit sterowniczy były to najszcześniejsze chwile. Dlatego, kiedy w iluminatorze pojawiła się czerwona tarcza Geonosis, ozdobiona pierścieniami asteroid, Boba posmutniał.

– Nasi gospodarze bardzo się pilnują – rzekł Jango, przejmując stery. – Będzie lepiej, jeśli to ja wyładuję.

Boba bez słowa usadowił się wygodniej w fotelu. Wiedział, że ojciec ma rację, lecz nawet gdyby nie zgadzał się z jego decyzją, nie ośmieliłby się otwarcie okazać niezadowolenia.

Zainteresował się ekranami czujników, na których pojawił się

obraz pobliskiego pasa asteroid i ślady ruchu statków w przestrzeni po przeciwnej stronie planety.

Uwagę chłopca przykuł pewien punkt na wyświetlaczu, który nagle oderwał się od pasa asteroid i zaczął podążać za „Niewolnikiem I”. Boba nie zastanawiał się nad tym zjawiskiem, póki na ekranie nie pojawił się kolejny punkt świetlny trzymający się tuż za statkiem łowcy. Słabość sygnału dowodziła, iż był to obiekt mniejszy od gwiazdnego statku.

– Jesteśmy prawie na miejscu, synu – odezwał się Jango.

– Tato, chyba ktoś nas śledzi – odparł Boba. – Spójrz na ekran skanerów. Czy to możliwe, żeby czujniki reagowały tak na działanie naszych urządzeń maskujących?

Jango spojrział na niego z powątpiewaniem, a potem przeniósł wzrok na ekran. Boba obserwował z rosnącym podnieceniem, jak rysy ojca tężeją, a ruch głową potwierdza jego przypuszczenia.

– Ten Jedi musiał przyczepić do kadłuba urządzenie naprowadzające, zanim odlecieliśmy z planety Kamino. Ale w jaki sposób? Sądziłem, że wpadł do morza.

– A jednak ktoś nas śledzi – stwierdził Boba.

– Zaraz się tym zajmiemy – zapewnił go Jango. Trzymaj się, synu! Popatrz uważnie, jak wprowadzę statek w pole asteroid; Jedi na pewno nie będzie nas tam ścigał. – Łowca nagród spojrział na Bobę i mrugnął porozumiewawczo. – A jeśli to zrobi, sprawimy mu kilka niespodzianek.

Mężczyzna uchylił boczny panel i pociągnął ukrytą za nim dźwignię. Ładunek elektryczny przebiegł po poszyciu statku, niszcząc wszystkie obce ciała. Szybkie spojrzenie wystarczyło, by ocenić, że urządzenie maskujące także przestało działać.

– Zaczynamy – mruknął Jango Fett, wprowadzając statek w pole asteroid. „Niewolnik I” szybko obleciał pierwszą wirującą skałę i natychmiast zanurkował w bok, mijając w pędzie kolejną parę wielkich głazów. Posuwał się naprzód zawiłym, na pozór przypadkowym kursem, aż wreszcie Boba, który monitorował pracę sensorów, obwieścił, że przeciwnik zniknął.

– Możliwe, że jest mądrzejszy niż myślałem, i skierował się wprost

ku powierzchni planety – odezwał się uśmiechnięty Jango, ponownie mrugając do syna.

Ledwie przebrzmiały te słowa, odezwał się brzęczyk alarmu.

– Tato, spójrz! – zawołał Boba, wskazując palcem na świetlistą kropkę, która pojawiła się tym razem we wnętrzu pasa asteroid. – Wrócił!

– Trzymaj się! – krzyknął łowca, po czym wprowadził statek w serię dzikich obrotów, skrętów i nawrotów, zakończonych przyspieszonym lotem po prostej. Odsunawszy kapturek zabezpieczający, Jango Fett nacisnął klawisz spustu. – Ładunek soniczny – wyjaśnił Bobie, który uśmiechnął się szeroko.

Radość chłopca zmieniła się szybko w okrzyk trwogi, gdy przedni iluminator wypełnił nagle obraz wielkiej asteroidy. Łowca nagle zauważył ją nieco wcześniej i już stawał niewiarygodnie zwrotnego „Niewolnika I” na ogonie, przelatując nad niebezpieczną bryłą.

– Spokojnie, synu – pouczył Bobę. – Nic się nam nie stanie, a ten Jedi nie odważy się lecieć za nami.

Na potwierdzenie jego słów statkiem targnął potężny wstrząs.

– Przeleciał przez eksplozję! – krzyknął Boba chwilę później, ponownie widząc myśliwiec na ekranie.

– Ten facet w ogóle nie rozumie aluzji – mruknął Jango, zachowując zimną krew. – Skoro nie możemy go zgubić, będziemy musieli go wykończyć.

Boba znowu jęknął ze strachu, gdy ojciec z zimną krwią posłał statek w wąski tunel przecinający jedną z większych asteroid. Manewrowanie w takim terenie wymagało ograniczenia prędkości, więc gdy „Niewolnik I” wynurzył się ponownie na otwartą przestrzeń, Boba i Jango zauważyli, że myśliwiec Jedi minął ich i pomknął przodem. Myśliwy stał się zwierzyną.

– Załatw go, tato! – zawołał podekscytowany chłopiec. – Teraz! Ognia!

Laserowe błyskawice pomknęły do celu, znacząc świetliste linie wokół Deltę 7. Stateczek Obi-Wana natychmiast zmienił kurs, robiąc beczkę przez prawe skrzydło.

Jango nie pozwolił mu uciec. Próbował dopaść go następną serią,

lecz Jedi był dobry: raz po raz kładł maszynę w ciasne zwroty, kryjąc się w cieniu co większych asteroid.

Boba dopingował ojca, ale Jango wiedział, że trzeba być cierpliwym – prędzej czy później smukła maszyna nie będzie miała się gdzie schować.

Jedi poprowadził myśliwiec ostro w dół i w górę, a potem położył go na prawe skrzydło, by schować się za kolejną skalną bryłą, ale tym razem Jango nie podążył za nim. „Niewolnik 1” poleciał na wprost, po drugiej stronie asteroidy, i na oślep bluznął ogniem z laserów.

Maszyna Obi-Wana znalazła się dokładnie na linii ognia. Myśliwiec podskoczył gwałtownie, gubiąc odstrzelone fragmenty poszycia.

– Trafiłeś go! – zawołał zachwycony Boba.

– A teraz go wykończę – mruknął jak zawsze opanowany Jango. – Tym razem nie będzie uników. – Łowca wcisnął kilka klawiszy na konsoli sterowniczej i uzbrojona torpeda trafiła do otwartej wyrzutni. Jango już miał nacisnąć czerwony guzik spustu, lecz zawahał się i z uśmiechem skinął na Bobę, zapraszając go bliżej.

Boba prawie nie odдыchał z przejęcia, gdy ojciec położył jego małą dłoń na rękojeści i przyzwalająco skinął głową.

Chłopiec wcisnął klawisz i „Niewolnik 1” zadrżał, gdy torpeda wyrwała się z wyrzutni. Z początku mknęła wprost do celu, a gdy myśliwiec Jedi skrzył, próbując rozpaczliwego uniku, skorygowała kurs, by za nim nadążyć.

Ułamek sekundy później w iluminatorze statku pojawiła się olbrzymia kula ognia, tak jaskrawa, że Boba i Jango musieli zasłonić oczy. Ody po chwili spojrzeli na miejsce, w którym niedawno znajdował się myśliwiec, zobaczyli tylko strzępy pogiętego metalu. Ekran systemu sensorów był czysty.

– Dopadłeś go! – wykrzyknął chłopiec. – Tak!

– Dobry strzał, mały – odrzekł Jango, głaszcząc Bobę po głowie. – zasłużyłeś sobie na tę przyjemność. Więcej go nie zobaczymy.

Kilka ostrych zwrotów wystarczyło, by „Niewolnik 1” znalazł się poza pierścieniem asteroid. Statek pomknął ku powierzchni Geonosis, wbrew wcześniejszym zapowiedziom Janga prowadzony ręką małego

Boby. Właściwie nie był to manewr, który doświadczony łowca mógł powierzyć dziecku, ale Boba Fett nie był przecież zwyczajnym dzieckiem.

Anakin leciał głębokimi kanionami z wielobarwnych skał, ponad wydmami ruchomych piasków i wzdłuż koryta dawno wyschniętej rzeki. Drogę wskazywała mu emanacja umysłu Shmi, a ściślej jej bólu. Moc nie była jednak zbyt precyzyjnym przewodnikiem, więc choć padawan był pewien, że porusza się we właściwym kierunku, nie zapominał i o tym, że ma przed sobą rozległe piaszczyste pustkowie, na którym nikt nie potrafił ukryć się lepiej niż Jeźdźcy Tusken.

Zatrzymawszy się na krawędzi wysokiego urwiska, uważnie zlustrował wzrokiem daleki horyzont. Na południu dostrzegł masywny pojazd o zadartym dziobie – wielkie metalowe pudło na gąsienicach. Rozpoznał piaskoczołg Jawów. Wiedział doskonale, że Jawowie najlepiej orientują się w ruchach wszelkich istot przemierzających pustynię. Bez wahania uruchomił silnik raketowego skutera i pomknął w ich stronę.

Dogonił ich wkrótce i zatrzymał się pośród brązowych i czarnych płaszczy z obszernymi kapturami, spod których lustrowały go świecące czerwonym blaskiem oczy. Nieustający ani na chwilę jazgot piskliwych głosów przypominał dziwaczną muzykę.

Sporo czasu zajęło Anakinowi przekonanie Jawów, że nie jest zainteresowany zakupem żadnego robota, a jeszcze dłuższych wywodów wymagało wytłumaczenie im, że potrzebuje tylko informacji na temat Tuskenów.

Pojąwszy jego zamiary, Jawowie poczęli jazgotać ze zdwojoną energią, podskakując z podnieceniem i wskazując palcami na wszystkie strony świata jednocześnie. Ludzie Piasku z pewnością nie byli ich przyjaciółmi; polowali na nich równie chętnie, jak na wszystkie inne istoty, które uważali za słabsze od siebie. Jeszcze gorszym ciosem dla handlarskiej duszy Jawów był jednak fakt, że Tuskenowie nigdy nie kupowali automatów!

Wreszcie gadatliwa gromada ustaliła wspólne stanowisko: ręce



Jawów skierowały się zgodnie ku wschodowi. Skywalker skinął głową i bez słowa odleciał we wskazanym kierunku. Jego rozmówcy wyglądali na oburzonych brakiem pieniężnego dowodu wdzięczności, lecz Anakin w ogóle się tym nie przejął.

Asteroidy wirowały w ciszy z kamienną obojętnością, jakby nigdy nie było pośród nich walczących zaciekle statków i potężnych eksplozji.

W głębokiej rozpadlinie na powierzchni jednej z wielkich brył ukrył się mały myśliwiec, którego ostre kształty silnie kontrastowały z poszarpanymi skałami zabarwionymi żyłami minerałów wypełniających asteroidę.

– A niech to... Właśnie dlatego nienawidzę latania – odezwał się Obi-Wan. Ton gwizdu jednostki typu R4 wskazywał na to, że astromechaniczny robot w pełni się z nim zgadza. Niewiele było rzeczy, które i mogły wstrząsnąć doświadczonym rycerzem Jedi, ale pojedynek z pilotem tak doskonałym jak Jango Fett z pewnością był jedną z nich. W przeciwieństwie do większości współbraci z Zakonu, Obi-Wan Kenobi nigdy nie przepadał za podróżami międzygwiazdowymi, nie mówiąc już o pilotowaniu statku.

Skrzywił się, kiedy po kolejnym obrocie asteroidy jego oczom ukazały się znowu rozżarzone strzepy metalu orbitujące pośród mniejszych i większych głazów. Gdy myśliwiec został uszkodzony salwą z dział laserowych – na szczęście wiązki naruszyły jedynie dyszę silnika manewrowego – Jedi zrozumiał, że nie będzie w stanie umknąć przed torpedą samonaprowadzającą. Dlatego rozkazał R4 wyrzucić w przestrzeń wszystkie pojemniki z częściami zamiennymi, które, jak się okazało, miały wystarczającą masę do zdetonowania pocisku. Biorąc pod uwagę to, jak potężna była eksplozja torpedy oraz to, w jakim tempie musiał lądować w skalnej rozpadlinie, Obi-Wan poczuł niewymowną ulgę, kiedy przekonał się, że jego statek był prawie nienaruszony.

Nie miał jednak zamiaru wdawać się w kolejną walkę z Jango Fettem i jego dziwnym, niesamowicie skutecznym statkiem – dlatego

czekał cierpliwie przez długie minuty, nim zaczął działać.

– Zapisalesz ich ostatnia trajektorie? – spytal robota i skinal glowa, slyszac twierdzacy swist. – Mysle, ze wystarczy juz tego czekania. W droge. – Obi-Wan umilknl na chwile, rozwarzajac wydarzenia, w ktorych przyszlo mu uczestniczyc podczas poszukiwan Jango Fetta. – Zagadka staje sie coraz bardziej zawila, Arfour. Sdzisz, ze doczekamy sie wreszcie jakiejz odpowiedzi?

Dzwiek, ktory wydal z siebie R4, Obi-Wan zinterpretowal jako odpowiednik wzruszenia ramionami.

Lecac sladem lowcy nagrod, Jedi nie zdziwil sie zbyt, ze zbliza sie szybko do czerwonej tarczy planety Geonosis. Zaskoczylo go jednak fakt, ze jego mysliwiec nie byl jedynym statkiem w okolicy. Zaalarmowany popiskiwaniami R4, zmienil zasieg dzialania skanerow. Po przeciwnej stronie pasa asteroid orbitowala flota duzych jednostek.

– To statki Federacji Handlowej – stwierdzil, zmieniajac kurs tak, by spojrzec na armade. – Az tyle? – zdziwil sie i pokrecil glowa. W sklad grupy wchodzil wielkie okrety o ksztalcie niedomknietego pierścienia otaczajacego kulisty kadlub. Skoro armia klonow zamowiona przez Mistrza Jedi byla przeznaczona dla Republiki, a Jango Fett byl wzorcem dla tysiecy zolnierzy, to co moglo go laczyc z Federacja Handlowa? A jezeli to on stal za nieudanymi zamachami na senator Amidale, czolowa przedstawicielke opozycji wobec idei utworzenia sil zbrojnych, to dlaczego Federacja Handlowa pozwolila mu na kontrakt z Kamino?

Obi-Wan pomyslal, ze byc moze niewlasciwie ocenil role Janga Fetta, a przynajmniej jego motywacje. Moze Fett podobnie jak Kenobi i Skywalker – scigal lowczynie nagrod, ktora probowala zabic Amidale? Moze zatruta strzalka nie miala sluzyc uciszeniu na zawsze wynajetej zabojczy, tylko ukaraniu jej za usilowanie morderstwa?

Mimo wszystko Jedi nie potrafil w to uwierzyc. Nadal uwazal, ze to Jango organizowal zamachy, a potem zabil kobiete odmienca, by go nie zdradzila. Ale jaki to mialo zwiazek z armia klonow? I co Fett mial wspolnego z Federacja Handlowa? W calaj tej gmatwaninie faktow i domyslów brakowalo logiki.

Kenobi wiedział, że odpowiedzi nie znajdzie na orbicie, więc skierował myśliwiec ku powierzchni Geonosis, pilnując, by pierścień asteroid zasłonił go przed skanerami okrętów Federacji Handlowej.

Zanurzony w atmosferze planety, maszyna Obi-Wana gwałtownie zmniejszyła pułap lotu i pomknęła tuż nad ziemią, by czym prędzej znaleźć się w strefie nieobjętej działaniem systemu obrony powietrznej. Sunąc ponad czerwonymi równinami, usianymi odłamkami głazów, od czasu do czasu omijała strzeliste formy skalne o ściętych wierzchołkach. Cały glob sprawiał wrażenie suchego i pozbawionego roślinności, lecz w końcu skanery myśliwca wykryły w oddali ślady aktywności. Obi-Wan skorygował kurs i wzleciał nad szczyt jednej skały. Szybko znalazł niszę, w której miękko posadził myśliwiec. Wyskoczywszy z kabiny, podszedł do skraju urwiska.

Powietrze miało niecodzienny metaliczny smak, ale było przyjemnie ciepłe. Silny wiatr niósł z daleka dziwny przenikliwy krzyk.

– Idę, Arfour.

Robot odpowiedział smutnym, przeciągłym „oooo”.

– Nic ci się nie stanie – zapewnił go Obi-Wan. – Niedługo wrócę. – Sprawdzący jeszcze raz kierunek, z którego dochodziły sygnały zarejestrowane przez skaner, Kenobi ruszył kamienistą ścieżką w dół, ciesząc się w duchu, że znowu ma pod stopami stały grunt.

Godziny dłużyły się Padmé nieznośnie. Owen i Beru byli bardzo przyjacielscy, a Cliegg nie ukrywał zadowolenia z obecności gościa w tych trudnych, pełnych rozpaczy chwilach, lecz ona prawie z nimi nie rozmawiała – dręczył ją niepokój o Anakina. Nigdy jeszcze nie widziała go pełnym determinacji tak potężnej, że prawie namacalnej; tak wszechogarniającej, że niemal niszczycielskiej. W momencie rozstania pierwszy raz odczuła prawdziwą siłę Anakina, ukrytą moc przyćmiewającą wszystko, co do tej pory znała.

Jeżeli jego matka jeszcze żyła – a Padmé wierzyła, że tak jest, bo tak powiedział jej Anakin – to żadna armia nie byłaby w stanie

powstrzymać młodego Jedi przed jej uwolnieniem.

Tej nocy Padmé nie spała dobrze. Wstawiała kilka razy i spacerowała po dziedzińcu. Wreszcie zaszła do garażu, w którym – jak sądziła – mogła zostać przez chwilę sama.

– Dobry wieczór, panno Padmé – odezwał się z ciemności wesoły głos. – Nie może pani spać? – spytał C-3PO.

– Nie mogę. Zbyt wiele spraw zaprzęta moje myśli.

– Przejmuje się pani pracą w senacie?

– Nie, martwię się o Anakina. Powiedziałam mu takie rzeczy... Obawiam się, że mogłam go bardzo zranić. Sama nie wiem... może zraniłam tylko siebie? Pierwszy raz w życiu jestem tak bardzo zagubiona.

– Nie wiem, czy pocieszą panią moje słowa, panno Padmé, ale nie wydaje mi się, żeby w moim życiu była choć jedna chwila, kiedy nie czułem się zagubiony.

– Chciałabym, żeby wiedział, jak bardzo mi na nim zależy, Threepio – powiedziała cicho Padmé. – Naprawdę mi zależy. A teraz jest gdzieś tam, na pustyni, w niebezpieczeństwie...

– Proszę się nie martwić o pana Anakina. – Android pocieszającym gestem położył dłoń na jej barku. – Na pewno potrafi o siebie zadbać. Nawet na tej okropnej planecie.

– Okropnej? – spytała Padmé. – Nie jesteś tu szczęśliwy?

C-3PO cofnął się o krok i rozłożył ramiona, ukazując zdewastowane blachy i naruszoną izolację przewodów w miejscach, gdzie nie chroniła ich powłoka. Padmé pochyliła się nieco i dostrzegła piasek zapychający stawy androida.

– Obawiam się, że tutejsze warunki są wyjątkowo niesprzyjające – wyjaśnił C-3PO. – Kiedy pan Anakin mnie stworzył, nie znalazł czasu na dorobienie mi powłok. Pani Shmi dokończyła mnie po pewnym czasie, ale nawet blachy nie chronią mnie całkowicie przed wiatrem i piaskiem. Drobiny dostają się do wnętrza i czuję... swędzenie.

– Swędzenie? – powtórzyła Padmé, wybuchając śmiechem, którego tak bardzo jej brakowało.

Nie wiem, jak inaczej mógłbym to opisać, panno Padmé. Obawiam się, że tarcie piasku nie służy moim obwodom i podzespołom.

Padmé rozejrzała się i zatrzymała wzrok na wyciągarce łańcuchowej, zawieszanej nad kadzią ciemnego płynu.

– Przydałaby ci się kąpiel olejowa – stwierdziła.

– O tak, kąpiel!

Zadowolona, że ma czym się zająć, Padmé podeszła do wanny z olejem i uruchomiła wyciągarke. Po chwili Threepio był gotów, a wtedy wolno opuściła go do kadzi.

– Och! zawołał android. – Łaskocze!

– Łaskocze? Jesteś pewien, że nie swędzi?

– Potrafię odróżnić łaskotanie od swędzenia – odparł C-3PO.

Padmé zachichotała, na chwilę zapominając o przygnębiającej rzeczywistości.

Anakin wiedział, że to dzieło Tuskenów, gdy tylko zatrzymał maszynę, by spojrzeć na ponurą scenę. Zmaltretowane i okaleczone ciała trzech farmerów – zapewne należących do oddziału, który towarzyszył Clieggowi w pościgu – leżały obok wygasłego ogniska. W pobliżu stała para długonogich jucznych *eopie* o szerokich stopach podobnych do kopyt i końskich pyskach, w których niewiele było inteligencji. Spętane zwierzęta spoglądały na przybysza, porykując z cicha, kawałek dalej dopalały się szczątki śmigacza.

Anakin przeczesał palcami włosy.

– Tylko spokojnie – powiedział do siebie. – Znajdź ją. – Skoncentrował się i użył Mocy, sięgając zmysłami daleko w głąb pustyni. Desperacko potrzebował potwierdzenia, że jego matki nie spotkał podobny los, jak nieszczęsnych farmerów.

Poczuł silne ukłucie bólu i do jego umysłu dotarło echo dalekiego wołania – pełnego nadziei i bezradnego zarazem.

– Mamo – wyszeptał bezdźwięcznie. Wiedział, że ma niewiele czasu, że Shmi cierpi straszliwie, a iskra życia tli się w niej coraz słabiej.

Nie miał teraz czasu na grzebanie zabitych, ale obiecał sobie, że wróci do nich, kiedy uwolni matkę. Skoczył na siodełko raketowego skutera i otworzył przepustnicę do maksimum, by podążając za

głosem Shmi, pomknąć nad ponurą, tonącą w mroku pustynią.

Ścieżka była wąska i stroma, lecz Obi-Wan i tak cieszył się, że znowu czuje solidny grunt pod nogami.

Niezbyt solidny, pomyślał, kiedy spłoszył go przenikliwy pisk jakiegoś zwierzęcia, a mniej ostrożny krok posłał w przepaść małą lawinę kamieni. Jedi omal nie runął w dół, ale w porę odzyskał równowagę. Trzymał rękojeść miecza świetlnego, ale nie zapalił klingi. Ze zdwojoną czujnością ruszył dalej, spodziewając się niebezpieczeństwa za najbliższym zakrętem kamienistego szlaku.

Nie był zaskoczony, kiedy rzuciła się na niego podobna do jaszczurki istota o wielkich ostrych kłach, z których kapała ślina. Stwór; poruszał się na mocnych tylnych łapach, przebierając wściekle przednimi, znacznie mniejszymi. Ostrze miecza wysunęło się z cichym buczeniem. Obi-Wan uskoczył przed szarżującym jaszczurem, w locie tnąc jego bok od przedniej łapy po zad. Zwierzę opadło na ziemię i próbowało zawrócić, ale ból sparaliżował je na moment i straciło równowagę. Z przeraźliwym wyciem runęło w głęboką przepaść.

Obi-Wan nie miał czasu na podziwianie jego lotu. Tuż obok pojawiła się druga bestia atakująca z szeroko otwartą zębatą paszczką.

Jedi wbił w nią klingę miecza świetlnego, jednym pchnięciem przebijając zęby, podniebienie i czaszkę. Pociągnął ostrze w bok, rozcinając do końca martwy już czerep, i natychmiast odwrócił się w stronę trzeciego przeciwnika, który skoczył na niego potężnym susem. Obi-Wan padł na ziemię, pozwalając, by jaszczur przeleciał nad nim. Poderwał się, by pognać za nim, ale zatrzymał się w pół kroku, odwrócił rękojeść i pchnął mieczem za siebie, dziurawiąc korpus czwartego zwierzęcia. Obrócił się w miejscu, przerzucając broń z prawej do lewej dłoni i dokończył cięcie, wrywając ostrze z boku konającego jaszczura i powracając do pozycji wyjściowej – twarzą do napastnika, który przeskoczył nad nim chwilę wcześniej.

Zwierzę krążyło wolno, a Obi-Wan obracał się wraz z nim, nie przestając obserwować okolicy.

Próbował odstraszyć jaszczura – miał nadzieję, że nie będzie to trudne, skoro jedna z bestii leżała już na dnie przepaści, a dwie pozostałe, martwe, spoczywały na kamienistej ziemi.

Rozwścieczony potwór rzucił się jednak nagle do ataku, kłapiąc wielkimi szczękami.

Obi-Wan zrobił krok w bok i do przodu, jednocześnie tnąc mieczem z góry. Łeb jaszczura potoczył się po ścieżce.

– Urocze miejsce – mruknął Jedi, kiedy upewnił się, że w pobliżu nie ma więcej bestii. Przypiąwszy broń do pasa, ruszył przed siebie i po chwili minął kolejny zakręt ścieżki biegnącej w dół urwistym zboczem.

Przed jego oczami rozpostarła się teraz panorama ogromnej równiny. W oddali wznosiły się ponad nią smukłe kształty, których w ciemności nie potrafił zidentyfikować. Sięgnął po elektrolornetkę i skierował ją w stronę tajemniczych kształtów. Zobaczył olbrzymie wieże – nie naturalne stalagmity, jak te, które mijał po drodze, ale sztucznie wzniesione konstrukcje. Ruchem pokręta zmienił skalę i jasność obrazu, po czym znowu powiódł obiektywem po linii horyzontu.

Dopiero teraz ujrzał statki Federacji Handlowej stojące na niezliczonych lądowiskach. Jedi przyglądał się w zdumieniu, jak spod ziemi tuż obok jednego z okrętów wyłania się platforma i zstępują z niej tysiące robotów bojowych. Maszyny weszły po rampie do ładowni, a wtedy gigantyczna jednostka uniosła się w powietrze i odleciała.

Po chwili na tym samym lądowisku osiadł wolno kolejny okręt.

Następna platforma wyłoniła się spod ziemi i znowu tysiące robotów wmaszerowało do czekającego statku, który – napelniwszy luk zastępami mechanicznych żołnierzy – niósł rampę i wystartował.

– Nie do wiary – mruknął Jedi i spojrzał na wschodni łuk horyzontu, próbując ocenić, ile czasu pozostało do świtu. Zastanawiał się, czy zdąży dobiec do wież, zanim zrobi się jasno.

Zrozumiał, że z pewnością nie dokona tego, jeśli będzie dalej wędrował powoli ścieżką. Wzruszywszy ramionami, stanął na krawędzi wąskiego szlaku, zamknął oczy i poszukał wsparcia w Mocy.

A potem skoczył, wykorzystując jej energię do wyhamowania upadku. Wylądował wiele metrów niżej, na stromej skarpie, lecz nie zatrzymał się ani na chwilę: odbił się ponownie i tak – skacząc i lecąc na przemian – pokonał całą drogę na dół, do pograżonej w mroku równiny.

Słońce nie wyjrzało jeszcze zza wschodniego widnokregu – choć ciemność ustępowała już przed słabą poświatą przedświtów – kiedy Obi-Wan Kenobi dotarł do największej z wież tworzących niezwyklej kompleks. Wejścia strzegły roboty bojowe, lecz Jedi nawet nie myślał o skorzystaniu z tej drogi. Użył Mocy i własnych umiejętności, by wdrapać się po pionowej ścianie do małego okienka.

Bezszelestnie wśliznął się do wnętrza i posuwał się naprzód pod osłoną cienia, póki nie usłyszał kroków dwóch dziwacznych istot – Geonosjan, jak sądził. Ukrył się za zasłoną, obserwował obcych, ubranych w skąpe stroje, niezakrywające ich czerwonej skóry zwisającej luźno ze smukłych kończyn. Na kościstych plecach dostrzegł skórzaste skrzydła. Głowy Geonosjan były duże i wydłużone, ozdobione na szczycie i po bokach kostnymi zgrubieniami. Wyłupiaste oczy, zakryte grubymi powiekami, nadawały ich twarzom wyraz wiecznego niezadowolenia.

– Za wiele istot myślących – odezwał się jeden z obcych.

– Nie masz prawa krytykować arcyksięcia Poggle'a Mniejszego – ganił go drugi. Spierając się zawzięcie, para zniknęła w głębi korytarza.

Jedi wyszedł z ukrycia i ruszył w przeciwną stronę. Starał się pozostawać w cieniu kolumnady ciągnącej się wzdłuż wąskiego korytarza. Nie mógł nie zauważyć uderzającego kontrastu między wystrojem wnętrza, które przemierzał, a urodą miasta Tipoca. Na planecie Kamino wszystko było dziełem sztuki – miękkie kształty i gładkość, szkło i światło podczas gdy w wieży na Geonosis dominowały ostre krawędzie, szorstkie materiały i surowa funkcjonalność.

Obi-Wan dotarł do wylotu kanału, z którego dobiegały przenikliwe metaliczne dźwięki oraz echo mocnych uderzeń. Przypadł do ziemi i rozejrzał się ostrożnie, a potem podpełzł do krawędzi otworu i



spojrzał w dół.

Znalazł się nad przestronną salą fabryczną, pełną hałaśliwych maszyn i pociętą siecią taśm produkcyjnych. W niemym zdumieniu przyglądał się zastępom Geonosjan – różniących się od tych z korytarza jedynie brakiem skrzydeł – w skupieniu montujących roboty. Na końcu głównej taśmy produkcyjnej gotowe automaty schodziły na ziemię i karnie maszerowały w głąb korytarza.

Idą w stronę platform, które przenoszą je wprost do czekających okrętów Federacji Handlowej, pomyślał Jedi.

Kenobi pobiegł dalej, lecz wkrótce wyczuł poprzez Moc daleki lecz wyraźny sygnał. Skręcił w labirynt korytarzy i po chwili dotarł do wielkiej podziemnej sali o wysoko wysklepionym stropie, podpartym topornymi łukami. Wyczuwał bliskość czegoś lub kogoś ważnego, więc ukrył się za kolumną.

Najpierw usłyszał głosy, a zaraz potem, gdy tylko przypadł do kamiennej posadzki, zobaczył postacie.

Było ich sześć, cztery w zwartej grupce i dwie trzymające się nieco w tyle. Pochód otwierali dwaj Geonosjanie, zaś tuż za nimi kroczył neimoidiański wicekról, którego Obi-Wan doskonale pamiętał. Rysy mężczyzny, który mu towarzyszył, także były Kenobiemu znane – z rzeźb, które widział w Świątyni Jedi na Coruscant.

– Teraz musimy jeszcze skłonić Gildię Handlową i Sojusz Korporacyjny do podpisania tego paktu – mówił były rycerz Jedi, hrabia Dooku. Był wysokim i przystojnym mężczyzną o królewskiej postawie. Miał siwe, idealnie przystrzyżone włosy i regularne rysy twarzy, z silnie zarysowanym podbródkiem. Jego oczy spoglądały na rozmówcę przenikliwie, dopełniając obrazu człowieka, który niegdyś należał do najwybitniejszych Jedi. Dooku miał na sobie czarną pelerynę, spiętą pod szyją srebrnym łańcuchem, a także czarną koszulę i spodnie z delikatnego materiału. Przyglądając się hrabiemu i wyczuwając jego emanację, Obi-Wan rozumiał doskonale, że ten człowiek musiał mieć to, co najlepsze.

– A co z tą senator z Naboo? – spytał Neimoidianin, Nute Gunray. Paciorkowate oczy i chuda twarz wicekróla wyglądały niepozornie w porównaniu z wysokim trójrożnym nakryciem głowy, z którym nigdy

się nie rozstawał. – Czy już nie żyje? Nie podpiszę tego waszego paktu, póki jej głowa nie wyląduje na moim biurku.

Obi-Wan pokiwał głową. Kawałki wielkiej układanki zaczęły trafiać na swoje miejsce. To, że Nute Gunray życzył Amidali rychłej śmierci, miało sens, nawet jeśli głos pani senator sprzeciwiającej się utworzeniu armii dla Republiki działał na jego korzyść. Przecież to właśnie ona upokorzyła Neimoidian podczas pamiętnej blokady Naboo.

– Jestem człowiekiem honoru – odezwał się jeden z separatystów.

– Dzięki nowym robotom bojowym, które dla ciebie stworzyliśmy, wicekrólu, będziesz miał najpotężniejszą armię w galaktyce – odezwał się Geonosjanin, którym, jak domyślał się Obi-Wan, był sam Poggle Mniejszy. Nie był podobny do swych skrzydlatych pobratymców i robotników z fabryki robotów, których Jedi spotkał wcześniej. Skóra Geonosjanina miała jaśniejszy, bardziej szarawy niż czerwony odcień. Jego głowa była ogromna, a wielkie wykrzywione usta na końcu wysuniętych ku przodowi szczęk nadawały mu groźny wygląd. Długi podbródek arcyksięcia wyglądał jak bujna broda zwisająca do połowy piersi.

Rozmowa toczyła się dalej, lecz już poza zasięgiem słuchu Obi-Wana, który jeszcze przez długą chwilę nie odważył się ruszyć z miejsca. Skromny orszak dotarł do krańca sali i minawszy ostatni łuk, wszedł na szerokie schody.

Rycerz Jedi odczekał chwilę, zanim podążył śladem spiskowców. Ostrożnie wspiął się po schodach i dotarł do małego okienka z widokiem na niewielką salkę znajdującą się za ścianą. Dostrzegł w środku te same osoby, które podsłuchiwał chwilę wcześniej, a także kilka nowych, w tym trzech opozycyjnych senatorów Republiki. Pierwszym z nich był Po Nudo z Ando, Aqualishanin o wielkiej głowie, podobnej do hełmu z goglami. Obok niego zasiedli Toonbuck Toora z Sy Myrth, typ o gadziej głowie, osadzonej bezpośrednio na tułowiu, i szerokich ustach oraz Tessek, quarreński senator o twarzy zakończonej wianuszkami podrygujących niespokojnie macek. Obi-Wan znał wszystkich trzech; widywał ich nieraz na Coruscant.

Jedi zrozumiał, że udało mu się zakraść do samego serca

nieprzyjacielskiego obozu.

– Znają panowie Shu Mai, reprezentantkę Gildii Handlowej? – spytał senatorów hrabia Dooku, zasiadłszy u szczytu stołu. Shu Mai z powagą skinęła głową. Jej delikatna, szarawa, pomarszczona głowa tkwiła na końcu długiej szyi. Poziome, długie i spiczaste uszy były tak ciekawym elementem jej urody, jak skomplikowana fryzura, podobna do powleczonego skórą rogu, sterczącego z tylnej części czaszki Shu Mai, zakręcającego ku górze i ku przodowi.

– A oto San Hill, wielce szanowny członek Galaktycznego Klanu Bankowego – ciągnął Dooku, wskazując ręką na istotę o najdłuższej i najwęższej twarzy, jaką Obi-Wan kiedykolwiek widział.

Zebrani przy stole wymienili pozdrowienia i skinęli głowami na powitanie. Gdy zapadła cisza, wszystkie oczy skierowały się na hrabiego Dooku. Kenobi miał wrażenie, że były Jedi w pełni kontroluje sytuację, mając władzę nawet nad arcyksięciem planety.

– Jak już wspominałem, jestem przekonany, iż dzięki waszemu wsparciu przyłączy się do naszej sprawy kolejnych dziesięć tysięcy gwiazdnych systemów – rzekł hrabia. – Pozwolę sobie także przypomnieć, że jesteśmy absolutnie wierni ideałom kapitalizmu – wierzymy w zmniejszenie wysokości podatków i ceł oraz, w ostatecznym rozrachunku, zniesienie wszelkich barier w handlu. Podpisanie naszego paktu przyniesie waszym organizacjom zyski, o których nawet nie śniliście. Proponujemy całkowicie wolny handel – podsumował Dooku, spoglądając na Nute'a Gunraya, który skinął głową.

– Nasi przyjaciele z Federacji Handlowej zapewnili nas o swoim poparciu – dodał hrabia. – Dzięki ich i waszym robotom bojowym wystawimy armię niemającą sobie równych w galaktyce. Republika będzie bez szans.

– Za pozwoleniem, hrabio – odezwał się jeden z mężczyzn, którzy szli uprzednio na końcu sześćoosobowego orszaku.

– Naturalnie, Passelu Argente – odparł Dooku. – Zawsze z zainteresowaniem słuchamy przedstawicieli Sojuszu Korporacyjnego.

Onieśmielony nerwowo mężczyzna pokłonił się lekko przed hrabią.

– Sojusz Korporacyjny upoważnił mnie do podpisania tego paktu.  
– Jesteśmy niewymownie wdzięczni za chęć współpracy, panie przewodniczący odparł dwornie hrabia Dooku.

Obi-Wan rozumiał prawdziwe znaczenie tej wymiany zdań: to była gra obliczona na przekonanie do wspólnej sprawy mniej entuzjastycznie nastawionych uczestników spotkania. Hrabia Dooku próbował budować odpowiednią dramaturgię.

Jego wysiłki napotkały jednak przeszkodę w postaci chłodnych słów Shu Mai:

– W tej chwili Gildia Handlowa nie zaangażuje się otwarcie w wasze działania. – następne zdania trochę złagodziły jednak nieprzyjemny wydźwięk oschłej wypowiedzi. – Będziemy jednak wspierać was w tajemnicy i bardzo cieszymy się na myśl o prowadzeniu wspólnych interesów.

Wokół stołu obrad rozległy się stłumione chichoty, ale hrabia Dooku tylko się uśmiechnął.

– I tylko tego nam potrzeba – zapewnił Shu Mai, po czym przeniósł wzrok na wielce szanownego członka Klanu Bankowego. Inni także spojrzeli na Sana Hilla.

– Galaktyczny Klan Bankowy gorąco popiera wasze dążenia, hrabio Dooku – zadeklarował Hill. – Ale pod warunkiem, że nie będzie jedynym sygnatariuszem tego paktu.

Obi-Wan cofnął się nieco, usilnie zastanawiając się nad implikacjami tego, co przed chwilą usłyszał. Hrabia Dooku był na najlepszej drodze do zmontowania koalicji, która mogła stanowić śmiertelne zagrożenie dla Republiki. Mając do dyspozycji pieniądze bankierów, federacji i gildii – a także fabryki pełną parą produkujące zastępy robotów bojowych – miał realne szanse na zrealizowanie swoich planów.

Czy dlatego właśnie Mistrz Sifo-Dyas zamówił armię klonów? Czyżby przeczuł nadciągające niebezpieczeństwo? A jeśli tak, to jaki związek istniał między Jangiem Fettem a grupą spiskowców na Geonosis? Czy fakt, iż człowiek wybrany na wzorzec dla armii klonów, która miała bronić Republiki, na zlecenie Federacji Handlowej stał się organizatorem zamachów na panią senator

Amidale, był jedynie zbiegiem okoliczności?

Obi-Wan nie wierzył w tak zdumiewające zbiegi okoliczności, lecz nie miał teraz szans na poznanie prawdy. Bardzo chciał zostać dłużej i posłuchać rozmów uczestników spisku, ale wiedział, że powinien teraz wydostać się z wieży i wrócić na statek, by nadać ostrzeżenie dla Rady Jedi.

Przez kilka ostatnich godzin Obi-Wan oglądał wyłącznie armie – klonów i robotów. Wiedział, że wydarzenia potoczą się teraz błyskawicznie i doprowadzą do eksplozji, jakiej nie widziano w galaktyce od wielu stuleci.

# ROZDZIAŁ

# 20

Niewiele widziała – oczy, opuchnięte od bicia i sklezione zakrzepłą krwią, nie chciały się otworzyć. Niewiele słyszała – tylko chrapliwe groźne głosy. Jej ciało niczego już nie odczuwało, poza nieustającym bólem.

Nie, Shmi nie żyła już tym, co działo się na zewnątrz, ale tym, co tliło się jeszcze w jej wnętrzu: wspomnieniami chwil, kiedy oboje z Anakinem byli niewolnikami Watta. Nie mieli wówczas łatwego życia, lecz to, że miała przy sobie syna, wystarczyło, by teraz myślała o tych latach z rozrzewnieniem. Shmi pojęła, jak bardzo brakowało jej chłopca przez ostatnie dziesięć lat. Za każdym razem, gdy wychodziła nocą na pustynię i wpatrywała się w niebo, myślała o nim i wyobrażała sobie, że przemierza galaktykę, broniąc słabych, ratując całe światy przed potworami i tyranami. Zawsze jednak liczyła na to, że pewnego dnia znowu go zobaczy, że Annie zjawi się kiedyś na farmie i z niewinnym uśmiechem, którym niegdyś rozświetlał cały dom, powita ją tak, jakby nigdy się nie rozstawali.

Shmi kochała Cliegga i Owena. Kochała ich szczerze. Cliegg był jej wybawcą, jej dzielnym rycerzem, Owen zaś zastąpił jej syna, którego straciła – zawsze był pełen współczucia, zawsze z przyjemnością słuchał jej opowieści o dokonaniach małego Anakina. Z czasem Shmi pokochała też Beru. Lecz czy był ktoś, kto jej nie kochał? Dziewczyna Owena była niezwykłą osobą, pełną ciepła i cichej wewnętrznej siły.

Lecz mimo uśmiechu losu, który sprowadził tę trójkę w życie Shmi Skywalker, w jej sercu zawsze pozostawało puste miejsce

zarezerwowane dla Anakina, jej synka, jej bohatera. Dlatego i teraz, gdy kres życia wydawał się bliski, uparcie wspominała zdarzenia z jego dzieciństwa, próbując jednocześnie nawiązać z nim myślowy kontakt. Anakin zawsze wyczuwał silne uczucia; był zestrojony z tą tajemniczą Mocą jak nikt inny. Jedi, który zjawił się na Tatooine, od razu to zauważył.

Być może Annie nawet teraz czuł jej miłość. Potrzebowała tego, by zamknął się cykl, by jej syn wiedział, że przez wszystkie lata rozłąki, mimo odległości, która ich dzieliła, kochała go bezwarunkową miłością i myślała o nim nieustannie.

Anakin był jej pocieszeniem, jej ucieczką przed bólem niewoli u Tuskenów, którzy tak uparcie znęcali się nad jej ciałem. Każdego dnia przychodzili, by ją torturować – kłuć ostrymi grotami włóczni, tłuc drzewcami i biczować. Choć nie rozumiała gardłowej mowy Ludzi Piasku, rozumiała, że jest w tym coś więcej niż zwykłe pragnienie zadawania bólu. To był sposób, w jaki Tuskenowie oceniali swoich wrogów, a sądząc po ich gestach i tonie, Shmi domyślała się, że jej odporność zrobiła na nich wrażenie.

Oprawcy nie wiedzieli jednak, że siła ich ofiary płynie z matczynej miłości. Gdyby nie wspomnienia i nadzieja, że syn odbierze mocny sygnał jej uczuć, Shmi Skywalker już dawno poddałaby się i spoczęła w objęciach śmierci.

W bladej poświacie pełni księżyca Anakin Skywalker zatrzymał raketowy skuter na szczycie wysokiej wydmy i spojrzał w dół, na niekończące się pustkowie Tatooine. W niewielkiej odległości dostrzegł małą oazę, a w niej obóz. Wiedział od razu – nim jeszcze dostrzegł pierwszą sylwetkę wroga – że ma przed sobą osadę Tuskenów. Wyczuł też obecność matki, a ściślej ból przenikający jej ciało.

Padawan podpełzł do obozowiska. Jedna z chat, stojąca na skraju oazy, wydała mu się solidniejsza od pozostałych. Kiedy podkradł się bliżej, zaintrygował go widok strażników siedzących przed wejściem.

– Och, mamó – szepnął Anakin.

Bezszelestnie jak cień, młody Jedi przemknął przez obóz, kryjąc się za szałasami, przytulając do ich ścian i pełzając tam, gdzie nie miał się za czym schować. Uparcie skradał się w stronę chaty, w której uwięziono jego matkę, aż wreszcie przyłożył dłonie do miękkiej skóry, odbierając fale bólu i silnych uczuć osoby, która znajdowała się w środku. Spojrzawszy w stronę wejścia, stwierdził, że niczego niepodajeżewający wartownicy nadal siedzą na swoich miejscach.

Dobył miecza i zapalił klingę, pochylając się nisko nad ziemią tak, by zasłonić blask. Ogniste ostrze z łatwością przecięło ścianę chaty.

Padawan wśliznął się do środka, nie sprawdzając nawet, czy nie ma tam Tuskenów.

– Mamo – powtórzył, czując, że uginają się pod nim nogi. We wnętrzu chaty ustawiono dziesiątki świec, a w smudze księżycowego światła wpadającej przez otwór w dachu Anakin zobaczył sylwetkę Shmi, przywiązanej do mocnego stelaża, twarzą do ściany. Jej ramiona rozciągnięto szeroko, sznurami rozcinając skórę nadgarstków. Twarz, widoczna z profilu, nosiła ślady bicia.

Anakin szybko uwolnił matkę i przytulił, a potem ułożył na ziemi.

– Mamo... mamoo... mamoo – szeptał łagodnie. Wiedział, że Shmi żyje, choć jej ciało było żałośnie bezwładne. Wyczuwał ją w Mocy, lecz emanacja była bardzo słaba.

Ułożył głowę Shmi na swoim ramieniu i cicho powtarzał imię matki, aż wreszcie jej powieki, opuchnięte i zakrwawione, uniosły się z trudem.

– Annie? – szepnęła. Padawan słyszał złowieszczy świst przy każdym jej oddechu; wiedział, że to skutek złamania co najmniej kilku żeber. – Czy to ty?

Kobieta zdołała jakoś skupić wzrok na rysach młodzieńca i na jej zmaltretowanej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Jestem tu, mamoo – odpowiedział. – Jesteś bezpieczna. Trzymaj się. Zabiorę cię stąd.

– Annie... Annie? – powtarzała z niedowierzaniem Shmi, z uśmiechem pochylając głowę w taki sposób, jak robiła to, gdy Anakin był małym psotnym chłopcem. – Jakiś ty przystojny.

– Oszczędzaj siły, mamoo – odparł spokojnie. – Musimy stąd uciec.



– Mój syn – wyszeptała Shmi. Anakin miał wrażenie, że duchem była gdzieś indziej, w znacznie bardziej bezpiecznym miejscu. – Mój dorosły syn... Wiedziałam, że do mnie wrócisz. Zawsze wiedziałam.

Anakin chciał przykazać jej jeszcze raz, by leżała spokojnie i oszczędzała siły, ale ściśnięte gardło odmówiło mu posłuszeństwa.

– Jestem z ciebie dumna, Annie. Taka dumna... Bardzo mi ciebie brakowało.

– A mnie ciebie, mamo, ale porozmawiamy o tym później...

– Teraz jestem usatysfakcjonowana – przerwała mu cicho Shmi. Spojrzała w górę, nie na twarz syna, ale wyżej, na połyskującą w otworze w sklepieniu tarczę księżyca.

Anakin rozumiał co się dzieje.

– Zostań ze mną, mamo – szepnął błagalnie, ze wszystkich sił powstrzymując rozpacz, która go ogarniała. – Wyleczę cię. Wszystko... wszystko będzie dobrze.

– Kocham... – zaczęła Shmi, lecz urwała w pół słowa i znieruchomiała. Anakin widział, jak jej oczy nagle straciły blask.

Oddychał z trudem. Z szeroko otwartymi, jakby zastygłymi w wyrazie niedowierzania oczami, uniósł ciało Shmi i przycisnął do piersi, a potem długo kołysał je w objęciach. Nie docierało do niego, że matka odeszła. Nie wierzył w to! Odsunął ją na odległość ramion, bezgłośnie błagając, by dała mu jakiś znak. Lecz oczy Shmi pozostały puste. Anakin znowu przytulił matkę i kołysał, jakby chciał ułożyć ją do snu.

A potem złożył jej ciało na ziemi i delikatnie zamknął martwe oczy.

Nie wiedział, co robić. Długo siedział w bezruchu, wpatrując się w zwłoki matki, a kiedy wreszcie podniósł głowę, jego oczy płonęły nienawiścią i gniewem. W myśli odtworzył wydarzenia ostatnich dni, zastanawiając się, co mógł zrobić inaczej, lepiej, by ocalić Shmi. Sięgając pamięcią jeszcze dalej, doszedł do wniosku, że przede wszystkim nie powinien był jej opuszczać; nie powinien był pozwolić, by Qui-Gon zabrał z Tatooine tylko jego. Na chwilę przed śmiercią powiedziała, że jest dumna z syna, ale jak mógł zasłużyć na jej dumę, skoro nie potrafił jej uratować?

A przecież tak bardzo chciał, żeby była dumna; chciał opowiedzieć matce o wszystkim, co kształtowało jego życie przez ostatnie dziesięć lat – o szkoleniu Jedi, o dobrze wykonanych misjach, a przede wszystkim o Padmé. Marzył o tym, by Shmi lepiej poznała kobietę, którą kochał! Polubiłaby ją na pewno, jakżeby inaczej?

Co ma teraz zrobić?

Minuty mijały, a Anakin wciąż siedział nieruchomo, oszołomiony narastającym gniewem i poczuciem głębokiej pustki, jakiej nie zaznał nigdy dotąd. Dopiero o brzasku, gdy wewnątrz chaty rozjaśniło się nieco, odbierając moc wolno spalającym się świecom, młody padawan przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Zastanawiał się, w jaki sposób wynieść z osady ciało matki, bo nie zamierzał zostawić go na pastwę Jeźdźców Tusken. Trudno było mu zebrać siły; wszelkie ruchy, które musiałby wykonać, nagle wydały mu się bezsensowne.

W tym momencie jedynym uczuciem, z którego Anakin mógł czerpać siłę, była wzbierająca w nim wściekłość i rozpacz.

Cichy głos w jego duszy ostrzegł go, że nie wolno mu oddawać się gniewowi, że przekroczy granicę ciemnej strony.

Anakin spojrzał na nieruchome ciało Shmi – emanowało wiecznym spokojem, ale nosiło też ślady cierpienia, które zadawano nieszczęsnej kobiecie przez ostatnie tygodnie.

Padawan Jedi wstał i sięgnął po miecz, a potem odważnie ruszył ku drzwiom chaty.

Dwaj Tuskenowie pełniący straż z wrzaskiem zaatakowali go pałkami, lecz ostrze płonące błękitnym blaskiem pojawiło się nagle, jak błyskawica, i prowadzone pewną ręką Anakina w ułamku sekundy pozbawiło wartowników życia.

Nie ukoіło to gniewu padawana.



Mistrz Yoda, pogrążony w głębokiej medytacji, próbował wejrzeć za zasłonę ciemnej strony. Nagle poczuł impuls wściekłości, szau wprost niemożliwego do opanowania. Jedi gwałtownie otworzył oczy, zszokowany potęgą tego gniewu.

Zaraz potem usłyszał znajomy głos.

– Nie, Anakinie! Nie rób tego!

To był głos Qui-Gona; Mistrz nie miał co do tego wątpliwości. A przecież Qui-Gon Jinn nie żył, minęły lata, odkąd zjednoczył się z Mocą! Nikt nie mógł zachować świadomości w tym stanie, nikt nie mógł przemawiać zza grobu!

Jednak Yoda usłyszał głos, a biorąc pod uwagę fakt, iż był maksymalnie skoncentrowany, jak zawsze podczas głębokiej medytacji, mógł być pewien, że się nie pomylił.

Chciał skupić się na tym dziwnym zjawisku, wytropić myślą źródło głosu, ale nie był w stanie, przytłoczyła go bowiem kolejna fala wściekłości, bólu i... potęgi.

Chrząknął cicho i pochylił się, lecz wyrwał go z transu Mace Windu, który stanął nagle w drzwiach komnaty.

– Co się dzieje? – spytał Mace.

– Ból. Cierpienie. Śmierć! Czuję, że coś straszego się stało. Młody Skywalker ból cierpi. Potworny ból.

Yoda nie powiedział Mace'owi o tym, że męka Anakina odbiła się w polu Mocy tak silnym echem, że zareagował na nią duch mistrza Jedi, który przed laty odkrył talent chłopca. Zbyt wiele się działo, by roztrząsać tę zagadkową sprawę.

Bezcielesny znajomy głos pozostał jednak w myślach Yody. Jeżeli nie zawiodły go zmysły, jeżeli naprawdę usłyszał to, co usłyszał...

Anakin także usłyszał głos Qui-Gona nakazujący mu wyrzec się gniewu. Nie rozpoznał go jednak, wściekłość i ból stepiły bowiem jego zmysły. Gdzieś z boku, przed jednym z namiotów, dostrzegł tuskańską kobietę trzymającą w dłoniach ceber z brudną wodą. Nieco dalej, w cieniu innej chaty, przystanąło dziecko i przyglądało mu się z niedowierzaniem.

Padawan ruszył do ataku. W pełnym biegu błysnął klingą miecza i kobieta z krzykiem upadła na ziemię.

Teraz całe obozowisko eksplodowało ruchem. Ludzie Piasku wybiegali ze wszystkich chat; wielu z bronią w ręce, lecz Anakin rozpoczął już swój taniec śmierci, wspomagany niezmierną energią Mocy. Skoczył i wylądował przed kolejnym namiotem, jeszcze w locie tnąc mieczem. Dwaj Tuskenowie zginęli, zanim spostrzegli, że znalazł się między nimi.

Trzeci ruszył do ataku, próbując rzucić włócznią, ale padawan uniósł otwartą dłoń i w mgnieniu oka wyrosła przed nim niewidzialna, twardsza od skały bariera Mocy. Lekki ruch ręki wystarczył, by barbarzyńca z włócznią przeleciał dobrych trzydzieści metrów i z łomotem zderzył się ze ścianą chaty.

Anakin unikał ciosów, biegał i skakał, wywijając bronią na wszystkie strony. Każde pchnięcie posyłało na ziemię wijącego się w agonii Tuskena, a każde cięcie posyłało na ziemię strzępy spowitych w szmaty ciał.

Wkrótce nie było już chętnych do walki z padawanem, ale nie oznaczało to końca bitwy. Anakin dostrzegł grupkę przerażonych istot znikających w chacie i natychmiast wyciągnął rękę ku odległemu wielkiemu głazowi. Kamień usłuchał wezwania i pomknął nad pustynią, po drodze zabijając uciekającego Tuskena.

A potem z woli Anakina opadł na chatę pełną Ludzi Piasku, robiąc z nich miazgę.

Padawan biegał po obozie jak oszalały, krokiem wspomaganym przez Moc, szlachtując umykające stworzenia. Wszystkie. Co do jednego.

Nie czuł już pustki; czuł przyływ energii i potęgi tak ogromnej, że nigdy nawet nie podejrzewał jej istnienia. Czuł, że jest pełen Mocy, pełen siły, pełen życia.

A potem nagle wszystko się skończyło. Anakin stał pośród ruin obozowiska, otoczony dziesiątkami ciał martwych Jeźdźców Tusken. Ocalała tylko jedna chata.

Padawan wyłączył miecz i ruszył w jej stronę, by z nabożną czcią unieść ciało matki.

# ROZDZIAŁ

# 21

– Gotowe! – oświadczyła Padmé, wyciągając C-3PO z olejowej kąpieli. Bardzo się starała nie roześmiać, niechcący bowiem opuściła androida zbyt głęboko i teraz wymachiwał ramionami jak szalony, krzycząc, że go oślepieno.

Padmé szarpnęła jego metalowym korpusem i przechyliwszy go na bok sięgnęła po szmatę, by zetrzeć nadmiar oleju z blaszanej twarzy. Kiedy oczyściła oczy androida, opuściła go na podłogę i odpięła łańcuch.

– Lepiej? – spytała.

– Och, znacznie lepiej, panno Padmé – odparł C-3PO, gestykulując energicznie wyraźnym zadowoleniem.

– Nie swędzi? – upewniła się, przyglądając się swojemu dziełu.

– Nie swędzi – odrzekł android.

– To dobrze – powiedziała z uśmiechem, który szybko zgasł. Konserwacja androida oderwała ją od niepokojów ostatnich godzin. Czas minął szybko; nawet nie zauważyła, że słońce zaczęło wschodzić, a wraz z nim powrócił strach o Anakina.

Nie miała dokąd uciec przed lękiem.

– Och, dziękuję, panno Padmé! Dziękuję! – powtarzał rozradowany C-3PO. Ruszył w jej stronę z szeroko rozpostartymi ramionami, lecz zatrzymał się w połowie drogi, jakby nagle przypomniał sobie, iż tego typu zachowania nie są zgodne z protokołem.

Dziękuję powtórzył, tym razem z nieco większą dozą godności. –

bardzo dziękuję.

W drzwiach garażu stanął Owen Lars.

– Tu jesteś – zwrócił się do Padmé. – Wszędzie cię szukamy.

– Byłam tu przez cały czas. Threepio bardzo potrzebował kąpieli w oleju.

– Wiesz, Padmé – odezwał się młody Lars, uśmiechając się szeroko – postanowiłem oddać go Anakinowi. Matka na pewno chciałaby, żeby tak się stało.

Padmé odwzajemniła uśmiech i kiwnęła głową.

– Wrócił! Wrócił! – rozległo się zniecka wołanie Beru. Padmé i Owen bez słowa wybiegli z garażu.

Na powierzchni dołączyli do Beru, a zaraz potem pojawił się Cliegg na repulsorowym fotelu, który z trudem przeciskał się między meblami i przez drzwi podziemnego domostwa.

– Gdzie? – spytała Padmé.

Beru wskazała odległy punkt na pustyni.

Mrużąc oczy i zasłaniając je dłonią przed blaskiem bliźniaczych słońc, Padmé dostrzegła wreszcie na horyzoncie czarną kropkę. Rzeczywiście, to Anakin pędził skuterem w ich stronę. Kiedy ruchomy punkt przybrał kształt ludzkiej sylwetki, kobieta zauważyła, że padawan nie jest sam: do tylnej części ramy maszyny przywiązane było nieruchome ciało.

– Och, Shmi – wyszeptał Cliegg Lars, drżąc na całym ciele. Beru z wysiłkiem stłumiła szloch. Owen stanął obok niej i objął ramieniem. Kiedy Padmé zerknęła na niego ukradkiem, zobaczyła spływającą po policzku łzę.

Chwilę później Anakin hamował już ostro przed milczącą grupą. Bez słowa zsiadł z maszyny i zabrał się do odwiązywania zwłok. Kiedy skończył, wziął ciało matki na ręce i podszedł do Cliegga. Przystanął na moment, dzieląc się bólem z kalekim mężczyzną.

A potem minął go i zniknął we wnętrzu domu.

Padmé nie mogła się otrząsnąć po tym, co zobaczyła w twarzy Anakina. Nigdy dotąd nie widziała takiej mieszanki emocji: wściekłości, rozpacz, poczucia winy i rezygnacji. Wiedziała, że młody padawan wkrótce będzie jej potrzebował.

Nie wiedziała tylko, jak mogłaby mu pomóc.

Tego dnia w domu Larsów nie rozmawiało się wiele. Wszyscy zajęli się swoimi obowiązkami. Robili wszystko, byle tylko nie poddać się rozpacz.

Dlatego Padmé, zajęta szykowaniem posiłku dla Anakina, zdziwiła się nieco, gdy dołączyła do niej Beru. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy narzeczona Owena zapytała:

– Jak tam jest?

Padmé spojrzała na nią zdziwiona.

– Słucham?

– Na Naboo. Jak tam jest?

Minęła długa chwila, nim Padmé zdobyła się na odpowiedź.

– Jest bardzo... bardzo zielono. Mamy mnóstwo wody, drzew i innych roślin. Jest zupełnie inaczej niż tutaj. – Padmé odwróciła się, gdy tylko wypowiedziała te słowa, choć wiedziała, że zachowuje się nieuprzejmie. Teraz jednak chciała być tylko z Anakinem, więc nie mówiąc nic więcej, zabrała się do napełniania tacki jedzeniem.

– W takim razie, Tatooine podoba mi się bardziej – orzekła Beru.

– Może kiedyś odwiedzisz moją planetę – zasugerowała Padmé bardziej z grzeczności, niż dla podtrzymania rozmowy.

– Wątpię. Nie lubię podróżować – odpowiedziała poważnie Beru. Padmé wzięła tacę i ruszyła w stronę wyjścia.

– Dzięki, Beru – rzuciła na pożegnanie, uśmiechając się z przymusem.

Odnalazła Anakina w garażu, przy stole roboczym, zajętego naprawą jednej z części raketowego skutera.

– Przyniosłam ci coś do jedzenia.

Padawan spojrzał na nią przelotnie i wrócił do przerwanej pracy. Padmé zauważyła, że w każdy ruch wkłada przesadną siłę i nie może skoncentrować się na tym, co robi.

– Zmieniacz nawalił – odezwał się z udawanym zainteresowaniem.

– Życie staje się znacznie prostsze, kiedy człowiek zajmuje się po prostu naprawianiem zepsutych rzeczy. Jestem w tym dobry. Zawsze

byłem. Ale...

Z rozmachem cisnął klucz i stanął z opuszczoną głową. Padmé widziała, że jest bliski załamania.

– Dlaczego musiała umrzeć? – spytał cicho. Młoda kobieta postawiła tackę na stole i stanęła za padawanem, obejmując go w pasie i opierając głowę o jego plecy.

– Dlaczego nie mogłem jej uratować? – dążył Anakin. – Przecież wiem, że potrafiłbym!

– Próbowalesz, Annie. – Padmé przytuliła się mocniej. – Są takie rzeczy, których nikt nie jest w stanie naprawić. Nie jesteś wszechmocny.

Na te słowa wyrwał się z jej objęć, ogarnięty gniewem.

– A powinienem być! – warknął, spoglądając na nią z ponurą determinacją. – pewnego dnia będę!

– Nie mów tak, Annie – odpowiedziała przestraszona Padmé, lecz on nawet jej nie słuchał.

– Będę najpotężniejszym spośród wszystkich Jedi! – ciągnął. – mogę ci to obiecać! Nauczę się nawet nie dopuszczać, żeby ludzie umierali!

– Anakinie...

– Wszystko przez Obi-Wana! – Młody Jedi z wściekłością rąbnął pięścią w stół, omal nie strącając tacy. – Usunął mnie w cień!

– Żebyś mógł mnie strzec – odpowiedziała cicho.

– Powinienem był ruszyć z nim, wytropić zabójcę! Zrobiłbym to już dawno temu, a wtedy przyleciałbym tu wcześniej i matka jeszcze by żyła!

– Nie wiesz przecież...

– Zazdrości mi – ciągnął Anakin, nie zwracając uwagi na słowa Padmé. Zrozumiała, że nie mówi już do niej, tylko wypowiada na głos myśli, które w sobie tłumił. Słuchając go, nie wierzyła własnym uszom. – usunął mnie z drogi, bo wie, że już jestem potężniejszy niż on! Próbuje mnie ograniczać!

Padawan podniósł klucz i cisnął nim o ścianę garażu. Narzędzie z głośnym brzękiem wylądowało na podłodze.

– Annie, co ci jest? – zawołała.



– Przecież ci powiedziałem!

– Nie! – odkrzyknęła. – Nie. Co naprawdę cię gnębi? Padawan patrzył na nią w milczeniu.

– Annie?

Wydawało jej się, że Anakin jakby zapadł się w sobie.

– Ja... ja ich zabiłem – wyznał. Gdyby Padmé nie podbiegła i nie chwyciła go mocno w ramiona, upadłby na ziemię. – Zabiłem ich wszystkich – dodał po chwili. – Wyciąłem w pień, co do jednego.

Spojrzał na nią z bólem i odniosła wrażenie, że teraz dopiero powrócił z bardzo, bardzo dalekiej podróży.

– Walczyłeś już... – zaczęła spokojnie.

– Nie tylko mężczyzn – przerwał, nie zwracając na nią uwagi. – A u Tuskenów jedynie mężczyźni są wojownikami. Nie, nie tylko ich... Także kobiety i dzieci. – Twarz Anakina wykrzywiła się w dziwnym grymasie, jakby ścierały się na niej gniew i poczucie winy. – Są jak zwierzęta! – zawołał. – Więc wyrznąłem ich jak zwierzęta! Nienawidzę ich!

Padmé cofnęła się, zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć. Wiedziała, że Anakin czeka na jej słowo lub gest, ale mogła jedynie wpatrywać się w niego jak sparaliżowana. On jednak nie patrzył w jej stronę – długo spoglądał w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, aż wreszcie spuścił głowę i jego silnymi ramionami wstrząsnął szloch.

Padmé przyciągnęła go do siebie i objęła mocno, choć nadal nie wiedziała, co powiedzieć.

– Dlaczego ich tak nienawidzę? – spytał cicho chłopak.

– Nienawidzisz ich, czy tego, co zrobili twojej matce?

– Ich! – powtórzył uparcie.

– Zasłużyli na twój gniew, Anakinie.

Kiedy uniósł głowę, by spojrzeć na Padmé, jego oczy były mokre od łez.

– Było w tym coś jeszcze... – urwał, potrząsnął głową, a potem ukrył twarz w miękkości jej piersi.

Po chwili znowu podniósł głowę, chcąc za wszelką cenę wyjaśnić, co czuje.

– Nie mogłem... Nie umiałem... – wykrztusił, zaciskając rękę w

pięć. – Nie umiałem nad sobą zapanować – przyznał. – Nie chcę ich nienawidzić. Wiem, że nie powinno być we mnie miejsca na nienawiść, ale... nie potrafię im wybaczyć!

– Gniew jest *rzeczą* ludzką – zapewniła go Padmé.

– A kontrolować gniew jest *rzeczą* Jedi – odparował. Odsunął się od niej i wstał, by wyrzeć przez otwarte drzwi na bezmiar pustyni.

Padmé podeszła do niego i objęła w geście pocieszenia.

– Ciiii... – szepnęła i delikatnie pocałowała go w policzek. – Jesteś tylko człowiekiem.

– Nie, jestem Jedi. Wiem, że stać mnie na więcej – odparł, spoglądając jej w oczy i wolno kręcąc głową. – Tak mi przykro. Tak bardzo żałuję...

– Jesteś taki sam jak inni ludzie – powiedziała Padmé. Jego ciałem znowu wstrząsnął rozpaczliwy szloch.

Padmé była przy nim. Tuląc go łagodnie, bez końca powtarzała, że wszystko będzie dobrze.

Obi-Wan Kenobi opadł ciężko na fotel w kabinie myśliwca, kręcąc głową z nieukrywaną irytacją. Bezpieczne wycofanie się z miasta-fabryki zajęło mu sporo czasu i kiedy wreszcie odnalazł swój statek, wydawało mu się, że przygoda dobiegła końca. Mylił się.

– Nadajnik działa – zwrócił się do R4, który zaświergotał twierdząco. – Ale nie odbieramy sygnału zwrotnego. Coruscant jest zbyt daleko. – Jedi spojrział na robota. – Czy możesz zwiększyć moc?

W piskliwej odpowiedzi nie było nic pocieszającego.

– Trzeba będzie spróbować czegoś innego. – Obi-Wan rozejrzał się, szukając rozwiązania. Nie chciał startować i oddalać się od planety, bo mógł zostać wykryty, lecz miał też świadomość, że sygnał z nadajnika nie przebije się z wystarczającą mocą przez gęstą metaliczną atmosferę Geonosis.

– Naboo jest bliżej – stwierdził nagle. R4 pisnął potakująco. – możemy spróbować nawiązać kontakt z Anakinem, a on przekaże wiadomość dalej.

Tym razem R4 odpowiedział entuzjastycznym gwizdem. Obi-Wan

wyskoczył z kabiny pilota, by ponownie nagrać wiadomość przeznaczoną dla Anakina.

Chwilę później astromechaniczny robot dał mu znać, że coś jest nie tak.

Jedi parsknął zniecierpliwiony i wrócił do kabiny.

– Jak to nie ma go na Naboo? – spytał. R4 odpowiedział mu śpiewnym „oooo”. Obi-Wan nie zamierzał sprzeczać się z maszyną. Sprawdził wskazania instrumentów i wkrótce wiedział już, że sygnału wywoławczego Anakina nie sposób było namierzyć nigdzie na Naboo.

– Anakinie? Anakinie? Słyszysz mnie? Tu Obi-Wan Kenobi – powtarzał, unosząc pokładowy komunikator i kierując go mniej więcej w stronę sektora, w którym znajdowała się Naboo.

Po kilku bezowocnych próbach Jedi odłożył nadajnik na miejsce.

– Nie ma go na Naboo, Arfour. Spróbuję rozszerzyć zasięg poszukiwań. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało...

Czas płynął, a Kenobi siedział beczynnym w kabinie. Wiedział, że traci cenne minuty, ale nie miał wyboru. Nie mógł wrócić do wież, bo było to zbyt ryzykowne – wpadka nie wchodziła w rachubę w chwili, gdy miał do przekazania Radzie Jedi tak ważne wieści. Z tego samego powodu nie mógł uciec z czerwonej planety. Poza tym nie dowiedział się jeszcze wszystkiego – potrzebował informacji.

Czekał więc, a jego cierpliwość wreszcie została nagrodzona: R4 dał mu znak radosnym szczebiotem. Obi-Wan pochylił się nad konsoletą i zdumiał się, widząc potwierdzenie odbioru sygnału.

– Zgadza się, to jest sygnał Anakina, ale nadszedł z Tatooine! Co on tam robi, do pioruna!? Przecież kazałem mu zostać na Naboo!

R4 wydał z siebie przeciągłe „oooo”.

– W porządku. Róbnmy swoje, potem dowiemy się prawdy. – Kenobi wyszedł z kabiny i zeskoczył na ziemię. – Nadawaj, Arfour. Mamy mało czasu.

Robot posłusznie skierował ku niemu obiektyw.

– Anakinie? – zaczął Obi-Wan. – Anakinie, czy mnie słyszysz? Tu Obi-Wan Kenobi.

R4 przekazał mu odpowiedź: serię pisków i gwizdów, których zwykle nie używały roboty R4-P, ale które wydały się Obi-Wanowi

znajome.

– Artoo? Świetnie. Odbierasz czysty przekaz? R2 świsnął twierdząco.

– Zarejestruj tę wiadomość i przekaz ją Jedi Skywalkerowi – polecił Kenobi.

Odpowiedział mu kolejny gwizd.

– Anakinie, mój nadajnik dalekiego zasięgu nie działa. Przekaz tę wiadomość na Coruscant...

Jedi rozpoczął opowieść. Nie wiedział jednak, że Geonosjanie przechwycili transmisję i metodą triangulacji obliczyli położenie myśliwca. Zajęty nadawaniem, Obi-Wan Kenobi nie zauważył nawet robotów niszczycieli, które potoczyły się cicho w jego stronę i przyjęły pozycję bojową.

Nawet dwa gorące słońca nad Tatooine nie były w stanie rozjaśnić ponurego nastroju tych, którzy zgromadzili się nad świeżą mogiłą niedaleko domostwa Larsów. Dwa stare nagrobki obok jednego nowego były posępnym dowodem na to, jak trudne było życie na tej niegościnnej planecie. Cliegg, Anakin, Padmé, Owen i Beru zebrali się, by pożegnać Shmi Skywalker. Towarzyszył im wierny C-3PO.

– Wiem, że gdziekolwiek teraz jesteś, tamto miejsce stanie się lepsze – rzekł Cliegg Lars i rzucił na świeżą mogiłę garść suchego piasku. – Byłaś najbardziej kochającą kobietą, o jakiej mógł marzyć mężczyzna. Żegnaj, jedyna. I dziękuję za wszystko.

Anakin wystąpił naprzód i przyklęknął, by rozsypać nad grobem garść piasku.

– Nie byłem dość silny, by cię ocalić, mamó – rzekł, czując się jak mały bezradny chłopiec. Jego ramiona zadrżały lekko, lecz udało mu się opanować szloch i zdławić go głębokim westchnieniem. – Nie byłem dość silny, ale obiecuję ci, że to się nie powtórzy. – Anakin oddychał płytko, z trudem utrzymując równowagę. Wreszcie jednak wziął się w garść, wyprostował i energicznie wstał. – Tęsknię za tobą.

Padmé stanęła za Anakinem i położyła mu rękę na ramieniu. Przez moment wszyscy trwali w milczeniu.

Ciszę przerwała seria natarczywych gwizdów i pisków. Wszyscy odwrócili się jak na komendę i zobaczyli R2-D2 toczącego się pospiesznie w ich stronę.

– Artoo, co tu robisz? – spytała Padmé. Robot zagwizdał niespokojnie.

– Chyba przynosi wiadomość od jakiegoś Obi-Wana Kenobiego – przetłumaczył pospiesznie C-3PO. – Czy to nazwisko coś panu mówi, panie Annie?

Anakin Zesztywniał.

– O co chodzi?

R2 zapiszczał nagle.

– Retransmitować? – dopytywał się padawan. – Dlaczego? Co się stało?

– Mówi, że to bardzo ważne – wtrącił C-3PO.

Spojrząwszy na Cliegga, Owena i Beru – jakby prosząc ich o pozwolenie – Anakin, Padmé i C-3PO ruszyli za podnieconym robotem astromechanicznym w stronę statku. Gdy tylko znaleźli się w środku, R2 zapiszczał i obrócił się w miejscu, by wyświetlić nad pokładem obraz Obi-Wana.

– Anakinie, mój nadajnik dalekiego zasięgu nie działa – przemówił hologram. – Przekaż tę wiadomość na Coruscant. – R2 zatrzymał odtwarzanie. Sylwetka mistrza Jedi znieruchomiała.

Anakin spojrzał na Padmé.

– Prześlij to bezpośrednio do Rady Jedi.

Padmé stanęła przy konsolce i uruchomiwszy sprzęt, odczekała, aż nadszedł sygnał zwrotny z Coruscant. Skinęła głową Anakinowi, który przykucnął obok automatu.

– Dalej, Artoo.

Astromechaniczny robot pisnął cicho i hologram Obi-Wana ożył.

– Tropiąc łowcę nagród, Janga Fetta, dotarłem do fabryk robotów na Geonosis. Federacja Handlowa odbiera stąd całą armię robotów. To oczywiste, że za zamachy na życie pani senator Amidali jest odpowiedzialny wicekról Gunray.

Anakin i Padmé wymienili spojrzenia. Nie byli zaskoczeni tą informacją. Padmé wróciła myślą do spotkania z Typho i Panaka na

Naboo, przed odlotem na Coruscant.

– Gildia Handlowa i Sojusz Korporacyjny także oddają swoje wojska do dyspozycji hrabiego Dooku i tworzą...

Hologram odwrócił się gwałtownie.

– Zaczekajcie!...Zaczekajcie!

Anakin i Padmé mogli tylko patrzeć ze zgrozą, jak roboty niszczyciele, które pojawiły się nagle za Obi-Wanem, biorą go do niewoli. Obraz zamigotał i zniknął.

Padawan zerwał się na równe nogi i ruszył w stronę R2-D2, ale po kilku krokach zatrzymał się, zdając sobie sprawę, że nic się nie da zrobić.

Tymczasem na dalekiej Coruscant, Yoda, Mace Windu i pozostali członkowie Rady Jedi oglądali hologramowy przekaz z wielkim niepokojem.

– Żyje – obwieścił Yoda, kiedy nagranie kolejny raz dobiegło końca. – Wyczuwam go w Mocy.

– Ale jest w ich rękach – dodał Mace. – Sprawy przybierają niebezpieczny obrót.

– Więcej dzieje się na Geonosis, przeczuwam, niż zostało to ujawnione – stwierdził Yoda.

– Zgadzam się – odrzekł Mace Windu. – Nie wolno nam siedzieć beczynn timer – dodał, podobnie jak reszta zebranych spoglądając na Yodę. Mistrz Jedi ze znużeniem przymknął oczy, jakby niepokojące wydarzenia sprawiały mu fizyczny ból.

– Ciemną stronę wyczuwam – odezwał się po chwili. – Ona wszystko spowija.

Mace skinął głową i z powagą spojrział na pozostałych Mistrzów.

– Ruszamy – powiedział, a był to rozkaz, którego w Radzie Jedi nie słyszano od bardzo wielu lat.

– Rozprawimy się z hrabią Dooku – dodał, unosząc komunikator. – A ty, Anakinie, zostań tam, gdzie jesteś. Broń pani senator Amidali za wszelką cenę. To twoje najważniejsze zadanie.

– Rozumiem, Mistrzu – odpowiedział padawan.

Jego pełen rezygnacji głos przeraził Padmé. Nie mogła znieść myśli o tym, że Anakin ma zajmować się nią teraz, kiedy jego mistrz był w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Kiedy hologram zniknął, stanęła przy konsolce i zaczęła przeglądać dane z komputera nawigacyjnego, potwierdzając to, czego się domyślała.

– Muszą przebyć pół galaktyki – zwróciła się do osowiałego Anakina. – Na pewno nie zdążą go uratować.

Padawan nie odpowiedział.

– Posłuchaj, od Geonosis dzieli nas najwyżej parsek! – zawołała. Trzasnęła kilkoma przełącznikami, by wywołać na ekranie fragment mapy z zaznaczoną trasą przelotu. – Anakinie?

– Słyszałaś Mistrza.

– Lecąc z Coruscant, nie zdążą na czas, żeby uratować Obi-Wana – powtórzyła z naciskiem, podnosząc głos. Znowu pochyliła się nad panelem sterującym, tym razem przygotowując silniki do startu, lecz Anakin zatrzymał ją delikatnie, kładąc rękę na jej dłoni.

– Jeżeli jeszcze żyje – rzekł posepnie.

Padmé spojrzała na niego twardo. Po chwili odwrócił się i odszedł.

– Annie, będziesz tu siedział i czekał, aż go zabiją? – krzyknęła, biegnąc za nim i chwytając go mocno za ramię. – To twój przyjaciel! Twój mentor!

– Jest dla mnie jak ojciec! – odrzekł Anakin. – Ale słyszałaś Mistrza Windu. Jego rozkaz był jasny: mam zostać tu, gdzie jestem.

Padmé rozumiała już, co dzieje się z Anakinem; przestał wierzyć we własne siły, czuł się przegrany, bo nie zdołał ocalić matki. Być może też po raz pierwszy w życiu wątpił w swój wewnętrzny głos, w swój instynkt. Padmé musiała znaleźć jakiś sposób, by przywrócić mu chęć do działania – nie tylko dla dobra Obi-Wana, ale i samego Anakina. Przeczynała, że jeśli zostaną na Tatooine, straci dwóch przyjaciół: Geonosjanie zabiją Kenobiego, a poczucie winy zniszczy Skywalkera.

– Jego rozkaz był jasny: masz tu zostać tylko po to, żeby mnie chronić – poprawiła go z uśmiechem Padmé, mając nadzieję, że padawan przypomni sobie poprzednie polecenie Rady, które jawnie

zignorował, opuszczając Naboo. Podeszła do konsoli, by wcisnąć jeszcze kilka klawiszy. Silniki obudziły się z rykiem.

– Padmé!

– Masz mnie chronić – powtórzyła – a ja zamierzam ocalić Obi-Wana. Jeśli chcesz wykonać rozkaz, musisz lecieć ze mną.

Anakin patrzył na nią przez chwilę, a ona wytrzymała to spojrzenie. Kaskada ciemnych włosów zasłaniała część jej twarzy, lecz nie oczy, w których odbijały się miłość i zapał.

Anakin wiedział, że bez względu na argumenty Padmé, odlot z Tatooine będzie równoznaczny ze złamaniem rozkazu Mace'a Windu. Był padawanem Jedi. Nie tego od niego oczekiwano.

Ale czy taka myśl kiedykolwiek powstrzymała go przed działaniem?

Szybko podszedł do konsoli, a chwilę później srebrzysty statek Padmé mknął po niebie nad Tatooine.



# ROZDZIAŁ

# 22

Aura łagodnego piękna, spowijająca Budynek Władz Wykonawczych na Coruscant, otoczony fontannami, sadzawkami, kolumnadami i pomnikami, była przeciwieństwem narastającego niepokoju, który panował we wnętrzu gmachu. Słowa przekazane Yodzie Radzie Jedi przez Obi-Wana dotarły teraz do Kanclerza i czołowych postaci senatu. Mogły oznaczać tylko jedno: Republika się rozpada. Dlatego w gabinecie Kanclerza Palpatine'a panowała atmosfera przygnębienia i nerwowości. Goście przywódcy Republiki czuli, jak rozpaczliwa jest sytuacja, a jednocześnie pragnęli działać; przygnębiał ich jedynie brak realnych opcji.

Yoda, Mace Windu i Ki-Adi-Mundi reprezentowali na spotkaniu Zakon Jedi. Ich niezmałony spokój silnie kontrastował z nerwową energią senatorów Baila Organy i Aska Aaka oraz przedstawiciela Jar Jar Binksa. Palpatin'e, siedzący za wielkim biurkiem, przysłuchiwał się relacji Jedi z wyrazem głębokiej rozpaczy na twarzy, stojący zaś obok Mas Amedda sprawiał wrażenie bliskiego łez.

Kiedy Mistrz Windu streścił wiadomość otrzymaną z Geonosis, w gabinecie na bardzo długą chwilę zapadła grobowa cisza.

Yoda, wsparty na małej lasce, spojrzał na Baila Organę – kompetentnego polityka, któremu ufał – i nieznacznie skinął głową. Senator z Alderaana zrozumiał sygnał i rozpoczął dyskusję.

– Gildia Handlowa przygotowuje się do wojny – powiedział. – moim zdaniem, raport Obi-Wana Kenobiego nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości.

– O ile jest ścisły – odrzekł szybko porywczy Ask Aak.

– Jest – zapewnił go Mace Windu. Słowa Mistrza w zupełności wystarczyły Askowi Aakowi. Yoda domyślił się, że skory do czynów senator wtrącił tę uwagę tylko po to, by Jedi otwarcie potwierdzili wagę raportu, a tym samym zaszczepili w zebranych przekonanie, iż Republika istotnie jest o krok od katastrofy.

– Hrabia Dooku musiał *zawrzeć* z nimi jakiś pakt – rzekł Kanclerz Palpatin'e.

– Trzeba ich powstrzymać, zanim będą gotowi do wojny – dodał Bail Organa.

Jar Jar Binks podszedł bliżej, trzęsąc się ze zdenerwowania, ale przynajmniej trzymając długi język w zamkniętych ustach.

– Wybaczycie, wasza szanowna Wielki Kanclerzu, łaskawco – zaczął Gunganin. – Może te Jedi powstrzymać armia buntowników?

– Dziękuję, Jar Jar – odparł uprzejmie Palpatin'e. – Mistrzu Yodo, ilu Jedi moglibyście wysłać na Geonosis?

– W całej galaktyce tysiące są rycerzy Jedi – odrzekł Mistrz. – jednak do tej misji tylko dwie setki wysłać możemy.

– Z całym szacunkiem dla Zakonu, tylu może nie wystarczyć – stwierdził Bail Organa.

– Drogą negocjacji Jedi utrzymują pokój – odparł Yoda. – Wojny zaczynać nie zamierzamy.

Głęboki spokój mistrzów zdawał się rozniecać tym większe emocje w Asku Aaaku.

– Koniec debaty! – zawołał. – Potrzebna nam teraz armia klonów, o której mówił Mistrz Windu.

Yoda wolno opuścił powieki, wiedząc, że senator ma rację.

– Niestety, to nie koniec debaty – sprostował Bail Organa. – Senat nie zgodzi się na użycie armii, póki separatyści nie zaatakują. A wtedy najprawdopodobniej będzie już za późno.

– To poważny kryzys – ośmielił się wtrącić Mas Amedda. – Senat musi przyznać Kanclerzowi nadzwyczajne uprawnienia! Wtedy wystarczy jednoosobowa decyzja, by wykorzystać armię klonów.

Głęboko poruszony Palpatin'e odchylił się w fotelu.

– Ale który z senatorów odważy się wystąpić z tak radykalną

propozycją? – spytał z wahaniem.

– Ja! – zadeklarował Ask Aak.

Siedzący obok niego Bail Organa roześmiał się bezradnie i pokręcił głową.

– Obawiam się, że ciebie nie posłuchają, przyjacielu. Ani mnie – dodał szybko, gdy Ask Aak posłał mu groźne spojrzenie. – Zbyt wiele politycznego kapitału zmarnowaliśmy na dyskutowanie o filozofii poczynań separatystów i namawianie naszych kolegów do działania. Jeżeli wychylimy się teraz, nasi koledzy uznają, że popadamy w wielką przesadę. Potrzebny nam głos rozsądku, głos kogoś, kto biorąc pod uwagę aktualną sytuację, gotów jest nawet diametralnie zmienić swoje poglądy.

– Jaka szkoda, że nie ma tu pani senator Amidali – westchnął Mas Amedda.

Jar Jar Binks bez wahania wystąpił na środek.

– Moja moc, Wielki Kanclerzu – rzekł Gunganin, prostując obwisłe ramiona. – Moja wielki przyjaciel senator – dodał, spoglądając na zebranych. – Moja dumnie zaproponować wnioska o specjalne uprawnienie dla Wasza Ekscelecja.

Palpatin'e przeniósł wzrok z roztrzęsionego Gunganina na Baila Organa.

– Zastępuje Amidalę – stwierdził senator z Alderaanu. – Według zasad obowiązujących w senacie, słowa Jar Jar Binksa są odbiciem intencji pani senator Amidali.

Palpatin'e smutno skinął głową. Yoda wyczuł jego strach i pomyślał, że przeczuwa, iż lada chwila znajdzie się w trudnym położeniu – W sytuacji, w jakiej ani on, ani Republika, nie znaleźli się nigdy dotąd.

Obracając się wolno w polu siłowym, otoczonym błękitnymi wyładowaniami energii, Obi-Wan Kenobi mógł tylko patrzeć bezradnie na hrabiego Dooku, który właśnie wszedł do sali. Twarz byłego Jedi wykrzywił grymas zatroskania, w którego szczerość więzień bardzo wątpił. Elegancki mężczyzna zatrzymał się i uniósł

głowę.

– Zdrajca – warknął Obi-Wan.

– Witaj, przyjacielu – odrzekł Dooku. – To, oczywiście fatalna pomyłka. Gospodarze posunęli się za daleko, to po prostu szaleństwo!

– Wydawało mi się, że ty tu rządysz, Dooku – odparł Kenobi, starając się mówić spokojnie.

– Zapewniam, że nie miałem nic wspólnego z tym, co cię spotkało – powiedział z naciskiem. Sprawiał wrażenie urażonego tym oskarżeniem. – I obiecuję ci, że natychmiast wniosę petycję w tej sprawie. Muszą cię uwolnić.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Mam zadanie do wykonania. – Obi-Wan dostrzegł lekką zmianę w wyrazie twarzy hrabiego, krótkotrwały przebłysk... gniewu?

– Czy wolno spytać, dlaczego rycerz Jedi znalazł się w tak odległych stronach?

Obi-Wan zastanawiał się przez chwilę i doszedł do wniosku, że ma niewiele do stracenia. Jeżeli ma dotrzeć do prawdy, musi przycisnąć Dooku.

– Śledziłem łowcę nagród, niejakiego Janga Fetta. Znasz go?

– Z tego, co wiem, nie ma tu ani jednego łowcy. Geonosjanie nie darzą ich zaufaniem.

Zaufanie! Dobre sobie, pomyślał Obi-Wan.

– Trudno mieć do nich pretensje, prawda? – odezwał się beztrudno. – A jednak zapewniam cię, że on tu jest.

Hrabia Dooku milczał przez chwilę, a potem skinął głową, jakby przyznawał więźniowi rację.

– Doprawdy, wielka szkoda, Obi-Wanie, że nasze ścieżki nie skrzyżowały się wcześniej – odezwał się w końcu głosem pełnym ciepła. – Qui-Gon zawsze mówił o tobie z wielkim uznaniem. Żałuję, że nie ma go już wśród żywych. Przydałaby mi się teraz jego pomoc.

– Qui-Gon Jinn nigdy by się do ciebie nie przyłączył.

– Nie bądź tego taki pewny, mój młody Jedi – odparł hrabia, uśmiechając się ze spokojem i niezachwianą pewnością siebie. Zapominasz, że Qui-Gon był kiedyś moim uczniem, tak jak ty jego.

– I wydaje ci się, że lojalność wobec ciebie byłaby dla niego

ważniejsza, niż posłuszeństwo Radzie Jedi i służba Republice?

– Wiedział wszystko o korupcji w senacie – ciągnął bez zająknięcia Dooku. – Zresztą wszyscy oni wiedzą... nawet Yoda i Mace Windu. Ale Qui-Gon nigdy nie pogodziłby się z tym, co się teraz dzieje, gdyby znał prawdę, tak jak ja. – Dramatyczne milczenie hrabiego miało zachęcić Obi-Wana do podjęcia wątku.

– Prawdę?

– Prawdę – przytaknął z mocą Dooku. Czy uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, że Republika jest pod kontrolą Czarnych Lordów Sithów?

Słowa hrabiego poraziły Obi-Wana mocniej, niż mogłyby to zrobić łuki elektryczne otaczające jego klatkę z pola siłowego.

– Nie! To niemożliwe. – Myślał gorączkowo, poszukując kontrargumentów. Przecież jako jedyny z żyjących Jedi stoczył pojedynek z Sithem, kończąc bitwę, w której zginął Qui-Gon. – Jedi wiedzieliby o tym – rzekł po chwili.

– Ciemna strona Mocy osłabia ich zmysły, przyjacielu – wyjaśnił spokojnie Dooku. – Setki senatorów znajdują się pod wpływem Lorda Sithów, Dartha Sidiousa.

– Nie wierzę ci – oznajmił kategorycznie Obi-Wan. W duchu jednak pragnął, by jego wiara była równie pewna, jak słowa, które właśnie wypowiedział.

– Swego czasu wicekról Federacji Handlowej współpracował z Darthem Sidiousem – rzekł Dooku. Brzmiało to całkiem rozsądnie, biorąc pod uwagę niezwykle wydarzenia sprzed dziesięciu lat. – Został jednak zdradzony przez Czarnego Lorda i zgłosił się do mnie, żeby prosić o pomoc. Powiedział mi o wszystkim. Był pewny, że Rada Jedi nie dałaby wiary jego słowom. Ja sam wiele razy próbowałem ostrzec Mistrzów, ale nie chcieli mnie słuchać. Kiedy wreszcie wyczują obecność Czarnego Lorda i zrozumieją swój błąd, będzie już za późno. Musisz przyłączyć się do mnie, Obi-Wanie. Razem zdołamy pokonać tych Sithów.

Wszystko, co mówił hrabia, wydawało się rozsądne, logiczne, a jednak pod gładkimi zdaniem i przyjacielskim tonem byłego Jedi Kenobi wyczuwał coś, co przeczyło logice.

– Nigdy nie przyłączę do ciebie, Dooku!

Hrabia Dooku westchnął głęboko, nie kryjąc rozczarowania, po czym ruszył w stronę wyjścia.

– Niewykluczone, że rozmowy w sprawie zwrócenia ci wolności nie będą łatwe – rzucił na odchodnym.

Zbliżając się do Geonosis, Anakin użył tego samego sposobu, którym posłużył się Obi-Wan: ustawił statek w taki sposób, by pas asteroid otaczający planetę zasłonił go przed flotą Federacji Handlowej. Podobnie jak jego mentor, padawan zdziwił się, widząc na orbicie dobrze znane groźne sylwetki neimoidiańskich okrętów.

Młody Jedi wprowadził statek w atmosferę i czym prędzej obniżył pułap lotu, by kluczyć ciasnymi dolinami i omijać strzeliste formacje skalne. Padmé stała przy nim, obserwując linię horyzontu.

– Widzisz te ogromne słupy pary przed nami? – spytała nagle, wyciągając rękę. – Zdaje się, że unoszą się nad otworami wentylacyjnymi.

– Powinny okazać się odpowiednie – mruknął Anakin i skorygował kurs, kierując maszynę ku wielkim, białym, pionowym chmurom. Wleciał w sam środek jednej z nich i przez otwór wentylacyjny z wyczuciem opuścił statek pod ziemię.

Chwilę po tym, jak łapy ładownicze dotknęły gruntu, podróżni byli gotowi do wyjścia na zewnątrz.

– Cokolwiek się stanie, masz mnie słuchać – przykazała Anakinowi Padmé. – nie zamierzam toczyć z nikim wojny. Jako senator spróbuje znaleźć dyplomatyczne rozwiązanie sporu.

Dla padawana, który tak niedawno z fatalnym skutkiem zdał się na dyplomację miecza świetlnego, były to słowa boleśnie słuszne.

– Zaufasz mi? – spytała.

Anakin wiedział już, że czytała w jego twarzy jak w otwartej księdze.

– Nie martw się – odparł z uśmiechem. – Nie zamierzam się z tobą kłócić.

Kiedy szli w stronę rampy, rozległ się błagalny gwizd R2-D2.

– Zostańcie na pokładzie – poinstruowała automaty Padmé, po

czym wraz z Anakinem wyszła na zewnątrz. Szybko zorientowali się, że gigantyczny podziemny kompleks był fabryką robotów bojowych.

Wkrótce potem R2-D2 wyciągnął nieco „nogi”, by ześlizgnąć się z platformy zabezpieczającej, i natychmiast potoczył się w stronę wjazdu i rampy.

– Mój mały smutny przyjacielu, gdyby potrzebowali twojej pomocy, poprosiliby o nią – wyjaśnił mu C-3PO. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć o ludziach.

Nie zatrzymując się, R2 zapisał w odpowiedzi.

– Wyjątkowo dużo myślisz, jak na twór mechaniczny – odparował android protokolarny. – Ale to mnie zaprogramowano tak, żebym rozumiał ludzi.

Astromechaniczny robot przystanął i wydał z siebie serię krótkich, pełnych zdziwienia gwizdów.

– „I co z tego”?! – powtórzył C-3PO. – To, że ja tu rządę! R2-D2 nawet nie odpowiedział, tylko znowu potoczył się w stronę rampy i zjechał nią w dół.

– Zaczekaj! – zawołał C-3PO. – Co ty wyprawiasz? Straciłeś rozum?!

To, co usłyszał, nie było szczególnie miłe.

– Gbur!

Ale R2 nie zareagował; coraz szybciej oddalał się od statku.

– Proszę, zaczekaj! – krzyknął android protokolarny. – Wiesz chociaż, dokąd jedziesz?!

Odpowiedź astromechanicznego robota nie brzmiała zbyt pewnie, ale ostatnią rzeczą, której pragnął C-3PO, była samotność na pokładzie statku. Popędził więc za R2, pokrzykując i rozglądając się nerwowo.

Anakin i Padmé przemykali między kolumnami w przestronnych korytarzach miasta – fabryki. Odgłos ich kroków ginął w szczękę i huk niezliczonych maszyn pracujących w salach znajdujących się jeszcze głębiej pod ziemią. Kompleks sprawiał jednak wrażenie

opustoszałego, co wzbudziło podejrzenia młodego padawana.

– Dlaczego tu nikogo nie ma? – szepnęła Padmé, jakby czytała w jego myślach.

Anakin uciszył ją ruchem dłoni i przekrzywił głowę, ponieważ w tej samej chwili wyczuł... coś.

– Zaczekaj – wyszeptał.

Uniósł rękę jeszcze wyżej i nasłuchiwał w skupieniu – nie łowił jednak dźwięków, lecz sygnały napływające poprzez Moc. Czuł, że coś czai się w pobliżu. Spojrzał w górę, ku wysokiemu sklepieniu, i z mieszaniną strachu i zdumienia dostrzegł, że belki pulsują, niczym żywe istoty.

– Anakinie! – krzyknęła Padmé. Na jej oczach od jednej z kolumn odkleiło się kilka skrzydlatych postaci, które lotem nurkowym pomknęły ku intruzom. Były długie i szczupłe, ale nie wychudłe, raczej żylaste i silne. Skóra na ich ciałach – a także na skrzydłach – była pomarańczowa.

Skywalker włączył miecz i polegając wyłącznie na instynkcie, ciął szerokim łukiem, pozbawiając nadlatującą istotę części skrzydła. Napastnik runął ciężko na posadzkę, lecz jego miejsce zajął następny i wkrótce nad padawanem krążyła ich cała chmara.

Anakin pchnął klingą w prawo i zaraz wyszarpnął ją z dymiącego ciała, by zakreślić młynka nad głową. Dwie okaleczone istoty zwały się na ziemię.

– Uciekaj! – krzyknął do Padmé, ale ona nie potrzebowała zachęty; biegła już ile sił w nogach w stronę dalekiej bramy. Wymachując mieczem, by utrzymać przeciwników w przyzwoitej odległości, Anakin popędził za nią. Kiedy w pełnym biegu minął portal i dogonił Padmé, omal nie spadli w otchłań, nad którą urywał się pomost.

– Wracamy! – zawołała Padmé, lecz nim zdążyli się odwrócić, drzwi zatrzasnęły się z hukiem, odcinając im drogę ucieczki. Skrzydlate istoty znowu nad nimi latały, a co gorsza, krótki pomost zaczął wsuwać się w głąb ściany.

Padmé nie wahała się długo. Skoczyła – póki jeszcze miała wybór – a przesuając się poniżej taśmy transportera.

– Padmé! – krzyknął Anakin i natychmiast skoczył za nią. Gdy



tylko wylądował na taśmie, skrzydlaci Geonosjanie otoczyli go całą gromadą. Tnąc desperacko mieczem, z największym trudem powstrzymywał ich atak.



– Wielkie nieba – jęknął C-3PO, wodząc wzrokiem po wnętrzu olbrzymiej fabryki. Stał z R2-D2 na wysokiej półce, z której rozciągał się doskonały widok na to, co działo się poniżej. – Maszyny tworzą maszyny. Jakie to perwersyjne!

R2 zagwizdał natarczywie.

– Uspokój się – polecił mu C-3PO. – O czym ty mówisz? Wcale ci nie zawadzam!

Astromechaniczny robot nie zamierzał wdawać się w kłótnię. Ruszył, bezceremonialnie strącając towarzysza z półki. Android protokolarny z wrzaskiem poleciał w dół, zahaczył o latającego robota transportowego i wreszcie wylądował na taśmie produkcyjnej. Artoo stoczył się z półki zaraz potem. Zrobił to celowo. Małe silniczki odrzutowe uniosły go w powietrze i poszybował w stronę dalekich pulpity sterowniczych.

– A niech cię, Artoo! – zawołał C-3PO, próbując jakoś się pozbierać. – Mogłeś mnie ostrzec! Zdradzić swoje plany! – Zrzędząc, zdołał wreszcie stanąć. W samą porę, by trafić pod pracującą poziomą ścinarkę.

Specjalista do spraw protokołu zdołał wydać z siebie pojedynczy krzyk, nim wirujące ostrze odcięło mu głowę. Korpus androida runął bezwładnie na taśmę, a głowa potoczyła się w bok i spadła na sąsiedni transporter, na którym także znajdowały się głowy – tyle że przeznaczone dla robotów bojowych.

Opuściwszy najbliższe stanowisko spawania, C-3PO zorientował się, że jego głowa została umocowana do ciała robota bojowego.

– Szkaradzieństwo! – wykrzyknął. – Jak można konstruować tak

obrzydliwe maszyny? – Rozejrzawszy się, dostrzegł swoje prawdziwe ciało dojeżdżające właśnie do automatycznej stacji roboczej, która błyskawicznie zamontowała na nim głowę robota bojowego.

– Nic nie rozumiem – jęknął zdezorientowany C-3PO.

Tymczasem R2-D2 nie interesował się losem mechanicznego przyjaciela, bo wreszcie wypatrzył Padmé i natychmiast za nią ruszył.

Dziewczyna miotła się po sunącej szybko taśmie produkcyjnej, przewracając się, przebierając zawzięcie nogami i przyspieszając nagle, by przebiec pod unoszącymi się na moment prasami, których ciężar wyciskał z płatów metalu części grubych panczerzy robotów. Przemknawszy pod jedną z maszyn, biegła w miejscu, by wybrać najodpowiedniejszy moment na pokonanie kolejnej przeszkody.

Wreszcie pojawił się nad nią skrzydlaty Geonosjanin. Napastnik chwycił ją mocno, lecz po krótkiej szamotaninie zdołała się uwolnić i – mając nadzieję, że wybrała właściwy moment – skoczyła w przód. W ostatniej chwili zdążyła wymknąć się spod prasy, która z łomotem opadła na taśmę, miażdżąc głowę Geonosjanina.

Padmé nie zauważyła nawet, co się stało, miała przed sobą kolejną maszynę. Znowu udało jej się przeturlać pod uniesionym ciężarem, lecz tuż przed nią wylądował kolejny przeciwnik. Geonosjanin chwycił ją żyłastymi ramionami i otoczył błoniastymi skrzydłami.

Walczyła zajądło, ale wróg był zbyt silny: uniósł się w powietrze, trzymając Padmé w żelaznym uścisku, by po chwili zrzucić ją wprost do wielkiej pustej kadzi.

Anakin, siekący mieczem chmurę skrzydlatych Geonosjan i na razie unikający zmiżdżenia przez pracujące rytmicznie maszyny, kątem oka dostrzegł, co się stało.

– Padmé! – krzyknął, wyłaniając się spod kolejnej prasy.

W żaden sposób nie mógł w tej chwili pospieszyć na ratunek Padmé, uwięzionej w kadzi, która wolno i nieuchronnie zbliżała się do miejsca przeznaczenia: rozlewni płynnego metalu.

– Padmé!

Tnąc na odlew przez pierś kolejnego przeciwnika, patrzył bezsilny i przerażony jak ukochana zmierza ku pewnej śmierci.

Walczył zaciekle, roztrącając napastników i nieustannie wołając

Padmé. Wreszcie przeskoczył na sąsiedni pas, roztrzając jadące na nim podzespoły robotów, a potem na kolejną taśmę produkcyjną, cały czas próbując zbliżyć się do wolno sunącej kadzi. Padmé tymczasem bezskutecznie usiłowała wydostać się z głębokiego naczynia, które lada chwila miało napełnić się roztopionym metalem. Anakin pomyślał, że jego ostatnią szansą będzie daleki skok wspomagany Mocą, lecz w tej samej chwili znalazł się zbyt blisko maszyny, która pochwyciła jego ramię i zamknęła je w stalowym uścisku imadła, by zaprogramowanym ruchem umieścić je pod ostrzem pilarki.

Anakin znalazł oparcie w uwieczonym ramieniu i obunóż wymierzył potężnego kopniaka Geonosjaninowi, który go gonił. Szarpnął z całej siły, próbując wyrwać rękę z uścisku. W ostatniej chwili udało mu się uniknąć kontaktu z ostrzem, lecz nie zdołał cofnąć ramienia na tyle, by ocalić miecz; bezlitosna maszyna rozcięła rękojeść na dwoje.

Padawan obejrzał się przez ramię i zrozumiał, że utrata broni nie była największym ciosem, jaki mógł go spotkać.

– Padmé! – krzyknął zdesperowany.

Nagle koło wielkiej kadzi wylądował R2-D2. Robot natychmiast zabrał się do roboty, wsuwając manipulator w gniazdo komputera i w pośpiechu przeglądając pliki sterujące urządzeniem. Pracował uważnie, próbując nie myśleć o tym, że jego pani za chwilę zostanie utrwalona na wieki w bryle metalu.

Po chwili ciągnącej się w nieskończoność wreszcie dopiął swego: udało mu się wyłączyć właściwy fragment taśmy produkcyjnej. Kadź zatrzymała się niespełna metr przed strumieniem rozżarzonego metalu. Nim Padmé zdążyła odetchnąć z ulgą, wylądowała przy niej grupa skrzydlatych stworzeń, które pochwyciły ją żyłastymi ramionami.

Anakin, wciąż jeszcze zmagający się z maszyną, która uwieźliła jego rękę, odpędził kolejnego Geonosjanina. Mógł jednak tylko przyglądać się z żalem, jak do hali wtacza się oddział śmiertelnie niebezpiecznych robotów niszczycieli. Maszyny przyjęły pozycję bojową, otaczając go kręgiem.

Nagle przed padawanem wylądował człowiek z plecakiem

rakietowym i z blasterem wycelowanym w jego pierś.

– Nie ruszaj się, Jedi! – rozkazał.

Senator Amidala siedziała u szczytu wielkiego stołu konferencyjnego. Za nią stał Anakin. Miejsce po przeciwnej stronie zajmował hrabia Dooku z Jangiem Fettelem w charakterze ochrony. Trudno jednak było mówić o równowadze sił, bo w przeciwieństwie do padawana, łowca nagród był uzbrojony, a salę otaczali geonosjańscy strażnicy.

– Wiemy, że rycerz Jedi, Obi-Wan Kenobi, jest tu przetrzymywany siłą – powiedziała Padmé spokojnym tonem, który nieraz już pozwolił jej wyjść zwycięsko z negocjacji w senacie. – Składam na pańskie ręce formalne żądanie uwolnienia go.

– Został oskarżony o szpiegostwo, pani senator, i zostanie stracony. Za kilka godzin, o ile mi wiadomo.

– Przybył tu w służbie Republiki – odpowiedziała Padmé, podnosząc nieco głos. – Nie macie prawa.

– My nie uznajemy Republiki – odparł Dooku. – Gdyby jednak Naboo dołączyła do naszego sojuszu, zapewne wysłuchałbym waszej prośby.

– A jeżeli nie przyłączymy się do waszego buntu, Jedi umrze, a my wraz z nim, prawda?

– Nie zależy mi na tym, by ktokolwiek przystępował do nas wbrew własnej woli, pani senator. Wierzę jednak, że jest pani rozsądnym i uczciwym przedstawicielem swego ludu i przypuszczam, że chce pani działać w najlepszym interesie Naboo. Czyż pani rodacy nie mają dość korupcji, biurokracji i hipokryzji władz? A pani? Proszę odpowiedzieć szczerze.

Słowa hrabiego ubodły Padmé, ponieważ nie mogła zaprzeczyć, że było w nich ziarno prawdy. Ziarno wystarczająco duże, by deklaracje wygłaszane przez Dooku przyciągnęły do ruchu separatystycznego tysiące systemów gwiazdnych. Jednak jeszcze bardziej bolesna była dla Padmé sytuacja, w której się znalazła; owszem, wierzyła wciąż w ideały, które były fundamentem Republiki, ale czym była ta wiara

wobec faktu, że za chwilę miała stracić życie w obronie swoich przekonań? Co gorsza, musiała zadać sobie pytanie, czy ideały te warte są śmierci Anakina. W tym momencie w pełni zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo kocha młodą padawanę, jednak nawet za cenę życia nie umiała wyrzec się zasad, w które od zawsze wierzyła.

– Ideały pozostają żywe, hrabio, nawet jeśli instytucje upadają.

– Przecież wierzymy w te same ideały! – odrzekł natychmiast Dooku, dostrzegając szansę na porozumienie. – Oboje walczymy o to, by przywrócić im należyte znaczenie.

– Skoro tak, powinien był pan pozostać w Republice i pomóc Kanclerzowi Palpatine’owi w jej odnowie.

– Kanclerz ma dobre intencje, pani, ale jest niekompetentny – odparował Dooku. – Obiecał, że ukróci biurokrację, tymczasem biurokraci są dziś silniejsi niż kiedykolwiek. Republiki nie można naprawić. Pora zacząć od początku. Rzekoma demokracja jest tylko mistyfikacją, grą, którą mamy się wyborców. Nadejdzie jednak czas, kiedy kult chciwości zwany dziś Republiką utraci ostatnie pozory wolności i demokracji.

Padmé słuchała tej tyrady z zaciśniętymi zębami, powtarzając sobie w duchu, że słowa hrabiego są grubą przesadą i służą wyłącznie usprawiedliwieniu jego czynów. Świadomość faktu, iż ten sam człowiek więził Obi-Wana i zamierzał pozbawić go życia, wystarczyła jej, by dostrzec fałsz pod gładką fasadą. Czy władze Republiki więziły i skazywały na śmierć swoich przeciwników? Czy sama Padmé służyłaby jej, gdyby tak właśnie było?

– Nie wierzę w to – odrzekła zdecydowanie. – Wiem o pańskich układach z Federacją Handlową, Gildią Handlową i innymi, hrabio. To, co się tu dzieje, to już nie władza kupiona przez przedsiębiorców, to przedsiębiorcy sięgający po władzę! Nie zamierzam wyrzec się tego, w co zawsze wierzyłam i nad czym pracowałam. Nie zdradzę Republiki.

– A więc woli pani zdradzić swych przyjaciół Jedi? Jeżeli nie nawiążemy współpracy, nie będę mógł powstrzymać ich egzekucji.

– I w tym stwierdzeniu kryje się cała prawda o proponowanych przez pana „zmianach na lepsze” – stwierdziła gorzko. Jej głos

brzmiał pewnie i stanowczo, choć serce i dusza były w głębokiej rozterce. Hrabia Dooku patrzył na nią ze spokojem dobrze wyszkolonego dyplomaty i tylko na ułamek sekundy jego rysy wykrzywił grymas bezsilnej wściekłości.

– Co stanie się ze mną? – odezwała się Padmé po chwili milczenia.  
– Czy i mnie zamierza pan zabić?

– Nigdy bym nie pomyślał o tak ohydny postępku – odparł Dooku. – Obawiam się jednak, że nie brakuje osób żywo zainteresowanych uśmierceniem pani. Nie ma to zresztą nic wspólnego z polityką; to sprawy czysto osobiste. Pani wrogowie ponieśli już ogromne koszty kilku nieudanych zamachów i jestem pewien, że będą nalegać, by tym razem ich plany zostały zrealizowane. Przykro mi, ale wobec odmowy współpracy muszę przekazać panią w ręce Geonosjan, którzy zajmą się wymierzeniem sprawiedliwości. Nic więcej nie mogę dla pani zrobić.

– Sprawiedliwości – powtórzyła z niedowierzaniem Padmé, kręcąc głową i uśmiechając się ironicznie.

Dooku odczekał jeszcze kilka chwil, a potem odwrócił się i skinął głową w stronę Janga Fetta.

– Wyprowadzić ich! – rozkazał łowca nagród.



C-3PO był rozczarowany, kiedy przekonał się, co miał na myśli geonosjański nadzorca, mówiąc:

– Do szeregu z nim!

Znalazł się w grupie ćwiczących robotów bojowych liczącej tuzin szeregów po dwadzieścia jednostek. Maszyny poddawano właśnie wszechstronnym testom oprogramowania, by wkrótce odesłać je na platformy, którymi miały dotrzeć wprost na rampy załadownicze okrętów wojennych Federacji Handlowej.

Nieszczęsny android protokolarny był tak przerażony panującym

dokoła rozgardiaszem i tak nieprzyzwyczajony do nowego ciała, że kiedy Geonosjanin zawołał „w lewo zwrot”, odwrócił się w prawo. Gdy padła komenda „naprzód marsz”, stojący naprzeciwko niego robot bojowy ruszył żwawo przed siebie, pchając C-3PO.

– Zatrzymaj się! – zawołał błagalnie android. – Podrapiesz mi lakier! Błagam, Stanze wreszcie!

Nie doczekał się odpowiedzi, ponieważ roboty bojowe zaprogramowano tak, by słuchały wyłącznie poleceń przełożonych.

– Stój! – wołał, obawiając się, że lada chwila zostanie przewrócony i stratowany przez masywnego mechanicznego żołnierza i czterech następnych, którzy maszerowali o krok za nim. Wreszcie sensory przymocowane do nowiutkiego korpusu odpowiedziały mu skuteczne rozwiązanie. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, C-3PO wypalił z lasera wbudowanego na stałe w prawe ramię. Strzał z minimalnej odległości przebił napierśnik robota bojowego i rozniósł mechanizm na strzępy.

– O rety! – jęknął C-3PO.

– Stać! – ryknął Geonosjanin prowadzący musztrę i cały oddział zamarł bez ruchu. Cały z wyjątkiem androida protokolarnego, który rozglądał się na wszystkie strony, kręcąc pancernym tułowiem i rozpaczliwie szukając wyjścia z sytuacji. Kiedy C-3PO usłyszał komendę: „zabrać 4.7 do przeprogramowania”, szybko obliczył swoją pozycję w szyku i doszedł do wniosku, że dowódca ma na myśli właśnie jego.

– Chwileczkę, to pomyłka! – zawołał, gdy para krępych robotów remontowych pochwyciła go mocarnymi ramionami. – To nie tak! Zaprogramowano mnie, żebym znał trzy miliony języków, a nie żebym maszerował!

# ROZDZIAŁ

# 23

Zanim jeszcze Mace Windu dotarł do końca korytarza, wyczuł wielki smutek Yody. Sędziwy Mistrz siedział na balkonie, z którego mógł obserwować całą salę Galaktycznego Senatu. W dole panował chaos; wrzaski, obelgi, argumenty i kontrargumenty wykrzykiwane jednocześnie – wszystko to układało się w przygnębiający obraz upadku parlamentarnych obyczajów. Mace Windu rozumiał troskę Yody i podzielał ją. Tak właśnie działał system sprawowania władzy, którego Zakon przysięgał bronić. W takich chwilach Mistrzowie wątpili, czy członkowie senatu warci są ochrony.

Słabości Republiki były tu widoczne jak na dłoni. Mace Windu i Yoda dostrzegali też biurokratyczne nonsensy, które nie pozwalały na gruntowną reformę systemu. Chaos, którego świadkami byli w tej chwili, stał się pożywką dla ruchu separatystycznego dowodzonego przez hrabiego Dooku oraz szansą dla silnych grup interesu, takich jak Federacja Handlowa, nastawionych na bezwzględną eksploatację galaktyki.

Mace Windu dotarł do końca korytarza i usiadł w fotelu obok Yody. Nie odzywał się, bo nie było o czym mówić. Zadaniem Zakonu było obserwowanie wydarzeń i występowanie w obronie Republiki.

Bez względu na to, jak nedorzeczne było zachowanie tych, którzy nią władali.

Mace i Yoda w milczeniu przysłuchiwali się wrzaskom senatorów i w spokoju przyglądali się tym, którzy swoje argumenty wzmacniali, wymachując – w zależności od rasy, do której należeli – pięściami lub



innymi wypustkami. Na podium pośrodku sali stał Mas Amedda, nerwowo zerkający na boki i bezskutecznie wzywający parlamentarzystów do zachowania powagi.

Po wielu minutach krzyki wreszcie ucichły.

– Spokój! Spokój! – powtórzył Mas Amedda, jakby chciał się upewnić, że sytuacja nie wymknie się spod kontroli po raz drugi.

Kanclerz Palpatin'e stanął na mównicy i rozejrzał się uważnie po sali.

– Pod nieobecność pani senator Amidali – zaczął, wyraźnie wymawiając każde słowo – przewodniczący udziela głosu starszemu przedstawicielowi systemu Naboo, Jar Jar Binksowi.

Mace spojrzał na Yodę, który z zamkniętymi oczami przysłuchiwał się nagłemu wybuchowi okrzyków poparcia i sprzeciwu, które podzieliły zgromadzenie na dwie mniej więcej równe części. Wszyscy wiedzieli, jak wielką wagę będą miały słowa reprezentanta Naboo, więc w sali znowu zawrzało.

Mace spojrzał w dół i wreszcie wypatrzył platformę sunącą w stronę centralnej mównicy. Lecącemu nią Jar Jarowi towarzyszyli gungańscy doradcy.

– Senatorowie! – zawołał Binks. – Danowni szelegaci... Gromki śmiech był niemal tak głośny, jak niedawne kłótnie i krzyki, lecz nie trwał długo.

– Odwagi, Jar Jar – szepnął Mace Windu, patrząc na zmieszanego Gunganina, którego dziób i policzki nabrały nagle intensywnie czerwonej barwy.

– Spokój! – krzyknął Mas Amedda z głównej mównicy. – Senat zechce uprzejmie wysłuchać przedstawiciela Naboo!

Kiedy zapadła cisza, majordomus dał znak Jar Jarowi, który stał tylko dzięki temu, że mocno trzymał się krawędzi platformy.

– Wobec bezpośredniego zagrożenia Republiki – zaczął Gunganin zadziwiająco poprawnie – nasza proponować, by Senat natychmiast przekazać nadzwyczajne uprawnienia Wielkiemu Kanclerzowi.

W absolutnej ciszy delegaci rozważali słowa Jar Jara. A potem rozległy się pierwsze oklaski i wiwaty, które wkrótce zagłuszyły słabe protesty opozycji. Choć nie ma jej tu dzisiaj, pomyślał Mace, to

zwycięstwo należy do Amidali. Wiele lat pracowała nad tym, by zdobyć zaufanie delegatów. Gdyby ktokolwiek inny niż przedstawiciel Naboo przemawiający w imieniu Amidali zaproponował tak drastyczne posunięcie, debata trwałaby długo, a jej wynik byłby niepewny. Skoro jednak była królowa zdecydowała się zmienić zdanie w sprawie powołania sił zbrojnych Republiki, jej wierni sprzymierzeńcy zrobili to samo.

Zgiełk trwał dobrych kilka minut. Głosy sprzeciwu były coraz cichsze, w przeciwieństwie do okrzyków poparcia dla słów Binksa. Wreszcie Kanclerz Palpatin'e uniósł ręce, prosząc o ciszę.

Z wielkim wahaniem przyjmuję tę ogromną odpowiedzialność zaczął. Kocham demokrację. Kocham Republikę. Jestem z natury łagodny i nie chciałbym oglądać schyłku demokratycznego systemu rządów. Obiecuję, że gdy tylko zażegnamy kryzys, zrzekną się władzy, którą przekazujecie w moje ręce. Pierwszym dekretem rozkażą utworzyć wielką armię dla Republiki, która przeciwstawi się rosnącemu zagrożeniu ze strony separatystów.

– Stało się – rzekł Mace Windu do Yody. Mistrz posepnie skinął głową. – Zbiorę tylu Jedi, ilu mamy pod ręką i ruszę z nimi na Geonosis. Trzeba pomóc Obi-Wanowi.

– Ja zaś kloniarzy z planety Kamino odwiedzę. Obejrzeć muszę tę armię, którą dla Republiki wyhodowali – odrzekł Yoda.

Dwaj Mistrzowie Jedi razem opuścili gmach Senatu.

Sala nie różniła się zbytnio od innych sal sądowych na większości światów galaktyki – centralną część ograniczały wygięte w łuk balustrady, miejsca dla stron umieszczono na podwyższeniach, a dużą część powierzchni przeznaczono dla widowni. Na tym jednak kończyły się skojarzenia z cywilizowanym wymiarem sprawiedliwości – posiedzeniu „sądu” przewodniczył Poggle Mniejszy, arcyksiążę Geonosis, asystował mu zaś jego najbliższy doradca, Sun Fac, więc o rzetelnym procesie nie mogło być mowy. W pozostałych członkach składu sędziowskiego Padmé rozpoznała senatorów z planet, które poparły już separatystów oraz dygnitarzy z rozmaitych stowarzyszeń

handlowych i z Galaktycznego Klanu Bankowego.

Lustrowała ich wzrokiem z wielką uwagą, widząc w ich oczach przede wszystkim otwartą wrogość. To nie było ani przesłuchanie, ani proces, a jedynie proklamacja nienawiści.

Padmé nie zdziwiła się więc, gdy Sun Fac wystąpił na środek i oświadczył:

– Zostaliście oskarżeni o szpiegostwo i uznani za winnych.

To tyle, jeśli chodzi o dowody, pomyślała.

– Czy macie coś do powiedzenia, zanim wyrok zostanie wykonany? – spytał arcyksiążę Poggle Mniejszy.

Senator Amidala bez wahania spojrzała prosto w oczy Geonosjanina.

– To, co robicie, jest aktem wojny, arcyksiążę. Mam nadzieję, że jesteście gotowi ponieść konsekwencje.

Geonosjanin roześmiał się.

– Zajmujemy się konstruowaniem broni, pani senator. Z tego żyjemy! Oczywiście, że jesteśmy gotowi!

– Zróbcie to wreszcie! – rozległ się gdzieś z boku niecierpliwy głos Nute'a Gunraya. – wykonajcie wreszcie wyrok. Chcę widzieć, jak ona cierpi.

Padmé tylko pokręciła głową. Jedyłą jej winą było to, że kiedy była królową, pokrzyżowała Neimoidianinowi plany inwazji na jej ojczystą planetę. Nie ugięła się przed siłą Gunraya i jego Federacji. I pomyśleć, że zgodziła się na ułaskawienie neimoidiańskich przywódców po niesławnej blokadzie Naboo!

– Wasz przyjaciel Jedi już na was czeka, pani senator – rzekł arcyksiążę Poggle Mniejszy, po czym skinął dłonią na strażników. – Wyprowadzić ich na arenę!

Mały chłopiec stojący w głębi sali z uwagą przysłuchiwał się temu, co mówiono, raz po raz spoglądając na ojca.

– Nakarmią nimi bestie? – spytał Boba Fett. Jango spojrzał na syna i zaśmiał się cicho.

– Tak, Boba. – Wiele razy opowiadał chłopcu o geonosjańskiej

arenie.

– Mam nadzieję, że wypuszczą acklaya – W głosie chłopca nie było emocji. – Ciekaw jestem, czy jest tak potężny, jak czytałem.

Łowca z uśmiechem skinął głową, rozbawiony tym, że jego syn już interesuje się takimi sprawami i zadowolony z obojętności, z jaką o nich mówił. Boba przejawiał pragmatyczne podejście do kwestii egzekucji trojga ludzi. Ojciec zawsze mu powtarzał, że chłodny spokój i praktyczne podejście do życia są kluczem do przetrwania w brutalnej rzeczywistości galaktyki.

Boba był pojętym uczniem.

Potok informacji, który wlewano do pamięci C-3PO, zapewne uformowałby jego charakter w taki sposób, jak życzyli sobie tego Geonosjanie, gdyby nie to, że jego obwody i tak pękały w szwach od danych z dziedziny lingwistyki. Android protokolarny samowolnie zajął się więc tłumaczeniem każdej nowej instrukcji na wiele języków, dzięki czemu nowe oprogramowanie zostało tak rozcieńczone”, że nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

Subtelna działalność C-3PO umknęła uwadze brutali, którzy poddawali go przymusowemu ładowaniu programów bojowych. Zaledwie po kilku godzinach odłączyli go od komputera i poprowadzili przez wielką halę produkcyjną.

I tam właśnie do sensorów androida dotarły znajome błagalne gwizdy.

– Artoo! – zawołał, kręcąc głową na wszystkie strony. Wreszcie wypatrzył swojego kompana, pracującego przy jednej z konsol. R2-D2 obrócił kopułkę i ponownie wydał z siebie żalosne „ooooo”.

– Och, Artoo! – jęknął C-3PO i zanim dotarło do niego, co właściwie robi, ustawił celownik na sworzniu ogranicznika, który przyspawano do korpusu astromechanicznego robota.

Pojedynczy strzał urwał sworzeń i pomknął rykoszetem przez całą halę.

– Ejże! – zawołał jeden z robotów instruktorów, spiesząc w stronę C-3PO.

– Zdaje się, że trzeba mu jeszcze raz załadować program – odezwał się drugi.

Szef zespołu naprawczego pokręcił kopulastą głową.

– Nie – powiedział. – W zasadzie nic się nie stało. Tylko zabierzcie go wreszcie na plac ćwiczeń!

Automaty wyprowadziły C-3PO.

Wkrótce potem R2-D2 niepostrzeżenie oddalił się od stanowiska, przy którym go ustawiono. Ponieważ wszystkie pozostałe roboty w okolicy wyposażono w ograniczniki, sala w zasadzie nie była strzeżona.

Mały robot astromechaniczny był wolny.

Tunel był mroczny, ponury i cichy, jeśli nie liczyć rozbrzmiewającego co pewien czas echa wiwatów tłumu, który zgromadził się wokół pobliskiej areny. Stał w nim dwukołowy furgon – otwarty owal o spadzistej masce, przypominający nieco głowę owada, z której ktoś wyciął górą część. Anakin i Padmé zostali do niego wepchnięci do środka i uwiązani do mocnej konstrukcji, twarzami do siebie.

Zachwiali się, kiedy furgon ruszył w głąb ciemnego tunelu.

– Nie bój się – szepnął Anakin.

Padmé uśmiechnęła się do niego z niezachwianym spokojem.

– Nie boję się śmierci – odpowiedziała miękko. – Umierałam po trochu każdego dnia, odkąd znowu pojawiłeś się w moim życiu.

– O czym ty mówisz?

Słowa, które usłyszał, były szczerze i pełne ciepła.

– Kocham cię.

– Kochasz mnie? – powtórzył oszołomiony. – Kochasz mnie! Przecież postanowiliśmy, że się w sobie nie zakochamy. Że nie będziemy żyć w kłamstwie, które może zniszczyć nasze życie. – W głębi duszy padawan czuł jednak bezgraniczną radość.

– Za chwilę i tak stracimy życie – odparła Padmé – a moja miłość do ciebie, Annie, jest zagadką, na którą nie znam odpowiedzi. Nie umiem nad nią panować; zresztą teraz to już nie ma znaczenia.

Kocham cię głęboko i chcę, żebyś wiedział o tym, zanim zginiemy.

Pochyliła się ku niemu na tyle, na ile pozwoliły jej więzy. Anakin zrobił to samo i na moment znaleźli się tak blisko siebie, że ich usta spotkały się w delikatnym pocałunku, który trwał i z każdą chwilą nabierał mocy, lepiej niż słowa przekazując to, co już dawno powinni byli sobie wyznać. Nagle uświadomili sobie, ile fałszu było w ich heroicznej decyzji o wyrzeczeniu się uczuć w imię przyszłości.

Rozkoszna chwila nie trwała długo; woźnica strzelił z bicia i wóz wtoczył się na piaszczystą nawierzchnię wielkiego stadionu, pełnego żądnych wrażeń Geonosjan.

Cztery solidne pale – mniej więcej metrowej średnicy – sterczały z ziemi pośrodku areny. Padmé i Anakin dostrzegli przy jednym z nich znajomą postać, spętaną łańcuchami.

– Obi-Wan! – krzyknął padawan, kiedy wyciągano go z wozu, by przykuć do słupa o kilka metrów od mistrza.

– Zaczynałem się zastanawiać, czy otrzymałeś moją wiadomość – powiedział. Jedi skrzywili się, patrząc, jak geonosjańscy strażnicy bez ceregieli wloką Padmé w stronę pala i pętają jej ręce łańcuchem. Widzieli, jak podejmuje daremną próbę wyswobodzenia się, lecz nie dostrzegli pewnego szczegółu: tego, że zdołała ukryć w dłoni kawałek drutu.

– Przekazałem ją dalej, jak sobie tego życzyłeś, mistrzu – wyjaśnił Anakin. – A potem postanowiliśmy pospieszyć ci na ratunek.

– Dobra robota – odparł sarkastycznie Obi-Wan i stęknął cicho, gdy łańcuch oplatający jego nadgarstki pociągnięto w górę. Unieruchomiony, mógł tylko patrzeć bezradnie na to, co sprawcy robią z Anakinem i Padmé. Wszyscy troje mogli obracać się nieco na boki, dzięki czemu dostrzegli wchodzących do loży dygnitarzy – mistrzów ceremonii – których twarze znali aż nadto dobrze.

– Zbrodniarze, których tu widzicie, dopuścili się szpiegostwa na terytorium Suwerennego Systemu Geonosis – obwieścił głośno sługus arcyksięcia, Sun Fac. – Wyrok śmierci zostanie wykonany natychmiast, tu, na tej arenie.

Tłum odpowiedział ogłuszającym radosnym wyciem.

– Lubią te egzekucje – stwierdził sucho Obi-Wan.

Tymczasem miejsce Suna Faca zajął Poggle Mniejszy. Uniósł ręce, prosząc widzów o ciszę.

– Postanowiłem, że dzisiejsze widowisko będzie wyjątkowe oznajmił, wzbudzając jeszcze głośniejszy aplauz publiczności. – Którzy z naszych ulubieńców najefektowniej rozprawiliby się z tak szacownym gronem przestępców? To pytanie zadawałem sobie mnóstwo razy i przez wiele godzin nie umiałem znaleźć odpowiedzi. I wreszcie dokonałem wyboru... – przywódca zawiesił głos, a tłumy zamarły w oczekiwaniu. – Reek! – wrzasnął triumfalnie Poggle. Niemal natychmiast uniesiono wrota zasłaniające tunel po przeciwnej stronie areny. Z wnętrza wynurzyło się czworonożne zwierzę o masywnym torsie, długiej paszczy i trzech groźnych rogach, z których jeden wyrastał ze środka z górnej szczęki, dwa zaś sterczały po bokach. Reek dorównywał wzrostem dorosłemu Wookiemu i był szeroki w barach na prawie dwa metry. Geonosjańscy pikadorzy z długimi włóczniami w dłoniach, dosiadający dziwnych bydłał o wydłużonych pyskach, zagnali bestię na środek areny.

Kiedy wiwaty ucichły, Poggle Mniejszy ponownie zaskoczył poddanych.

– Nexu! – ryknął donośnie. Otworzono drugą bramę, by wypuścić na arenę drapieżną bestię o kocich ruchach. Łeb zwierzęcia był zdumiewająco wielki – tylko dwukrotnie mniejszy od korpusu – a pełne ostrych kłów szczęki mogły rozwierać się tak szeroko, że przegryzienie człowieka na pół byłoby dla nich błahostką. Kosmaty grzebień ciągnął się wzdłuż grzbietu nexu od głowy aż po zad i kończył się u nasady długiego ogona, bijącego niespokojnie o boki.

– Oraz acklay! – krzyknął Poggle, zanim na trybunach zapanował względny spokój. Z trzeciego tunelu wybiegła bestia jeszcze bardziej odrażająca od poprzednich. Poruszała się niczym pajak na czterech długich nogach, z których każda zakończona była długimi szponami. Wymachiwała przy tym łapami, ze świstem przecinając powietrze wielkimi i ostrymi pazurami. Łeb, ozdobiony długim pofalowanym rogiem, znajdował się ponad dwa metry nad ziemią. Podczas gdy pozostałe dwa stworzenia potrzebowały zachęty pikadorów, acklay toczył dokoła głodnym wzrokiem i sam rwał się do walki.

Widać było, że właśnie on jest ulubieńcem publiczności, a zwłaszcza małego chłopca, sklonowanego syna Janga Fetta, który wraz z ojcem zasiadł między dygnitarzami. Boba z uśmiechem recytował z pamięci wszystko, co wiedział o wyczynach zabójczo skutecznego acklaya.

– Powinno być zabawnie, przynajmniej dla nich – zauważył Obi-Wan, przyglądając się szaleństwu, które zapanowało na szczelnie wypełnionych trybunach.

– Co? – zdziwił się Anakin.

– Nieważne – mruknął Kenobi. – Jesteś gotów do walki?

– Do walki? – powtórzył sceptycznie padawan, spoglądając na skute nadgarstki i na trzy potwory, które teraz dopiero zauważyły, że podano im obiad.

– Chyba nie chcesz, żeby widzowie żalowali wydanych pieniędzy? – spytał Obi-Wan. – Zajmij się tym z prawej, ja biorę na siebie tego z lewej.

– A co z Padmé? – Mężczyźni spojrzeli w jej stronę i przekonali się, że ich sprytna towarzyszka skorzystała już z ukrytego w dłoni drutu; otworzyła jeden z zamków spinających kajdany i zdołała odwrócić się twarzą do słupa. Używając łańcucha, sprawnie wdrapała się na szczyt pala i przysiadła na nim, pracując zawzięcie nad drugim zamkiem.

– Zdaje się, że lubi być górą – skomentował drwiąco Obi-Wan.

Anakin odwrócił się w samą porę, by zareagować na szarżę reeka. Skoczył wysoko w górę i rogaty łeb bestii z impetem huknął w solidny pał. Młody Jedi dostrzegł dla siebie szansę; opadł ciężko na grzbiet zwierzęcia i szybko owinął łańcuch wokół rogu. Reek wierzgnął i szarpnął, bez trudu wyrywając ze słupa mocowania łańcucha, a potem ruszył z kopyta, w dzikim tańcu starając się zrzucić z grzbietu człowieka. Anakin rąbnął wolnym końcem łańcucha w bok łba bestii, która natychmiast pochwyciła ogniwa kłami i trzymała uparcie, nieświadomie oferując jeźdźcowi coś w rodzaju cugli.





Załadowawszy do pamięci plany kompleksu fabrycznego, R2-D2 nie miał już problemów z poruszaniem się niezliczonymi korytarzami. Toczył się więc swoją drogą, pogwizdując beztrudnie, by nie zwracać na siebie uwagi kręcących się tu i ówdzie Geonosjan.

Żaden z nich i tak nie interesował się małym automatem, który domyślał się nawet przyczyny ich obojętności; chodziło zapewne o wielkie wydarzenie – potrójną egzekucję odbywającą się właśnie na pobliskiej arenie. Astromechaniczny robot nie miał kłopotu z odgadnięciem tożsamości nieszczęsnych skazańców.

Przemierzając korytarze miasta – fabryki, starał się mimo wszystko unikać spotkań z Geonosjanami, a jeśli już musiał ich mijać, próbował zachowywać się swobodnie, jakby był u siebie.

Wiedział jednak, że w rejonie areny czekać go będzie przeprawa przez tłum wrogów i mógł tylko mieć nadzieję, że będą zbyt zajęci widowiskiem, by zwracać uwagę na niepozornego robota.

Obi-Wan szybko zrozumiał, dlaczego Acklay jest ulubieńcem publiczności. Zwierzę stanęło na tylnych łapach i ruszyło na niego z siłą huraganu. Jedi zdążył skryć się za palem, lecz bestia z trzaskiem przecięła potężnymi pazurami drewno i łańcuch. Uwolniony przez ślepego furia Acklaya, Kenobi rzucił się pędem w stronę najbliższego pikadora, a potwór pognął za nim. Geonosjanin pochylił włócznie w stronę nadbiegającego rycerza, lecz ten uniknął jej grotu, a pochwycił drzewce. Mocne szarpnięcie wyrwało broń z rąk pikadora. Obi-Wan końcem włóczni spłoszył jego wierzchowca, który natychmiast stanął dęba. Nie zwalniając tempa, Jedi wbił drzewce w ziemię i używając go jako tyczki, przeskoczył nad pikadorem i jego bydłem.

Acklay i tym razem wybrał krótszą drogę: w pełnym biegu zderzył się z Jeźdźcem i wierzchowcem, posyłając na piach oszołomionego Geonosjanina. Życie pikadora skończyło się chwilę później, gdy

pochwyciły go monstrualne szpony bestii.

Tymczasem Padmé, siedząc na szczycie pala, walczyła z drugim zamkiem kajdan. Nexu nie zamierzał jednak czekać; skoczył w jej stronę, ale zdołała uniknąć ciosu. Stwór natychmiast powtórzył atak.

Padmé zdzieliła go łańcuchem.

Nexu nie ustępował; wbijając pazury w drewno, znowu wspiął się niemal na szczyt i nagle skoczył, by stanąć na dwóch łapach przed zaskoczoną Padmé, z donośnym rykiem zwycięstwa.

Tłumy widzów umilkły, oczekując pierwszej krwawej ofiary.

W chwili, gdy nexu uderzył, Padmé wykonała obrót. Pazury rozdarły materiał jej kombinezonu i drasnęły skórę na plecach, lecz swobodny koniec łańcucha zawirował wraz z nią i z ogromną siłą uderzył w pysk bestii. Zwierzę runęło na ziemię, lecz Padmé jeszcze nie skończyła rozprawy. Skoczyła, trzymając się łańcucha, który wyprężył się i pociągnął ją do tyłu. Siła szarpnięcia sprawiła, że Padmé okrążyła pal, podkurczając jednocześnie nogi i wymierzając stworowi podwójnego kopniaka; powaliła go na zryty pazurami piach.

Nie zatrzymując się ani na chwilę, wspięła się z powrotem na szczyt słupa i ze zdwojoną energią zabrała się do odpinania łańcucha.

Z gardeł widzów wydarł się jęk.

– To niedozwolone! – wrzasnął Nute Gunray z łoża dla ważnych osobistości. – Tak nie wolno! Zastrzelcie ją albo nie wiem, co!

– Ooo! – zawołał z podziwem Boba Fett. Jango, który bawił się równie dobrze, położył dłoń na ramieniu syna.

– Nexu ją dopadnie, wicekrólu – zapewnił roztrzęsionego Neimoidianina Poggle Mniejszy.

Gunray nie usiadł już, podobnie jak pozostali dygnitarze i reszta rozentuzjasmowanej widowni. Tłum znowu jęknął, gdy Obi-Wan obiegł leżące na ziemi bydlę i posłał odebraną pikadorowi włócznię w stronę szyi rozwścieczonego acklaya. Bestia zawyła z bólu i jednym ciosem odsunęła gramolącego się niezgrabnie orraya.

Tymczasem nexu odzyskał równowagę i zaczął skradać się w stronę pala, na którym siedziała Padmé, lecz ona była już wolna.

Stwór nie zwrócił na to uwagi; był tuż pod nią i tocząc ślinę z karykaturalnie wielkiej paszczyki, spoglądał na nią nienawistnie. Sprężył się i przykucnął, sposobiąc się do skoku.

I wtedy właśnie został stratowany przez reeka, na którego grzbiecie siedział Anakin.

– Jesteś cała? – zawołał padawan.

– Jasne.

– Wskakuj! – krzyknął. Padmé skoczyła, by wylądować miękko tuż za plecami Anakina.

Kiedy mijali rannego rozwścieczonego acklaya, Obi-Wan chwycił rękę Padmé i usadowił się za nią na grzbiecie pędzącego reeka.

Boba Fett znowu pisnął z zachwyty, tak jak większość Geonosjan. Tylko Nute Gunray nie był zachwycony.

– Nie tak miało być! – warknął w stronę hrabiego Dooku. – Powinna już być martwa!

– Cierpliwości – odparł spokojnie hrabia.

– Nie! – odkrzyknął rozsierdzony Neimoidianin. – Jango, wykończ ją!

Łowca nagród spojrzał na niego z rozbawieniem i skinął głową byłemu Jedi, który gestem nakazał mu pozostać na miejscu.

– Cierpliwości, wicekrólu – powtórzył Dooku. – Ona umrze. Wypowiadając te słowa, wyciągnął rękę w stronę areny i oczom Gunraya, który wprost kipiał z wściekłości, ukazała się grupa robotów niszczycieli wytaczających się właśnie z bocznego tunelu. Maszyny okrążyły reeka z trojgiem więźniów na grzbiecie, po czym sprawnie przyjęły pozycję bojową. Anakin nie miał wyboru – musiał mocno szarpnąć cugle, by zatrzymać bestię.

– Widzisz? – spytał łagodnie Dooku.

Wyraz twarzy hrabiego zmienił się jednak na mgnienie oka, gdy za jego plecami rozległo się nagle znajome buczenie. Dooku zerknął szybko na prawo i zobaczył purpurową klingę miecza świetlnego tuż przy szyi Janga Fetta. Odwrócił się, by bardzo powoli spojrzeć na tego, kto trzyma broń.

– Mistrz Windu rzekł uprzejmie. – Jak to miło, że do nas dołączyłeś! Zjawiłeś się dokładnie w chwili prawdy. Przyznam szczerze, że twoim dwóm podopiecznym przydałoby się porządne szkolenie.

– Przykro mi, ale muszę cię rozczarować, Dooku – odparł chłodno Mace. – Koniec widowiska. – Mistrz Jedi zasalutował włączonym mieczem, dając w ten sposób umówiony sygnał, po czym znowu wziął na cel Janga Fetta.

W jednej chwili na trybunach wokół areny rozbłysła setka energetycznych ostrzy trzymanyh przez rycerzy Jedi.

Widzowie umilkli.

Po krótkiej chwili zastanowienia hrabia Dooku odwrócił się nieznacznie i zerknął na Mace'a Windu.

– Odważne to, ale głupie, mój stary przyjacielu. Jest was za mało, nie macie żadnych szans.

– Mylisz się – odparł Mistrz. – Twoi gospodarze nie są wojownikami. Jeden Jedi jest wart tyle, co stu Geonosjan.

Hrabia Dooku rozejrzał się po stadionie z szerokim uśmiechem.

– Nie miałem na myśli Geonosjan. Jak sądzisz, czy jeden Jedi jest wart tyle, co tysiąc robotów bojowych?

Wypowiedział te słowa w samą porę, gdyż w korytarzu za plecami Mace'a Windu właśnie pojawił się oddział robotów, w biegu strzelających z karabinów laserowych. Jedi zareagował błyskawicznie, obracając się na pięcie i odbijając mieczem deszcz błyskawic tak, by raziły atakujące maszyny. Wiedział jednak, że ta grupka jest najmniejszym z jego zmartwień, rozejrzawszy się bowiem pośpiesznie, dostrzegł przyczynę pewności hrabiego Dooku: na arenę wszystkimi tunelami i bramami jednocześnie wbiegały tysiące robotów bojowych.

Bitwa rozgorzała na dobre. Skowyt strzałów z blasterów zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Rycerze Jedi przebijali się przez gęszcz nieprzyjaciół, zawzięcie pracując mieczami, by łączyć się w niewielkie grupki i osłaniać się wzajemnie przed huraganowym ogniem. Geonosjanie tylko potęgowali zamieszanie – niektórzy próbowali atakować Jedi i ginęli dziesiątkami, inni zaś usiłowali

wydostać się ze stadionu.

Mace Windu odwrócił się gwałtownie, wyczuwając, że najbardziej niebezpieczny wróg czai się za jego plecami. Stał twarzą w twarz z Jango Fettelem, który spokojnie mierzył w jego stronę z miotacza płomieni.

Broń wypaliła i długi płaszcz Mistrza Jedi natychmiast zajął się ogniem. Mając przed sobą hrabiego Dooku i łowcę nagród jednocześnie, Mace Windu salwował się ucieczką. Wsparty Mocą skok przeniósł go wprost na arenę, gdzie zdarł z siebie płonącą szatę i rzucił na ziemię.

Wokół niego trwała *zazarta* bitwa. Wielu Jedi dotarło już na arenę i stawiało opór legionom robotów bojowych, inni zaś przebijali się dopiero od strony trybun i rzucali w wir walki tam, gdzie tłum uzbrojonych maszyn był najgęściejszy. Mace skrzywił się, widząc jak Obi-Wan, Anakin i Padmé szerokim łukiem spadają z grzbietu reeka, który z przerażenia zaczął wierzgać i miotać się we wszystkie strony. Dał znak swoim rycerzom, ale niepotrzebnie, bo stojący najbliżej już biegli na pomoc lądującym na ziemi towarzyszom, rzucając w ich stronę zapasowe miecze.

Kiedy mistrz i uczeń włączyli broń – Anakin dostał miecz z zieloną klingą, a Obi-Wan z niebieską – a między nimi stanęła Padmé ze zdobycznym pistoletem blasterowym, Mace odetchnął z ulgą.

Chwilę później Mistrz Jedi znalazł się w ogniu walki: z niewiarygodną szybkością odbijał świetlistą klingą blasterowe bolty, którymi zasypywał go cały oddział robotów. Wkrótce udało mu się przebić na środek areny, gdzie dołączył do Obi-Wana. Stojąc plecami do siebie, sunęli przez ciżbę automatów jak burza, na przemian blokując strzały i tnąc metalowe ciała. Kenobi zaatakował jedną z maszyn cięciem z góry, a gdy robot w odpowiedzi uniósł broń, Jedi błyskawicznie zamienili się miejscami i Mace Windu przepołowił metalowy korpus niskim poziomym ciosem.

Anakin i Padmé walczyli podobnie – stojąc blisko, plecami do siebie. Młody Jedi zajmował się przede wszystkim blokowaniem błyskawic nadlatujących w ich stronę, Padmé zaś starannie mierzonymi strzałami z pistoletu eliminowała z walki roboty i Geonosjan.

Jednak mimo wysiłków i odwagi garstki Jedi, mimo stert nieruchomych szczątków maszyn, widać było, że ogromna przewaga liczebna Geonosjan i ich robotów prędzej czy później przyniesie im zwycięstwo. Rycerze pomалу wycofywali się w stronę centralnej części areny, choć nie było to miejsce, w którym łatwiej było walczyć – tu bowiem prócz ludzi i maszyn szalały także dwie krwiożercze bestie, niszczące wszystko, co stało na ich drodze.

W samym środku chaosu wmaszerował dziarsko C-3PO – a raczej jego ciało, na którym fabryczne automaty zamontowały głowę robota bojowego. Jego udział w bitwie nie trwał długo: zabłąkana błyskawica trafiła go prosto w szyję, odrywając metalowy czerep od korpusu.

Po przeciwnej stronie areny maszerował C-3PO, a właściwie tylko jego głowa przykręcona do ciała robota bojowego..

– Moje nogi znieruchomiały! – zawołał specjalista do spraw protokolarnych, choć ani na chwilę nie przestał iść. – Zdaje się, że potrzebuję oleju.

W kompletnym chaosie, który panował na geonosjańskiej arenie, nie było miejsca na uporządkowane i skoordynowane działania. Liczyła się tylko improwizacja.

Padmé była w swoim żywiole. Oddając strzał przy każdym kroku, przemieszczała się w stronę wozu, który przywiózł ją i Anakina na miejsce kaźni. Dotarwszy do celu, wdrapała się na grzbiet zdezorientowanego orraya, wciąż jeszcze stojącego w zaprzęgu.

Padawan posuwał się tuż za nią, płynnymi ruchami klingi kierując błyskawice z powrotem w stronę wystrzeliwujących je robotów. Gdy tylko znalazł się w wozie, Padmé ponagliła orraya do biegu.

Furgon potoczył się wokół areny, podskakując na walających się wszędzie szczątkach robotów i ciałach Geonosjan. Padmé nie przestawała strzelać, Anakin zaś siał jeszcze większe spustoszenie, wprawnie blokując świszczące dokoła błyskawice.

Kiedy C-3PO wyszedł z tunelu i znalazł się znienacka w samym środku bitwy, jego fotoreceptory z pewnością wyszłyby z orbit, gdyby tylko było to możliwe.

– Gdzie my jesteśmy? – zawołał. – Przecież to bitwa! O nie! Jestem prostym androidem protokolarnym! Nie potrafię walczyć! Nie chcę zginąć!

Automat hybryda nie przetrwał na arenie dłużej, niż jego druga połowa. Wkrótce zjawiał się przed nim mistrz Jedi, Kit Fisto, który jednym pchnięciem Mocy powalił go na ziemię, a sekundę później wykonał szybki piruet i ciosem miecza unicestwił robota stojącego obok. Bezżytyczny wrak mechanicznego wojownika runął na ziemię, przygniatając C-3PO.

– Pomocy! Jestem w potrzasku! Nie mogę wstać! – jęczał android protokolarny, lecz nikt nie zwracał uwagi na jego skargi.

Z jednym wyjątkiem.

R2-D2 odważnie wtoczył się na arenę i zaczął kluczyć między walczącymi.

Żaden oddział robotów bojowych nie miał szans na rozdzielenie Mace'a i Obi-Wana, tak doskonale zgrani byli Jedi i z takim kunsztem posługiwali się bronią. Jednak nawet para mieczy świetlnych nie wystarczyła, kiedy pojawił się szarżujący reek. Jedi nie mieli wyboru: musieli uskoczyć w przeciwne strony.

Potwór pobiegł za Mace'em, który młóćąc zaciekle miezem, zdołał zatrzymać go i zmusić do odwrotu. Wreszcie jednak reek trafił go wielkim łbem i Mistrz runął na ziemię, gubiąc broń. Poderwał się natychmiast i wiedział, że zdoła jeszcze zwieść bestię, by sięgnąć po leżący w piasku miecz, lecz w tej samej chwili wylądował przed nim człowiek w pancerzu, z plecakiem raketowym na grzbiecie i blasterem w dłoni.

Mace Windu sięgnął po Moc, by przywołać miecz wprost do ręki. Zapalił klingę w ostatniej chwili, by odparować pierwszy strzał Janga Fetta. Z drugim poszło mu już znacznie lepiej – zdołał odbić błyskawicę do łowcy, lecz ten już rzucił się w bok, gotów do oddania

całej serii strzałów.

I oddałby bez wątpienia, gdyby nie reek. Zwierzę, niepotrafiące odróżnić wroga od przyjaciela, rzuciło się w stronę Fetta. Łowca nagród wystrzelił kilka razy, lecz energetyczne wiązki tylko nieznacznie spowolniły ruchy bestii. Reek wziął Janga na rogi i odrzucił w bok, by stratować go w pełnym biegu, ale mężczyzna zdołał usunąć się z drogi i znowu zaczął strzelać. Był szybki. Za każdym razem, gdy potwór próbował go zmiażdżyć, Fett posyłał w stronę jego brzucha kilka niosących dużą energię błyskawic.

Wreszcie bestia zaczęła się chwiać. Jango przezornie wymknął się spod niej, nim wreszcie padła na piach i znieruchomiła.

Mace Windu natychmiast podjął przerwany pojedynek. Łowca uchylił się przed ciosem miecza świetlnego i odpalił rakiety, by unieść się w powietrze. Lądując co chwilę, próbował trzymać się poza zasięgiem ręcznej broni Mistrza i od czasu do czasu oddawał w jego stronę pojedyncze strzały.

Mace musiał przyznać, że jego przeciwnik jest doskonałym wojownikiem. Niejeden raz Jedi z najwyższym trudem parował strzały z blastera. Mimo to nie przestawał atakować, szybkimi pchnięciami i cięciami spychając łowcę do defensywy.

Wiedział jednak, że wystarczy jeden fałszywy krok...

I wreszcie stało się. Mace wyprowadził cięcie w lewo, zatrzymał miecz w pół drogi i pchnął wprost przed siebie, a następnie zmienił uchwyt i pociągnął klingę z lewej na prawą stronę. Wykonał jednocześnie pełny obrót i wyszedł z niego w postawie obronnej, gotów odbić błyskawicę... której nie było.

Cios z lewej na prawą stronę dosięgnął szyi Janga Fetta. Głowa łowcy nagród spadła z jego ramion, wysunęła się z hełmu i znieruchomiła na piasku.

– Prosto przed siebie – mruknął Obi-Wan, kiedy acklay ruszył na niego, orząc powietrze monstrualnymi pazurami.

Jedi skoczył w lewo, potem w prawo, aż wreszcie potem potoczył się środkiem, pomiędzy potężnymi ramionami i szponami tnącymi ze



świstem powietrze. Klinga miecza wbiła się głęboko w pierś bestii.

Acklay runął naprzód, jakby chciał zgnieść przeciwnika własnym ciężarem. Obi-Wan uskoczył i wzbił się w powietrze. Wylądował na grzbiecie zwierzęcia i kilkakrotnie pchnął je mieczem, nim zeskoczył na ziemię.

Prosto przed siebie – powtórzył, gdy doprowadzona do szału bestia znowu popędziła w jego stronę.

W ostatniej sekundzie dostrzegł kątem oka nadlatującą błyskawicę i ustawił miecz ostrzem w dół, by rykoszet trafił prosto w łeb acklaya.

Potwór nie zwolnił szarży i Jedi znowu musiał rzucić się na ziemię, by uniknąć ciosu potężnych pazurów.

Przetoczył się na bok, tuż pod łapą, która omal go nie zmiażdżyła, i znowu ciął mieczem. Tym razem głęboko.

Acklay zawył, ale nie wycofał się, tymczasem w stronę Obi-Wana sypnął się grad blasterowych strzałów.

Błękitne ostrze wirowało jak szalone, kierując wszystkie błyskawice w stronę atakującej bestii, która wreszcie zaczęła zwalniać, wyraźnie oszołomiona kanonadą.

Obi-Wan skoczył ku niej i pchnął mieczem prosto w pysk. Zaparł się nogą o bark zwierzęcia i przebiegł po nim. Usłyszał za sobą odgłos upadku i agonalnego drapania pazurami o piach areny. Wiedział, że rozprawa z potworem dobiegła końca i że może skupić się na niszczeniu robotów bojowych.

Jednak bitwa nie była jeszcze wygrana. Mace Windu zgładził już Jango Fetta, a po przeciwnej stronie areny Anakin i Padmé nie ustawali ani na chwilę, niszcząc całe zastępy robotów, chronieni przez kadłub przewróconego wozu. Padawan niezmiennie blokował ogień blasterów, a Padmé konsekwentnie eliminowała przeciwników pojedynczymi strzałami. Lecz mimo to – a także mimo wysiłków pozostałych jeszcze przy życiu Jedi – legiony robotów napierały wytrwale, powoli spychając siły Republiki na beznadziejne, obronne pozycje.

– Artoo, co tu robisz? spytał C-3PO, kiedy astromechaniczny robot

stanął przy jego unieruchomionym ciele.

W odpowiedzi R2-D2 wysunął z przepastnego wnętrza końcówkę ssącą i przytwierdził ją mocno do blaszanego czerepu partnera.

– Zaczekaj! – wrzasnął C-3PO, gdy mały robot zaczął ciągnąć ją ze wszystkich sił. – Nie! Jak śmiesz!? Za mocno! Przestań mnie szarpać, ołowiany łbie! – Nagle poczuł iskrzenie i jego głowa wreszcie oddzieliła się od korpusu geonosjańskiego robota. R2-D2 przeniósł ją w miejsce, w którym leżało prawdziwe ciało C-3PO, przytknął ją do metalowej szyi i wysunąwszy spawarkę, zabrał się do naprawy.

– Ostrożnie, Artoo! Żebyś tylko nie spalił moich obwodów... Jesteś pewien, że moja głowa prosto się trzyma?

Coraz więcej rycerzy Jedi ginęło w huraganowym ogniu setek blasterów. Zaledwie połowa oddziału była jeszcze zdolna do walki.

– Małe szansę – rzucił cicho Ki-Adi-Mundi w stronę wyczerpanego i zakrwawionego Mace'a Windu.

Wkrótce garstka rycerzy stopniała do dwudziestu, skupionych w jednej grupie i otoczonych niezliczonymi szeregami robotów bojowych mierzących w ich stronę.

Nagle maszyny zamarły i wstrzymały ogień.

– Mistrzu Windu! – zawołał hrabia Dooku z łoży dla dygnitarzy. Sądząc z wyrazu jego twarzy, niezmiernie bawiło go to, co rozgrywało się na arenie. – Dzielnie walczyliście. Warto odnotować tę bitwę w chlubnych dziejach Zakonu, ale to już koniec. – Hrabia umilkł, by omieść wzrokiem garstkę Jedi i legiony robotów gotowych przystąpić do ostatniego szturm.

– Poddajcie się – zaproponował Dooku. – Darujemy wam życie.

– Nie będziemy zakładnikami, którymi mógłbyś kupczyć, Dooku – odparł Mace bez wahania.

– Zatem przykro mi, stary przyjacielu – odrzekł hrabia tonem, w którym nie było ani odrobiny żalu. – Zostaniecie zgładzeni. – Dooku uniosł rękę i spojrzał na swoją armię, gotów dać sygnał do ataku.

I wtedy Padmé, wyczerpana, brudna i poraniona, uniosła dłoń ku niebu i zawołała:

– Spójrzcie!

Wszyscy zadarli głowy. Ich oczom ukazała się formacja sześciu kanonierek szturmowych szybko wytracających wysokość nad areną. W huku silników i tumanie kurzu Jedi zobaczyli żołnierzy wyskakujących z lądujących maszyn.

Roboty otworzyły ogień do desantu klonów, lecz republikańskie statki otoczyły się polami ochronnymi, osłaniając także wysiadających żołnierzy.

Nie zważając na zamieszanie i krzyżujące się błyski laserowych wiązek, Mistrz Yoda pojawił się we władze jednej z kanonierek i zaszalutował w stronę Mace'a i jego oddziału.

– Naprzód, Jedi! – krzyknął Mistrz Windu. Rycerze, którym udało się przeżyć bitwę, ruszyli w stronę statków. Mace stanął obok Yody, a kiedy wszyscy byli już na pokładach, kanonierki uniosły się w powietrze i odleciały, strzelając na wszystkie strony.

Mace Windu z niedowierzaniem przyglądał się temu, co działo się na pobliskich lądowiskach: tysiące statków Republiki obniżało lot w pobliżu stojących na ziemi okrętów Federacji Handlowej, wypuszczając z ładowni niezliczone oddziały żołnierzy klonów. Yoda stojący obok ciemnoskórego Mistrza spokojnie dyrygował bitwą.

– Więcej batalionów na lewe skrzydło – zwrócił się do sygnalisty, który utrzymywał łączność z dowódcami oddziałów lądowych. – Otoczyć ich musimy, a potem rozdzielić.

Jaskrawy blask raził oczy C-3PO przez długie minuty. Wreszcie R2-D2 wyciągnął z wnętrza manipulator ze spawarką i gwizdnął, informując partnera, że zakończył pracę. Głowa androida protokolarnego znalazła się we właściwym miejscu.

– Och, Artoo, znowu jestem cały! – zawołał C-3PO i z wysiłkiem podniósł się z ziemi. Usłyszawszy odgłosy walki dobiegające od strony wyjścia z tunelu i zobaczywszy zabłąkane błyskawice, odbijające się rykoszetem od ścian, doszedł do wniosku, że nie jest bezpieczny. Odwrócił się pospiesznie i ruszył z miejsca – niestety, zapomniał o końcówce ssącej R2-D2, która wciąż jeszcze trzymała jego głowę.

Rura naprężyła się i pociągnęła androida na ziemię.

Astromechaniczny robot gwizdnął przepraszająco, odczepił ssawkę, wciągnął ją do wnętrza i odjechał.

– Nie zapomnę ci tego! – krzyknął za nim oburzony C-3PO. Podniósł się niezgrabnie i poczłapał za irytującym przyjacielem.

Kiedy kanonierki odleciały, a roboty bojowe ruszyły za nimi w pogoń, Boba Fett zdobył się wreszcie na odwagę i zszedł na arenę. Nawołując, kluczył między stertami poszarpanego metalu i nieruchomych ciał. Szukając Janga, minął szczątki acklaya i reeka. Wołał i wołał, ale domyślał się już, co się stało – choćby stąd, że ojciec zawsze był przy nim, a teraz zniknął.

I wreszcie zobaczył hełm.

– Tato – jęknął chłopiec. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i padł na kolana przed pustym hełmem Janga Fetta.

Jaskrawy blask raził oczy C-3PO przez długie minuty. Wreszcie R2-D2 wciągnął do wnętrza manipulator ze spawarką i gwizdnął, informując.

# ROZDZIAŁ

# 24

Arcyksiążę Poggle Mniejszy zaprowadził hrabiego Dooku do ośrodka dowodzenia – wielkiej sali z ogromnym okrągłym ekranem i niezliczonymi monitorami ustawionymi wzdłuż ścian. Geonosjańscy żołnierze siedzący na stanowiskach roboczych mogli nadzorować stąd przebieg bitwy i kierować poszczególnymi oddziałami.

Poggle oddalił się na chwilę, by zamienić kilka słów z dowódcą armii, a kiedy wrócił do hrabiego Dooku i Nute'a Gunraya, na jego twarzy malowała się autentyczna wściekłość.

– Zakłócają naszą łączność! – warknął. – Atakują z ziemi i z powietrza!

– Jedi zebrali wielką armię – stwierdził ponuro neimoidiański wicekról.

– Ale skąd ją wzięli? – spytał najwyraźniej zdumiony Dooku. – wydaje się, że to niemożliwe. W jaki sposób mogli stworzyć siły zbrojne w tak krótkim czasie?

– Rzućmy do walki wszystkie roboty, jakie tu mamy – zaproponował Nute Gunray.

Hrabia Dooku, który przyglądał się scenom pokazywanym na monitorach, pokręcił sceptycznie głową.

– Ich armia jest zbyt liczna – rzekł z rezygnacją. – Wkrótce nas otoczą.

Ledwie zdążył to powiedzieć, a główny ekran rozjarzył się nagle światłem potężnej eksplozji. Wszyscy trzej zmrużyli oczy, obserwując dogasające szybko szczątki jednego z ważniejszych stanowisk

obronnych.

– Rzeczywiście, nie jest dobrze – przyznał Nute Gunray.

– Trzeba zarządzić odwrót – powiedział Poggle, trzęsąc się ze strachu tak bardzo, jakby zaraz miał rozpaść się na kawałki. – Odsyłam swoich wojowników do katakumb, niech się tam ukryją. To rzekłszy, arcyksiążę skinął na swych dowódców, którzy natychmiast pochylili się nad komunikatorami, by przekazać rozkazy.

– Trzeba poderwać resztę naszych statków i wycofać je w przestworza! – zawołał jeden z pobratymców Nute'a Gunraya. Wicekról tylko pokiwał głową, nie odrywając wzroku od dramatycznych scen na monitorach.

– Wracam na Coruscant – oznajmił Dooku. – Mój pan nie puści Republice płazem tej zdrady.

Poggle Mniejszy przeszedł energicznie pod przeciwległą ścianę sali i pochyliwszy się nad klawiaturą, wpisał stosowny kod, wywołując holograficzną prezentację stacji bojowej wielkości planety. Paroma uderzeniami w klawisze dokonał transferu danych na kasetę, którą szybko wyjął z napędu i wręczył hrabiemu Dooku.

– Jedi nie mogą się dowiedzieć o naszych planach – stwierdził z naciskiem arcyksiążę. – Jeżeli się domyślą, co zamierzamy zbudować, będziemy zgubieni.

Dooku przyjął kasetę.

– Zabiorę projekty ze sobą – zgodził się. – U mojego Mistrza będą o wiele bezpieczniejsze.

Hrabia skłonił się sztywno i opuścił salę.

Obi-Wan, Anakin i Padmé przykucnęli przy otwartej burcie kanonierki, która pędziła ponad stale rozszerzającym się polem bitwy. Działa laserowe statku nieustannie pluły ogniem, tarcze skutecznie blokowały ostrzał z ziemi.

W dole widać było klony uwijające się na raketowych skuterach między robotami bojowymi i coraz skuteczniej niszczące przeciwników.

– Nieźli ci żołnierze – zauważył Obi-Wan. Anakin przytaknął

ruchem głowy.

Zaraz jednak zainteresowali się tym, co dotyczyło ich w bardziej bezpośredni sposób: kanonierka zbliżyła się do wielkiego okrętu Unii Technokratycznej. Laserowe wiązki pomknęły w kierunku giganta, lecz nie wyrządziły mu żadnej szkody.

– Celuj tuż nad zbiornikami paliwa! – krzyknął Anakin do artylerzysty. Strzelec skorygował położenie działa i nacisnął spust.

Potężny wybuch wstrząsnął statkiem Unii, który zaraz potem przechylił się niebezpiecznie na burtę. Kanonierka i pojazdy znajdujące się w pobliżu rozpiezchły się we wszystkie strony, gdy olbrzym opadał na ziemię, by eksplodować kulą ognia.

– Dobry pomysł! – pogratulował padawanowi Obi-Wan, po czym zwrócił się do załogi kanonierki: – Okręty Federacji startują! Prędko, postarajcie się je zestrzelić!

– Są za duże, mistrzu – odezwał się Anakin. – Musimy je zostawić wojskom lądowym.

Kanonierka w szaleńczym tempie mknęła nad polem walki, ostrzeliwując się z dział laserowych i kołysząc od bliskich eksplozji. Mace Windu pokręcił głową i spojrzał na Yodę. Obaj byli Mistrzami Jedi, a przecież żaden z nich nigdy jeszcze nie widział tak wielkiej bitwy jak ta.

– Pojmać Dooku musimy – rzekł Yoda. Spokój bijący z jego głosu dodawał Mace'owi otuchy. – Jeśli uciec zdoła, więcej systemów do swojej sprawy przekona.

Mace spojrzał na Yoda i z powagą skinął głową.

– Kapitanie, proszę wylądować przy tamtym punkcie zbiorczym – rozkazał klonowi sterującemu statkiem. Posłuszny pilot szybko posadził maszynę na ziemi. Mace Windu, Ki-Adi-Mundi i grupa klonów wyskoczyli z kanonierki, ale Yoda został w środku.

– Do ośrodka dowodzenia mnie zabierz – polecił i statek uniósł się w powietrze.

Gdy tylko wylądował we względnie bezpiecznej okolicy, w której zorganizowano tymczasowe centrum dowodzenia, do otwartego

włazu pospieszył dowódca klonów.

– Mistrzu Yodo, wszystkie oddziały na pierwszej linii prą naprzód. Bardzo dobrze, bardzo dobrze – pochwalił Yoda. – Skupić ogień wszystkich dział na najbliższym okręcie.

Żołnierz wrócił na stanowisko, w biegu wydając rozkazy podwładnym. Po chwili drużyny z pierwszej linii zaczęły dobierać cele w bardziej skoordynowany sposób, zmasowanym ostrzałem dokonując tego, czego nie mogły dokonać pojedyncze salwy. Startujące statki jeden po drugim spadały na ziemię.

Kanonierka zwolniła i przechyliła się gwałtownie, zataczając ciasny okrąg wokół stanowiska artyleryjskiego obsługiwanego przez roboty.

Mimo ograniczenia prędkości poruszała się znacznie szybciej niż mechanizm działa był w stanie obracać wieżą. Zjadły ostrzał zmienił stanowisko ogniowe w dymiące zgliszcza, lecz nim to nastąpiło, pojedynczy strzał z ziemi trafił w szarżującą kanonierkę i zakołysał nią potężnie.

– Trzymajcie się! – zawołał Obi-Wan, chwytając się brzegu otwartego włazu.

– Nie mamy wyboru! – odkrzyknęła mu Padmé.

Obi-Wan spojrział na nią i uśmiechnął się lekko, a raczej zaczął się uśmiechać i natychmiast spoważniał, w tej samej bowiem chwili dostrzegł, pędzący nisko nad ziemią, geonosjański śmigacz, a w nim charakterystyczną sylwetkę. Dwa myśliwce osłaniały pojazd szybko oddalający się z pola bitwy.

– Patrzcie! Tam!

– To Dooku! – zawołał Anakin. – Zestrzelcie go!

– Mamy uszkodzone działa, proszę pana – zameldował kapitan klonów.

– Za nim! – rozkazał Anakin.

Pilot pochylił statek na burzę, kierując go kursem przechwytyjącym w stronę umykającego śmigacza.

– Będziemy potrzebowali wsparcia – stwierdziła Padmé.



– Nie ma czasu – odparł Obi-Wan. Anakin i ja zajmiemy się nim. Kiedy kanonierka podleciała bliżej, myśliwce osłaniające śmigacz hrabiego Dooku zawróciły gwałtownie w przeciwną stronę, by zaatakować republikańską jednostkę. Pilotujący ją klon był przygotowany na ten manewr; przeprowadził maszynę przez ogień Geonosjan, lecz chwilę później zakołysała nią druga salwa. Kanonierka przechyliła się gwałtownie i Obi-Wan z Anakinem musieli trzymać się z całych sił, by pozostać na pokładzie.

Padmé nie miała tyle szczęścia. W jednej chwili stała obok Anakina, a w następnej już zniknęła w otwartym włazie.

– Padmé! – krzyknął padawan. Wydawało mu się, że wszystko rozegrało się w zwolnionym tempie i taka też była jego reakcja. Nie był dość szybki, by pochwycić wypadającą Padmé.

Potoczyła się po twardej ziemi i znieruchomiła.

– Padmé – powtórzył Anakin. Ląduj! – wrzasnął w stronę pilota. Obi-Wan stanął przed swoim uczniem i uspokajającym gestem położył dłonie na jego ramionach.

– Nie pozwól, żeby kierowały tobą osobiste uczucia – upomniał padawana, po czym zwrócił się do klona siedzącego za sterami. – Lec za tym śmigaczem.

Anakin spojrzał ponad ramieniem mistrza i warknął:

– Obniż pułap lotu!

Obi-Wan znowu odwrócił młodzieńca twarzą do siebie, lecz tym razem w jego spojrzeniu nie było współczucia.

– Anakinie – rzekł stanowczo, jakby nie zamierzał pozostawiać miejsca na dyskusję. – Sam nie pokonam Dooku. Jeżeli go złapiemy, zakończymy tę wojnę tu i teraz. Mamy zadanie do wykonania.

– Nie obchodzi mnie to! – krzyknął Anakin z rozpaczą w głosie. – Ląduj! – ryknął w stronę zdezorientowanego pilota.

– Zostaniesz wydalony z Zakonu Jedi – wycedził Obi-Wan lodowatym tonem.

Brutalne słowa oszołomiły Anakina.

– Nie mogę jej tak zostawić – odpowiedział, lecz jego głos był już ledwie słyszalnym szeptem.

– Bądź rozsądny – nakazał nieustępliwie mistrz. – Jak sądzisz, co

Padmé zrobiłaby na twoim miejscu?

Ramiona Anakina opadły nagle.

– Spełniłaby swój obowiązek – przyznał. Odwrócił się i spojrział na miejsce, w którym została Padmé, ale byli już zbyt daleko, by mógł cokolwiek zobaczyć przez chmurę czerwonego pyłu.

Kanonierki szturmowe śmigły na prawo i lewo, wymieniając ogień z naziemnymi stanowiskami artyleryjskimi. Tymczasem na powierzchni planety tysiące klonów toczyły bitwę z robotami i z każdą chwilą widać było coraz wyraźniej, iż żywe istoty mają przewagę nad maszynami. W walce jeden na jednego robot bojowy był niemal równy sklonowanemu żołnierzowi, a superrobot bojowy nawet go przewyższał. Jednak w zespołach i większych formacjach liczyła się przede wszystkim improwizacja, umiejętność szybkiego reagowania na zmieniające się warunki na polu bitwy. Wykonując rozkazy głównodowodzącego – Mistrza Jedi – klony wykazywały inicjatywę i stale powiększały przewagę nad wrogiem, wykorzystując także ukształtowanie terenu i naturalne stanowiska obronne.

Bitwa toczyła się już nie tylko na powierzchni Geonosis, ale także w przestworzach, gdzie okręty Republiki wiązały walką nieliczne jednostki Federacji Handlowej, którym udało się wystartować oraz te, które jeszcze nie wylądowały. Większość statków orbitujących po wewnętrznej stronie pasa asteroid były to transportowce, przeznaczone raczej do przewożenia żołnierzy, niż do toczenia gwiazdnych bitew, toteż przewaga Republiki w walce z nimi zaznaczyła się dość szybko.

Do tymczasowego ośrodka dowodzenia dotarł wreszcie zmęczony i brudny Mace Windu. W spojrzeniach, które wymienił z Mistrzem Yodą, wiele było nadziei na rychły koniec bitwy, lecz i niemało obaw związanych z przyszłością.

– Więc jednak postanowiłeś ich sprowadzić – stwierdził Mace.

– Nie cieszy mnie to – odparł Yoda, wolno przymykając oczy. – Dwie ścieżki otwierały się przed nami, lecz tylko jedną z nich tak wielu Jedi mogło bezpiecznie powrócić.

Mace Windu skinął głową, aprobując wybór dokonany przez Yodę. Mistrz przyjrzał się znowu orgii zniszczenia rozgrywającej się dookoła i raz jeszcze przymknął wielkie oczy.

Obi-Wan precyzyjnie przesunął się obok Anakina, by przemówić do pilota.

– Leć za tamtym śmigaczem!

Kanonierka przyspieszyła i obniżyła pułap lotu. Wkrótce w iluminatorze pojawił się znajomy pojazd zaparkowany u stóp potężnej wieży. Republikański statek wyhamował gwałtownie i zniżył się jeszcze bardziej. Anakin i Obi-Wan zeskoczyli na ziemię i pobiegli ku bramie. Nie zatrzymując się ani na chwilę, Padawan z mieczem świetlnym w dłoni wpadł do wielkiego hangaru pełnego dźwigów towarowych, holowników, paneli kontrolnych i stołów roboczych.

Hrabia Dooku stał właśnie przy jednym z pulpity sterujących, pracując w skupieniu. Tuż obok spoczywał niewielki jacht międzygwiazdny – zgrabny, błyszczący pojazd o kulistym kadłubie wspartym na dwóch ramionach podwozia. Cofnięte żagle przypominały złożone skrzydła ptaka.

– Zapłacisz za wszystkich Jedi, których dziś zabiłeś, Dooku! – krzyknął Anakin, rzucając się z determinacją w stronę hrabiego. Poczł jednak, że zatrzymuje go silna dłoń Obi-Wana.

– Zrobimy to razem – wyjaśnił Obi-Wan. – Ruszysz wolno na...

– Nie! Załatwię go od razu! – Padawan wyrwał się mistrzowi i pobiegł w stronę byłego Jedi.

– Anakinie, nie!

Młody rycerz wkroczył do akcji niczym szarżujący reek, gotów zieloną klingą przeciąć Dooku na pół. Hrabia spojrzał na niego kątem oka, uśmiechając się z rozbawieniem.

Anakin nawet tego nie zauważył. Gniew niósł go naprzód, tak jak wtedy, gdy rozprawiał się z Jeźdźcami Tusken.

Tyle że tym razem nie miał do czynienia z prymitywnym wojownikiem. Dooku wystawił dłoń w stronę atakującego młodzieńca i powitał go pchnięciem Mocy twardym jak mur oraz błękitną błyskawicą Mocy – zjawiskiem nieznanym rycerzom Jedi – która

otoczyła padawana siecią wyładowań i uniosła go w powietrze.

Anakin utrzymał w dłoni miecz, lecz zawisł bezradnie w powietrzu, podtrzymywany potężną wolą hrabiego. Jednym skinieniem dłoni Dooku posłał go w przeciwny kąt sali i cisnął nim o ścianę. Oszołomiony uczeń Jedi osunął się na ziemię.

– Jak widzisz, moja potęga znacznie przewyższa twoją – rzekł Dooku z niezachwianym spokojem.

– Nie sądzę – odparł Obi-Wan, ostrożnie zbliżając się do przeciwnika. Pożyczony miecz świetlny o niebieskim ostrzu trzymał pionowo, ponad ramieniem.

Dooku z uśmiechem włączył czerwoną klingę swojej broni.

Kenobi skradał się powoli i dopiero w ostatniej chwili poderwał się do szybkiego ataku, tnąc mocno z prawej na lewą stronę.

Minimalny ruch czerwonego miecza wystarczył, by zepchnąć niebieską klingę z kursu i skierować ją ku górze. Dooku dyskretnym ruchem zmienił ułożenie dłoni na rękojeści i błyskawicznie pchnął na wprost, zmuszając Obi-Wana do gwałtownego odskoku. Jedi uniósł miecz, by odparować cios, lecz Dooku cofnął już ostrze i spokojnie stanął w perfekcyjnie zbalansowanej postawie obronnej.

Wobec defensywnej pozycji przeciwnika nagły atak Kenobiego sprawiał wrażenie chaotycznego i nieskutecznego. Dooku parował każde uderzenie miecza, wciąż stosując jedynie oszczędne ruchy klingi i proste uniki ciałem. Obi-Wan, podobnie jak większość rycerzy Jedi, po prostu władał biegle mieczem, hrabia Dooku zaliczał się zaś do wąskiej grupy specjalistów, którzy w pełni zasługiwali na miano szermierza. Praktykował starą szkołę walki, skuteczną przeciwko tradycyjnej broni, takiej jak miecz świetlny, za to słabiej radząca sobie z bronią dalekosiężną taką jak blaster. Ogromna większość rycerzy Jedi odrzuciła już tę metodę walki, uznając, że nie spełnia wymogów współczesnego pola walki. Dooku jednak uparcie trzymał się starych nawyków, uznając swój kunszt za najważniejszą z form obrony i ataku.

Teraz, kiedy pojedynek między nim a Obi-Wanem rozgorzał na dobre, starzec mógł błysnąć pełnią umiejętności. Kenobi skakał i obracał się w locie, tnąc na boki, siekąc i dźgając, lecz przy jego

wysiłkach ruchy hrabiego sprawiały wrażenie oszczędnych, bardziej wydajnych. Dooku poruszał się w zasadzie po jednej linii – do przodu i do tyłu.

Świetna praca nóg zapewniała mu bezbłędną równowagę, konieczną przy szybkich unikach i porażająco skutecznym wypadach w przód, które zmuszały Obi-Wana do pospiesznego odwrotu.

– Sprawiasz mi zawód, mistrzu Kenobi – szydził hrabia. – I pomyśleć, że Yoda ma o tobie tak wysokie mniemanie.

Słowa renegata zachęciły Obi-Wana do kolejnego ataku – serii potężnych cięć, które czerwone ostrze parowało bez większego trudu nieznacznymi ruchami w bok i ku górze. Już po chwili zdyszany mistrz Jedi musiał się wycofać.

– Proszę, mistrzu Kenobi – odezwał się Dooku, uśmiechając się przewrotnie. – zechciej wybawić mnie z kłopotu.

Obi-Wan opanował się i przełożył rękojeść z ręki do ręki, chwytając ją nieco pewniej. A potem znowu rzucił się do ataku, zaciekle młócąc błękitnym mieczem. Tym razem jednak starał się lepiej mierzyć ciosy i częściej zmieniać kąt natarcia. Szerokie okrężne cięcia ustąpiły pola nagłym pchnięciom – i hrabia Dooku zaczął się cofać, coraz szybciej pracując czerwoną klingą, by powstrzymać szturm Kenobiego.

Obi-Wan jeszcze bardziej podkreślił tempo, lecz Dooku wciąż bronił się zaciekle, aż wreszcie szaleńcza prędkość ataku zaczęła zwracać się przeciwko Kenobiemu: zbyt mocno wychylał się w przód, podczas gdy hrabia zachował doskonałą równowagę, gotów w dowolnym momencie przystąpić do kontrataku.

I nagle role się odwróciły. Dooku przeszedł do ofensywy, zadając pchnięcia i cofając klingę tak błyskawiczne, że miecz Obi-Wana, próbującego je blokować, przecinał tylko powietrze. Mistrz Jedi musiał ratować się skokiem w tył, potem następnym i jeszcze jednym. Broń hrabiego uderzała zaś coraz celniej.

Dooku rzucił się gwałtownie naprzód, mierząc w udo rycerza. Błękitna klinga natychmiast opadła w dół, by sparować cios, lecz – ku przerażeniu Obi-Wana – hrabia z niebywałą szybkością cofnął ostrze i pchnął ponownie, tym razem wysoko, ponad opuszczonym mieczem.

Mistrz Kenobi nie był w stanie ani zablokować tego uderzenia, ani w porę usunąć się z linii ataku.

Pałająca czerwienią klinga hrabiego Dooku wbiła się w lewy bark Obi-Wana. Były Jedi natychmiast cofnął się o pół kroku i powtórzył atak, tym razem prowadząc broń poprzednim kursem: prosto w udo Kenobiego. Mistrz stracił równowagę, zatoczył się i upadł, opierając się o ścianę. Zanim upadł, Dooku już był przy nim i zręcznym okrężnym ruchem klingi wyłuskał miecz z dłoni Kenobiego. Rękojeść z klekotem potoczyła się w dal.

– I tak to się kończy – rzekł hrabia do bezradnego Obi-Wana, po czym wzruszył ramionami i uniósł broń, by z wielką siłą spuścić energetyczne ostrze na głowę rannego.

Deszcz iskier sypnął się we wszystkie strony, kiedy na drodze czerwonej klingi pojawiła się zielona.

Hrabia błyskawicznie cofnął się o kilka kroków i stanął twarzą w twarz z Anakinem.

– Odważnie postąpiłeś, chłopcze, ale i głupio. Sądziłem, że pojąłeś lekcję, której ci udzieliłem.

– Ja się powoli uczę – odparł bezczelnie padawan, po czym zaatakował z takim impetem, że chwilami zdawał się znikać w klatce zielonego światła – tak szybko wirował miecz w jego rękach.

Hrabia Dooku po raz pierwszy przestał uśmiechać się z wyższością. Z wielkim trudem parował ciosy Anakina, częściej stosując uniki niż bloki. Spróbował usunąć się w bok z linii ataku, lecz natrafił na niewidzialną ścianę i jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy dotarło do niego, że uczeń Obi-Wana w samym środku gwałtownego natarcia zdołał użyć Mocy w tak precyzyjny sposób.

– Masz niezwykły talent, młody padawanie – pogratulował mu szczerze. Krzywy uśmiezek znowu pojawił się na jego ustach, gdy stopniowo zaczął hamować atak Anakina. Odpowiadał pchnięciem na każde cięcie, zmuszając padawana do stosowania uników i bloków, a tym samym ograniczenia liczby ciosów.

– Niezwykły talent – powtórzył Dooku – ale nawet on nie ocali twojego życia! – Hrabia natarł zdecydowanie, zamierzając zmusić

Anakina do odwrotu i wytrącić go z równowagi dokładnie tak samo, jak uczynił to z Obi-Wanem. Lecz młodzieniec uparcie dotrzymywał mu pola, tnąc zielonym ostrzem na prawo i lewo tak mocno i precyzyjnie, że ani jedno z pchnięć renegata nie dotarło do celu.

Leżąc pod ścianą i przyglądając się walce, Obi-Wan rozumiał, że Anakin traci o wiele więcej energii niż oszczędny w ruchach Dooku, i że wkrótce opadnie z sił...

Rozumiał też, że musi coś zrobić. Spróbował wstać, ale ból powalił go na ziemię. Zebrawszy myśli, użył Mocy, by przywołać leżący obok miecz.

– Anakin! – krzyknął i cisnął ręką w stronę padawana, który pochwycił ją, nawet na sekundę nie przerywając walki. Natychmiast włączył broń i płynnym ruchem zadał pierwszy cios.

Obi-Wan spoglądał na ucznia w niemym podziwieniu. Dwa ostrza poruszały się w absolutnej harmonii, zataczając kręgi z oszałamiającą szybkością i nieomylną precyzją.

Z podobnym uznaniem obserwował jednak ruchy czerwonego ostrza wiedzionego ręką hrabiego Dooku. Błyskawiczne wypady w przód i równie szybkie powroty pozwalały byłemu Jedi nie tylko bronić się przed naporem dwóch mieczy, ale także kontratakować, skutecznie zakłócając płynny atak Anakina.

Nadzieja pojawiła się w sercu Obi-Wana, gdy padawan skoczył odważnie do przodu, wznosząc zielony miecz ponad ramieniem i tnąc w poprzek. Mistrz zrozumiał – zanim jeszcze spostrzegł niebieskie ostrze mknące w górę i w bok z przeciwnej strony – że pierwszy cios odepchnie czerwoną klingę w bok, otwierając drogę drugiemu, a to oznaczało zwycięstwo!

Dooku wycofał się jednak z nieprawdopodobną szybkością i potężny cios zielonej klingi przeciął jedynie powietrze, hrabia zaś natychmiast powrócił i powstrzymał błękitne ostrze. Wykreślił nadgarstek do wewnątrz i wykonał nim błyskawiczny obrót, wytrącając miecz z dłoni padawana. Zaraz potem przeszedł do ofensywy, zmuszając zaskoczony i wybity z rytmu Anakina do

odwrotu.

Młodzieniec zebrał wszystkie siły, by powstrzymać grad ciosów, lecz Dooku nie ustępował; świetnie mierzonymi pchnięciami spychał słaniającego się przeciwnika coraz dalej.

I nagle zatrzymał się, a wtedy Anakin z okrzykiem wściekłości ruszył do kontrataku.

– Nie! – zawołał Obi-Wan.

Dooku pchnął mieczem na wprost i pociągnął w bok, przechwytyjąc nie zieloną klingę, lecz ramię padawana na wysokości łokcia. Pół ręki Anakina, z dłonią wciąż jeszcze zaciśniętą na rękojeści miecza, poleciało w bok.

Młodzieniec upadł na ziemię, ściskając okaleczone ramię.

Dooku wzruszył lekko ramionami.

– Tak to się kończy – stwierdził.

W chwili, gdy wypowiadał te słowa, wielkie drzwi hangaru pod wieżą rozsunęły się i do wnętrza wpłynęła smuga dymu niesionego wiatrem znad pola bitwy. Wraz z nią w hali pojawiła się niewysoka postać – choć na swój sposób przerastająca sylwetki tych, którzy jeszcze przed chwilą toczyli bój na śmierć i życie.

– Witaj, Mistrzu Yodo – rzekł cicho Dooku.

– Witaj hrabio Dooku – odpowiedział Yoda.

Siwowłosy renegat z szeroko otwartymi oczami cofnął się o kilka kroków, by stanąć twarzą w twarz z nowym przeciwnikiem. Uniósł miecz na wysokość twarzy, wyłączył klingę i przysunął rękojeść do boku, salutując Mistrzowi.

– Po raz ostatni pokrzyżowałeś nasze plany.

To powiedziawszy, Dooku skinął wolną ręką i spory fragment jakiejś maszyny pofrunął w stronę niepozornego Jedi, by zmiażdżyć go swym ciężarem.

Yoda był na to przygotowany. Uniósł dłoń Moc, posłuszna jego woli, odepchnęła nadlatujący obiekt.

Dooku skoncentrował się na stropie, siłą woli wyrywając z niego potężne bloki, które sypnęły się na Mistrza.

Nieduże dłonie wykonały kolejny gest i fragmenty sklepienia rozprysły się na boki, nie czyniąc Yodzie najmniejszej szkody.



Dooku warknął cicho i gwałtownym ruchem wysunął przed siebie otwartą dłoń. Błękitna błyskawica Mocy pomknęła w stronę niepozornego Mistrza.

Yoda przyjął ją ręką i odbił w bok, lecz nie przyszło mu to łatwo.

– Potężnym się stałeś, Dooku – przyznał, wywołując uśmiech na twarzy hrabiego, dodał zaraz: – Ciemną stronę w tobie wyczuwam.

– Stałem się potężniejszy niż jakikolwiek Jedi – odparł Dooku. – Nawet niż ty, mój dawny Mistrzu!

Z dłoni hrabiego ponownie strzeliły błyskawice, lecz Yoda blokował je konsekwentnie, a jego obronna postawa sprawiała wrażenie pewniejszej niż poprzednio.

– Jednak wiele jeszcze nauczyć się musisz – zauważył Mistrz.

Dooku przerwał daremny atak wyładowaniami energetycznymi.

– Widzę teraz jasno, że tej próby nie rozstrzygnie nasza władza nad Mocą, ale umiejętność posługiwania się świetlnym mieczem.

Yoda z powagą sięgnął po broń i zielone ostrze z basowym buczeniem zbudziło się do życia.

Dooku zasalutował sztywno i zapalił czerwoną klingę, a gdy formalnościom stało się zadość, zaatakował Yodę potężnym ciosem miecza.

Ostrze przemknęło w bezpiecznej odległości, ponieważ Mistrz oszczędnym ruchem zmienił jego trajektorię.

Teraz hrabia ruszył do natarcia z furją, jakiej nie przejawiał w pojedynkach z Obi-Wanem i Anakinem. Wprost zasypywał Yodę ciosami, lecz on bronił się bez widocznego wysiłku, w porę usuwając się spod miecza lub parując pchnięcia subtelnymi ruchami klingi.

Hrabia atakował przez długą chwilę, nim zmęczenie spowolniło jego ruchy. Zrozumiał wreszcie, że tym sposobem niewiele wskóra i cofnął się szybko, by zyskać na czasie.

Niewystarczająco szybko.

Mistrz Yoda, w nagłym przypływie niewyobrażalnej siły, skoczył naprzód, pracując mieczem szybciej, niż Anakin dwoma w szczytowym momencie walki. Dooku jednak trzymał się nieźle, parując wszystkie ciosy i wspierając bloki Mocą – gdyby tego nie robił, potężne cięcia Yody odepchnęłyby bez trudu czerwone ostrze.

W chwili, gdy hrabia miał przystąpić do kontrataku, Yoda zniknął nagle; skoczył wysoko w górę i wywinąwszy salto w powietrzu, wylądował tuż za nim, zachowując doskonałą równowagę, by natychmiast uderzyć.

Dooku odwrócił w dłoniach rękojeść miecza i pchnął klingę za siebie, przechwytyjąc cios. Na ułamek sekundy wypuścił broń, zakreślił piruet i pochwycił ją znowu, nim jeszcze dwa ostrza straciły ze sobą kontakt.

Hrabia warknął wściekle i sięgnął jeszcze głębiej w Moc, czyniąc ze swego ciała ogniwo, którym mogła swobodnie przepływać. Jego ruchy stały się szybsze – trzy kroki w przód, dwa w tył, przy nienagannej równowadze. Właśnie równowaga była podstawą jego stylu walki polegającego na szybkich wypadach i powrotach, pchnięciach i ripostach. Yoda musiał się cofnąć pod naporem sprawnie wyprowadzanych ciosów.

Nigdy jednak pchnięcia mierzone nisko nie docierały do celu, ponieważ Mistrz unikał ich, skacząc wysoko i daleko, lub blokował je, natychmiast wyprowadzając kontrę tak szybką, że Dooku cofał się w pośpiechu.

Hrabia uderzył wysoko, przewidując, że przed tak ustawioną klingą Yoda uskoczy w lewo. Mistrz jednak odgadł jego intencję i nie umknął ani w lewo, ani w prawo, tylko przypadł do ziemi. Dooku dokończył chybione cięcie i natychmiast pchnął klingę nisko, lecz i ten ruch Mistrz przewidział – sprawnie przeskoczył nad pałającym czerwienią ostrzem.

Yoda odpowiedział pchnięciem i Dooku cofnął się w pośpiechu, po raz pierwszy tracąc równowagę. Mistrz jednak uskoczył w tył; nie poszedł za ciosem.

Rozwścieczony hrabia rzucił się do ataku, mierząc w głowę przeciwnika. Chybił, lecz zaraz potem, zaślepiony furia, wyprowadził potężne cięcie.

Zielona klinga Yody powstrzymała cios. Ostrza zwały się w statycznej próbie sił – zarówno tych fizycznych, jak i wspomaganych Mocą.

– Walczyłeś dobrze, mój były padawanie – pogratulował hrabiemu

Yoda. Miecz mistrza zaczął wolno odpychać broń Dooku i jego samego.

– To jeszcze nie koniec bitwy! – odparł stanowczo Dooku. – To dopiero początek! – Mężczyzna użył Mocy, by sięgnąć po jeden z olbrzymich dźwigów i cisnąć go na Obi-Wana i jego ucznia.

– Anakinie! – krzyknął Obi-Wan, próbując pochwycić Mocą spadającą konstrukcję. Padawan ocknął się z omdlenia i zrobił to samo, lecz w tym stanie, nawet działając wspólnie, nie byli w stanie powstrzymać tak wielkiej masy.

Dokonał tego Yoda.

Mistrz chwycił dźwig żelaznym uściskiem Mocy, ale by to zrobić, musiał odwrócić uwagę od hrabiego. Dooku, nie tracąc czasu, rzucił się do ucieczki i po chwili wbiegał już na rampę swojego jachtu. Gdy Yoda przesunął w powietrzu olbrzymią konstrukcję, by opuścić ją na ziemię w bezpiecznym miejscu, silniki statku ryknęły pełną mocą i trzej rycerze Jedi mogli jedynie przyglądać się bezradnie ucieczce hrabiego Dooku.

Anakin i Obi-Wan zbliżyli się do wyczerpanego Yody. Padmé, która pojawiła się nagle w bramie hangaru, podbiegła do okaleczonego padawana i otoczyła go ramionami w mocnym rozpaczliwym uścisku.

– Mroczny to dzień – rzekł cicho Yoda.

# EPILOG

Ponad rynsztokami najniżej położonych ulic Coruscant szybował zgrabny jacht. Jego skrzydła złożyły się delikatnie i wylądował miękko na zdewastowanym chodniku przed budynkiem, który sprawiał wrażenie opuszczonego.

Hrabia Dooku wyszedł ze statku i skierował się do najciemniejszej części zaimprovizowanego tajnego lądowiska, gdzie czekała na niego zakapturzona postać. Stanąwszy przed spowitą mrokiem sylwetką, skłonił się z szacunkiem.

– Moc jest z nami, Mistrzu Sidious.

– Witaj w domu, Lordzie Tyranusie – odparł Sith – Dobrze się spisałeś.

– Przynoszę ci dobre nowiny, panie. Wojna rozpoczęta.

– Doskonale – syknął z zadowoleniem Sidious. W cieniu kaptura na twarzy Czarnego Lorda pojawił się szeroki uśmiech. – Wszystko toczy się, jak zaplanowałem.

W dalekiej Świątyni Jedi panował ponury nastrój wielu rycerzy opłakiwało utraconych przyjaciół i towarzyszy. Obi-Wan i Mace Windu stali przy oknie w komnacie Mistrza Yody, który siedział w fotelu, rozważając ponure skutki niedawnych wydarzeń.

– Wierzysz Mistrzu w to, co hrabia Dooku powiedział mi o Sidiousie kontrolującym poczynania senatu? – spytał Obi-Wan, przerywając przygnębiającą ciszę. – Wyczuwam w tym fałsz.

Mace chciał odpowiedzieć, ale ubiegł go Yoda.

– Niegodnym zaufania stał się Dooku. Po ciemnej stronie się opowiedział. Kłamstwo, podstęp i nieufność to jego nowe sposoby działania.

– Mimo to, przeczuwam, że powinniśmy uważniej przyglądać się senatowi – dodał Mace, a Yoda przytaknął mu ruchem głowy.

Po dłuższej chwili milczenia ciemnoskóry Mistrz z zaciekawieniem spojrzął na Kenobiego.

– Gdzie twój uczeń, Obi-Wanie?

– W drodze na Naboo. Eskortuje do domu panią senator Amidalę.

Mace skinął głową, a Obi-Wan dostrzegł w jego oczach troskę, którą w pełni podzielał, myśląc o Anakinie i Amidali. Nie zamierzał jednak o tym rozmawiać, ponieważ uważał, że najważniejsze są sprawy Republiki.

– Przyznaję, że gdyby nie klony, nie byłoby mowy o zwycięstwie – powiedział.

– O zwycięstwie? – powtórzył sceptycznie Yoda. – O zwycięstwie, powiadasz?

Obi-Wan i Mace Windu spojrzeli na wielkiego Mistrza Jedi, wyczuwając w jego słowach głęboki smutek.

– Nie zwyciężyliśmy, mistrzu Obi-Wanie – wyjaśnił Yoda. – Opadła zasłona ciemnej strony. Wojna klonów rozpoczęta!

Jego słowa, pełne emocji i troski, miały się stać najbardziej ponurą przepowiednią, jaką kiedykolwiek słyszano z ust członka Rady Jedi.

Senator Bail Organa i Mas Amedda stali na balkonie obok Wielkiego Kanclerza Palpatine'a, przyglądając się maszerującym oddziałom sił zbrojnych Republiki. W dole dziesiątki tysięcy żołnierzy klonów, tworzących zwarte formacje, przemieszczały się w idealnym porządku i kolejno wspinały po rampach załadowniczych na pokłady wielkich okrętów desantowych.

Bail Organa przyglądał się tej scenie z głębokim smutkiem. Kiedy zerknął na twarz Wielkiego Kanclerza, dostrzegł w niej przede wszystkim ponurą determinację.

Na dalekiej Naboo, w różanym ogrodzie nad skrzącym się srebrzyście jeziorem, stali ramię przy ramieniu Anakin i Padmé. Padawan miał na sobie oficjalną szatę Jedi, Padmé zaś – piękną niebieską suknię ozdobioną kwiatami. Nowa, mechaniczna ręka Anakina zwisała swobodnie; tylko palce od czasu do czasu odruchowo

zaciskały się i prostowały.

Przed młodymi stał święty mąż z Naboo. Z dłońmi wzniesionymi nad ich głowami recytował prastary tekst małżeńskiej przysięgi.

Gdy tradycyjne słowa zostały wypowiedziane, świadkowie ceremonii – R2-D2 i C-3PO – powitali nowy związek radosnymi gwizdami.

Anakin Skywalker i Padmé Amidala połączyli usta w pocałunku – pierwszy raz jako mąż i żona.



## ROBERT ANTHONY SALVATORE

Robert Anthony Salvatore - amerykański pisarz science-fiction i fantasy znany przede wszystkim z powieści osadzonych w świecie *Forgotten Realms* i *Gwiezdnym Wojen*. Wykreował jedną z najbardziej znanych postaci literatury fantasy, *Drizzta Do'Urdena*, poszukującego lepszego życia mrocznego elfa.

R.A. Salvatore jest jednym z najbardziej płodnych pisarzy gatunku, jest również współtwórcą świata *Zapomnianych Krain*, jednego z najpopularniejszych uniwersów literatury fantasy i gier fabularnych.

Salvatore studiował na uniwersytecie w Fitchburgu. Zainteresował się fantastyką po przeczytaniu *Władcy Pierścieni*.

# Spis treści

## KARTA TYTUŁOWA

PRELUDIUM

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

EPILOG

O AUTORZE